

Lawina

Bagley Desmond



calibre 0.9.27

Desmond Bagley

"LAWINA"

Przełożył

Andrzej Gostomski

Tytuł oryginału

The Snow Tiger

Copyright (c) Brockhurst Productions 1975

Redaktor

Elżbieta Adamska

Ilustracja

Jarosław Wróbel

Opracowanie graficzne serii

Studio Q

For the Polish edition

Copyright (c) 1993

by Wydawnictwo Adamski i Bieliński

Wydanie I

ISBN 83-85593-12-8

Wydawnictwo Adamski i Bieliński

Warszawa 1993

ark. wyd. 15, ark. druk. 16

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca w Krakowie

Druk z dostarczonych diapozytywów. Zam. 7994/93

Dla Joan, z okazji urodzin.

Obiecałem i dotrzymałem.

nieg to nie wilk w owczej skórze,

to tygrys w przebraniu jagnięcia,

Matthias Zdarsky

Mimo iż akcja tej książki jest fikcją, jej korzenie są głęboko osadzone w faktach. Większość wspomnianych przeze mnie organizacji istnieje, ale nie było moją intencją ocenianie ich i gdybym został o to posądzony - przepraszam.

Nie napisałbym tej książki, gdyby nie pomoc wielu ludzi, którzy podzielili się ze mną swym dowiadczaniem.

Przekazuję więc podziękowania Kenowi Parnellowi, dawnemu przewodnikowi górskiemu w Parku Narodowym Mount Cook; Bobowi Waterhouse'owi i Philipowi Brewerowi z Zakładu Badań Polarnych w Centrum Badań Lądowych Armii stanów Zjednoczonych (Cold Regions Research and Engineering Laboratory of the US Army Terrestrial Sciences Centre); doktorowi Barriemu Murphy'emu; komandorowi-porucznikowi F. A. Prehnowi i komandorowi-porucznikowi Thomasowi Orrowi z Szóstego Badawczego Dywizjonu Antarktydy (Ant-

arctic Development Squadron Six, VXE-6, Operation

Deep Freeze).

Dziękuję również personelowi William Collins Ltd (Nowa Zelandia), oraz bibliotekarce i pracownikom New Zeland House w Londynie za okazanie niebywalej cierpliwości wobec nawału pytań. Zadałem wiele głupich pytań, lecz nigdy nie otrzymałem głupiej odpowiedzi.

Prolog

To nie była jaka wielka lawina, ale wcale nie musiała taka być, by zabić człowieka. Fakt, że Ballard przeżył, zawdzięczał jedynie Mike'owi McGillovi, który nalegał na założenie liny Oertela. Tak samo jak można ocaleć na oceanie, mając do dyspozycji odpowiedni sprzęt, a potem utopić się w wodzie głębokiej do kolan, tak i Ballard mógł zginąć podczas niewielkiego obsunięcia, nie odnotowanego nawet w wyczulonej na te sprawy Szwajcarii.

McGill był dowiadczonym narciarzem, co nie mogło dziwić, gdy wzięło się pod uwagę jego zawód. Przygarnął za pod swoje skrzydła nowicjusza.

Poznali się w górskim schronisku, w czasie wieczornego spotkania po nartach i od razu przypadli sobie do gustu. Choć byli w tym samym wieku, McGill wydawał się starszy, być może z powodu trybu życia, jaki prowadził. Zainteresował się jednak nowym znajomym, gdyż ten miał wiele do powiedzenia w dziedzinach nie związanych ze niegiem i lodem. Uzupełniali się więc wzajemnie, co

doć często stanowi podstawę przyjani.

Pewnego ranka McGill zaproponował co nowego.

- Trzeba cię zabrać z nartostrady - powiedział. - I to na kopny
nieg. Zobaczysz jakš frajdš jest przecieranie nowego szlaku.

- To podobno duzo trudniejsze? - dopytywał się Ballard.

McGill zdecydowanie pokręcił głowš.

- Mit nowicjuszy. Može skręcanie nie jest tak łatwe, ale trawer-
sowanie to pestka. Spodoba ci się. Chod, popatrzmy na mapę.

Na górę zawiózł ich wyciśg krzeselkowy, lecz póniej, zamiast
jak dotšd zjechać szlakiem, odbili na południe, przecinajšc płasko-
wyž. Po półgodzinie dotarli do szczytu czystego stoku, który McGil-
lowi polecili miejscowi ludzie. Zatrzymał się i, oparty na kijkach,
spoglšdał na zbocze.

- Wydaje się bezpieczne, ale nie możemy ryzykować. Zakłada-
my ogonki.

Rozpišł kieszeń anoraku, wyciśgnšł kłębek czerwonej linki, roz-
dzielił go na dwie części i jednš z nich podał Ballardowi.

- Przewiśz się tym w pasie.

- Po co?

- To sznur lawinowy Oertela, prosty sposób, który ocalił juž
mnóstwo ludzi. Gdyby przysypała cię lawina, kawałek tej linki
zostanie na powierzchni. Dzięki niej szybko cię odnajdziemy.

Ballard popatrzył w dół stoku.

- A može co zlecieć?

- Nic mi o tym nie wiadomo - uspokoił go McGill z umie-

chem, przewieszając się linką w pasie.

- Nigdy nie widziałem, żeby kto to nosił.

- Jedziłem tylko nartostradą. - McGill zauważył wahanie Ballar-

da. - Wielu facetów nie używa tego, bo wydaje im się, że zrobiś z siebie durniów. Mówiś: "Kto chciałby zjeżdżać z czerwonym ognem?" A dla mnie oni właśnie są skończonymi głupcami nie nosząc tego.

- Ale lawiny...

- Popatrz - powiedział cierpliwie McGill i wskazał w dół sto-

ku. - Gdybym sądził, że istotnie tam, w dole, zagraża nam lawina, w ogóle bymy nie zjeżdżali. Nim wyruszyliśmy, sprawdziłem prognozy niegowe i uważam, że jest tu równie bezpiecznie, jak na oleju łęczce. Ale jednak każdy nieg na każdym stoku może się okazać grony i niekoniecznie musi to być w Szwajcarii. W Anglii, w South Downs też zasypało ludzi. Linka jest zwykłym zabezpieczeniem, i tyle.

Ballard wzruszył ramionami i posłusznie zaczął się nią opasać.

- Uczymy się dalej. Czy wiesz co zrobić, kiedy zauważysz obuwajęcy się nieg?

- Mam się modlić?

- Możesz zrobić co więcej - umięknął się McGill. - Jeli

w ogóle ruszy, to pod twoimi nartami, albo tuż za tobą. nieg nigdy

nie obsuwa się gwałtownie, masz więc czas, by zastanowić się co zrobić. Niewiele czasu, pamiętaj. Jeżeli obsunie ci się pod nogami, masz szansę uskoczyć w górę stoku i wyjść z tego. Jeli za ruszy z tyłu, to zapamiętaj jedno: na nartach nie uciekniesz. Mnie może by się to udało, tobie nie.

- To co mam robić?

- Pierwsza rzecz, to wyjść ręce z pasków i odrzucić kijki. Potem trzeba wypisać wiązania. Powinno to nastąpić automatycznie przy upadku, ale może stać się inaczej. Gdy fala niegu już cię uderzy, staraj się płynąć pod prąd, kierując się w stronę powierzchni.

Wstrzymuj oddech i nie miotaj się w niegu. Kiedy poczujesz, że zwalniasz, zasłoń twarz ramieniem, ale niezbyt blisko. Da ci to przestrzeń potrzebną do oddychania, a może nawet wezwania pomocy. - Rozemiał się na widok miny Ballarda i dodał lekko: - Nie przejmuj się. To może się nigdy nie zdarzyć. Ruszajmy. Pojadę pierwszy, nie za szybko, a ty jedź za mną i rób to co ja.

Ruszył w dół stoku, a Ballard podszedł za nim, przeżywając najwspanialszą jazdę w swym życiu. Tak jak McGill powiedział, skręcanie w kopnym niegu nie było łatwe, ale szusowanie okazało się dużo przyjemniejsze. Zimny wiatr smagał mu policzki i przenikliwie wiszczał w uszach. Lecz poza tym, jedynym odgłosem było syczenie nart, wbijających się w dziewiczy nieg.

Przed sobą, u podnóża stoku, zobaczył jak McGill wykonuje christianię i zatrzymuje się. Gdy dołączył do niego, zawołał entu-

zjastycznie:

- To było wspaniałe! Powtórzmy to jeszcze raz!

McGill rozemiał się.

- Mamy kawał drogi do wycišgu, jest za tš górš. MoŹe spróbu-
jemy znowu po południu.

Około trzeciej wrócili na szczyt stoku i McGill wskazał na lady:

- Oprócz nas nikogo tu nie było. To mi się włanie podoba, nie
ma tu takiego tłoku jak na szlaku. - Podał Ballardowi linkę Oerte-
la. - Tym razem ty pojedziesz pierwszy. Chcę zobaczyć, jakš masz
technikę.

Zawišzujšc linkę baczenie przyglšdał się zboczu. Póne, popołu-
dniowe, zimowe słońce rozpocierało juŹ na niegu długie cienie.

Poradził jeszcze:

- Trzymaj się słońca na rodku stoku i nie zapuszczaj się w miej-
sca ocienione.

Nim skończył mówić, Ballard ruszył. McGill bez popiechu po-
dšżył za nim, obserwujšc mniej dowiadczonego narciarza i notujšc
w myłach błędy wymagajšce skorygowania. Wszystko szło do-
brze, dopóki nie zauwaŹył, Źe Ballard zbacza w lewo, w stronę
nieco bardziej stromeego, zacienionego juŹ terenu. Zwiększył szyb-
koć, wołajšc jednoczenie:

- Na prawo, Ian. Trzymaj się rodka stoku.

Krzyczał jeszcze, gdy Ballard potknšł się, jakby nieznacznie się
zawahał w płynnym ruchu. W tym samym momencie cały stok

obsunął się, porywając ze sobą narciarza. McGill zahamował i z po-
bladłą twarzą obserwował przyjaciela, który leciał teraz bezwładnie
w dół. Dostrzegł jeszcze, jak odrzuca prawy kijek, ale już po chwili
przykryła go kurzawa nieźnego pyłu. Powietrze wypełnił huk,
niczym odgłos dalekiego grzmotu.

Ballard pozbył się wprawdzie kijków, ale znalazł się w wiecie
szaleńczej niestabilności. Udało mu się odpiść prawą nartę, lecz
w chwilę potem upadł do góry nogami, obracając się gwałtownie.
Młócił ramionami niczym pływak. Starał się jednocześnie opanować
narastającą w nim falę paniki i przypomnieć sobie wskazówki
McGilla. Nagle poczuł rozdzierający ból w lewym udzie. Stopa
została wyszarpięta na zewnątrz i miał uczucie, jakby wraz z całą
nogą odkręcano mu ją od biodra.

Niemal zemdlął z bólu, ale ten, po chwili intensywnego nasile-
nia, zelżał. Pęd lawiny zmniejszył się i Ballard w porę przypomniał
sobie to, co McGill mówił o przestrzeni powietrznej przy ustach,
uniósł więc lewą rękę i osłonił twarz. Stracił przytomność w tym
samym momencie, w którym zatrzymała się lawina.

Wszystko to trwało nieco ponad dziesięć sekund, a Ballard zdę-
żył przebyć niewiele ponad trzydzieci metrów.

McGill zaczekał, aż całkowicie ustał wszelki ruch, po czym zje-
chał na skraj nieregularnej blizny, będącej granicą zwałonego nie-
gu. Przyjrzał się jej badawczo, a następnie wbił kijki w niego i od-
piął narty. Niosąc kijek i nartę, ostrożnie wszedł na lawinisko i za-

człł je uważnie przeczesywać. Wiedział z dowiadczenia, jak wielkie znaczenie ma teraz czas. Miał przed oczami wykres, który kilka dni temu pokazano mu w lokalnej stacji ratownictwa górskiego.

Przedstawiał zależność pomiędzy czasem zasypania, a szansą przeżycia.

Pół godziny zajęło mu bezowocne przeszukiwanie tego obszaru. Gdyby nie znalazł Ballarda, musiałby zacząć sędowanie, a to nie dawało zbyt wielkiej nadziei na sukces. Jeden człowiek nie mógł podołać tej pracy w tak krótkim czasie. Zmuszony więc byłby sprowadzić ratowników i tresowane psy.

Zszedł poniżej dolnej krawędzi zwaliska i niezdecydowanie spojrział w górę. Wzruszył ramionami i zaczął wspinaczkę poprzez rodkowš część lawiny. Chciał wykonać jeszcze jedno szybkie, pięciominutowe wejście na jej szczyt. Gdyby w tym czasie nie natrafił na żaden ład, zdecydował, że wróci do schroniska.

Szedł wolno, uważnie rozglądajšc się na boki i wreszcie jš zobaczył - maleńkš, krwawo-czerwonš plamkę w cieniu bryły niegu. Była nie większa od paznokcia, ale to wystarczyło. Przyklęknšł, rozgarnšł nieg i uniósł czerwonš linkę. Pocišgnšł w jednš stronę, ale wysunšł się wolny koniec. Złapał więc za drugi. Linka zaprowadziła go szeć metrów w dół stoku. Wreszcie natrafił na opór. Linka skierowana była pionowo w dół. Zaczł kopać. nieg był na szczęcie miękki i puszysty, więc dawał się łatwo usuwać rękami. Ballarda znalazł na głębokoci około

jednego metra.

Ostrożnie rozgarnął nieg wokół głowy zaszypanego, upewniwszy się, że ten oddycha. Z zadowoleniem spostrzegł, że Ballard zastosował się do jego instrukcji i pamiętał o osłonięciu twarzy.

Kiedy odkopał dolną część ciała, wiedział już, wnioskując z nieprawdopodobnej pozycji, że Ballard złamał nogę. Zrozumiał też dlaczego.

Ballard nie mógł bowiem odzepić lewej narty, którą kotłując się nieg posłużył się niczym dwigni.

McGill postanowił nie ruszać przyjaciela, uważając, że mógłby mu bardziej tym zaszkodzić niż pomóc. Ciągnął tylko swój anorak i otulił nim rannego. Odszukał narty i pomknął w stronę biegnącej w dół drogi. Po chwili udało mu się zatrzymać przejeżdżający samochód.

Niecałe dwie godziny później Ballard był już w szpitalu.

Minęło sześć tygodni, a Ballard wciąż jeszcze nudził się, przykutym do łóżka. Noga długo się goiła, nie tyle z powodu złamania koci, co naderwania mięni, które potrzebowały czasu na zronięcie się.

Na noszach przewieziono go samolotem do Londynu, gdzie dopadła go matka i zabrała do swojego domu. Normalnie, przebywając w Londynie, mieszkał we własnym mieszkaniu, ale teraz musiał uznać jej argumenty i ulec przemocy. Tak więc, nudził się, przykutym do łóżka w domu matki i nienawidził każdej minuty takiego stanu rzeczy.

Pewnego poranka, po przygnębiającej wizycie lekarza, który za-

powiedział następne tygodnie rekonwalescencji, Ballard usłyszał, dochodzące z niższego piętra, odgłosy sprzeczki. Wyższy głos należał do matki, lecz nie potrafił zidentyfikować drugiego. Odległe słowa wznosiły się i opadały w rytmie sporu ciśnień się przez kwadrans, wreszcie zaczęły się przybliżać, w miarę jak kłótnia przeniosła się na schody.

W końcu otworzyły się drzwi i do pokoju weszła matka ze ciśnień ustami i gniewnie zmarszczonymi brwiami.

- Twój dziadek nalega, by się z tobą zobaczyć - oznajmiła oschle. - Powiedziałam mu, że nie czujesz się dobrze, ale on się uparł. Jest jak zwykle nierozsądny. Radzę, by go nie słuchał, Ian. Ale to oczywiście twoja sprawa, zawsze robię co chciałem.

- Poza nogi nic mi nie dolega. - Przyjrzał się matce i nie po raz pierwszy zapragnął, by wykazywała więcej smaku w doborze stroju i przestała ubierać się jak straszdyło. - Czy mam jakiś wybór?

- Mówi, że jeśli nie zechcesz się z nim zobaczyć, to odejdzie.

- Na Boga! Doprawdy? Chyba anioł dotknął go swym skrzydłem. Niemal mam ochotę to sprawdzić. - Odesłanie Bena Ballarda od zamkniętych drzwi nadawałoby się do odnotowania w księdze rekordów Guinnessa. Ian westchnął. - Lepiej go wpuść.

- Wolałabym, żeby tego nie robił.

- Wprowad go, mamó. Nic mi nie jest.

- Jeste tak samo głupio uparty jak on - rzuciła jeszcze, ale podeszła do drzwi.

Ian nie widział starego Bena od półtora roku, więc zaskoczyła go przemiana, jakś w nim dostrzegł. Jego dziadek, zawsze tak dynamiczny i pełen energii, teraz wyglądał na swoje osiemdziesiąt siedem lat. Wolno wkroczył do pokoju, wspierając się ciężko na tarninowej lasce. Miał zapadnięte policzki i głęboko osadzone oczy, co upodobniło jego zazwyczaj posępny twarz do czaszki. Jednak wciąż wyczuwało się w nim przebłysk autorytetu, gdy odwrócił głowę i rzucił szorstko:

- Harriet, podaj mi krzesło.

Matce Iana wymknęło się ciche parsknięcie, przystawiła jednak krzesło do łóżka i stanęła obok. Ben ciężko usiadł, umieścił laskę pomiędzy kolanami i wsparł się na niej. Bacznie obserwował Iana, wodząc wzrokiem po łóżku. Wreszcie umiechnął się ironicznie.

- Playboy, co! Bogacze latajś odrzutowcami! Zdaje się, że byłe w Gstaad?

Ian nie dał się sprowokować, znał bowiem metody starego.

- Nic w tym stylu.

Ben umiechnął się szeroko jak rekin.

- Nie mów mi tylko, że pojechałe czarterem z biura podróży. -

Lekko drżącym palcem wskazał na nogę. - Jest niedobrze, chłopcze?

- Mogło być gorzej, groziła amputacja.

- Czy musisz opowiadać takie rzeczy? - W głosie Harriet zabrzmiało cierpienie.

Ben znowu zachichotał, ale po chwili powiedział twardo:

- Wybrała się więc na narty i nawet tego nie potrafiła robić

dobrze. Czy ten wyjazd odbył się w ramach pracy?

- Nie - odparł Ian spokojnie. - I wiesz o tym. To były moje pierwsze wakacje od prawie trzech lat.

- Hmmm! Ale wylegujesz się na koszt firmy.

Matka Iana uniosła się z oburzeniem.

- Jeste bez serca!

- Zamknij się, Harriet - powiedział starzec nie odwracając głowy. - I wyjd. Nie zapomnij też zamknąć drzwi za sobą.

- Nie dam się tyranizować we własnym domu.

- Rób to, co mówię, kobieto. Muszę z tym młodym człowiekiem pogadać o interesach.

Ian Ballard spojrzał na matkę i nieznacznie skinął głową. Wydała odgłos jakby splotła i hałaliwie opuściła pokój. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

- Maniery ci się nie poprawiły - stwierdził Ian.

Ramiona Bena zatrzęsły się od hamowanego miechu.

- Dlatego cię lubię, chłopcze, bo nikt inny nie powiedziałby mi tego prosto w oczy.

- Dostatecznie często mówiono to za twoimi plecami.

- A co mnie obchodzi gadanie innych? Liczy się tylko to, co człowiek robi. - Dłonie Bena zacisnęły się kurczowo na lasce. - Nie potraktowała chyba poważnie tego, co mówiłem o wylegiwaniu się na koszt firmy? Nie mogliśmy jednak czekać, aż wrócisz do zdro-

wia. Zostałe więc zastąpiony.

- Wyrzucony!

- No, poniekąd. Znajdzie się dla ciebie jaka praca, gdy wydobrzejesz. Myślę, że to będzie coś lepszego, choć wątpię, czy się jej podejmiesz.

- Zależy co to ma być - powiedział Ian ostrożnie.

- Prawie cztery lata temu otworzyliśmy kopalnię złota w Nowej Zelandii. Teraz, kiedy cena złota wzrosła, zaczyna się to opłacać i prognozy są dobre. Dyrektorem zarządu jest stary idiota, Fisher. Dostał to stanowisko ze względów lokalnych, ale w przyszłym miesiącu odchodzi na emeryturę. - Laska stuknęła o podłogę. - Ten człowiek jest zgrzybiały w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, możesz to sobie wyobrazić?

Ian Ballard stawał się ostrożny, gdy Grecy przynosili dary.

- Więc?

- Więc chcesz tę robotę?

W tym krył się jaki haczyk.

- Mógłbym. Kiedy powinienem tam pojechać?

- Jak najszybciej. Proponuję, aby popłynął statkiem. Nogę możesz równie dobrze kurować na pokładzie, jak tutaj.

- Czy miałbym kogo nad sobą?

- Dyrektor odpowiada przed zarządem, wiesz o tym.

- Tak i znam sposoby Ballardów. Zarząd tańczy na sznurkach pociąganych w Londynie. Nie mam ochoty być chłopcem na posył-

ki dla moich szanownych wujków. Nie rozumiem dlaczego pozwalasz, aby im to uchodziło na sucho.

Dłonie starca zbieleły, gdy zacisnął je na główce laski.

- Wiesz, że nie mam już nic do powiedzenia w Ballard Holdings. Kiedy założyłem trust, zrzekłem się kontroli. To, co robiś obecnie twoi wujowie, to ich interes.

- A mimo to masz do podarowania stołek dyrektorski?

Ben posłał mu swój umiech rekina.

- Nie tylko twoi wujowie mogą pociśgać za sznurki. Wiedz jednak, że teraz nie mogę już tego robić zbyt często.

Ian zastanawiał się jeszcze.

- Gdzie jest ta kopalnia?

- Na Wyspie Południowej. - Głos Bena brzmiał rozmylnie nie-
dbale. - Miejscowość nazywa się Hukahoronui.

- Nie! - wyrwało się Ianowi.

- O co chodzi? Boisz się powrotu? - Górna warga Bena unios-
ła się, odsłaniając zęby. - Jeżeli tak, to nie płynie w tobie moja krew.

Ian zaczerpnął powietrza.

- Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? Wiesz jaki wstręt czuję
do tego miejsca.

- No więc dobrze, bardzo dawno temu spotkało cię tam nie-
szczęcie. - Ben pochylił się, wspierając się na lasce. - Jeżeli odrzu-
cisz tę propozycję, nigdy już nie zaznasz spokoju. Ręczę za to.

Zrozum, wcale ci nie grożę. Zniszczę cię twoje myli. Resztę swych

dni spędzisz na rozpamiętywaniu,

Ian wpatrywał się w niego.

- Stary diabeł z ciebie.

Starzec zachichotał.

- Być może. Posłuchaj mnie teraz, młody Ianie. Miałem czterech synów, z których trzech nie sš warci prochu, by ich wysłać do diabła.

Spiskujš, sš oszustami pozbawionymi skrupułów i sprawiajš, że

Ballard Holdings mierdzi w londyńskim City. - Ben uniósł się. -

Bóg wiadkiem, że i ja kiedy nie byłem aniołem. Bywałem brutalny

i bezwzględny i twardo prowadziłem interesy, a czasami, gdy za-

chodziła taka potrzeba, omijałem przepisy lecz wszystko to było

zgodne z duchem tamtych czasów. Nikt jednak nie mógł oskarżyć

Bena Ballarda o nieuczciwoć, ani zarzucić mu, że kiedykolwiek

cofnšł dane słowo. Wystarczyło włanie słowo, ucisk dłoni, by City

uznało to za żelazny kontrakt. Teraz nikt nie ufa słowom twoich

wujów, już nie. Każdy, kto prowadzi z nimi interesy, musi zacząć

od wynajęcia pułku prawników i sprawdzenia rzetelnoci umo-

wy. - Wzruszył ramionami. - Ale tak to jest. Oni prowadzš teraz

Ballard Holdings. Jestem już starym człowiekiem i musiałem oddać

im władzę. Zwykła kolej rzeczy, Ian. - Głos mu złagodniał. - Ale

miałem jeszcze czwartego syna, w którym pokładałem największe

nadzieje. Niestety, zniszczyła go kobieta. Prawie to samo udało jej

się zrobić z tobš, zanim nabrałem rozumu i wyrwałem cię z tamtej

doliny w Nowej Zelandii.

W głosie Iana wyczuwało się napięcie.

- Zostawmy moją matkę w spokoju.

Ben uniósł pojednawczo dłoń.

- Podoba mi się twoja lojalność, Ian, chociaż sądzę, że jest ona nie na miejscu. Nie jesteś złym synem swego ojca, tak jak i on nie był złym synem swojego. Naprawdę. Problem w tym, że wtedy pokpiłem sprawę. - Niewidzącymi oczami zapatrzył się w przeszłość. Wreszcie z irytacją potrząsnął głową. - Tamto już minęło.

Wystarczy, że ciebie wyrwałem z Hukahoronui. Czy dobrze postąpiłem?

- Nigdy ci za to nie podziękowałem. Ani za to, ani za nic innego - cicho powiedział Ian.

- Och, uzyskałaś stopień naukowy i pojechałaś do szkoły górniczej w Johannesburgu, a stamtąd do Colorado, potem do Harvard Business School. Masz niezłą głowę, a ja nie chciałem, żeby się zmarnowała. - Zamiął się cicho. - Chleb na wody płynące, chłopcze, chleb na wody płynące. - Pochylił się. - Widzisz, dziecińko, przyszedłem się upomnieć o dług.

Ian poczuł ucisk w gardle.

- Co masz na myśli?

- Sprawisz radość staremu człowiekowi, przyjmując tę pracę w Hukahoronui. Zrozum, nie musisz jej brać, masz wolną rękę.

Lecz sprawiłby mi przyjemność, robiąc to.

- Czy muszę się zdecydować od razu?

W głosie Bena zabrzmiała ironia.

- Chciałby się poradzić mamy?

- Nigdy jej nie lubiła, prawda?

- Była wiecznie niezadowolona, przerażona wiatem, rozmazgajona belferką, która ciśnieła porządnego człowieka do swego pełzającego poziomu. Teraz jest niezadowolona, rozmazgajona, przedwcześnie postarzała kobietą, bo zawsze bała się wiatu i życia i próbuje to samo zrobić z kolejnym mężczyzną. - Ben był szorstki. - Jak sądzisz, dlaczego nazywam cię "chłopcem" i "dzieciną", skoro jesteś dorosłym, trzydziestopięcioletnim mężczyzną? Bo to wszystko, czym na razie jesteś. Na miłość boską, choć raz w życiu podejmij samodzielnie decyzję!

Ian długo milczał, wreszcie rzekł:

- W porządku, pojedę do Hukahoronui.

- Sam, bez niej?

- Sam.

Ben nie wydawał się być pijany ze szczęścia, po prostu z powagą skinął głową.

- Teraz jest tam spore miasto. Wstąpię czy je poznasz, tak się rozrosło. Pojechałem tam kilka lat temu, zanim ten cholerny lekarz zabronił mi podróżować. To miejsce ma nawet burmistrza. Pierwszy nazywał się John Peterson. Petersonowie posiadają znaczny wpływ w tamtej społeczności.

- O Jezu! Oni wciśz tam mieszkają?

- A czego się spodziewał? Oczywiście, że tak. John, Eric i Charles, oni wciśz tam sš.

- Ale nie Alec. - Ian zdawał się mówić do grzbietów swych dłoni.

- Nie, Alec nie - zgodził się Ben.

Ian podniósł wzrok.

- Sporo wymagasz, prawda? Czego, do diabła, się po mnie spodziewasz? Sam wiesz doskonale, że wysłanie Ballarda do Huka to jak włożenie detonatora do laski dynamitu.

Ben zmarszczył brwi.

- Przypuszczam, że to Petersonów uważasz za dynamit. - Pochylił się. - Powiem ci, czego chcę. Chcę, żeby zarzšdzał tš cholernš kopalniš lepiej, niż to było robione do tej pory. Daję ci kawał ciężkiej roboty. Po pierwsze, ten stary osioł Fisher nie potrafił utrzymać kontroli. Po drugie, Dobbs, menedžer kopalni, jest chronicznie obojętnym obserwatorem. Wreszcie po trzecie, Cameron, inżynier, to zniszczony ex-Amerykanin, trzymajšcy się tej pracy rękami i nogami, bo wie, że to ostatnia posada, jakš otrzymał i panicznie boi się jš stracić. Chciałbym, by temu towarzystwu nadał trochę charakteru. - Ben poprawił się na krzele. - Oczywiście - powiedział w zadumie - Petersonowie nie powitajš cię z otwartymi ramionami. To mało prawdopodobne, zgoda. Ostatecznie, ich rodzinna legenda głosi, że ukradziono im tę kopalnię. Rzecz jasna to bzdura, ale oni w to wierzš. I pamiętaj, Ian, ci ludzie nie kierujš się faktami,

tylko swymi mrzonkami. - Pokiwał głowš. - Tak, sšdzę, że mozesz mieć kłopoty z Petersonami.

- Przestań się drażnić, powiedziałem już, że pojedę.

Starzec chciał odejć, ale zatrzymał się.

- Jeszcze jedna sprawa. Gdyby co poważnego przytrafiło się

Ballard Holdings lub mnie, skontaktuj się z Billem Stenningiem. -

Przez chwilę zastanawiał się nad czym. - Chociaż... nie kłopotz się.

Bili skontaktuje się z tobš doć szybko.

- O co tu chodzi?

- Nie martw się, może nic się nie wydarzy. - Ben wstał wolno

i skierował się w stronę drzwi. Zatrzymał się jeszcze w połowie

pokoju i podniósł tarninowš laskę. - Wštpię, by mi była jeszcze

kiedykolwiek potrzebna. Przylę ci jš jutro. Tobie się bardziej przy-

da. Kiedy się wykurujesz, nie odsyłaj mi jej. Wyrzuć.

Przystanšł przed drzwiami i zawołał:

- Harriet, wejd, nie musisz już dłużej podsłuchiwać.

RZŁD NOWEJ ZELANDII

PRZESŁUCHANIE

PRZED

KOMISJŁ DOCHODZENIOWŁ

W SPRAWIE

KATASTROFY W HUKAHORONUI

Przewodniczšcy: dr H. A. Harrison

Doradcy: prof. J. W. Rolandson

F. G. French

Sekretarz: J. Reed

Przesłuchanie

dzień pierwszy

I

Wielka sala posiedzeń była imponująco zdobiona. Pochodziła z połowy XIX wieku i została zaprojektowana w modnym wówczas stylu neogotyckim. Dodatkową atrakcją było to, że projekt ów sporządził potomek w linii prostej Simona de Montfort. Architekt przeniósł skrawek średniowiecznej Anglii na półkulę południową, do, bardziej angielskiego od angielskich, miasteczka Christchurch. Sala posiadała wysokie, łukowe sklepienie, bogato malowane i rzebione. Znajdowały się tu także kroksztyny, podpory, ostrołuki i drewniane panele, a każda z powierzchni nadających się do rzeźbienia, została ozdobiona do granic możliwości. Dodatkowy element dekoracji stanowiły witraże.

Dan Edwards, nestor dziennikarzy Christchurch, nie dostrzegał już tej absurdalnej sceny, oglądał ją bowiem zbyt wiele razy.

Bardziej przejął się tym, że właśnie paskudnie zaskrzypiała podłoga, gdy woni sędziów, niosący bloki i ołówki, przeszli pod galerią dla prasy.

- Okropna akustyka - zauważył. - A ta przeklęta podłoga

z kauri wcale nie poprawia sytuacji.

- Nie mógł jej naoliwić, czy co takiego? - dopytywał się pocho-

dzŹcy z Auckland, Dalwood.

- Próbowali wszystkiego, ale bez skutku. Wiesz co, załóźmy spółkę. Gdybym co przeoczył, wezmę to od ciebie i vice versa.

Dalwood wzruszył ramionami.

- W porzřdku. - Spojrzał ponad krawęd galerii na znajdujřce się w dole podium. Trzy krzesła z wysokimi oparciami stały ustawione za stołem sędziowskim, przy kaźdym z nich leżał nowy blok papieru kancelaryjnego z dwoma długopisami po lewej i trzema wieźo zaostrzonymi ołówkami po prawej stronie. Razem z karafkami z wodř i szklankami, całość wielce przypominała stół zastawiony do obiadu.

Edwards podřżył za jego spojrzeniem, po czym skinřł głowř w kierunku wypełnionej juź do ostatniego miejsca galerii dla publiczności.

- ciřgnęli jak sępy na źerowisko.

Dalwood trřcił go łokciem i wskazał drzwi prowadzřce na galerię.

- Jest młody Ballard. Sprowadził całř ekipę prawników.

Edwards przyjrzał się uważnie młodemu człowiekowi, który kroczył na czele falangi starszych, statecznie ubranych męźczyzn.

Zacisnřł usta.

- Pytanie tylko, czy reprezentujř jego, czy przedsiębiorstwo. Na miejscu Ballarda zaciskałbym tyłek.

- Baranek ofiarny?

- Baranek prowadzony na rze - ucilił Edwards. Spojrzał na

dół, w stronę stołu sędziowskiego. - Co się zaczyna dziać.

Szmer rozmów ucichł, gdy trzech mężczyźni stanęli na podium.

Jeden ze stenotypistów uniósł wzrok i wyczekująco oparł palce na klawiaturze maszyny. Wszyscy powstali.

Trzech mężczyźni usiedli za stołem, a czwarty poszedł do przodu i zajął miejsce przy biurku. Położył przed sobą plik papierów i zajął do leżącego na wierzchu dokumentu. Starszy mężczyzna, siedzący na centralnym miejscu za stołem, nieco wyżej od swych sąsiadów, miał gęste, siwe włosy i porażone bruzdami twarz. Spojrzał na dziewiczy notatnik przed sobą i odepchnął go. Po chwili przemówił cichym, monotonnym głosem:

- Zimą tego roku, osiemnastego lipca, w miasteczku Hukahoronui, wydarzyła się katastrofa, w wyniku której pięćdziesiąt cztery osoby straciły życie. Rząd Nowej Zelandii powołał komisję dochodzeniową, której jestem przewodniczącym. Nazywam się Arthur Harrison i pełnię funkcję rektora uniwersytetu w Canterbury. - Wskazał swych sąsiadów. - Wraz ze mną zasiadają tu dwaj doradcy, posiadający odpowiednie kwalifikacje, ze względu na swoją wiedzę i doświadczenie, by wejść w skład komisji. Po mojej lewej stronie siedzi profesor J. W. Rolandson z Departamentu Nauki. - Rolandson skinął z umiechem głową. - Po mojej prawej stronie siedzi pan F. G. French z Departamentu Kopalń Nowej Zelandii. Ten dżentelmen za biurkiem to pan John Reed, adwokat. Pełni on funkcję sekretarza komisji. - Harrison rozejrzał się po sali. - Widzę tu

przedstawiciele kilku zainteresowanych stron. Może zechce się przedstawić. Zaczniemy od prawej.

Jako pierwszy wstał, siedzący obok Ballarda, dobrze odżywiony mężczyzna w rednim wieku.

- John Rickman, adwokat reprezentujący Towarzystwo Górnicze Hakahoronui, spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim siedzący przy sąsiednim stoliku mężczyzna przedstawił się. Edwards szepnął:

- Ballard nie ma swojego przedstawiciela.

- Michael Gunn, adwokat reprezentujący Związek zawodowy Górników Nowej Zelandii i rodziny tych jego członków, którzy zginęli w katastrofie.

- Alfred Smithers, adwokat reprezentujący Ministerstwo Obrony Cywilnej.

- Peter Lyall, adwokat reprezentujący Charlesa Stewarda Petersona i Erica Parnella Petersona.

Słowa te zaskoczyły publiczność. W sali dały się słyszeć głosy niedowierzania i zaciekawienia. Edwards podniósł głowę nad swoich notatek.

- Dlaczego im się wydaje, że będą potrzebowali prawnej pomocy. Brzmi to obiecująco.

Harrison czekał, aż umilkły odgłosy poruszenia.

- Widzę, że zostaliśmy szczerze obdarzeni pomocą obrońców.

Czuję się więc w obowiązku przypomnieć, że sprawa nie toczy się

przed sędem. Stanowimy komisję dochodzeniową/posiadającą prawo ustalenia własnego trybu postępowania. Wysłuchamy tu relacji, które nie zawsze dopuszczono by w normalnym przewodzie sędowym.

Celem komisji jest ustalenie prawdy o wypadkach, które spowodowały lawinę w Hukahoronui, zaszły w jej trakcie i tych, które nastąpiły później. - Poprawił się na krzele. - Wolelibyśmy nie oglądać tutaj stroniczych praktyk stosowanych w sędach. Pragniemy poznać prawdę uwolnioną z sędowych zawiłości, a powodem, dla którego chcemy ją poznać, jest upewnienie się, że taka katastrofa nigdy już się nie powtórzy. Znaczenie tego względu jest tak decydujące, że komisja gwarantuje, iż żaden z dowodów przedstawionych przed nią nie będzie mógł zostać użyty w jakichkolwiek innych sprawach prawnych, poza kryminalnymi, które byłyby rezultatem interesującej nas lawiny. Zabezpieczenie ludzkiego życia w przyszłości posiada większe znaczenie, niż ukaranie tych, którzy mogą czuć się winnymi zaniedbań lub skutków katastrofy. Komisja została upoważniona do podejmowania takich decyzji i niniejszym to czynię.

Gunn wstał pośpiesznie.

- Panie przewodniczący, czy nie sędzi pan, że jest to zbyt arbitralne posunięcie? Wynikiem przecież sprawy odszkodowań. Wydaje mi się niesprawiedliwe, że zainteresowanym stronom odmawia się użycia dowodów w przyszłych krokach prawnych.

- Panie Gunn, nie wątpię, że rzęd powoła arbitra, który przestudiuje wyniki badań komisji, by wydać niezbędne dyspozycje. Czy

to pana satysfakcjonuje?

Gunn skłonił głowę, z wyrazem zadowolenia na twarzy.

- Jak najbardziej, panie przewodniczący.

Dalwood mruknął do Edwardsa:

- Jasne, że mu to odpowiada. Wszystko rozstrzygnie się tutaj. Ten

cholerny sędzia dorany posłuży się wszelkimi chwytami.

- Przy starym Harrisonie wiele nie wskóra - stwierdził Edwards.

- A teraz przystąpimy do przesłuchania wiadków. Kilku obywateli zgłosiło się na ochotnika, by złożyć zeznania, podczas gdy inni zostali wezwani do stawienia się przez jedną lub kilka zainteresowanych stron. Harrison zmarszczył brwi. - Wraz z pozostałymi członkami komisji zastanawialiśmy się nad tym, w jaki sposób zeznania winny być składane. Ustaliliśmy, że powinno to nastąpić w porządku chronologicznym. Oczywiście w granicach możliwości. Z tego powodu każdy wiadek może zostać poproszony o ustąpienie miejsca komu innemu przed zakończeniem składania swych zeznań, jeśli uznamy, że jest to niezbędne dla wniesienia pewnych uzupełnień. W związku z tym, wszyscy wiadkowie muszą być do dyspozycji przez cały czas trwania posiedzenia komisji.

- Panie przewodniczący!

- Słucham, panie Rickman?

- Ten warunek może okazać się uciążliwy dla niektórych wiadków. Pewną ich grupę stanowią bardzo zajęci ludzie, wypełniający swe obowiązki poza tym pomieszczeniem. Prawdopodobnie zanosi

się na długie dochodzenie i mam wrażenie, że takie postawienie sprawy nie jest zupełnie fair.

- Czy mam rozumieć, że wspominając o pewnych wiadkach miał pan na myśli pana Ballarda? - oschle spytał Harrison.

- Pan Ballard jest rzeczywiście jednym z tych wiadków - przyznał Rickman. - Przez wzgląd na niego byłoby lepiej, gdyby mógł złożyć zeznania i wycofać się.

- Czy pan Ballard jest obywatelem Nowej Zelandii?

- Nie, panie przewodniczący, jest obywatelem brytyjskim.

- Czy to znaczy, że z tej sali chciałby wycofać się aż do Wielkiej Brytanii?

Rickman pochylił się i cicho zamienił z Ballardem kilka słów. Po chwili wyprostował się.

- To prawda, że pewne sprawy w Anglii wzywają tam pana Ballarda.

Od Harrisona powiało chłodem.

- Gdybym przypuszczał, że intencją pana Ballarda jest opuszczenie Nowej Zelandii w trakcie naszego dochodzenia, zwróciłbym się do stosownych władz o pozbawienie go paszportu. To ledztwo jest poważną sprawą, panie Rickman.

- Jestem pewien, że pan Ballard nie ma zamiaru podważać autorytetu komisji - pośpiesznie zapewnił Rickman. - Ponownie zamienił kilka słów z Ballardem, a następnie powiedział: - W chwili obecnej pan Ballard nie zamierza opuszczać Nowej Zelandii.

- Wolałbym to usłyszeć od niego samego. - Harrison pochylił

się. - Czy to prawda, panie Ballard?

Ballard wstał i cichym głosem powiedział:

- Tak, sir. Mój czas jest do dyspozycji członków komisji.

- W takim razie nie będzie pan miał chyba obiekcji, aby uczestniczyć w tym dochodzeniu razem z pozostałymi wiadkami. Dziękuję.

Na galerii prasowej Edwards skomentował to po swojemu:

- Mój Boże! Nie wiem kogo reprezentuje Rickman, ale na pewno nie Ballarda. Wystawił go na strzał.

Harrison kontynuował:

- Dochodzenie to wprawdzie nie proces sądowy, lecz nie może tu być miejsca na wzajemne przekrzykiwanie się. Przedstawiciele zainteresowanych stron będą mogli zwracać się do wiadków jedynie za zgodą przewodniczącego. Nie ma też potrzeby nadwerężać kręgosłupa i wstawać za każdym razem, wystarczy po prostu unieść rękę. Doradcy mogą pytać wiadków w zakresie swoich specjalności. - Złoczył dłonie. - Skoro założylimy zebranie informacji w porządku chronologicznym, konieczne jest podjęcie decyzji, w jakim momencie należałoby rozpocząć. Ze wiadectw przedstawionych komisji, wnioskuję, że to pojawienie się pana Ballarda w Hukahoronui doprowadziło do serii wypadków, które mogły, lecz nie musiały mieć związku z katastrofą, która miała miejsce kilka tygodni później. O tym jednak rozstrzygnie dochodzenie. Sądzę więc, że pierwszym wiadkiem powinien być pan Ballard.

Głos zabrał sekretarz Reed.

- Zechce pan podejść, panie Ballard i usiść. - Wskazał ozdobne, rzebione krzesło, stojące nieco na prawo od stołu sędziowskiego. Zaczekał, aż Ballard zajął miejsce i zapytał: - Nazywa się pan Ian Dacre Ballard?

- Tak, sir.

- I jest pan dyrektorem Towarzystwa Górniczego Hukahoronui?

- Nie, sir.

Salę wypełniał szum, podobny do tego, jaki wydaje zaniepokojony rój pszczół. Harrison odczekał chwilę, by oznajmić spokojnie:

- Obecni proszeni są o ciszę w trakcie przesłuchania wiadków. - Zwrócił się do sekretarza: - Dziękuję, panie Reed. Od tego momentu przejmuję sprawę. Panie Ballard, czy w czasie, w którym wydarzył się wypadek, pełnił pan funkcję dyrektora towarzystwa?

- Tak, sir.

- Czy może mi pan podać powód, dla którego nie zajmuje już pan tego stanowiska?

Głos Ballarda wydawał się bezbarwny.

- Zostałem odwołany ze swych obowiązków dwa tygodnie po katastrofie.

- Rozumiem. - Harrison zerknął w bok, gdyż zobaczył podniesioną rękę. - Słucham, panie Gunn?

- Czy wiadek może nam powiedzieć kto jest właścicielem Towarzystwa Górniczego Hukahoronui?

Harrison skinął Ballardowi, który wyjął:

- Jest ono całkowicie uzależnione finansowo od Mineral Holdings, nowozelandzkiej spółki z ograniczoną odpowiedzialnością.

- Ale ta spółka została powołana jako zasłona ze względów prawnych i finansowych, czyż nie tak? Kto jest jednak jej właścicielem?

- W poważnym procencie stanowi własność międzynarodowej korporacji Mining Investment

- A kto zarządza kapitałem Mining Investment?

- Panie przewodniczący! - ostro rzucił Rickman. - Czy założona przez pana procedura dopuszcza sprzeczności?

- Oczywiście, panie Rickman. Czemu chce się pan sprzeciwić?

- Nie widzę związku pomiędzy tymi pytaniami, a lawiną na zboczu.

- Ani ja - przyznał Harrison. - Myle jednak, że pan Gunn mógłby nam to wyjaśnić.

- Sądzę, że odpowiedź na moje ostatnie pytanie rozstrzygnie te wątpliwości. Pytałem, kto zarządza kapitałem Mining Investment?

Ballard uniósł głowę i powiedział wyranie:

- Ballard Holdings, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością zarejestrowana w londyńskim City.

Gunn skwitował to umiechem.

- Dziękuję.

- No proszę - rzucił Edwards, notując pospiesznie. - Więc on jest jednym z tych Ballardów.

Dalwood zamiliał się cicho.

- A Gunn poluje na Rickmana. Wiwat robotnicy, a precz z międzynarodowym kapitałem. On zwęszył pieniądze.

Harrison lekko zastukał młotkiem i sala ponownie uspokoiła się.

- Panie Ballard, czy w pańskim posiadaniu są akcje, bądź jakkolwiek kapitał Ballard Holdings? Albo którego z wymienionych przedsiębiorstw?

- Nie, sir.

- Czy kto z pańskiej rodziny posiada taki kapitał?

- Tak, trzech moi wujowie i kilku kuzynów.

- A pański ojciec?

- On nie żyje.

- W jaki sposób otrzymał pan stanowisko dyrektora Towarzystwa Górniczego Hukahoronui?

Ballard wzruszył ramionami.

- Towarzystwo jest starsze, rodzinne firmy i przypuszczam, że...

- Czy wiadek może przedstawić swoje kwalifikacje na to stanowisko?

Harrison rozejrzył się gwałtownie, chcąc zidentyfikować osobę, która przeszkodziła.

- Będę zobowiązany, panie Lyall, jeśli na tej sali zapanuje cisza.

Poza tym proszę nie przerywać wiadkowi. - Łagodniejszym już tonem dodał: - Jednakże pytanie jest stosowne, proszę więc na nie odpowiedzieć.

- Posiadam stopień naukowy w zakresie inżynierii górniczej z Uniwersytetu w Birmingham. Studia podyplomowe odbywałem w Południowej Afryce i Stanach Zjednoczonych.

Dłoń Lyalla niewzruszenie tkwiła w górze.

- Nie posiada pan jednak żadnego praktycznego doświadczenia jako inżynier górnictwa, prawda?

Na policzkach Ballarda zapłonęły różowe plamy, lecz opanował się i zwrócił do Harrisona:

- Czy mogę dokończyć odpowiedź na pierwsze pytanie pana Lyalla?

- Oczywiście. - Harrison spojrzał na Lyalla. - Panie Lyall, nie będzie pan przerywał wiadkowi i będzie pan zadawał pytania za moim pośrednictwem, chyba że upoważnię pana do czego innego.

Proszę dalej, panie Ballard.

- Chciałem właśnie powiedzieć, że poza studiami politechnicznymi, przez dwa lata uczęszczałem do Harvard Business School.

Jeżeli chodzi o praktykę, to byłaby ona pożądana, gdybym wykonywał zawód inżyniera górnictwa, jednak jako dyrektor, swój teren działania ograniczałem raczej do spraw administracyjnych.

- Słuszna uwaga - zauważył Harrison. - Dyrektor nie potrzebuje technicznej wiedzy, wystarczy, że posiadajsz już ludzi, którymi kieruje. Gdyby było inaczej, spora liczba naszych dyrektorów powiększyłaby szeregi bezrobotnych.

Zaczekał, aż umilkł miech, po czym powiedział:

- Panie Lyall, nie widzę celu dalszego zadawania pytań w tej kwestii. - Ponieważ jednak ręka Lyalla uporczywie tkwiła w górze, zapytał: - Czy ma pan dalsze, inne, pytania?
- Tak, panie przewodniczący. Według moich wiarygodnych informacji wiem, że kiedy pan Ballard pojawił się w Hukahoronui, nie mógł chodzić bez pomocy laski. Czy to się zgadza?
- Jaki to może mieć związek ze sprawą?
- Sądzę, że ma.
- Niech zatem wiadek odpowie na to pytanie.
- To prawda.

Lyall, skrupulatnie trzymając uniesioną rękę, zachował milczenie, dopóki Harrison nie skinął krótko głową.

- Czy mógłby pan wyjawić dlaczego tak się stało?
- Złamałem nogę na nartach w Szwajcarii.
- Dziękuję, panie Ballard.
- Trudno mi powiedzieć, żebym dostrzegł w tym jakie powiązanie ze sprawą - zauważył Harrison. - Ale niewątpliwie okaże się to we właściwym czasie.
- To stało się podczas lawiny - wyjaśnił Ballard.

W sali zapanowała martwa cisza.

II

Harrison spojrzał na Lyalla.

- Wcióż nie rozumiem znaczenia tego faktu. A skoro pan Lyall nie zamierza rozwinąć tematu, przypuszczam, że możemy konty-

nuować. Panie Ballard, kiedy przyjechał pan do Hukahoronui?

- Szóstego czerwca, sześć tygodni przed lawiną.

- Czyli nie przebywał pan tam zbyt długo. Czy Hukahoronui nie zawiodło pańskich oczekiwań?

Ballard w zamyśleniu zmarszczył brwi.

- Najbardziej uderzyło mnie to, jak bardzo się zmieniło.

Harrison wydawał się zaskoczony.

- Zmieniło? Czyli był pan tam już wcześniej?

- Mieszkałem tam przez piętnaście lat, od dzieciństwa prawie do szesnastych urodzin.

Harrison robił notatki.

- Proszę dalej, panie Ballard. W jaki sposób Hukahoronui się zmieniło?

- Rozrosło się. Kopalnia oczywiście jest nowa, ale wybudowano też nowe domy, dużo nowych domów. - Zamilkł na chwilę. - Zobaczyłem także o wiele więcej niegu, niż pamiętałem z dzieciństwa.

Profesor Rolandson z Departamentu Nauki wtrzącił:

- To prawda. Raporty potwierdzają, że tego roku w Alpach

Nowozelandzkich odnotowano wyjątkowo obfite opady niegu.

Ballard odczuwał przygnębienie, podszajsc na zachód z Christchurch, Land-Roverem należącym do towarzystwa. Wracił do swych korzeni, do Hukahoronui, położonego na pogórzu pasma

Two Thumbs, do stron, których nigdy już nie spodziewał się zoba-

czyć.

Hukahoronui.

Głęboka dolina w górach, dostępna dzięki wąskiej szczelinie skalnej, okolona lasem wysokich drzew na stokach. Przecina ją rzeka, zimna od topniejszego na szczytach lodu. W górze doliny rozproszone są domy, luno skupione wokół kocioła, sklepu kolonialnego i wiejskiej szkoły. Kiedy jego matka była w niej nauczycielką.

Nienawidził tego miejsca.

Trudno było się tu dostać przy większym niegu. A teraz napadało go sporo i nawet wyposażony w niegowe opony i napęd na cztery koła samochód Ballarda poruszał się z trudem. Jak daleko sięgał pamięć nie widział tu nigdy takiego niegu od 1943 roku, lecz ze zrozumiałych względów pamiętał to jak przez mgłę - miał wtedy tylko cztery lata. Istniały jednak szczególne powody, by zapamiętał właśnie tamtą zimę.

Po dłuższej żonglerce niskimi biegami dojechał w końcu do Szczeliny. Zjechał z drogi na skrawek wyrównanego terenu i zatrzymał samochód, by przyjrzeć się dolinie.

Tak jak uprzedził go Ben, dużo się zmieniło. W oddali widniało małe miasteczko, którego kiedy nie było. Z jednej strony, pod zachodnim stokiem doliny, rozpocierało się skupisko budynków przemysłowych. Przymuszczalnie były to zakłady wzbogacania rudy i rafineria, należące do kopalni. Pióropusz czarnego dymu,

wydobywajęcy się z wysokiego komina, plamił biel stoku.

Zabudowania miejskie rozcięgały się wzdłuż doliny, skupiając się raczej na zachodnim brzegu rzeki, przez którą przerzucono most.

Mieszkańcy doliny już od dawna mówili o konieczności zbudowania go i wreszcie zrealizowano te plany pod ponaglającym naciskiem rozwoju gospodarczego. To na pewno można było zapisać po stronie "ma", jednak by otrzymać most, trzeba było zapłacić haracz istnieniem kopalni. /

Zmiany nie wyszły w zasadzie poza teren miasta. Ballard zobaczył w oddali dom Turiego, stojący pod wielką skałą Kamakamaru.

Zastanawiał się, czy starzec jeszcze żyje, czy może dym, wydobywający się z komina, pochodził z ognia, który rozpalił kto inny.

Turi uchodził za starca już wtedy, gdy Ballard opuszczał dolinę, chociaż mogło to być mylnym wrażeniem, bowiem trudno ocenić wiek Maorysów, szczególnie szesnastolatkowi, dla którego każdy, kto przekroczył czterdziestkę, to już niemal zgrzybiały staruszek.

Lecz w panoramie doliny było coś dziwnego do określenia, co nie dawało Ballardowi spokoju. Zmiana ta nie dotyczyła kopalni, ani rozbudowanego miasta, Ian usiłował zestawiać wspomnienia sprzed kilkunastu lat z tym, na co patrzył teraz. Nie chodziło też o rzekę, która niezmiennie, tak się przynajmniej wydawało, płynęła tym samym korytem.

Wreszcie zrozumiał. Zachodni stok wzgórza został niemal zupełnie pozbawiony drzew. Zniknęły kępy wysokich, białych sosen

i cedrów, kahikatea i kohekone. Pozostało nagie zbocze. Ballard przeniósł wzrok na wyższe partie góry, gdzie aż do podstawy turni nieg rozciśgał się gładkim i pięknym łukiem, zachęcając do narciarskich szusów.

Włszczył silnik i zjechał do miasta. W miarę jak się zbliżał, coraz większe wrażenie robił na nim sposób, w jaki je zaprojektowano. Chociaż wiele szczegółów pokrywał nieg, dostrzegł jednak tereny, które latem były parkami i placami zabaw dla dzieci. Hutawki, zjeżdżalnie, liny i małpi gaj, przysypane teraz niegiem i ozdobione stalaktytami sopli, stały bezużyteczne.

Chociaż na dachach zalegały grube warstwy niegu, droga była zupełnie czysta i najwyraźniej niedawno uprzśtnięta. Wjeżdżając do centrum, natknął się na buldożer odniezających szosę. Na jego boku widniał napis "Towarzystwo Górnicze Hukahoronui". Widać zarząd kopalni zajmował się też sprawami lokalnymi. Podobało mu się to.

Wzdłuż opadającego do rzeki urwiska stały domy. Kiedy Ballard był dzieckiem, nazywano to miejsce Wielkim Zakolem i tam właśnie, wraz z kolegami, najczęściej się kąpali. Sklep Petersonów stał wciśz u podnóża urwiska, choć zmienił się niemal nie do poznania. Dawniej był to niski parterowy budynek, kryty falistš blachš, z wystajšcymi okapami, które chroniły przed letnim słońcem. Na werandzie ustawiano zwykle krzesła i tam najchętniej zbierano się, by poplotkować. Teraz sklep miał już dwa piętra, a fałszywa fasada

nadawała mu jeszcze bardziej imponującego wyglądu. Lniły duże, jasno oświetlone okna z grubego, czystego szkła. Po werandzie nie pozostał żaden ład.

Ballard wjechał na wyznaczony parking i zastanowił się, kiedy zostaną założone parkometry. Słońce kryło się już za zachodnim stokiem doliny i po mieście rozpełzły się długie cienie. Pod tym względem Hukahoronui nic się nie zmieniło - w wielkiej dolinie, rozciągającej się z północy na południe, zmierzch zapadał wczesnie. Po drugiej stronie ulicy wyrósł kolejny nowy budynek, jeszcze nawet nie otynkowany, za to ozdobiony napisem "Hotel D'Archiac" - nazwę tę zapożyczono od góry. Wokół panował znaczny ruch, często przejeżdżały prywatne wozy i przemysłowe ciężarówki, kobiety z torbami na zakupy spieszyły się, by zdążyć przed zamknięciem sklepów. Dawniej sklep Petersonów był jedynym, teraz, siedzący w samochodzie Ballard dostrzegł trzy inne magazyny i usytuowaną na rogu stację obsługi pojazdów. W oknach starej szkoły, rozbudowanej o dwa skrzydła, paliły się wiatła.

Ballard sięgnął na tylne siedzenie po tarninową łaskę i wysiadł z samochodu. Przeciśł ulicę, kierując się w stronę hotelu. Ciężko opierał się na lasce, gdyż wciąż jeszcze nie mógł zbyt mocno nadwierać lewej nogi. Domyślał się, że Dobbs, zarządca kopalni, zakwaterowałby go, lecz zrobiło się już późno i nie chcąc wywołać zamieszania, zdecydował się na nocleg w hotelu.

Kiedy zbliżył się do drzwi, jakiś człowiek wyszedł właśnie szyb-

kim krokiem i potrzącił go w ramię. Mężczyzna mruknął co z irytacją, na pewno nie były to przeprosiny i pospieszył do zaparkowanego obok samochodu. Ballard rozpoznał go - był to Eric Peterson, redni z trójki braci Petersonów. Gdy widział go po raz ostatni, był on chudym jak tyka dziewiętnastolatkiem, teraz zrobił się z niego barczysty, muskularny mężczyzna. Minione lata najwyraźniej nie poprawiły jego manier.

Ballard odwrócił się, by wejść do hotelu i stanął twarzą w twarz ze starszą kobietą, która patrzyła na niego niepewnie. Nagle w jej oczach pojawił się błysk olnienia.

- Ależ to Ian Ballard - powiedziała, dodając z wahaniem: - Pan jest Ianem, prawda?

Przetrzyśnął wspomnienia, usiłując odnaleźć tę twarz i pasując do niej nazwisko. Simpson? Nie, to nie tak.

- Witam, pani Samson - powiedział.

- Ian Ballard - powtórzyła ze zdumieniem. - No proszę. Co tutaj robisz? Jak się miewa twoja matka?

- Wszystko u niej w porządku - rzucił zdawkowo i elegancko skłamał: - Prosiła, bym panią pozdrowił. - Wierzył, że takie niewinne kłamstwa są olejem społecznym, pozwalającym gładko pracować towarzyskiej maszynerii.

- To miło z jej strony - goręco zapewniła pani Samson. Zatoczyła ręką obszerne koło. - Jak ci się teraz podoba Huka? Bardzo się zmieniło od czasów, kiedy tu mieszkała.

- Nigdy nie sǳdziłem, że zobacę, jak cywilizacja wkracza do

Two Thumbs.

- To oczywiście stało się za sprawǳ kopalni - wyjaniła pani

Samson. To ona przyniosła dobrobyt. Wiesz, że mamy teraz nawet radę miejskǳ?

- Doprawdy? - zdziwił się uprzejmie. Kǳtem oka zobaczył Erica Petersona, zastygłego w trakcie otwierania drzwiczek samochodu.

Patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Tak, naprawdę - potwierdziła pani Samson. - I wyobra sobie, że ja teǳ jestem radnǳ. Któż by to pomyślał. Ale co ty tu właściwie robisz, Ian?

- W tej chwili idę do hotelu, by wynajść pokój. - Nagle zdał sobie sprawę, że Eric Peterson zdǳża w jego stronę.

- Ian Ballard. - Głos Petersona był matowy i pozbawiony wyrazu.

Ballard odwrócił się, a pani Samson zapytała:

- Czy wy się znacie? To jest Eric Pete... - raptownie zamilkła, a na jej twarzy wyranie uwidoczniła się wiadomoć popełnionej gafy. - Ależ oczywiście, że się znacie - dodała wolno.

- Czeć, Eric.

Błady umiech Petersona raczej nie wyrażał zadowolenia.

- Co tu robisz?

Ballard nie widział powodów, dla których miałby unikać wyjanień.

- Zostałem nowym dyrektorem Towarzystwa Górniczego.

Co zamigotało w oczach Petersona.

- No, no! - powiedział tonem sztucznego zdumienia. - A więc

Ballardowie wychodzisz z ukrycia. Co się stało, Ian? Skończyły się
wam pomysły na nazwy fikcyjnych przedsiębiorstw?

- Niezupełnie - odparł Ballard. - Mamy komputer, który robi to
za nas. A jak tobie leci, Eric?

Peterson spojrział wymownie na laskę, na której wspierał się
Ballard.

- Najwyraźniej dużo lepiej niż tobie. Zraniła się w nogę? Mam
nadzieję, że to żaden drobiazg.

Pani Samson nagle odkryła powody, dla których nie powinna
uczestniczyć w dalszej rozmowie. Wyjaniła to zresztą szczegółowo
i ze swadš.

- Ale jeśli tu zostajesz, z pewnością jeszcze cię zobaczę - rzuciła
na pożegnanie.

Peterson spojrział na nią.

- Głupia, stara dziwaczka. Cholernie marudzi na posiedzeniach
rady.

- Ty też jesteś członkiem?

Eric z roztargnieniem skinął głową. Jego myśli były niemal wi-
doczne.

- Czy dobrze słyszałem, że wynajmujesz pokój w hotelu?

- Zgadza się.

Wziął Ballarda pod ramię.

- W takim razie chod, przedstawię cię kierownikowi. - Kiedy

weszli do hotelu, dodał: - Johnnie i ja jesteśmy właścicielami połowy tej budy, więc z pewnością znajdzie się pokój dla takiego starego przyjaciela jak ty.

- Niele ci się powodzi.

Peterson umiechnął się nieszczercze.

- Czerpiemy jednak co z kopalni, nawet jeli nie jest to szczerze złoto. - Zatrzymał się przed kontuarem recepcji. - Jeff, to jest Ian Ballard, stary przyjaciel. Można chyba powiedzieć, że bylimy przyjaciółmi, prawda, Ian? - Nie dopuścił Ballarda do głosu. - Jeff Weston jest tu kierownikiem i właścicielem drugiej połowy hotelu. Często sprzeczamy się o to, która połowa należy do niego. On upiera się, że ta z barem i to jest najczęściej przedmiotem sprzeczek.

- Miło mi pana poznać, panie Ballard - rzekł Weston.

- Mam nadzieję, że uda ci się znaleźć dobry pokój dla pana Ballarda.

Weston wzruszył ramionami.

- Nie widzę problemu.

- To wietnie - ucieszył się jowialnie Peterson. - Daj panu Ballardowi pokój. Najlepszy, jaki mamy. - Jego oczy nagle znieruchomiały, a głos stwardniał. - Na dwadzieścia cztery godziny. Potem mamy komplet. Nie chciałbym, żeby miał fałszywe odczucie co do przyjęcia cię tutaj. Nie daj się zwieść pani Samson.

Odwrocił się na pięcie i wyszedł szybkim krokiem, zostawiając

Westona z rozdziawionymi ustami. Ballard pogodnie powiedział:

- Eric zawsze lubił żartować. Czy mam się wpisać do książki

meldunkowej, panie Weston?

Tej nocy Ballard napisał list do Mike'a McGilla. Między innymi

znalazł się w nim i taki fragment:

Jak pamiętam, wspominałem, że wybierasz się w tym roku

do Nowej Zelandii. Może przyjechałby wcześniej,

w gocinę do mnie. Siedzę w Hukahoronui na Wyspie

Południowej. niegu zatrząsienie i jazda na nartach

zapowiada się wspaniale. Sporo zmieniło się od czasu, kiedy

byłem tu ostatnio. Dotarła cywilizacja i miasteczko rozrosło

się. W sumie jednak nie jest le, a góry pozostały

nietknięte. Napisz, co o tym sądzisz, chciałbym odebrać cię

z lotniska w Auckland.

III

Harrison wypił łyk wody i odstawił szklanę.

- Panie Ballard, kiedy uwiadomił pan sobie niebezpieczeństwo

lawiny?

- Zaledwie kilka dni przed katastrofą. Na zagrożenie zwrócił mi

uwagę przyjaciel, Mike McGill, który przyjechał mnie odwiedzić.

Harrison zajrzał do dokumentów.

- Widzę, że doktor McGill sam zgłosił się w charakterze wiad-

ka. Myślę, że będzie lepiej, jeli usłyszemy relację z jego ust. Proszę

mu ustąpić miejsca, panie Ballard, ale niech pan pamięta, że może

pan zostać wezwany ponownie.

- Tak, sir. - Ballard powrócił na swoje miejsce.

Głos zabrał Reed.

- Czy doktor McGill może podejść?

McGill zbliżył się do stołu sędziowskiego, niosąc pod pachą cienką, skórzaną teczkę. Usiadł, a Reed upewnił się.

- Nazywa się pan Michael Howard McGill?

- Tak, sir. Zgadza się.

Harrison usłyszał w głosie McGilla nosowe brzmienie.

- Czy jest pan Amerykaninem, doktorze McGill?

- Nie, sir. Jestem obywatelem Kanady.

- Rozumiem. Dał pan wyraz obywatelskiej postawy zgadzając się na pozostanie i złożenie zeznań.

McGill umięknął się.

- Nie sprawiło mi to żadnego kłopotu, sir. I tak muszę być tu, w Christchurch. W przyszłym miesiącu wyjeżdżam na Antarktydę.

Jak się pan może orientuje, samoloty operacji Deep Freeze odlatują właśnie stąd.

Profesor Rolandson poruszył się z ożywieniem.

- Wybiera się pan na Antarktydę, a pańskie nazwisko brzmi

McGill? Czy w takim razie jest pan tym doktorem McGillem, który zamiecił w ostatnim numerze "Antarctic Journal" artykuł o naprężeniach i deformacjach onieźzonych stoków?

- Tak, sir.

Rolandson zwrócił się do Harrisona:

- Myślę, że dopisało nam szczęście, jeśli mamy tutaj doktora

McGilla. Czytałem wiele jego publikacji i uważam, że jego kwalifikacje na bieglego są bez zarzutu.

- Tak, rzeczywiście. - Harrison poruszył brwiami. - Ale sądzę, że to powinno zostać wpisane do akt. Może zechce pan nam coś powiedzieć o sobie, doktorze McGill?

- Z przyjemnością. - McGill zamilkł, porządkując myśli. - Magisterium z fizyki zrobiłem na Uniwersytecie w Vancouver, a następnie spędziłem dwa lata z kanadyjską ekspedycją naukową w Kolumbii Brytyjskiej. Stamtąd trafiłem do Stanów Zjednoczonych, gdzie uzyskałem stopień magistra meteorologii na Uniwersytecie Columbia i doktorat z glaciologii w California Institute of Technology. Jeśli chodzi o doświadczenia praktyczne, to mam za sobą dwa sezony na Antarktydzie, rok na Grenlandii w Camp Century, dwa lata na Alasce, a teraz właśnie zakończyłem roczny urlop naukowy, który spędziłem w Szwajcarii, pogłębiając studia teoretyczne. Obecnie pracuję jako naukowiec cywilny w Zakładzie Badań Polarnych w Centrum Nauk Lądowych Armii Stanów Zjednoczonych.

Chwilę ciszy, jaka zapadła po słowach McGilla, przerwał Harrison. Chrząknął nerwowo.

- Tak, rzeczywiście. Jak mógłby pan najprościej określić swój obecny zawód?

McGill umieknął się.

- Kto już o mnie powiedział "nieżynek". - Przez salę przeszła fala miechu, a Rolandson skrzywił się z dezaprobatą. - Powiedziałbym, że zajmuję się praktycznymi i teoretycznymi badaniami właściwości niegu i lodu, których wyniki pozwoliłyby lepiej zrozumieć ruch tych substancji, szczególnie w przypadku lawin.

- Zgadzam się z poglądem profesora Rolandsona - wtrącił Harrison. - To rzeczywiście szczęście, że wiadek posiadający tak wielką wiedzę fachową/ może zrelacjonować nam przebieg wydarzeń przed, w trakcie i po zejściu lawiny. Co sprowadziło pana do Hukahoronui, doktorze McGill?

- W Szwajcarii poznałem Iana Ballarda i zaprzyjaliśmy się. Kiedy przybył do Nowej Zelandii, zaprosił mnie do siebie. Wiedział, że i tak się tu wybieram w drodze na Antarktydę, więc zaproponował, bym przyspieszył swój przyjazd. Spotkał się ze mną na lotnisku w Auckland, po czym razem wyruszyliśmy do Hukahoronui.

Lyall podniósł rękę i Harrison skinął mu głową.

- Jak długo wiadek znał pana Ballarda w Szwajcarii?

- Dwa tygodnie.

- Dwa tygodnie - powtórzył Lyall. - Nie wydawało się panu dziwne, że po tak krótkiej znajomości pan Ballard przedsięwziął dłuższą podróż, w tym przelot z Wyspy Południowej, by spotkać się z panem na lotnisku?

Harrison otworzył usta, jakby chciał zaproponować, lecz McGill, najwyraźniej rozłoszczony, uprzedził go:

- Nie pojmuję znaczenia tego pytania, ale mimo to odpowiem na nie. Pan Ballard musiał wziąć udział w posiedzeniu zarządu swego towarzystwa w Auckland, które zbiegło się z moim przylotem.

- Ja również nie rozumiem pańskich insynuacji, panie Lyall - dodał cierpko Harrison. - Czy ta odpowiedź zadowoliła pana?

- Tak, sir.

- Przyspieszmy tempo dochodzenia, jeśli ograniczymy do minimum pytania nie związane z tematem - powiedział Harrison chłodno. - Proszę kontynuować, doktorze McGill.

Na galerii prasowej Dan Edwards zauważył:

- Za tym kryła się jaka złoliwość. Chciałbym znać instrukcje, jakie Lyall dostał od Petersonów.

McGill zaczął:

- Drogę do Hukahoronui pokrywał gruby nieg...

Dwadzieścia trzy kilometry przed Hukahoronui natknęli się na tkwiścego w zaspie Volkswagena. Zamocowane na jego dachu narty jednoznacznie zdradzały cel wyprawy. W samochodzie, bezładnie zagrzebanym w niegu, siedziało dwóch Amerykanów. Ballard i McGill pomogli wyciągnąć auto, za co obaj mężczyźni podziękowali wylewnie, przedstawiając się jednocześnie jako Miller i Newman. McGill spojrział na Volkswagena i zauważył:

- Nie najlepszy samochód na te warunki.

- Zgadza się - westchnął Newman. - Więcej tu niegu niż

w Montanie. Nie spodziewałem się, że to tak może wyglądać.

- To wyjstkowy sezon - pocieszył go McGill, który przestudował wyniki raportów.

Miller zapytał:

- Jak daleko stśd do Huka... - zajśknśł się, lecz w końcu przesylibizował: - Hu-ka-ho-ro-nui?

- Około dwudziestu trzech kilometrów - wyjanił Ballard.

Umiechnśł się. - Nie można zabłśdzić. Ta droga prowadzi tylko tam.

- Jedziemy na narty - powiedział Newman. Zauważył spojrzenie Ballarda wędrujące w kierunku dachu samochodu i umiechnśł się. - No tak, to zresztś widać.

- Znowu gdzie utkniecie - powiedział Ballard. - To nieuniknione. Lepiej jedcie przodem, żebyśmy w razie czego mogli was wyciśgnść.

- Hej! To miło z waszej strony! - zawołał Miller. - Nie omieszkamy skorzystać. Macie więcej krzepy, niż my.

Nim dojechali do Hukahoronui jeszcze pięciokrotnie wyciśgali Volkswagena z zasp. Przy piśtej tego rodzaju okazji Newman powiedział:

- Jesteśmy wam naprawdę bardzo wdzięczni i przepraszamy, że macie z nami tyle kłopotu.

Ballard skwitował to umiechem.

- Przecież zrobilibyście to samo, gdyby sytuacja była odwrot-

na. - Wskazał palcem. - Przez tę Szczelinę wjeżdża się do doliny.

Gdy już miniecie, dalej wszystko pójdzie gładko.

Podszli za Volkswagenem aż do Szczeliny i obserwowali jak zjeżdża w dolinę. Ballard skręcił z drogi.

- No, jesteśmy na miejscu.

McGill rozejrzał się dokoła fachowo. Instynktownie spojrzął najpierw na biały, długi łuk zachodniego stoku i lekko zmarszczył brwi.

- Czy to twoja kopalnia tam, u podnóża?

- Tak.

- Wiesz co? Nie zapytałem nawet, co tam wydobywacie.

- Złoto - wyjanił Ballard. - Złoto w niewielkich ilościach. -

Wyjął paczkę papierosów i poczęstował McGilla. - Od dawna już wiedzieliśmy, że tam jest złoto, mój ojciec pierwszy odnalazł jego łady. Nie było go jednak tyle, żeby ryzykować inwestycję. Przynajmniej wtedy, kiedy cenę złota ustalono na trzydzieci pięć dolarów za uncję. Dopiero, gdy cenę zwolniono, towarzystwo zaryzykowało parę milionów funtów na budowę kopalni. W tej chwili wychodzimy na zero. Złoto, które wydobywamy, pokrywa koszty inwestycji. Ale wydobywanie zwiększa się, w miarę, jak idziemy za żył, więc mamy pewne nadzieje.

McGill skinął z roztargnieniem głową. Przez boczną szybę spoglądał na ciany skalne po obu stronach Szczeliny.

- Czy nie macie kłopotu z utrzymaniem przejezdnej drogi

w tym miejscu?

- W czasach, kiedy tu mieszkałem, raczej ich nie było. Teraz jednak się zaczynają. Miasto otrzymało od towarzystwa trochę sprzętu do robót ziemnych, na zasadzie stałej pożyczki.

- Będzie jeszcze gorzej - uprzedził go McGill. - Nawet dużo gorzej. Sprawdzałem warunki meteorologiczne. W tym roku wystąpiło już mnóstwo opadów, a prognoza mówi o dalszych.

- Narciarze się uciesz - skwitował Ballard. - Ale na pewno nie górnicy. Mamy kłopoty z dowożeniem sprzętu. - Wrzucił bieg. - No, zjeżdżamy.

Przejechał przez miasto i zatrzymał się przed biurem kopalni.

- Chod, powiniene poznać personel dyrekcji. - Zawahał się. -

Słuchaj, mogę być trochę zajęty przez jakąś godzinę. - Umiechnął się szeroko. - Trzeba się dowiedzieć, czy nie zbili fortuny w czasie kiedy mnie nie było. Poproszę kogo, by odprowadził cię do domu.

- Nie ma sprawy - uspokoił go McGill.

Weszli do budynku i Ballard otworzył jakie drzwi.

- Cześć, Betty. Czy jest pan Dobbs?

Betty wskazała kciukiem.

- W rodku, z panem Cameronem.

- Dobra, chod Mikę. - Poprowadził gościa do gabinetu, w którym dwaj mężczyźni dyskutowali nad rozłożonym na biurku planem. -

Witam, panie Dobbs. Witaj, Joe. Chciałbym, żebyście poznali mojego przyjaciela, który przez pewien czas pozostanie w Huka. To Mikę

McGill. Harry Dobbs, menedżer kopalni. Joe Cameron, inżynier.

Dobbs był Nowozelandczykiem o szczupłej twarzy. Jej wyraz sugerował niestrawność, jak gdyby nie odpowiadała mu kuchnia żony. Cameron, barczysty Amerykanin, dobiegał już sześćdziesiątki, choć nie przyznawał się do tego. Ucisnęli sobie ręce, a Ballard spytał:

- Wszystko w porządku?

Jego współpracownicy popatrzyli na siebie. Wreszcie Dobbs zdobył się na odpowiedź:

- Sytuacja pogarsza się w tym samym tempie.

Cameron zdusił miech.

- On chce przez to powiedzieć, że wciśz mamy kłopoty z tym cholernym niegiem. Wczoraj ciężarówka ugrzęzła w Szczelinie i trzeba było aż dwóch buldożerów, żeby ją stamtąd wydobyć.

- Jeli nie uda się nam zapewnić podstawowych dostaw, to wydobywanie zostanie ograniczone - zauważył Dobbs.

- Nie przewiduję zysków w tym półroczu - przyznał Ballard. -

Mikę twierdzi, że sytuacja ulegnie pogorszeniu, a jemu można wierzyć, jest ekspertem od niegu.

- Nie przyjmujcie tych słów jak ewangelii - zaprotestował

McGill. - Zdarzało mi się mylić. - Wyjrzał przez okno. - Czy to jest wejście do kopalni?

Cameron podsztył za jego wzrokiem.

- Tak, to ten poratl. Dla większości ludzi kopalnia jest po prostu

pionowym szybem, my jednak drżymy sztolnie poziomo w zbo-
 czu góry. Wewnątrz oczywiście schodzi ona w dół, w miarę, jak
 prowadzi żyła.

- Przypomina mi to miejsce w Kolumbii Brytyjskiej zwane
 Granduc. - McGill spojrział na Camerona. - Zna je pan?

Cameron pokręcił przecząco głową.

- Nigdy nie słyszałem.

McGill wyglądał na dziwnie rozczarowanego tś odpowiedziś.

Tymczasem Dobbs co mówił:

- ... a przełęcz Arthura była wczoraj zamknięta przez dwanaście
 godzin. Nic nie słyszałem o przełęczy Lewisa.

- Co te przełęcze mają z nami wspólnego? - zapytał Ballard. -

Dostawy otrzymujemy z Christchurch i w ogóle nie przecinająś gór.

- To są główne przełęcze w Alpach Nowozelandzkich - wyja-
 nił Dobbs. - Jeżeli rzśd nie potrafi utrzymać ich przejezdnyimi, to
 jakie my mamy szansę. Będś potrzebowali każdej maszyny i nikt
 nie przyle nawet nieźnego pługa, by oczyścić drogę do Hukahoh-
 ronui. To lepa uliczka.

- Będziemy musieli zrobić wszystko, co w naszej mocy, panie

Dobbs. - Ballard zwrócił się do McGilla. - Trzeba cię ulokować, Mikę.

McGill skinął głową i powiedział zdawkowo:

- Cieszę się, że panów poznałem.

- Musimy się spotkać - odezwał się Cameron. - Proszę wpać
 kiedy do mnie na obiad. Córka jest doskonałą kucharką.

Dobbs nie powiedział ani słowa.

Wyszli do sekretariatu.

- Betty wskaże ci dom. Sypialnia od tyłu, po lewej, jest twoja.

Nie zabawię tu dłużej niż godzinę.

- Nie musisz się spieszyć - uspokoił go McGill.

Upłynęły niemal trzy godziny, zanim Ballard się pojawił. McGill zdążył rozpakować swoje rzeczy, pospacerować po mieście, co nie zajęło wiele czasu i wrócić do domu, by zatelefonować.

Kiedy Ballard wreszcie zjawił się, wyglądał na zmęczonego i przygnębionego. Na widok McGilla skrzywił się bólem i powiedział ze skruchą:

- O, do diabła! Zapomniałem uprzedzić paniś Evans, że wracamy. Nie ma nic do żarcia.

- Spokojnie - umiechnął się McGill. - Co siedzi w piecu. Antarktyczna Owsianka McGilla, jakś podaje się we wszystkich najlepszych restauracjach na południe od sześćdziesiątego równoleżnika.

Niele sobie podjemy.

Ballard odetchnął z ulgą.

- Myślałem, że będziemy musieli pójść do hotelu. A nie patrz tam na mnie najmilej.

McGill zbył to milczeniem.

- Jednej rzeczy nie udało mi się znaleźć. Trunków.

Ballard umiechnął się.

- Chod.

Weszli do living-roomu, gdy McGill powiedział:

- Skorzystałem z twojego telefonu. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.
- Czuj się jak u siebie - Ballard otworzył szafkę, wysił z niej butelkę i dwie szklanki.
- Słyszałem, że sprowadzasz dostawy z Christchurch. Wiem, że brakuje ci miejsca, ale może jednak byłaby szansa przywiezienia dla mnie paczki?
- Dużej? - McGill rękami pokazał objętość, więc Ballard upewnił się jeszcze: - To wszystko? Nie ma sprawy. - Spojrzał na zegarek. - Ta ciężarówka, z którą Cameron miał kłopot, właśnie wyrusza z Christchurch. Może jeszcze uda mi się ją złapać.

Podszedł do telefonu i uniósł słuchawkę.

- Cześć, Maureen. Mówi Ian Ballard. Możesz mnie połączyć z biurem w Christchurch?
- Rozejrzałem się po mieście - powiedział McGill. - Budynki w większości wyglądadają na nowe.
- Bo takie są. Kiedy tu mieszkałem, miasto było dziesięć razy mniejsze.
- Niele je zaprojektowano. Czy dużo z tego jest własności kopalni?
- Sporo. Domy dla małżeństw, kwatery dla samotnych i klub dla kawalerów. To też należy do kopalni. Mój poprzednik mieszkał w jednym ze starych domów, ale ja wolę ten. Lubię być na miejscu.

- Ilu ludzi zatrudnia kopalnia?

- Według ostatnich obliczeń stu czterech, w tym personel biurowy.

- A jaka jest ogólna liczba mieszkańców?

- Trochę ponad osiemset. Wzbogacili się dzięki kopalni.

- Tak mniej więcej obliczyłem - powiedział McGill.

Elektroniczny głos zaskrzeczał w słuchawce przy uchu Ballarda.

Odpowiedział:

- Mówi Ballard, z kopalni. Czy Sam Jeffries wyjechał już? Proszę mnie z nim połączyć, dobrze? - Na chwilę zapadła cisza. - Sam, doktor McGill chce z tobą mówić, zaczekaj.

McGill sięgnął po słuchawkę.

- Mówi McGill. Wie pan gdzie znajduje się Sztab Terenowy Operacji Deep Freeze? Tak... niedaleko lotniska Harewood. Proszę tam pojechać i odnaleźć oficera dyżurnego Finneya... tak, Finneya, jak finał... i zabrać od niego paczkę dla mnie... McGill. Dobrze?

- O co tu chodzi? - zapytał Ballard.

McGill sięgnął po drinka, którym poczęstował go Ballard.

- Pomyślałem, że mógłbym się tutaj czym zająć. - Zmienił temat. - Co jest z tym twoim Dobbsem? Wygląda, jakby połknął cytrynę.

Ballard umiechnął się z wysiłkiem i usiadł.

- Ma trochę much w nosie. Uważa, że powinien wejść do rady nadzorczej i dostać moją posadę. A co gorsze, nazywam się Bal-

lard.

- Co to ma do rzeczy?

- Nie wiesz? Gdyby pogrzebał wystarczająco głęboko, okazałoby się, że cała ta kopalnia jest własnościś Ballardów.

McGill zakrztusił się drinkiem.

- A niech mnie! Zadawałem się z plutokratycznym kapitalistś nawet o tym nie wiedząc. Typowy przykład nepotyzmu. Nic dziwnego, że Dobbs tak zgorzkniał.

- Jeli to nepotyzm, to nie przynosi mi żadnych korzyści. -

W głosie Ballarda brzmiała pasja. - Nie dostaję ani pensa prócz dyrektorskiej pensji.

- Żadnych udziałów w firmie?

- Żadnych, ani w tej, ani w żadnej innej firmie Ballardów, spróbuj to wytłumaczyć Dobbsowi! Nawet nie usiłuję.

- Jak to się stało, Ian? - spytał łagodnie McGill. - Pochodzisz z nieodpowiedniej, gałęzi rodziny?

- Niezupełnie. - Ballard wstał i nalał sobie następnego drinka. - Mam dziadka, który jest egoistycznym, starym potworem i miałem ojca, który nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Powiedział staremu, żeby poszedł do diabła, a on nigdy tego nie zapomniał.

- Grzechy ojców przechodzą na dzieci - westchnął McGill. -

A jednak dostałem posadę w firmie Ballardów. Co w tym musi być.

- Płacš mi tyle, ile jestem wart, więc nie robiš złego interesu. -

Ballard stęknšł. - Ale na Boga, mógłbym prowadzić tę firmę lepiej, niż dzieje się to obecnie. - Zatoczył szklankš szeroki gest. - Nie mam na myli tej kopalni, to pestka.

- Firmę wartš dwa miliony funtów nazywasz pestkš? - spytał ze zdumieniem McGill.

- Kiedy wszystko podliczyłem. Ballardowie kontrolujš przedsiębiorstwa o kapitale wynoszącym dwieście dwadziecia milionów. Udziały własne Ballardów sięgajš w nich czterdziestu dwóch milionów. Sš to jednak dane sprzed kilku lat.

- Jezu! - mimowolnie westchnšł McGill.

- Mam trzy drapieżne szakale, mienišce się moimi wujami

i z pół tuzina kuzynów, którzy wcale nie sš od nich lepsi. Interesuje

ich tylko forsa i niele już nadszarpnęli reputację firmy. Sš niezastš-

pieni w fuzjach przedsiębiorstw i obdzieraniu ich z majštku, a kaź-

dy pens potrafiš wycisnšć aż do bólu. Wemy tę kopalnię. W Auck-

land mam kontrolera księgowoci, meldujšcego o wszystkim do

Londynu i nie mogę podpisać czeku na więcej niż tysiśc dolarów

bez jego zgody. Szefem jestem tylko z nazwy. - Westchnšł ciężko. -

Kiedy przyjechałem tutaj, zaraz zszedłem na dół, a potem w nocy

mogłem się tylko modlić, żeby nie przysłali mi jakiego inspektora,

nim nie wyprostuję tego wszystkiego.

- Czy kto cinał sobie zakręty?

Ballard wzruszył ramionami.

- Poprzedni dyrektor, Fischer, był starym głupcem, który nie dorósł do tej pracy. Wstąpię w jakie kryminalne intencje, ale niedbałość połączona ze skłótną doprowadziła do sytuacji groźszej firmie poważnymi kłopotami. Oprócz tego mam menedżera, który nie potrafi podjąć samodzielnej decyzji i wymaga prowadzenia za rękę, oraz nie nadającego się już do niczego inżyniera. Chyba tylko Cameron jest w porządku, ale jest już stary i zaczyna się bać o posadę.

- Wziśle na siebie niezły worek problemów.

Ballard parsknął:

- Nie masz pojęcia nawet o połowie. Jeszcze ci nic nie wspominałem o związkach zawodowych i nastawieniu niektórych ludzi z miasta.

- Wygląda na to, że zarabiasz na swoje pobory. Ale czemu, do diabła, trzymasz się firmy Ballardów, jeśli tak to wygląda?

- Och, nie wiem. Przypuszczalnie drze mi jeszcze we mnie resztki lojalności rodzinnej. W końcu dziadek sfinansował moje wykształcenie, a było całkiem obszerne. Myślę, że co mu się za to należy.

McGill zauważył widoczną depresję i zmęczenie Ballarda, postanowił więc zmienić temat.

- Zjedźmy, a potem opowiem ci o robakach lodowych na Alasce.

I zaczął snuć jakąś nieprawdopodobną opowieść.

Następny poranek był jasny i słoneczny. Po całonocnej zadymce nieg przestał padać i wiat wyglądał jak stworzony na nowo. Kiedy Ballard zwał się z łózka, zastał w kuchni paniš Evans, zajęts przygotowaniem niadania.

- Mógł mnie pan uprzedzić, kiedy wracacie - powiedziała z wyrzutem. - Dowiedziałam się przypadkiem od Betty Hargreaves, dopiero wczoraj wieczorem.

- Przepraszam. Zapomniałem. Czy przygotuje pani dla trzech osób? - Pani Evans zazwyczaj jadała niadanie razem z nim. W tym towarzystwie panowała demokracja.

- Tak. Pański przyjaciel już wyszedł, ale wróci na drugie niadanie.

Ballard spojrział na zegarek i zorientował się, że zasnął ponad godzinę.

- Za dziesięć minut będę gotowy.

Kiedy wziął prysznic i założył ubranie, poczuł się lepiej. W salonie zastał już McGilla, rozpakowujšcego duš paczkę.

- Włanie nadeszła - rzucił McGill. - Przyjechała twoja ciężarówka.

Ballard przyjrzał się temu, co McGill wycišgnšł z paczki. Zobaczył plecak, nie zawierajšcy pozornie niczego, oprócz kawałków aluminiowych rur, z których każda spoczywała w osobnej, brezentowej kieszeni.

- Co to jest?

- To moje narzędzia pracy - wyjanił McGill. I słyszśc nawoły-

wania pani Evans, dodał: - Chodmy. Zgłodniałem porzšdnie.

Ballard nie miał apetytu, za to jego goć spałaszował talerz jajek na bekonie i sprawił przyjemność pani Evans, proszśc o dokładkę.

Gdy wyszła na chwilę do kuchni, powiedział:

- Zaprosiłe mnie tu na narty, a trudno o lepsze warunki niż dzisiaj. Jak tam twoja noga?

Ballard pokręcił głowš.

- Noga w porzšdku, ale przykro mi, Mike, nie teraz. Mam robotę.

- Lepiej, żeby poszedł. - Co w tonie McGilla sprawiało, że

Ballard spojrział na niego uważnie. Twarz McGilla była pełna powa-
gi. - Lepiej, żeby pojechał i zobaczył co robię. Chcę mieć wiadka.

- Na co?

- Na to, co znajdę.

- A co to będzie?

- Skšd mogę wiedzieć, skoro jeszcze nie znalazłem? - Popatrzył

na Ballarda. - Mówię serio, Ian. Wiesz, czym się zajmuję. Mam zamiar przeprowadzić profesjonalne badania. Jeste szefem kopalni i trudno o lepszego wiadka. Masz władzę.

- Na miłość boskš! - Ballard wydawał się zaskoczony. - Do czego potrzebna ci moja władza?

- Do zamknięcia kopalni, jeżeli zajdzie taka potrzeba. To jednak zależy od wyników moich badań, a nie poznam ich przed przeprowadzeniem, prawda? - Gdy zobaczył wyraz twarzy Ballarda, do-

dał: - Nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem wczoraj. Wyglądało to jak przepis na błyskawiczną katastrofę, więc spędziłem bardzo niespokojną noc. Nie zaznam spokoju, dopóki nie rzucę na to okiem.

- Gdzie?

McGill podszedł do okna.

- Chod tutaj. - Wskazał na strome zbocze ponad kopalnię. -

Tam, na górze.

Ballard spojrział na długi łuk, olepiająco biały w promieniach słońca.

- Mylisz, że... - głos mu zamarł.

- Nic nie myślę, dopóki nie mam dowodów - ostro osadził go

McGill. - Jestem naukowcem, a nie prorokiem. - Ostrzegawczo pokręcił głową, kiedy pani Evans weszła z nowym talerzem jajek na bekonie. - Skończ niadanie.

Usiedli, a McGill zapytał pogodnie:

- Znajdziesz mi chyba parę nart?

Dwie godziny później znajdowali się niemal dziewięćset metrów nad kopalnią w połowie wysokości stoku. Nie rozmawiali zbyt wiele, a kiedy Ballard próbował co zagadnąć, McGill doradził mu, by oszczędzał płuca na wspinaczkę. Lecz teraz zatrzymali się i McGill zdjął plecak, wkładając jeden rzemień na mocno wbity w niego kijek.

Odczepił narty, wpychając je pionowo w niego, powyżej miejsca,

gdzie stał.

- Kolejne zabezpieczenie - zagadnął zwyczajnym tonem. - Jeli nastąpi obsunięcie, wówczas narty powiedzś komu, że zostały przysypany. Dlatego też nie zdejmujesz linki Oertela.

Ballard oparł się na kijkach.

- Ostatnio, kiedy mówił o lawinach, nie skończyło się to dla mnie najlepiej.

McGill umiechnął się.

- Nie przesadzaj. Tamto było tylko drobnym obsunięciem, na zaledwie trzydzieci metrów. - Wskazał na wznoszące się nad nimi zbocze. - Gdyby to runęło, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej.

Ballard zaniepokoił się.

- Chyba nie mówisz serio, że spodziewasz się lawiny?

McGill zaprzeczył.

- Nie w tej chwili. - Schylił się po plecak. - Mam zamiar trochę tu postukać i mógłby mi w tym pomóc. Zdejmij narty.

Zaczął wyciągać z plecaka aluminiowe części rur i łączyć je w jakie przyrząd.

- To jest penetrometr, zmodernizowany model Haefelięgo. Rodzaj kieszonkowego kafara, mierzącego opór niegu. Daje nam także pojęcie o układzie warstw niegu i wskazania temperatur w odstępach dziesięciocentymetrowych. Jednym słowem, wszystkie dane potrzebne do ustalenia profilu niegu.

Ballard pomógł mu ustawić przyrząd, choć podejrzewał, że

McGill wykonałby tę pracę równie sprawnie bez jego udziału. Znalazł się tam przesuwany obciśznik, który opadał z ustalonej wysokości w dół wąskiego pręta i uderzał w wierzchołek aluminiowej rurki, wbijając w ten sposób w niego. Każdorazowo głębokość penetracji McGill skrupulatnie odnotowywał w notesie!

Wbijając rurę obciśznikiem, dołączał do niej kolejne elementy, aż wreszcie ustalili dno na poziomie stu pięćdziesięciu ośmiu centymetrów.

- Gdzie w środku znajduje się twarda warstwa - powiedział

McGill, wyciągając z plecaka przewód z wtyczką. Jeden jego koniec podłączył do szczytu wbitej rurki, a drugi do licznika.

- Notuj te temperatury, będzie piętnaście odczytów.

Gdy Ballard zapisał już ostatni, spytał:

- Jak to wyciągniemy?

- Mam trójnog, miniaturowy blok i wielokrążek. - McGill

umiechnął się. - Chyba to ciśnień ze schematu budowy szybu naftowego.

Ustawił trójnog i zaczął wyciągać tubę. Kiedy pojawił się pierwszy odcinek, ostrożnie odłączył go, wziął nóż i odciął lód w rurce.

Części miały po sześćdziesiąt centymetrów długości i wszystkie wkrótce zostały wyciągnięte. McGill zapakował rurki do plecaka, razem z ich nieznym rdzeniem.

- Obejrzymy to w domu.

Ballard przykucnął na piętach i popatrzył na dolinę.

- Co teraz?

- Teraz zrobimy to znowu, potem jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze, w linii prostopadłej w dół stoku. Chciałbym tego jak najwięcej, ale to wszystkie rurki rdzeniowe, jakie mam.

Ukończyli właśnie czwarte próbne wiercenie, gdy McGill spoj-
rzył w górę zbocza.

- Szukuje się nam towarzystwo.

Ballard odwrócił głowę i zauważył trzech narciarzy, trawersujących w ich kierunku. Prowadzący zjeżdżał szybko i już po chwili zatoczył wokół nich iskrząc się, hamując christianię, wzbijając tuman niegu. Kiedy uniósł przyciemnione na niebiesko gogle, Ballard rozpoznał w nim Charliego Petersona.

Peterson przyglądał mu się ze zdumieniem.

- O, to ty! Eric mówił, że wróciłeś, ale jako nie spotkaliśmy się dotąd.

- Cześć, Charlie.

Doszlusowali pozostali dwaj narciarze, ale zahamowali nie tak efektownie. Byli to Amerykanie - Miller i Newman.

- Jak się tutaj dostalicie? - spytał Charlie.

Ballard i McGill popatrzyli na siebie, a Ballard wymownie wskazał na narty. Charlie parsknął:

- Dawniej bałem się wszystkiego, co było bardziej strome niż stół bilardowy. - Z wyranym zainteresowaniem popatrzył na penetrometr. - Co robicie?

McGill wyjanił:

- Oglśdamy nieg.
- A to co? - Peterson wskazał kijkiem.
- Przyrżd do sprawdzania wytrzymałoci niegu.

Charlie umiechnł się szyderczo i rzekł do Ballarda:

- Od kiedy interesujesz się niegiem? Twoja mamusia nie pozwalaa ci się na nim bawić z obawy, żeby się nie przeziębiił.
- Od tamtego czasu zainteresowałem się wieloma sprawami,

Charlie. - Ballard nie dawał się sprowokować.

- Tak? Założę się, że do tego jeste pies na dziewczyny.

Newman nie wytrzymał i gwałtownie powiedział:

- Chodmy.
- Nie, poczekaj chwilę - rzucił Charlie. - To nawet ciekawe. Co robicie z tym czym?

McGill wyprostował się.

- Sprawdzam naprężenia tego stoku.
- Tu wszystko jest w porzřdku.
- Kiedy mielicie ostatnio tak duze opady?
- Zawsze w zimie pada.
- Ale nie aż tyle.

Charlie spojrział na Newmana i Millera, i umiechnł się do nich.

- Tym lepiej, dobrze się będzie jedziło. - Otarł twarz. - Co was właciwie obchodzi ten nieg?

McGill pochylił się, by zapiśc rzemień.

- Mamy swoje powody.

Z ust Charliego zniknął uśmiech.

- Jakie powody? - spytał stanowczo.

- Bo jest tutaj - cierpliwie wyjął McGill.

- Zabawne - powiedział Charlie. - Bardzo zabawne! Jak długo to jeszcze potrwa?

- Aż skończymy swoją robotę.

- To nie jest żadna odpowiedź.

Ballard zrobił krok w jego stronę.

- To jest jedyna odpowiedź, jaką otrzymasz, Charlie.

Peterson uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Długie lata, które spędziłem daleko stąd, sprawiły, że stałem się drażliwy. Nie pamiętam, by kiedy tak odpyskowywałem.

- Może się zmieniłem, Charlie.

- Nie sądzę - powiedział lekceważąco. - Tacy jak ty nigdy się nie zmieniają.

- Jeżeli chcesz to sprawdzić, jestem w każdej chwili do twojej dyspozycji.

- Dość tego, Charlie - wtrącił się Newman. - Nie wiem, co masz przeciwko temu facetowi i nic mnie to nie obchodzi. Wiem za to, że wczoraj on nam pomógł. Poza tym nie jest to chyba miejsce na wszczynanie bójk.

- Zgadza się - powiedział Ballard.

Peterson zwrócił się w stronę Newmana.

- Słyszale? Nic się nie zmienił. - Wskazał gwałtownym gestem w dół stoku. - Dobra. Zjeżdżamy zakosami, najpierw w tym kierunku. To wietny stok do przećwiczenia skrętów wyhamowujących.

- Wygląda niele - zgodził się Miller.

- Chwileczkę - ostro rzucił McGill. - Nie powinnicie tego robić.

Charlie odwrócił głowę.

- A dlaczego nie, na miłość boską?

- Bo może się to okazać niebezpieczne.

- Przejście przez ulicę też może być niebezpieczne - powiedział pogardliwie i skinął Millerowi głową. - Ruszamy.

Miller założył gogle.

- Jasne.

- Poczekajcie. - Newman spojrział na penetrometr. - Może facet ma rację?

- Do diabła z nim. - Charlie odepchnął się kijkami.

Miller ruszył za nim bez słowa. Jeszcze przez chwilę Newman spoglądał uważnie na Ballarda, ale wreszcie wzruszył ramionami i podszedł za tamtymi.

McGill i Ballard patrzyli w ład za nimi. Prowadzący Charlie jechał efekciarsko, wykonując masę niepotrzebnych ruchów, Miller był niezręczny, a Newman staranny i ekonomicznie gospodarujący siłami. Iedzili ich drogę aż do podnóża.

Nic się nie stało.

- Co to za błazen? - spytał McGill.

- Charlie Peterson. Załatwiono mu fuchę instruktora narciarskiego.

- Najwyraniej cię zna. - McGill rozejrzał się. - Twójś rodzinę też.

- Tak - przyznał bezbarwnie Ballard.

- Wciśż zapominał, że wychowałe się tutaj. - McGill potarł w zadumie policzek. - Wiesz, możesz mi się przydać. Muszę znaleźć w dolinie kogo, kto mieszka tu od zawsze, kogo rodzina żyła tu przez długi czas. Potrzebuję pewnych informacji.

Ballard zastanawiał się przez chwilę, wreszcie umiechnął się i wskazał kijkiem:

- Widzisz tę skałę w dole? To Kamakamaru, a człowiek, który nazywa się Turi Buck mieszka po jej drugiej stronie. Powinienem się z nim zobaczyć już wczenej, ale ciśggle brakowało mi czasu.

McGill powiesił plecak na słupku przed domem Turiego Bucka.

- Lepiej nie brać tego do rodka, lód mógłby się stopić.

Ballard zapukał do drzwi, które otworzyła może czternastoletnia, pogodnie umiechnięta, maoryska dziewczynka.

- Szukam Turiego Bucka.

- Proszę chwilę poczekać. - Zniknęła i za moment usłyszał jej uniesiony głos: - Dziadku, kto chce się z tobś zobaczyć.

Niebawem zjawił się Turi. Ballarda zaskoczył jego widok. Kręco-

ne włosy Turiego posiwiały zupełnie, a twarz, pokryta bliznami i zmarszczkami, przypominała zbocze wyrzebione przez wodę.

W brązowych oczach nie zapaliła się nawet iskierka pamięci.

- Czym mogę panu służyć?

- Nic takiego, Turi. Nie pamiętasz mnie?

Turi zbliżył się, wyszedł przed drzwi naienne wiatło. Zmarszczył brwi i powiedział niepewnie:

- Nie... mój wzrok nie jest już tak dobry jak... Ian?

- Twój wzrok wcale nie jest zły - rzekł Ballard.

- Ian! - zawołał Turi z radociś. - Słyszałem, że wróciłe, powiniene odwiedzić mnie wczenej. Mylałem, że zapomniালে.

- Praca, Turi, najpierw praca, sam mnie tego uczyłe. Oto mój przyjaciel, Mikę McGill.

Turi promieniał.

- Proszę wchodcie, wchodcie.

Poprowadził ich do znanego Ballardowi pokoju. Nad kominkiem zbudowanym z polnych kamieni wisiała głowa wapiti z szeroko rozpostartym porożem, w kominku płonęły polana. Na cianach wisiały drewniane rzeby, inkrustowane opalizujścymi muszlami paua. Wciśz znajdował się tam Merę z zielonego kamienia - wojenny topór Maorysów. Obok, na honorowym miejscu, najcenniejsza własność Turiego - whakapapa, misternie rzebiona pałka, wiadczśca o wietnoci jego rodu.

Ballard rozejrzał się.

- Nic się tu nie zmieniło.

- Tutaj nie - zgodził się Turi.

Ballard skinął w stronę okna.

- Tam natomiast spore zmiany, nie poznałem doliny.

Turi westchnął.

- Zbyt wiele zmian i zbyt szybkich. Ale gdzie ty się podziwiałe, Ian?

- Byłem w wielu miejscach, rozsianych po całym wiecie.

- Siadaj - poprosił Turi. - Opowiedz mi o tym.

- Najpierw ty. Czy dobrze słyszałem, że ta piękna młoda dama nazwała cię dziadkiem?

- Już pięć razy zostałem dziadkiem - ramiona Turiego zdrża-

ły. - Moi synowie doroli i mają żony. Obie córki zostały matkami.

- A Tawhaki? - spytał Ballard. - Jak się miewa Tawhaki? -

W dzieciństwie był on stałym kompanem jego zabaw, potem towarzyszył latom młodości.

- Niele mu się powodzi - powiedział Turi. - Skończył z do-

brym wynikiem Uniwersytet w Otago.

- Jaki wydział?

Turi rozemiał się.

- Ekonomię. Wyobrażasz sobie Maorysa orientującego się

w ekonomii? Ma posadę w Ministerstwie Finansów w Auckland,

więc nie widuję go zbyt często.

- Musisz mi dać jego adres. Zajrzę do niego, jak tylko trafię do

Auckland. - Ballard zauważył, że Turi przygląda się z zainteresowaniem McGillowi. - Mikę zajmuje się niegiem. Tak bardzo, że wybiera się w tym roku na Antarktydę.

Pełną bliznę twarz Turiego wykrzywił ponury uśmiech.

- W takim razie znajdzie się tu coś dla ciebie, Mikę. Spadło mnóstwo niegu, więcej niż mogę sobie przypomnieć od 1943 roku.

- Widziałem.

Ballard podszedł do okna. Po przeciwnej stronie doliny gałęzie cedrów uginały się pod ciężarem niegu. Odwrócił się i zapytał:

- Turi, co się stało z drzewami na zachodnim stoku?

- Nad kopalnią?

- Tak. Ten stok został ogołocoony.

McGill zareagował natychmiast.

- A był wcześniej zadrzewiony?

Turi skinął głową, a potem wzruszył ramionami.

- Kiedy zakładali kopalnię, potrzebowali stempli. Drzewa kahi-

katea nadają się do tego. - Uniósł wzrok. - Ten teren należy do

Petersonów, dobrze na tym zarobili.

- Tego jestem pewien - powiedział Ballard.

- Twoja matka le zrobiła, że go im sprzedała. - Turi splótł

ręce. - Potem wysadzili pniaki i przeznaczyci zbocze pod trawę na

siano. Hodujś bydło na nizinach nad rzeką. Herefordy na mięso

i kilka krów mlecznych. Ten interes też stał się dochodowy, gdy

miasto się rozrosło.

- Czy nikt nie pomyślał o tym, co się stanie, gdy spadnie

nieg? - spytał Ballard.

- O, tak - przyznał Turi. - Ja pomyślałem.

- Dlaczego więc milczała? Czemu nie protestowała wtedy, gdy stawiano budynki kopalni, rozbudowywano miasto?

- Sprzeciwiałem się. Nawet bardzo głośno, lecz Petersonowie krzyczeli głościej. Kto by się liczył ze zdaniem starego człowieka? -

Wykrzywił usta. - Szczególnie gdy ma ciemną skórę.

Ballard prychnął i spojrzał na McGilla, który podsumował

wolno:

- Głupie dranie! Głupie, zachłanne dranie! - Rozejrzał się po pokoju, a potem popatrzył na Turiego.

- Kiedy pan przybył do doliny, panie Buck?

- Na imię mam Turi, a tutaj się urodziłem - umięchnął się. -

W wigilię Nowego Roku 1900. Jestem tak stary jak ten wiek.

- A kto wybudował dom?

- Mój ojciec. Myślę, że około 1880 roku. Został postawiony na fundamentach domu mojego dziadka.

- A tamten kiedy wybudowano?

Turi wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Moi mieszkali tu już od dawna.

McGill skinął głową.

- Czy pański ojciec miał jakiś specjalny powód, by stawiać nowy dom w miejscu starego? Włanie pod tą dużą skałą?

Turi odpowiedział wymijająco:

- Mówił, że każdy, kto buduje dom w Huka musi się zabezpieczyć.

- Miał rację. - McGill odwrócił się do Ballarda. - Chciałbym jak najszybciej sprawdzić te próbki. A potem wrócę, bymy mogli jeszcze porozmawiać, Turi, dobrze?

- Obaj musicie wrócić. Przyjdcie na kolację, to poznacie kilkoro z moich wnuków.

Gdy Turi odprowadził ich do drzwi, Ballard spytał:

- Nie masz zbyt wysokiego mniemania o kopalni, prawda Turi?

- Za dużo zmian - odparł starzec z rozgoryczeniem. - Mamy teraz nawet supermarket.

- Wiesz, że zostałem dyrektorem kopalni i też mi się tu wiele rzeczy nie podoba. Ale sǳę, że z innych powodów. Zobaczysz jeszcze więcej zmian, Turi, lecz te chyba ci się spodobają.

Turi poklepał go dobrodusznie po ramieniu.

- He tamariki koe! Jeste już mężczyzną, Ian, prawdziwym mężczyzną.

- Tak - przyznał Ballard - wydorolałem. Dziękuję, Turi.

Turi przyglǳał się jak zakładają narty i potem, gdy trawersowali stok odchodzący od domu, podniósł rękę i zawołał:

- Haere rai

Ballard obejrzał się przez ramię.

- Haere ra!

Skierowali się z McGillem w stronę kopalni.

V

Pónopopołudniowe słońce wlewało się przez okna sali, załamując się w wielobarwnych witrażach. Plamy kolorów leżały na stołach. Stojšca przed Ballardem karafka z wodš wyglšdała jak gdyby wypełniono jš krwiš.

Dan Edwards rozlunił krawat, maržšc o zimnym piwie.

- Wkrótce odrocžš rozprawę - powiedział do Dalwooda. - Cholerne bym chciał, żeby stary Harrison przeszedł do następných pytań. Cała ta gadanina o niegu wcale nie działa na mnie orzewiajšco.

Harrison napełnił wodš swojš szklanke i pocišgnšł łyk.

- A więc pobrał pan próbki z powłoki niežnej na zachodnim stoku w obecności pana Ballarda. Jakie otrzymał pan wyniki badań?

McGill rozpišł zamek skórzanej teczki i wycišgnšł plik papierów.

- Napisałem cały raport dotyczšcy wypadków, które miały miejsce w Hukahoronui, oczywiście, od strony technicznej. Pozwolę sobie przedłóżyć go do wglšdu komisji. - Oddał raport Reedowi, a ten przekazał go Harrisonowi. - Pierwsza część zawiera wyniki pierwszej serii profili niežnych, które zostały przedstawione dyrekcji kopalni, a póniej władzom miejskim Hukahoronui.

Harrison przewertował strony, zmarszczył brwi i podał papiery profesorowi Rolandsonowi. Przez chwilę wymieniali szeptem jakie uwagi, wreszcie Harrison powiedział:

- Wszystko w porządku, doktorze McGill, ale pański raport wydaje się bardzo techniczny i zawiera więcej wzorów matematycznych, niż przywykliśmy oglądać. W końcu jest to przesłuchanie publiczne. Czy nie zechciałby pan omówić swych wyników językiem zrozumiałym dla innych, nie tylko dla pana i profesora Rolandsona?

- Oczywiście - zgodził się McGill. - Właściwie zrobiłem to już, tłumacząc pewne sprawy ludziom z Hukahoronui.

- Proszę więc kontynuować. Proszę też przygotować się na dodatkowe pytania ze strony profesora Rolandsona.

McGill splótł dłonie przed sobą.

- Nieg jest nie tyle substancją, co procesem, zmieniającym się w czasie. Jego początek to płatek spadający na ziemię, który staje się cząstką ogólnej pokrywy lodowej. Jest niezbyt stabilnym, sześciobocznym kryształem. Wówczas rozpoczyna się sublimacja, czyli swego rodzaju parowanie. W jej wyniku kryształ zmienia swój kształt, stając się małym, okrągłym granulkiem. Proces ten nazywamy metamorfizmem destrukcyjnym, a prowadzi on, dzięki wypychaniu powietrza, do zwiększenia gęstości. Jednocześnie w wyniku parowania, w masie lodowej znajduje się para wodna i z powodu niskiej temperatury oddzielne granulki wykazują tendencję do wiązania się ze sobą przez zamarzanie.

- To połączenie nie jest szczególnie mocne, prawda? - spytał Rolandson.

- Nie, jeśli porównamy je z innymi materiałami.

Rolandson skinął głową, a McGill ciśnie dalej:

- Kolejną rzeczą, którą należy brać pod uwagę, jest temperatura w przekroju pokrywy nieżnej. Nie jest ona stała, wyższa zawsze na dnie, niż na górze. W ten sposób wytwarza się gradient temperatury. Jeśli spojrzysz pan na pierwszy wykres, to znajdzie pan gradient temperatury pięciu najwcześniejszych próbek.

Rolandson przerzucił kartki.

- Niezbyt stromy gradient najwyżej dwa stopnie.

- To wystarcza do następnego etapu procesu. W pokrywie nieżowej wciąż jeszcze jest sporo powietrza i najcieplejsze powietrze z dna zaczyna się unosić, niosąc ze sobą parę wodną. Para ta skrapla się wyżej, na zimniejszych granulach. Rozpoczyna się proces budowania, zwany metamorfizmem konstrukcyjnym, nowego typu kryształu - kryształu kieliszkowego.

- Czy mógłby go pan opisać, doktorze McGill?

- Ma kształt stożka, z wgłębieniem na stępionym końcu.

- A jakiej może być wielkości?

- Dobrze rozwinięty dochodzi do dwunastu i pół milimetra długości, ale sześć milimetrów przyjmuje się jako redniś. - McGill

przerwał, lecz widząc, że Rolandson nie zabiera głosu, dodał: -

Drugi wykres pokazuje odczyty penetrometru, czyli odporności na naprężenia.

Rolandson przestudiował go.

- Czy jest to wytrzymałość w kilogramach w zależności od gę-

bokoci?

- Tak, sir.

- W połowie głębokoci występuje brak ciśgłoci we wszystkich pięciu próbkach.

- Tak, sir. To warstwa szronu powierzchniowego.

Harrison przerwał:

- Jeżeli nie znajduje się on na powierzchni, to dlaczego nazywa się powierzchniowy?

- Bo był na powierzchni. Kiedy zewnętrzna warstwa niegu jest chłodniejsza niż powietrze ponad niš, wówczas następuje większa sublimacja pary wodnej, co jakby kondensacja na ciance szklanki zimnego piwa. - Na galerii prasowej Dan Edwards aż westchnł z udręki i oblizał wargi. - W tym przypadku, według mnie, stało się to w czasie pogodnej i bezchmurnej nocy, kiedy występuje większe promieniowanie wyjciowe. Wtedy szron lub mróz tworzą na powierzchni płaskie płyty cienkiego lodu.

Harrison ponownie wniósł sprzeciw:

- Ale ta nieciśgłość, jak jš okrelił profesor Rolandson, nie znajduje się na powierzchni.

- Nie - zgodził się McGill. - Zazwyczaj, gdy rano podgrzewa jš słońce, znika. W tym wypadku, jak sšdzę, chmury nadciśgnęły przed wschodem słońca i ponownie zaczęły padać nieg. Warstwa szronu zachowała się pod nim.

- Jakie to miało znaczenie? - zapytał Rolandson.

- Mogło się wydarzyć kilka rzeczy. Warstwa, jak pan widzi z odczytu penetrometru, była dość twarda. A także zupełnie gładka, mogła więc stworzyć płaszczyznę polizgu dla znajdującego się wyżej niegu. - McGill wyprostował drugi palec. - Po drugie, warstwa szronu jest zbudowana z płaskich płyt lodu stopionych razem, czyli stanowi niezły izolator powietrza. Oznacza to, że najbardziej prawdopodobne miejsce formowania się kryształów kieliszkowych znajdzie się tuż pod warstwą szronu.

- Kładzie pan wyjstkowy nacisk na ten typ kryształów. Z jakiego powodu są one tak niebezpieczne?

- Przyczyną jest ich zaokrąglony kształt i to, że istnieje pomiędzy nimi bardzo mała spójność. - McGill pociśgnął się lekko za koniuszek ucha. - Używając niezbyt zręcznego porównania, trudno ić po podłodze wysypanej kulami bilardowymi. Mamy tu do czynienia z tego samego typu niestabilnością.

- Czy w tym czasie miał pan dowód na istnienie kryształów kieliszkowych?

- Zaczynały się formować w niegu z próbki pierwszej, pobranej najwyżej na stoku. Miałem powody przypuszczać, że proces ten będzie postępował, co spowoduje znaczną utratę stabilności.

- Proszę dalej, doktorze McGill.

McGill uniósł trzeci palec.

- Po trzecie, prognozy pogody mówiły o dalszych opadach, co równało się zwiększeniu obciążenia stoku.

Opucił rękę.

- Wziśwszy to wszystko pod uwagę, doszedłem do wniosku, że pokrywa nieżna na zachodnim stoku doliny Hukahoronui jest raczej niestabilna, a zatem stanowi potencjalne zagrożenie lawinowe. Poinformowałem o tym dyrekcję kopalni.

- Ma pan na myli pana Ballarda? - zapytał Harrison.

- Na spotkaniu byli obecni pan Ballard, pan Dobbs, menedżer kopalni, inżynier - pan Cameron i pan Quentin, reprezentujący zwiśzek zawodowy.

- Czy był pan wiadkiem całego spotkania?

- Tak, sir.

- W takim razie myślę, że możemy przyjsć pańskie zeznania jako najlepsze wiadectwo tego, co wtedy się wydarzyło. Podlegać to będzie póniejszej ocenie. Jednak ze względu na porę, proponuję odłożyć to na dzień jutrzejszy. Zbierzemy się tutaj o godzinie dziesiętej rano, kiedy to ponownie powołamy na wiadka doktora McGilla. Przesłuchanie jest odroczone.

VI

Uczestnicy dochodzenia wylegli na chodnik Armagh Street i zaczęli się rozchodzić. Dana Edwardsa, zmierzajšcego pospiesznie na piwo, zatrzymało pytanie Dalwooda:

- Kim jest ten wysoki rudzielec, który rozmawiał z Ballardem?

No, ta dziewczyna z psem?

Dan Edwards wyciśgnł szyję.

- Dobry Boże! Co tu się dzieje!

- Ale kto to jest?

- Liz Peterson, siostra Charliego i Erica.

Dalwood obserwował, jak Ballard poklepuje owczarka i ciepło umiecha się do dziewczyny.

- Sż chyba w dobrej komitywie.

- Cholernie mieszne, no nie? Charlie wbił Ballardowi nóż tak głęboko, że ten po pachy skśpał się we własnej krwi. Zastanawiam się czy wie, że Liz kuma się z jego wrogiem?

- Wkrótce się dowiemy - oznajmił Dalwood. - Nadchodzś Charlie i Eric.

Z budynku wyszli włanie dwaj mężczyźni, ponuro wymieniając jakie półsłówka. Charlie, na widok siostry i jej rozmówcy, nie zapanował nad wciekłościś. Powiedział co krótko do brata i, przyspieszając kroku, zaczął przepychać się przez tłum stojścy na chodniku. W tej samej chwili podjechał samochód, do którego wsiadł Ballard. Gdy Charlie podszedł do siostry, Ballarda już przy niej nie było. Zaczł jej co ostro tłumaczyć.

Obserwując tę scenę Edwards, powiedział:

- Jeli nawet nie wiedział, to już wie. Co więcej, nie jest tym zachwycony.

- A pies nie znosi Charliego. Popatrz na niego.

Owczarek warczał nieprzyjanie, obnażając kły. Liz przytrzymała krócej smycz i skarciła go ostro.

Edwards westchnął:

- Chodmy już na to piwo. Pierwsze spłynię w nas z sykiem.

Mikę McGill prowadził samochód. Z ukosa spojrzął na Ballarda, ale za moment znów skoncentrował uwagę na drodze.

- No i co o tym sądzisz?

- Twoje zeznanie dobrze wypadło. Bardzo rzeczowo.

- Rolandson dopomógł mi, podrzucając kilka niezłych kwestii.

W zestawieniu z moją błazenadą wychodzi na solidnego faceta. Ty jednak nie poradziłeś sobie najlepiej.

- Nie przesadzaj.

- Opamiętaj się, Ian. Ten sukinsyn, Rickman, dostarczy cię sędowi zwiżanego i zakneblowanego, jeżeli go nie powstrzymasz.

- Daruj to sobie, Mikę - rzucił Ballard. - Jestem diabelnie zmęczony.

McGill zagryzł wargi i pogrzążył się w milczeniu. Po dziesięciu minutach zjechał z drogi i zatrzymał się na parkingu przed wejściem do hotelu.

- Poczujesz się lepiej, gdy wypijesz zimne piwo. Zgoda? W sali sądowej był sakramencki upał.

- W porządku - obojętnie zgodził się Ballard.

Weszli do baru. McGill zamówił dwa piwa i przyniósł je do ustawionego w kącie stolika.

- No to cyk! - Napił się i odetchnął z zadowoleniem. - Boże, jak mi tego brakowało! - Ponownie napełnił szklanę. - Gmach sądu

robi wrażenie. Kto go projektował? Edward Spowiednik?

- To wcale nie siedziba sądu, tylko co w rodzaju prowincjonalnego parlamentu.

McGill umiechnął się.

- A wiesz, co mi się najbardziej w nim podoba? Te pobożne teksty na witrażach. Ciekawe, kto je wymyślił? - Równie pogodnym tonem spytał: - Czego chciała Liz Peterson?

- Życzyła mi po prostu wszystkiego dobrego.

- Doprawdy? - zakpił McGill. - Jeli mówiła to poważnie, to powinna zoperować swego brata ostrym nożem. - Popatrzył na kropelki perłsze się na zewnętrznych ciankach szklanki. - Chociaż, prawdę mówiąc, to lepiej by się do tego nadawał tępy nóż. Dzi rano adwokat Petersonów wyranie się na ciebie zasadził.

- Wiem. - Ballard pociśgnął spory łyk. Piwo najwyraniej dobrze mu zrobiło. - To bez znaczenia, Mike. Obaj wiemy, że dowody wiadczyć na naszą korzyść.

- Mylisz się - osadził go McGill. - Każdy dowód podlega prawniczej interpretacji, a skoro już o prawnikach mowa, to co z Rickmanem? Chyba przypominasz sobie jego dzisiejsze pytanie? Nawietlił wszystko tak, żeby wyglądało, jakby chciał się wycofać. Do diabła, on przekonał publiczność, że chciało się wymknąć z kraju.

Ballard przetarł oczy.

- Rozmawiałem z nim tuż przed rozpoczęciem przesłuchania.

On co le zrozumiał i tyle.

- Tyle? O nie, mój drogi, mylisz się. Tak sprytny facet nie przekręca faktów, hyba że jest mu to akurat na rękę. A swojś drogš, co mu właciwie powiedziałe?

Ballard wyjšł portfel i wycišgnšł z niego kawałek papieru.

- Doręczono mi to dzi rano, kiedy wychodziłem z hotelu. -

Podał go McGillowi. - Mój dziadek nie żyje.

McGill rozłożył depeszę i przeczytał jš.

- Och, Ian, tak mi przykro. Naprawdę. - przez chwilę milczał. -

Harriet to twoja matka?

- Tak.

- Chce, żeby wracał do domu.

- Chciałaby - cierpko zgodził się Ballard.

- I pokazałe to Rickmanowi?

- Tak.

- A on wykorzystał tę wiadomoć, by zrobić z ciebie tchórza. Do diabła, Ian, on nie reprezentuje ciebie, tylko towarzystwo!

- Przecież to wszystko jedno.

McGill rzucił Ballardowi przecišgłe spojrzenie i wolno pokręcił głowš.

- Ty chyba naprawdę uwierzyłe w to, co powiedział przewodniczący komisji, zgadza się? Że wszystko, o co im chodzi, to dotarcie do prawdy? No więc, może Harrison tak myli, ale opinia publiczna domaga się czego innego, Ian, pięćdziesięciu czterech

ludzi zginęło i społeczeństwo musi dostać kozła ofiarnego. Przewodniczący twego towarzystwa wie...

- Prezes.

McGill machnął lekceważąco ręką.

- Do diabła z tytułami. Prezes twojego towarzystwa też zdaje sobie z tego sprawę i zrobi wszystko, żeby przypadkiem firma nie została tym kozłem. Oto dlaczego zatrudnił takiego przebiegłego cwaniaka jak Rickman i jeśli sądzisz, że występuje on w twoim imieniu, to chyba nie jesteś przy zdrowych zmysłach. Gdyby przedsiębiorstwo mogło się wywinąć, powięcając cię, to zrobi to bez wahania. - Walnął w stół. - Scenariusz mogę ci podyktować już teraz: "Pan Ballard jest nowy w przedsiębiorstwie. Pan Ballard jest młody i niedowiadczony. Oczywiście, tak młody człowiek może popełniać niefortunne pomyłki. Z pewnością, takie błędy w ocenie trzeba wybaczać, jeśli się ma do czynienia z kim tak mało dowiadczonym". - McGill rozparł się na krzele. - Kiedy Rickman z tobą skończy, przekona wszystkich, że to ty zorganizowałaś tę cholerną lawinę, a Petersonowie i ten ich cwany adwokat mało nóg nie połamią, biegnąc mu z pomocą.

Ballard umiechnął się lekko.

- Masz bujną wyobraźnię, Mike.

- Szlag by to trafił! - W głosie McGilla brzmiało oburzenie. -

Napijmy się jeszcze piwa.

- Moja kolejka. - Ballard wstał i podszedł do baru. Kiedy wrócił,

powiedział: - A więc staruszek nie żyje. - Pokręcił głową. - Wiesz,

Mikę, dotknęło mnie to bardziej, niż mogłem przypuszczać.

McGill nalał piwo do szklanek.

- Wnosząc z tego, co o nim opowiadała, dziwię się, że cokolwiek czujesz.

- Tak, był z niego kłótniwy, stary złonik, uparty i zacietrzewiony, ale miał w sobie co... - Ballard zawahał się. - Sam nie wiem.

- Co się teraz stanie z macierzystą firmą... no, jak się to nazywa?

- Ballard Holdings.

- Co się więc stanie z Ballard Holdings po mierci starego?

Będzie do wzięcia?

- Nie sądzę. Dziadek ustanowił jakiś trust, czy co w tym rodzaju.

Nigdy się tym za bardzo nie interesowałem, bo wiedziałem, że

i tak nie odegram w nim żadnej roli. Przypuszczam, że wszystko

zostanie po staremu, to znaczy z wujami Bertem, Steve'em i Edem

kierującymi sprawami tak, jak to miało miejsce dotychczas. To znaczy

kiepsko.

- W takim razie nie rozumiem, dlaczego godzi się na to akcjonariusze?

- Oni nie mają nic do gadania. Wcale nie potrzebujesz mieć 51%

udziałów, by kontrolować firmę. Wystarczy 30%, jeżeli pozostałe

akcje są podzielone na małe pakiety, a twoi prawnicy i księgowi są

dość sprytni. - Ballard wzruszył ramionami. - W każdym razie

akcjonariusze nie są zbyt nieszczęśliwi. Wszystkie koncerny Ballar-

da przynoszą zyski, a ludzi, którzy obecnie wkupują się do nich,

nie obchodzi wcale, w jaki sposób się one osiągną.

- Tak - powiedział z roztargnieniem McGill. Te sprawy nie interesowały go specjalnie. Pochylił się i zaproponował: - Opracujmy jakąś strategię.

- Co masz na myśli?

- Zastanawiałem się, jakimi kategoriami myli Harrison. Jest wyjątkowo logicznym facetem, co działa na naszą korzyść. Mam jutro składać zeznania dotyczące spotkania z dyrekcją kopalni. Dlaczego właśnie ja?

- Harrison pytał cię, czy uczestniczyłeś w całym zebraniu, a przecież tak było. Wybrał cię, ponieważ siedziałeś już na ławie wiadków, po co miał więc tracić czas na wzywanie kogo innego. Przynajmniej tak mi się wydaje.

McGill wyglądał na zadowolonego.

- Też tak to widzę. Harrison uprzedził, że będzie przyjmował zeznania w porządku chronologicznym i egzekwuje to konsekwentnie. No, ale co stało się później?

- Spotkaliśmy się z radą miejską.

- I o co zapyta mnie Harrison?

- Czy uczestniczyłeś także w tym spotkaniu, a ty będziesz musiał przyznać, że nie, gdyż wyszedłeś w połowie. No i co?

- Chcę więc podsunąć mu kolejnego wiadka, a wiedząc, jak pracuje umysł Harrisona, sądzę, że potrafię nim pokierować.

- Kogo masz na myli?

- Turiego Bucka - oznajmił McGill. - Chcę, by historia Hukahoroni znalazła się w aktach, żeby wbić to ludziom do głów. Chcę, by została zaprotokołowana zwyczajna głupota tej cholernej rady miejskiej.

Ballard spoglądał w zamyleniu na szklanę.

- Wolałbym nie wrabiać w to Turiego. To może go zabołec.

- On już się zdecydował. Zgłosił się na ochotnika w charakterze wiadka. Zatrzymał się u swojej siostry, tutaj, w Christchurch.

Wpadniemy po niego jutro rano.

- W porzdku.

- Posłuchaj, Ian. Turi jest starym człowiekiem i może się pogubić w ogniu krzyżowych pytań wrogo nastawionych ludzi. Musimy więc mieć pewność, że zostaną postawione właściwe pytania i we właściwej kolejności. Trzeba tak gruntownie zabezpieczyć teren, by nikt, ani Lyall, ani Rickman, nie znaleli luki.

- Wobec tego przygotuję listę pytań dla Rickmana.

McGill skierował wzrok ku niebu.

- Czy nie możesz wbić sobie do durnego łba, że Rickman, jeli dorwie się do Turiego, zrobi to tendencyjnie.

Ballard rzucił ostro:

- Przecież reprezentuje mnie i musi zastosować się do moich instrukcji.

- A jeli tego nie zrobi?

- A jeli nie, to przyznam ci rację. Dzięki temu będę miał wolną rękę. Zobaczymy. - Dopił piwo. - Muszę wziść prysznic, lepię się.

Kiedy wychodzili z baru, McGill upewnił się:

- A co z depešš? Chyba nie wracasz?

- Pytasz czy nie chcę uciec do mamy? - Ballard umiechnął się. -

Póki Harrison jest przewodniczącym komisji, to nie ma na to szans.

Wštpię czy nawet moja matka poradziłaby sobie z nim.

- Ona nie jest przypadkiem Żydówkš? - ciekawie zapytał

McGill.

- Nie, ale czemu cię to interesuje?

- O, po prostu uważa się na ogół, że żydowskie matki sš bardzo stanowcze. Ale sšdzę, że twoja mogłaby dać takiej fory i jeszcze wygrać.

- Tu nie chodzi o stanowczoć - powiedział spokojnie Ballard. -

To jest zwykły szantaż moralny.

Przesłuchanie

dzień drugi

VII

Następnego ranka, o godzinie 9.30, McGill i Ballard spotkali się

z Turim Buckiem przed domem jego siostry. Chociaż pora była

jeszcze wczesna, wszystko zapowiadało goršcy, duszny dzień. Bal-

lard przechylił się i otwierając tylne drzwi samochodu, powiedział:

- Wskakuj, Turi.

- Wskakiwanie gdziekolwiek to już nie dla mnie, Ian - rzekł

Turi kwano. - Ale dołożę starań, aby się jako ulokować na tym siedzeniu.

Czasami okrelenia Turiego miały dziwne, starowieckie brzmienie. Ballard wiedział, że starzec nigdy nie odebrał żadnego formalnego wykształcenia, ale wiele czytał, podejrzewał więc, że sir Walter Scott był odpowiedzialny za niektóre, bardziej układne wyrażenia.

- Cieszę się, że przyjechała, Turi.

- Musiałem przyjechać.

Punktualnie o godzinie dziesiątej, w sali posiedzeń, Harrison delikatnie zastukał młotkiem w blat stołu sędziowskiego i powiedział:

- Jesteśmy gotowi do podjęcia dochodzenia w sprawie katastrofalnej lawiny w Hukahoronui. Ostatnim, który składał zeznania, był doktor McGill. Zechce pan ponownie zająć miejsce dla wiadków.

McGill podszedł do wyznaczonego krzesła i usiadł. Harrison przypomniał:

- Wspomniał pan wczoraj o spotkaniu kierownictwa kopalni, na którym przedstawił pan raport. Co jeszcze zdarzyło się na tym spotkaniu?

McGill zastanawiał się przez moment.

- Główną kwestią było przedstawienie dowodów i przekonanie dyrekcji, by je zaakceptowała. Pan Ballard uczynił to już wcześniej.

Pan Cameron chciał najpierw szczegółowo zapoznać się z wynikami badań, ale w końcu także je przyjął. Pozostali nie byli tak zgodni.

Wyglądało to tak...

Cameron, jako inżynier, pierwszy zrozumiał znaczenie kryształów kieliszkowych.

- Mike, mógłby narysować jeden taki kryształ?

- Jasne. - McGill wyjął z kieszeni ołówek i szybko co naszkicował. - Tak jak powiedziałem, ma on stożkowaty kształt, o taki, i to wgłębienie na stępionym końcu. Dlatego właśnie został nazwany kryształem kieliszkowym.

- Wgłębienie wcale mnie nie martwi. - Cameron przyjrzał się szkicowi. - Ale to, co tutaj narysowałeś, jest niezłym schematem łożyska stożkowego. Mówisz, że te kryształy mogły się tworzyć pod warstwą szronu powierzchniowego?

- Zgadza się.

- To niedobrze - westchnął Cameron. - Bardzo niedobrze. Jeli na szczycie znajdzie się duży ciężar, który grawitacja popycha pionowo w dół, to po stoku przebiegać będzie wypadkowa sił. Całe zbocze może zjechać na gotowych rolkach.

Cameron podał rysunek Dobbsowi, który obejrzał go z zagłębionym mu przez ramię przedstawicielem zwińzku Quentinem.

- Czy już teraz sš te kieliszki?

- Na razie wystšpiły oznaki tworzenia się ich w jednej z pobranych przeze mnie próbek. Uważam, że ten proces jest już mocno zaawansowany.

- Zobaczymy pomiary naprężeń. - Cameron skrzywił się na widok równań. - Przywykłem pracować z rzeczami twardszymi

niż nieg.

- Obowišzujš te same zasady - objanił McGill.

Dobbs przekazał rysunek Ballardowi.

- Czy poważnie twierdzi pan, że na tę kopalnię spadnie lawina?

- Niezupełnie - ostrożnie powiedział McGill. - Ostrzegam tylko przed potencjalnym niebezpieczeństwem, z którym należy się liczyć. Nie sšdzę, żeby w chwili obecnej istniało takie zagrożenie.

Ona nie spadnie za godzinę, czy nawet dzisiaj. Wiele zależy od tego, co przyniosš najbliższe dni.

- To znaczy od czego? - zapytał Ballard.

- Od wahań temperatury. Opadów niegu. Znaczny wzrost siły wiatru też może mieć ujemne skutki.

- A prognozy przewidujš dalsze opady - wtršcił Ballard.

- Majšc do czynienia z tego typu potencjalnym zagrożeniem, trzeba przedsięwzišć rodki ostrožnoci. Na przykład zabezpieczyć wejście do kopalni. Jest taka konstrukcja stalowa, zwana "Cudownym Łukiem", która może się przydać. Opracowano jš w Camp Century na Grenlandii, specjalnie do takich celów. Znalazła ona szerokie zastosowanie na Antarktydzie.

- Czy jest droga? - W głosie Dobbsa wyczuwało się powštpiewanie.

McGill wzruszył ramionami.

- To zależy ile pieniędzy jest dla pana warte życie ludzkie. -

Zwrócił się do Camerona. - Joe, pamiętasz jak cię pytałem o Gran-

duc w Kolumbii Brytyjskiej?

Cameron uniósł wzrok znad cyfr.

- Tak, ale nic o tym nie słyszałem.

- Granduc w znacznej mierze przypomina wasz kopalnię.

Zainstalowano tam "Cudowny Łuk", dodali przypory przed wej-
ciem do kopalni. - Pogładził się po brodzie. - Wszystko to było jak
musztarda po obiedzie. Wzmocnienie założono w 1966 roku, a rok
wcześniej w lawinie zginęło dwadzieścia sześć osób.

Chwilę pełnej napięcia ciszy przerwał Cameron:

- Stawiasz sprawę bardzo jasno.

- Przedstawię to na radzie dyrektorów - oznajmił Ballard.

- To nie wszystko - powiedział McGill. - Musicie spojrzeć na
sytuację perspektywicznie. Ten stok jest niebezpieczny głównie dla-
tego, że został ogołocony z drzew. Celem przywrócenia równowagi,
należy postawić na nim płotki przeciwlawinowe. Metr bieżący cze-
go takiego kosztuje dwieście dolarów. Wstąpię więc, czy wystarczy
wam na to milion.

Dobbs gwałtownie zachłysnął się powietrzem.

- Dochodzisz jeszcze mury oporowe u podnóża - ciśnie nieub-
łaganie McGill. - Czyli znowu jakie pół miliona. Będzie to koszto-
wało grubszą forszę.

- Rada się nie zgodzi - uprzedził Dobbs. Spojrzał na Ballarda

i dodał: - Wie pan, że ledwie na siebie zarabiamy. Nie zainwestujś
dodatkowego kapitału bez zwiększenia produkcji. To nie przejdzie.

Quentin poruszył się.

- Czy planuje pan zamknięcie kopalni?

- Jest taka możliwość - przyznał Ballard. - Ale ta decyzja nie należy do mnie.

- Ludziom mogłoby się to nie spodobać. Chodzi o wiele miejsc pracy. - Quentin spojrział wrogo na McGilla i wskazał na niego ręką. - A kto mi zagwarantuje, że on ma rację? Wyskakuje nagle z tś wizję katastrofy, a w sumie kim on, do diabła, jest?

Ballard wyprostował się.

- Postawmy tę sprawę jasno. Od wczoraj doktor McGill pełni funkcję rzeczoznawcy w naszej firmie, mając za zadanie udzielanie porad w zakresie określonych problemów. Jego kwalifikacje zadowolają mnie w zupełności.

- Nie mówił mi pan o tym - wtrzącił Dobbs.

Ballard posłał mu surowe spojrzenie.

- Nie wiedziałem, że powinienem to z panem skonsultować.

Teraz został pan już poinformowany.

- Czy prezes wie o tym?

- Dowie się, gdy mu powiem, a to wkrótce nastąpi.

Głos zabrał Quentin:

- Panie Ballard, przysłuchiwałem się uważnie. Nie było lawiny, a pański przyjaciel wcale nie jest przekonany, że spadnie. Wszystko, o czym mówił, to przypuszczenia. Sędzę, że rada zażąda znacznie więcej, niż wyasygnuje półtora miliona dolarów. Nie wydaje mi się

też prawdopodobne, by kopalnia mogła zostać zamknięta z powodu samych domysłów.

- A czego chcecie? - spytał McGill. - Najpierw lawiny, żeby później myśleć o zabezpieczeniach?

- Przede wszystkim mam zapewnić ludziom miejsca pracy. Po to mnie tutaj wysłano.

- Trupom posady nie są potrzebne - brutalnie powiedział McGill. -

Ale jeśli już o tym mówimy, wyjanijmy sobie zupełnie inną rzecz. Pan Ballard oznajmił, że zaangażował mnie w charakterze rzeczoznawcy i to się zgadza. Ale w sumie kopalnia niewiele mnie obchodzi.

- Prezes będzie zachwycony, gdy to usłyszy - kwano zauważył Dobbs. Spojrzał na Ballarda. - Chyba nie musimy tego przeciągać?

- Dalej, Mike - westchnął Ballard. - Powiedz im resztę. Powiedz, co cię naprawdę niepokoi.

- Boję się o miasto.

Na dziesięć uderzeń serca zapadła cisza, którą wreszcie zdecydował się przerwać Cameron.

- Znowu pada - powiedział pozornie bez zwińzku.

- To w zasadzie zakończyło spotkanie - rzekł McGill. - Postanowiono, że dyrekcja kopalni jeszcze tego samego popołudnia porozumie się z radą miejską. Następnie pan Ballard miał skontaktować się telefonicznie z przewo... prezesem towarzystwa.

Gunn uniósł rękę, a Harrison przyzwalałjšco powiedział:

- Słucham, panie Gunn.

- Czy mogę zadać wiadkowi kilka pytań, panie przewodniczą-

cy? - Harrison skinął głową, więc Gunn cisnął dalej: - Doktorze

McGill, o ile wiem, to opisane przez pana spotkanie, miało miejsce

dość dawno, prawda?

- Dokładnie szesnastego lipca. W piątek rano.

- Teraz mamy grudzień, czyli upłynęło niemal pięć miesięcy.

Czy twierdzi pan, że posiada dobrą pamięć?

- Raczej redniś.

- Raczej redniś! Chyba jest pan zbyt skromny!

- Jeli pan tak uważa.

- Rzeczywiście tak uważam. Kiedy słuchołem pańskich ze-

znań, w których relacjonował pan dialogi innych ad verbatim,

przypomniały mi się występy jasnowidza, oglądane w jakim spek-

taklu.

- Panie Gunn - wtrcił Harrison - jakakolwiek ironia i sarkazm

mogł mieć miejsce w sądzie, tutaj są jednak wykluczone. Proszę

więc takich chwytów nie stosować.

- Tak, panie przewodniczący. - Gunn nie wydawał się być zbity

z tropu, wiadomy, że zdołał osiągnąć swój cel. - Doktorze McGill,

zeznał pan, że pan Quentin, szef związków zawodowych kopalni

w Hukahoronui zdawał się; używam tego słowa wiadomie; zda-

wał się być bardziej pochłonięty napełnianiem kieszeni swych towa-

rzyszy niż ochroną ich życia. Pana Quentina nie ma tutaj, nie może

się więc bronić, zginął bowiem w katastrofie. Jako adwokat reprezentujący zwińzek mam jednak obowińzek bronić go. Twierdzę, że pańskie wspomnienia o tak odległym spotkaniu mogš być mało precyzyjne.

- Nie, sir, sš dokładne.

- Dajmy spokój, doktorze McGill. Proszę zauważyć, że nie straci pan twarzy, przyznajš się do popełnienia błędu.

- Jestem pewien tego, co zeznałem, sir.

- Nie należy do dobrego tonu oczernianie nieżyjących. Niewštpliwie sływał pan przysłowie De martuis nil nisi bonum. - Gunn zatoczył kršg rękš. - Dobrzy i mšdrzy ludzie, którzy spowodowali, że sala ta została wybudowana, zdecydowali się załšczyć i ten aforyzm w jej oknach, by przywiecał przyszłym obradom. Proszę spojrzeć, doktorze McGill, na witraż tuż nad pańskš głowš. Napis na nim brzmi: "Nie bšd hipokrytš wobec ludzi, a mówišc o nich, mów dobrze".

Ponieważ McGill nie zareagował, Gunn ponaglił go:

- A więc, doktorze McGill?

- Nie wiedziałem, że zadano mi pytanie.

Harrison poruszył się niespokojnie na krzele, chcšc chyba przerwać, ale Gunn ponownie zabrał głos: . . .

- Jeli twierdzi pan, że posiada lepszą pamięć od innych, będę w końcu zmuszony w to uwierzyć.

- Sir, mam przeciętną pamięć. I dlatego prowadzę dziennik.

- O! - Gunn stał się czujny. - Regularnie?

- Tak regularnie, na ile jest to konieczne. Zajmuję się badaniami
niegu, efemerycznš, wiecznie zmieniajścš się substancjš. Przyzwy-
czałem się więc do systematycznego notowania.

- Czy mam rozumieć, że notował pan w trakcie interesujšcego
nas spotkania?

- Nie, sir.

- Ha! W takim razie upłynšł jaki czas pomiędzy spotkaniem,
a spisaniem pańskich wrażeń. Czyż nie tak?

- Zgadza się. Pół godziny. Zapis sporzšdziłem w sypialni, do-
kładnie pół godziny po zakończeniu spotkania. Dzi rano zajrzałem
do niego, chcšc odwieżyć pamięć.

- I w dalszym cišgu ob staje pan przy swoich zeznaniach doty-
czšcych pana Quentina?

- Tak.

- Czy wie pan, jak on zginšł?

- Nawet bardzo dokładnie.

- Nie mam dalszych pytań - powiedział z odcieniem niesmaku

Gunn. - Skończyłem już z tym wiadkiem.

McGill spojrzał na Harrisona.

- Czy mogę co dodać?

- Jeżeli ma to zwišzek ze sprawš, to proszę.

- Mylę, że ma. - McGill uniósł wzrok ku stropowi sali, po czym
skierował spojrzenie na Gunna. - Ja również studiowałem napisy

na witrażach, panie Gunn, a jeden szczególnie wziął sobie do serca. Widnieje na oknie tam, zupełnie blisko pana i brzmi: "Zważaj na każde swe słowo, by nie upadł przed tym, który jest Wszechobecny".

Huragan miechu rozładował napięcie w sali, nawet Harrison umiechnął się lekko, za Rolandson otwarcie zaniósł się rubasznym miechem. Stukając młotkiem, Harrison uzyskał względny spokój.

McGill kontynuował:

- Jeli chodzi o pańską sentencję, panie Gunn, to wcale nie uważam, by łacina miała dodawać cnoty głupocie i dlatego nie sądzę, by zawsze obowiązywały nas zasady wychwalania zmarłych. Szukamy tu prawdy, a prawda jest prosta: liczba ofiar katastrofy w Hukahoronui nie musiała być tak wysoka. Przyczyna tego leży w działaniach, reakcjach oraz biernoci wielu ludzi, którzy postawieni w obliczu nie mającej precedensu sytuacji, nie byli w stanie jej zrozumieć. Pan Quentin był jednym z takich ludzi.

Wiem, że zginął w katastrofie i to miernieś bohaterskie. Jednak prawda musi zostać powiedziana, by inni, kiedy w przyszłości, wiedzieli, co należy zrobić w podobnej sytuacji.

- Panie przewodniczący! - Gunn wymachiwał ręką, ale ubiegł go Rickman. Stał już z uniesionym palcem.

- To jest karygodne! Czy wiadek został tu powołany do wygłaszania mów i pouczania nas o naszych obowiązkach? Czy musi...

Młotek Harrisona upadł z ostrym trzaskiem, przerywając Rick-

manowi w pół słowa.

- Panie Rickman, ponownie przypominam, że to nie rozprawa sądowa i procedura przebiega według mojego osobistego uznania.

Doktor McGill po prostu jeszcze raz przedstawił naturę oraz intencje tej komisji dochodzeniowej, słowami lepiej dobranymi i wnikliwszymi, niż te, którymi ja uczyniłem to wczoraj, w trakcie obrad wstępnych; Zauważyłem u adwokatów godną pożałowania inklinację do posługiwania się nieszlachetnymi chwytami, przed czym przecież ostrzegałem. Dłużej nie będę już tego tolerował.

Zapadła miertelna cisza.

Dan Edwards skrzętnie notował, pomrukując:

- wietnie! wietnie! wietnie! W końcu jaki niezły materiał. -

Wyrwał kartkę i podał ją stojącemu za nim gońcowi: - Leć z tym jak najszybciej do redakcji.

Harrison odłożył młotek.

- Doktorze McGill, mówił pan, że kierownictwo kopalni spotkało się z radą miejską Hukahoronui w piątek po południu, szesnastego lipca.

- Nie, sir. Powiedziałem tylko, że taki plan zapadł rano. Jednak do spotkania nie doszło.

- Dlaczego?

- Trzej radni przebywali tego dnia poza miastem i niemożliwym stało się zwołanie quorum. Spotkanie odbyło się dopiero następnego dnia, w sobotę rano.

- Pół dnia zwłoki.

- Tak, sir. - McGill zawahał się. - Razem z panem Ballardem zastanawiałimy się, czy nie zwrócić się do dwóch radnych obecnych w mieście, ale odstąpiliśmy od tego projektu. Doszliśmy do wniosku, że tak ważną sprawę powinno się przedstawić całej radzie.

Nie chcieliśmy dwukrotnie tłumaczyć tej skomplikowanej historii.

- Spotkalicie się zatem w sobotę?

- Tak, sir. Na moje życzenie przybyła jeszcze jedna osoba.

- Kto taki?

- Pan Turi Buck. Muszę wyjawić, że nie uczestniczyłem w całym spotkaniu. Wyszedłem w połowie.

Harrison pochylił się i spytał Reeda:

- Czy pan Buck jest obecny?

- Tak, panie przewodniczący. - Reed odwrócił się na krzele. -

Zechce pan podejść, panie Buck?

Turi Buck stanął przed stołem sędziowskim.

- Czy uczestniczył pan w całym, interesującym nas spotkaniu? - zapytał Harrison.

- Tak, sir. - Głos Turiego brzmiał zdecydowanie.

- W takim razie proszę, aby zechciał pan zastąpić doktora

McGilla na ławie wiadków.

McGill wrócił na swoje miejsce. Kiedy mijał Ballarda, mrugnął porozumiewawczo.

- Panie Buck, czy łączy może pana pokrewieństwo ze słynnym

Maorysem Sir Peterem Buckiem? - spytał Harrison.

Na pokrytej zmarszczkami twarzy Turiego pojawił się cień uśmiechu.

- Nie, sir.

- Ach, tak. - Harrison przysunął do siebie notatnik. - Czy może mi pan powiedzieć, kto był obecny na spotkaniu?

- Był tam ja... pan Ballard i pan Cameron z kopalni. Był tam doktor McGill. A także pan Houghton, burmistrz i pan Peterson, to znaczy John Peterson i Eric Peterson, pan Warrick i pani Samson.

- Ta ostatnia piśtka to, jak rozumiem, członkowie rady?

- Tak, sir.

Harrison zerknął na listę.

- A pan Quentin?

- Tak, też tam był. Zapomniałem o nim.

- A więc, panie Buck, czy może mi pan zrelacjonować przebieg tego spotkania?

Turi zmarszczył brwi.

- Rozpoczął je doktor McGill, opowiadając o tym, co odkrył.

Z tego, co słyszałem tutaj, rzekłbym, że było to dokładnie to samo, co powiedział w piśtek na spotkaniu w kopalni. Ostrzegł wszystkich, że istnieje niebezpieczeństwo lawiny i wyjaśnił dlaczego.

- Jaka była ogólna reakcja?

- Nie uwierzyli mu.

Lyall podniósł rękę.

- Panie przewodniczący!

- Słucham, panie Lyall?

- Jest moim obowiązkiem przypomnieć, że spośród dziesięciu osób obecnych na tamtym spotkaniu, tylko cztery mogły ewentualnie wziąć udział w naszym dochodzeniu. Powinienem też dodać, że spośród pięciu członków rady, tylko Eric Peterson znajduje się tutaj.

Harrison spojrzał na niego.

- Skoro przekazał mi pan już tę informację, której treść, pragnę dodać, była mi znana, to co, pana zdaniem, powinienem z nią zrobić?

- Omielam się zauważyć, sir, że pan Eric Peterson jest najbardziej predystynowany, by przekazać nam reakcje radnych.

- Czy pan Peterson życzy sobie wystąpić w charakterze świadka?

- Tak.

- W takim razie poprosimy go później. Obecnie za wysłuchamy zeznań pana Turiego Bucka.

- Panie przewodniczący, pozwolę sobie jeszcze zwrócić uwagę na to, że z ówczesnego kierownictwa kopalni jedynie pan Ballard znajduje się z nami. Panowie Dobbs i Quentin nie żyją, a pan Cameron przebywa w szpitalu. Powszechnie wiadomo w Hukahoronui, że pan Ballard i pan Buck są od wielu lat przyjaciółmi, natomiast dowiedziono przyjani pomiędzy panem Ballardem i doktorem McGillem. Czy w takim razie zeznania składane tutaj nie są

zbyt jednostronne?

Harrison rozparł się w fotelu.

- Jest oczywiste, panie Lyall, że robi pan przynajmniej jednš z dwóch rzeczy. Kwestionuje pan albo uczciwoć komisji, albo rzetelnoć wiadków. Możliwe, że jedno i drugie. Czy właciwie pana zrozumiałem?

- Na pewno nie kwestionuję uczciwoci komisji, sir.

Turi uniósł się nieco z krzesła. Na jego twarzy odmalowała się uraza, Ian Ballard, wiercšc się, tršcił Rickmana pod żebra i powiedział:

- A to drań! Bezwzględny łajdak! Wtršć się i zadaj pytania, które ci dałem.

Rickman pokręcił głowš.

- To nierozsšdne. Byłoby to wbrew interesom towarzystwa. -

Odwrócił się, by spojrzeć na Lyalla. - Zobacz, jakie wywołał poruszenie.

- Do diabła, zarzuca nam jakie kombinacje.

Rickman popatrzył na niego obojętnie.

- Ale nie miesza do tego firmy.

Turi Buck uniósł bezradnie ręce. Drżały, gdy zwrócił się do Harrisona:

- Czy wolno mi opuć to miejsce, sir?

- Nie, panie Buck. - Harrison odwrócił głowę. - Słucham, panie

Ballard?

- Chciałbym zadać pytanie wiadkowi.

Harrison zdziwił się.

- Myślałem, że ma pan swego reprezentanta. Już na początku tego dochodzenia uprzedzałem, że nie może się ono zmienić w ogólną dyskusję.

Ballard wyjął:

- Przed trzydziestoma sekundami pan Rickman przestał być moim osobistym reprezentantem. Oczywiście w dalszym ciągu pozostaje przedstawicielem firmy.

Przez salę przetoczyła się fala wzburzonych głosów, a ponad nimi wzniósł się okrzyk Rickmana:

- Ty durny młokosie! Co robisz, do jasnej cholery?

- Włanie cię wylałem - zwięśle odparł Ballard.

Harrison z wigorem okładał stół młotkiem, by osiągnąć wreszcie względny spokój.

- Jeli ponownie wybuchnie wrzawa, każę opróżnić galerię dla publiczności - owiadczył. - Dochodzenie ma być prowadzone w sposób uporządkowany. - Odczekał, dopóki nie zapadła całkowita cisza, przerywana jedynie skrzypieniem starej, drewnianej podłogi i dopiero wtedy zwrócił się do Ballarda:

- Czy chciałby pan może poprosić o odroczenie obrad, by znaleźć nowego doradcę prawnego?

- Nie, sir. Przynajmniej nie dzisiaj. Jestem zadowolony, mogę reprezentować samego siebie. Nie chciałbym marnować czasu ko-

misji.

Harrison pozwolił sobie na chłodny uśmiech.

- To bardzo chwalebne. Pragnąłbym, by i prawnicy poszli za pańskim przykładem. Zamierza więc pan przesłuchać pana Bucka?

- Tak, sir.

- Wnoszę sprzeciw - wtrącił Rickman. - Pomijając obrazę płynącą z tak pogardliwego i publicznego zwolnienia mnie, uważam tego rodzaju posunięcie za niezgodne z przepisami.

Harrison westchnął.

- Panie Rickman, wielokrotnie już panu wyjaśniałem, że sposób postępowania komisji pozostaje sprawą mojego uznania. Nawet w sądzie jest dopuszczalne, by kto reprezentował siebie samego, jeśli z jakich względów woli nie korzystać z pomocy, inaczej mówiąc, nie angażować adwokata. Dlatego też zgadzam się na propozycję pana Ballarda. - Podniósł rękę. - I nie podejmę już żadnej dyskusji na ten temat. Proszę kontynuować, panie Ballard.

Ballard uśmiechnął się do Turiego.

- Nie zamierzam komentować uwag, które tu padły, pragnę jedynie nawiązać do ostatniego, najważniejszego zwińszek ze spraw, oświadczenia. Panie Buck, powiedział pan, że radni nie uwierzyli doktorowi McGillovi, gdy poinformował ich o niebezpieczeństwie lawiny. Co powodowało ich nieufność?

- Mówili, że w tej dolinie nigdy nie występowały lawiny.

- Ach tak? Panie przewodniczący, czy jest możliwe rozłożenie

mapy okolic gdzie w widocznym miejscu?

- Przygotowaliśmy się na takš ewentualnoć. Panie Reed, proszę tego dopilnować.

Niebawem, za krzesłem dla wiadka, rozpięto na stojaku mapę o dużej skali. Harrison odezwał się:

- Skoro mapa jest swego rodzaju dowodem, musimy być pewni, że stanowi dowód najlepszy. Panie Reed, proszę wezwać rzeczoznawcę.

- Wezwać pana Wheelera.

Ballard nie znał tego wiadka, przyglšdał mu się więc z zainteresowaniem. Potem przeniósł wzrok na mapę i nagle zmrużył oczy.

Reed ustalał wstępne formalności:

- Jak się pan nazywa?

- Harold Herbert Wheeler.

Harrison oznajmił:

- Nie ma potrzeby, by zajmował pan miejsce dla wiadków.

Pańskie zeznania będąš czysto techniczne i nie potrwajš długo. Jaki wykonuje pan zawód?

- Jestem kartografem zatrudnionym w Departamencie Gruntów i Miernictwa Rzsdu Nowej Zelandii.

- I opracował pan tę mapę specjalnie dla naszych potrzeb?

- Tak, sir.

- Co ona przedstawia?

- Dolinę Hukahoronui, w tym obszar miasta Hukahoronui

w skali 1:2500, czyli jednemu centymetrowi odpowiada dwadzie-
cia pięć metrów.

- Czy przedstawia ona dolinę przed, czy po katastrofie?

- Przed, sir. Została narysowana zgodnie z najnowszymi ustale-
niami Biura Topograficznego.

- Dziękuję, panie Wheeler. To wszystko.

- Czy pan Wheeler mógłby pozostać, na wypadek dalszych
pytań? - spytał Ballard.

Harrison zmarszczył brwi.

- Ssdzę, że tak. Panie Wheeler, proszę więc pozostać do naszej
dyspozycji.

Ballard studiował mapę.

- Panie Buck, proszę, wskazać na tej mapie swój dom. - Turi
zbliżył się i pokazał palcem punkt na mapie. - A teraz skład Peter-
sonów. - Ręka Turiego zatoczyła łuk i zatrzymała się. - A mój dom?

I jeszcze wejście do kopalni? - Turi wskazywał kolejne miejsca.

- Nie widzę w tym żadnego sensu - zaproponował Rickman.

- Pragnę udowodnić, że pan Buck potrafi czytać mapę równie
dobrze, jak każdy z nas - wyjął Ballard cierpliwie. - Panie Buck,
czy na spotkaniu z radš także przedstawiono mapę?

- Tak, ale nie tak duŹš, jak ta.

- I poproszono pana o wskazanie rŹšnych miejsc?

- Tak, sir.

- A teraz proszę się dobrze zastanowić. Proszę nie sugerować się

moimi pytaniami, a mówić jedynie to, co zostało powiedziane na tamtym spotkaniu. Rozumie pan?

- Tak.

- Dlaczego wziął pan udział w spotkaniu?

- Bo doktor McGill prosił, żebym na nie poszedł.

- A czy wie pan, dlaczego o to prosił?

- Mówił, że więcej wiem o historii Hukahoronui niż ktokolwiek inny.

- Powiedział pan, że radni zareagowali stwierdzeniem, jakoby w dolinie nigdy dotąd nie występowały lawiny. Czy taka była reakcja wszystkich radnych?

- Tak, przynajmniej początkowo.

- Czyli, że później ich poglądy różnicowały się. Dowiedzmy się dlaczego. Panie Buck, jest pan Maorysem. Czy rozumie pan język maoryski?

- Tak, sir.

- Czy w takim razie mógłby przetłumaczyć nam pan nazwę "Hukahoronui"?

- Tak, sir. Oznacza to "wielkie obsunięcie niegu".

Za plecami Ballarda rozległ się przytłumiony pomruk.

- Panie Buck, czy zechciałby pan jeszcze raz wskazać nam swój dom. Między nim, a zboczem góry wznosi się wielka skała, prawda? Jak się ona nazywa?

- Kamakamaru.

- Kamakamaru - powtórzył Ballard. - Czy może pan także tę nazwę przetłumaczyć?

- Znaczy to "skała schronienia".

Także i ten przekład spowodował szepty w sali.

- Kiedy został wybudowany pański dom, panie Buck?

- Zbudował go mój ojciec, około 1880 roku, lecz wcześniej stał tam dom zbudowany przez mojego dziadka.

- Ustalmy teraz co innego. Pańska rodzina nie mieszkała w Hukahoronui przed przyjazdem białych osadników do Nowej Zelandii?

- Przed Pokehol Nie, sir. Moi przodkowie przybyli z Wyspy Północnej. - Turi umiechnął się. - Mówiło się, że ucieklimy na Wyspę Południową przed Pakeha.

- Czy to pańscy przodkowie nadali nazwy dolinie i skale?

- Nie, te nazwy już były. Niedaleko mieszkało paru naszych ludzi. Nie w samej dolinie, w jej pobliżu.

- Czy pański ojciec wybudował nowy dom, gdyż, powiedzmy, stary został zniszczony przez lawinę?

- Nie, sir. Stary dom był po prostu w złym stanie, a rodzina powiększyła się.

Ballard milczał przez chwilę, zaglądając do notatek. Wreszcie podniósł głowę i zapytał cicho:

- Panie Buck, czy pamięta pan osobicie jakąś lawinę w Hukahoronui?

- Tak, spadła w 1912 roku, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Rodzina Baileyów wybudowała dom niedaleko naszego, ale nie osłaniała go Kamakamaru. Mój ojciec ostrzegał Baileyów, ci jednak nie usłuchali go. Zimą 1912 spadła lawina i zmiotła dom Baileyów. Zginęła cała rodzina, wszyscy siedmioro. - Spojrzał na Ballarda i dodał stanowczo: - Byłem tam, pomagałem odkopywać ciała.

- A więc skała Kamakamaru spełniła rolę klina rozszczepiającego. Czy tak?

- nieg obsuwał się wokół Kamakamaru, a nasz dom stał bezpiecznie.

- Za to dom Baileyów został zniszczony. Czy miały miejsce jeszcze jakie lawiny?

- Owszem, w 1918. - Turi zawahał się. - Nie widziałem tego, służyłem wtedy w wojsku. Ojciec napisał mi w liście, że znowu spadła lawina.

- Czy też z zachodniego stoku?

- Tak. Nikt wtedy nie zginął i nic nie zostało zniszczone, ale nieg zablokował bieg rzeki, co spowodowało powód. Farmerom potopiło się wiele dobytku.

- Szecioletnia przerwa. A następne obsunięcie?

- W 1943 roku.

- Widział pan, jak lawina spadała?

- Nie, ale pamiętam, że połamała wiele drzew na zachodnim stoku. Póniej zbierałem tam drewno na opał.

- Tak - zgodził się Ballard. - Przez następne dwa, trzy lata

leżało tam masę dobrego drewna. Czy w lawinie w 1943 roku kto zginął?

Turi otworzył szeroko oczy.

- Ależ tak, Ian. Zginął wtedy twój ojciec.

Sala przyjmowała w milczeniu dotychczasowe odpowiedzi Turiego, lecz teraz poryw zdławionych uczuć wyzwolił się w fali głosów. Harrison taktownie odczekał, aż same umilkły i dopiero wtedy zastukał młotkiem.

Ballard pytał dalej:

- Czy mógłby pan wskazać na mapie miejsce, w którym zginął mój ojciec?

Turi wyciągnął rękę.

- Tu - powiedział - dokładnie tu, gdzie teraz znajduje się biuro kopalni.

- Skąd pan wie, że to właśnie tam?

- Bo pokazałe mi to miejsce trzy dni po wypadku. Widziałe, jak to się stało.

- Ile miałem wtedy lat, panie Buck?

Turi zastanowił się.

- Chyba cztery.

- Panie Buck, przekazał nam pan wiele informacji. Czy te same przedstawił pan radnym na spotkaniu?

- Tak.

- Dziękuję, panie Buck.

Ballard opadł na krzesło i spojrzał w bok, na Lyalla, który już trzymał rękę w górze.

- Chciałbym zadać wiadkowi jedno, może dwa pytania.

Harrison skinął głową.

- Proszę bardzo.

- Czy lawina w 1943 roku była duża?

Turi przez chwilę zastanawiał się, po czym żywo przytaknął:

- Bardzo duża. Większa niż ta z 1912 roku.

Lyall wyglądał na zadowolonego.

- Rozumiem. Czy mógłby pan pokazać na mapie dokąd się-
nęła?

- Aż do podnóża stoku. Ojciec pana Ballarda zginął właśnie tam.

Nie posunęła się już wiele dalej.

- Czyli nie doszła do supermarketu Petersonów?

- Nie zbliżyła się nawet do składu Petersonów.

- Znamienny fakt. Jeli zatem supermarket Petersonów nie został zniszczony przez wielką lawinę w 1943 roku, to co spowodowało, że zmiotła go ostatnia lawina?

Turi rozejrzał się bezradnie, ale wyjaśnił:

- Oczywiście, że drzewa.

Ballard odetchnął głęboko i pozwolił Lyallowi dalej kopać sobie dołek.

- Drzewa! - powiedział Lyall. - Czy ma pan na myśli ten zale-

siony obszar na zachodnim zboczu?

Turi odwrócił się i spojrzał na mapę. Przez chwilę przyglądał się jej, wreszcie powiedział:

- Ale to jest zupełnie inaczej.

Ballard poprosił o głos.

- Panie przewodniczący, chodzi mi o dowód. Chciałbym, by ponownie wezwano na chwilę pana Wheelera. Mam powody przypuszczać, że ta mapa niezupełnie odzwierciedla rzeczywistość.

Harrison spojrzał zdumiony, po czym uniósł brwi.

- Panie Lyall?

Lyall nachmurzył się, ale rzekł:

- Nie zgłaszam sprzeciwu.

Znów sprowadzono Wheelera. Ballard zwrócił się do niego:

- Panie Wheeler, proszę przyjrzeć się mapie. Czy widzi pan ten zalesiony obszar na zachodnim stoku doliny?

- Tak, sir.

- Mogę przedstawić panu pięciuset wiadków, którzy przysięgnę, że nie był on zalesiony przed obsunięciem się lawiny. Jak pan to wytłumaczy?

Wheeler nie bardzo wiedział co odpowiedzieć, wreszcie z wyranym wahaniem rzekł:

- Informacje, które naniósłem na mapę pochodzą z najwieźszych, dostępnych ródeł.

- Chyba jednak niezbyt aktualnych. Ze względu na podstawo-

wy element dowodu: brak lasu na zachodnim zboczu, mapa jest

falszywa. Zgadza się?

Wheeler wzruszył ramionami. .

- Jeli pan tak twierdzi. Nigdy nie byłem osobicie w Hukahoronui.

- Nie mogę tego powiedzieć sam, lecz zapytajmy pana Bucka.

Kiedy cięto te drzewa?

- Zaczęli je wycinać, gdy uruchomiono kopalnię. Drewno poszło do kopalni i na budowę domów.

- Czyli przed czterema laty?

- Tak. Wyrśb trwał dwa lata. W tym czasie stok niemal ogołoco.

Rolandson poruszył się i zapytał:

- Panie Ballard, czy mamy rozumieć, że uważa pan wycięcie lasu za czynnik, który spowodował lawinę?

Ballard wzruszył ramionami.

- Nie jestem ekspertem w tych sprawach. Wolałbym, żeby to pytanie skierował pan do doktora McGilla.

- Zrobię to - mruknął Rolandson i przez kilka chwil konferował z Harrisonem. Obaj spojrzeli na Wheelera, który nerwowo szurał nogami.

- Nie był pan w Hukahoronui, a mimo to przedstawia pan tę mapę jako dowód - z niedowierzaniem powiedział Harrison. - Tak właśnie pan sugerował, prawda?

- Tak - przyznał nieszczęśliwie Wheeler.

Jeszcze gorzej się poczuł, gdy usłyszał od Harrisona kilka gorzkich słów. W końcu przewodniczący odesłał go.

Kiedy Lyalla poproszono o dalsze pytania, przezornie nie zadał już żadnego. Ballard natomiast poprosił znowu o głos.

- Chciałbym spytać pana Bucka o jeszcze jedną sprawę.

- Proszę bardzo.

- Panie Buck, jaka była bezprecedensowa reakcja radnych na pańską opowieść dotyczącą lawin w Hukahoronui?

Turi Buck zamarł i cichym głosem szepnął:

- Wolałbym o tym nie mówić.

- Panie Buck, muszę zadać to pytanie.

- Nic nie powiem. - Potrząsnął głową.

- Musi pan odpowiedzieć - upomniał go Harrison, lecz i to nie na wiele się zdało.

Przez chwilę Harrison spoglądał z zakłopotaniem na Ballarda, ale ten wzruszył bezradnie ramionami. W sali zapanowała absolutna cisza, gdy nagle ktoś powiedział:

- Mogę wyjawić tę sprawę.

Harrison gwałtownie odwrócił głowę.

- Doktorze McGill, to jest w najwyższym stopniu niestosowne.

McGill zbliżył się.

- Panie przewodniczący, jedynie cztery osoby są w stanie udzielić odpowiedzi. Pan Buck odmawia z powodów, które potrafię zro-

zumieć. Pan Eric Peterson nie odpowie z przyczyn dla mnie oczywistych. Ze względów przyzwoitoci, pan Ballard nie może, gdyż przesłuchuje właśnie pana Bucka. Nie może więc jednocześnie zadawać pytań i odpowiadać na nie. Ze wszystkich, biorących udział w spotkaniu, pozostają tylko ja.

Harrison westchnął.

- No więc dobrze, proszę odpowiedzieć na pytanie. Panie Ballard, jak ono brzmiało?

- Jak zareagowali radni na opowieść pana Bucka?

McGill rozpiął zamek saszetki i wyjął z niej płaski notatnik.

- Jak mam to w zwyczaju, dokonałem notatek bezpośrednio po zebraniu. Mogę więc odczytać dokładny zapis tego, co powiedzia-

no. - Odszukał odpowiednią stronę i spojrzał w kierunku Erica

Petersona siedzącego obok Lyalla. - Dokładne słowa Erica Peterso-

na brzmiały: "Turi Buck jest ciemnym, starym czarnuchem. Nic nie wie, nigdy niczego nie wiedział, ani wiedzieć nie będzie".

Na galerii prasowej wybuchło istne piekło.

Sala eksplodowała hałaśliwym gwarem, a Harrison daremnie

tłukł młotkiem w stół sędziowski, gdyż zgiełk i tak zagłuszał wszyst-

ko. Kiedy w końcu nieco się uciszyło, oznajmił gniewnie:

- Odraczam przesłuchanie aż do odwołania i do chwili, kiedy

obecni zdołają zapanować nad swoimi emocjami.

IX

- Turi Buck jest ciemnym, starym czarnuchem. Nic nie wie,

nigdy niczego nie wiedział, ani wiedzieć nie będzie.

Słowa te zawisły ciężko w pełnej zażenowania ciszy w holu hotelu D'Archiac, spełniającym rolę sali posiedzeń rady miejskiej.

W końcu Matthew Houghton kaszlnął nerwowo.

- Nie powiniene mówić w ten sposób, Eric.

Ballarda to także zdenerwowało.

- Też tak uważam, do cholery.

John Peterson, który stał obok, położył dłoń na ramieniu brata.

- Eric, jeli nie potrafisz gadać z sensem, to lepiej zamknij swój niewyparzoną gębę. Zaczynasz się zachowywać jak Charlie. - Spojrzał na Turiego. - Proszę wybaczyć.

- Chyba to raczej Eric powinien go przeprosić - nie mógł darować Ballard.

Eric poczerwieniał, ale nie odezwał się. John Peterson zignorował Ballarda i zwrócił się do McGilla:

- No więc wywłócił pan lawiny z przeszłości, a teraz przewiduje kolejną.

- Tego nie powiedziałem.

- Co w takim razie pan mówi? - domagał się jasności Houghton.

McGill rozłożył ręce.

- Któż by się przejmował kilkoma tysiścami ton niegu spadającymi z góry? To ciśgłe zdarza się w Alpach Nowozelandzkich.

Jeli jednak w tym czasie kto znajdzie się na ich drodze, okaże się to bardzo niebezpieczne. A w takiej właśnie sytuacji znalelicie się.

Grozi wam potencjalne niebezpieczeństwo.

- Ale nie aktualne? - dopytywał się John Peterson.

- Więcej powiem po drugiej serii testów. Jedno jest pewne, zagrożenie wcale się nie zmniejsza.

Peterson znów zabrał głos.

- To wszystko wydaje mi się bardzo cieniutkie. Z tego, co pan nam tu opowiada wnioskuję, że namawia pan nas do wydania mnóstwa pieniędzy z powodu czego, co może nigdy nie nastąpić.

- Jest co, czego nie rozumiem - powiedział Houghton. - Jeżeli w przeszłości spadały tu lawiny, czemu nie zburzyły domów? Mój dom wybudowano w dolinie jako drugi, dziadek postawił go w 1850 roku, dwa lata po porozumieniu z Otago.

- Spójrzmy na mapę - zaproponował Ballard i przesunął ją po stole w stronę Houghtona. Matt, przypomnij sobie, jak tu wszystko wyglądało, powiedzmy dwadzieścia lat temu, zanim rozbudowano miasto po uruchomieniu kopalni. Zaznacz domy, które pamiętasz z tamtego okresu. - Wręczył Houghtonowi pióro.

- No więc, mój dom stał tutaj, Turiego Bucka tu, z tym, że wiemy dlaczego on ocalał. Tutaj dom Cunninghamsów i dom Pearmana...

- ... i posiadłość Jacksona, i dom starego Fishera - podpowiedziała pani Samson.

Houghton powoli zaznaczył je wszystkie i wyprostował się. Bal-

lard dodał:

- Nie zapomnij o kociele, szkole i zakładzie Petersonów.

Houghton naniósł kolejne krzyżyki na mapę.

- Przyjrzyj im się teraz - powiedział Ballard. - Zabudowa była mocno rozproszona i tak wkomponowana w teren, że każdy z tych

budynków posiadał w jakim stopniu zabezpieczenie przed obsu-
nięciami z zachodniego stoku. - Wziął pióro. - Wiemy jednak, że

tutaj znajdował się jeszcze jeden budynek - dom Baileyów. - Zazna-
czył jego położenie na mapie. - Już nie istnieje.

- Do czego zmierzasz? - spytała pani Samson.

- Kiedy przybyli tu pierwsi osadnicy, w połowie ubiegłego wie-
ku, nie zadawali sobie większego trudu prowadzeniem kronik,
niewiele więc wiemy o zniszczonych domach. Tylko dzięki Turiemu
usłyszeliśmy o domu Baileyów. Założę się, że domy, które Matt
włanie zaznaczył sš tymi, które ocalały.

- To ma sens - przyznał Phil Warrick. - Jeli komu zniszczyło
dom, to, jeżeli miał choć trochę rozumu, nie odbudowywał go
w tym samym miejscu.

- Jeli sam ocalał. Baileyom to się nie udało - powiedział McGill,
kładšc dłoń na mapie. - Tamte domy ocalały, gdyż ich budowniczo-
wie mieli szczęście, albo wiedzieli w czym rzecz. Ale teraz macie tu
całe miasto, a nie kilka rozrzuconych budynków. To włanie stano-
wi zagrożenie.

- Co więc według pana powinniśmy zrobić? - spytał John Pe-

terson.

- Chcę, żebyście przyjęli do wiadomości, że istnieje niebezpieczeństwo lawiny, to tylko pierwszy krok, ale przyjdzie kolej i na resztę. Musicie zatem podjąć niezbędne środki ostrożności, najpierw na krótko, potem na dłuższą metę. Musicie o zagrożeniu poinformować odpowiednie władze spoza doliny. Musicie być przygotowani na lawinę, jeśli spadnie. Musicie zaopatrzyć się w sprzęt ratunkowy i zmagazynować go w bezpiecznych miejscach, łatwo dostępnych w przypadku katastrofy. Musicie mieć przeszkolonych ludzi, którzy będą potrafili go używać. I ostatnia sprawa - musicie opracować plan, na wypadek, gdyby zaszła konieczność ewakuowania miasta. W wielu z tych spraw mogę służyć wam radą.

Eric Peterson zaproponował.

- Mój brat ma rację. Proponuje pan, byśmy wydali mnóstwo pieniędzy na zabezpieczenie się przed czymś, co może się nigdy nie zdarzyć. Jeśli mamy szkolić ludzi, to trzeba ich opłacić, sprzęt też kosztuje. Skąd mamy wziąć pieniądze?

Quentin rozemiał się gorzko.

- To jeszcze nic. Poczekajcie, aż usłyszycie o zabezpieczeniach długoterminowych. - Wymierzył palcem w McGilla. - Jeśli ten człowiek postawi na swoim, to doprowadzi do zamknięcia kopalni.

- Co do diabła? - John Peterson spojrzał na Ballarda. - Co to za

głupie gadanie?

- Spytaj McGilla ile będzie kosztowało zabezpieczenie kopalni - rzucił*Quentin. - Na naszym ostatnim spotkaniu mówiło się o milionach dolarów, a wszyscy wiemy, że towarzystwo na to nie pójdzie.

- Tu nie chodzi o zabezpieczenie kopalni - sucho powiedział Ballard. - Ale o zabezpieczenie miasta, W takiej sytuacji przysługuje nam subwencja rządowa.

Eric Peterson rozemiał się krótko.

- Wiadomo, że subwencje rządowe nie pokrywająś wszystkiego, do tego im daleko. Przekonalimy się o tym, kiedy rozbudowywalimy szkołę. A mówisz przecież nie o tysiącach, ale o milionach dolarów. - Spojrzał na brata. - Wyobra sobie, jakie dołożś nam w przyszłym roku podatki, jeli temu zidiociałemu fantacie uda się przeforsować swój plan.

- Eric, a ile jest warte twoje życie? - spytał Ballard.

- Co to za kretyńskie pytanie! Odpowiem ci jednak. Jest warte tyle samo, co życie jednego z moich braci, tyle i nic więcej.

- To było zupełnie niepotrzebne - szybko wtrścił Houghton.

- Sam mnie sprowokował - powiedział Eric. - W każdym razie, z tego co mówił wynika, że powinienem się czuć bezpieczny. - Postukał palcem w mapę. - Mój dom należy do tych, które ocalały.

- Mylisz się - uprzedził go Ballard. - Przestał być bezpieczny

w chwili, gdy na zachodnim stoku wycięto drzewa. Czy to był twój pomysł?

- A co to ma wspólnego z czymkolwiek?

- Te drzewa ocalały skład w 1943 roku. Teraz już nic nie chroni cię przed niegiem. Zrobiła marny interes.

Eric wstał.

- Z tym akurat mogę się zgodzić. Zrobiłem zły interes, a raczej mój ojciec. Doskonale wiesz, że kiedy twoja matka sprzedała mu ten teren, oszukała go na prawach do eksploatacji minerałów. Wykazała się sprytem, co? Zatrzymała nawet skrawek gruntu u podnóża, gdzie teraz stoi kopalnia, akurat tyle miejsca, by postawić kruszarkę do obrabiania rudy, wydobywanej z naszej ziemi.

Ballard przetarł oczy.

- To nie tak, Eric. To mój ojciec oddzielił prawa do minerałów od nieruchomości. Zastrzegł to w testamencie. Twój ojciec kupił tę ziemię pięć lat, dopiero w 1948 roku, prawda?

- Dodiabła z tym! - zaklął Eric. - Ona ciśgle dostaje złoto.

- Nic nie dostaje - powiedział Ballard. - Sama nie posiada praw do minerałów.

- Wymyśl co innego - zadrwił Eric. - Wszyscy jesteście Ballardami.

Matt Houghton zabębnił palcami o stół.

- Zdaje się, że odeszliśmy od tematu. - Nerwowo spojrział na

Erica.

- Tak - zgodził się McGill. - Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale wątpię, by miało to co wspólnego ze niegiem na zboczu. Natomiast te wycięte drzewa majš, nic juŹ teraz nie wiŹsze niegu.

Eric wzruszył ramionami i usiadł.

- Swojš drogš to kiepski teren. Zbyt stromy na wypas bydła i nawet sianokosów nie mogłem tam dokończyć w tym roku.

McGill gwałtownie uniósł głowę.

- Jakich sianokosów? - spytał ostro.

- Czy to kogo obchodzi?

- Lepiej, Źebym wiedział. Co się stało z pokosem trawy?

John Peterson spojrzał bezradnie w sufit.

- Na miłoc boskš, Eric! Zaspokój jego ciekawoc. MoŹe wów-
czas skończymy wreszcie zebranie. Mam kilka spraw do załat-
wienia.

Eric niedbale wyjanił.

- Najpierw spadł deszcz i zmoczył trawę, więc nie mogli my jej
zwieć. Mylałem, Źe się wypogodzi, ale gdzie tam, lało aŹ do samej
zimy, więc dałem spokój. Zresztš i tak zaczęła juŹ gnić.

- I po prostu jš zostawiłe - dokończył McGill. - WciŹš tam leŹy
nie cięta. Czy tak?

- Zgadza się - powiedział i dodał z uraŹš: - Ale niech mnie
diabli wezmš, jeli wiem co ci do tego.

McGill przeszył go długim spojrzeniem.

- ciśnie drzewa, co było już dostatecznie głupie. Później zostały wyle nie skoszone trawę, co jest jeszcze gorsze. Długa, mokra trawa na zboczu stanowi najbardziej liskie podłoże. Jednym słowem poważnie wzrosła szansa na lawinę.

Warrick wtrzącił:

- Było tam lisko, wiem. Próbowałem wspiąć się na ten stok w czasie deszczu i po trzeciej próbie musiałem zrezygnować.

- Co tu się ze mnie robi? Wroga publicznego? - zdenerwował się Eric. - Kim jest, psiakrew, ten dowcipni, żeby mnie oskarżać.

- Nikogo o nic nie oskarżam, może tylko o krótkowzroczność - wyjął McGill. - Pierwszym symptomem niebezpieczeństwa jest onieźna góra, a wy, choć macie ją za plecami, zdajecie się jej nie zauważać.

- Doktor McGill ma rację - powiedział Ballard.

Eric Peterson zerwał się.

- Nikt, kto nosi nazwisko Ballard nie ma prawa oskarżać mnie o cokolwiek - rzucił zaczepnie. - Nikt z tchórzliwych...

- Dość tego - ucięła ostro pani Samson. - Nie ma co wracać do przeszłości.

- O co tu chodzi? - spytał Warrick, przenosząc wzrok z Ballarda na Erica Petersona. Wyglądał na zbitego z tropu, jak człowiek wiadomy tego, że nie dostrzega rzeczy oczywistych.

Matt Houghton spojrział ponuro.

- To stara historia, nie maśca nic wspólnego z omawianym

tematem.

McGill wstał.

- Panowie, dostalicie mój raport. Leży na stole, przed wami i choć napisany został technicznym językiem, wyjaśniłem jego treść w prostych słowach. Nic więcej nie mogę zrobić, pozostawiam więc was samych, bycie mogli wszystko przedyskutować.

- Dokąd pan idzie? - spytał Houghton.

- Trochę popracować.

- Gdzie możemy pana znaleźć, gdybyśmy potrzebowali dalszych informacji.

- W domu pana Ballarda - powiedział McGill - lub na zachodnim stoku, powinienem go znowu zbadać. Ale nie wysyłajcie nikogo po mnie na górę. W zasadzie, od tej chwili nikt nie powinien wchodzić na ten stok. Jest piekielnie niebezpieczny.

Opucił zebranie.

x

Ian Ballard przepłynął jeszcze jedną długość basenu, nim wyszedł. Podniósł z brezentowego krzeselka ręcznik i zaczął się wycierać. Należał mu się ten miły relaks po dniu przesłuchań. Nalał sobie piwa i zerknął na zegarek, zanim założył go na rękę.

Mikę McGill bez popiechu przeszedł przez trawnik i podał Ballardowi kopertę.

- Jak zwykle interesy. Staremu Harrisonowi pewnie już minął zły humor. Przypuszczam, że to wezwanie, bo ja też dostałem.

Ballard otworzył kopertę. McGill miał rację. List podpisał Reed, sekretarz komisji. Rzucił kartkę na trawę, obok krzesła i powiedział:

- A więc kontynuujemy. Na co teraz kolej w zeznaniach?

- Sądzę, że będą pytać o pierwszą lawinę. - McGill z umie-

chem podsunął Ballardowi gazetę. - Eric dostał się do gazet.

Ballard spojrział na czarny nagłówek, przecinający szerokość strony tytułowej:

WYDRWIONY "CIEMNY CZARNUCH"

Pokręcił głową.

- Nie przypadnie mu to do gustu.

McGill zachichotał.

- Mylisz, że zechce na mnie zapolować?

- Eric nie, ale Charlie mógłby - poważnie powiedział Ballard. -

Jest na to wystarczająco szalony.

McGill rozemiał się i usiadł na trawie.

- Znalazłeś już adwokata?

- Nie.

- Lepiej zacznij szukać.

- Odkryłem w sobie ukryty talent - odparł Ballard. - Uważam,

że sam dam sobie radę zupełnie niele.

- Całkiem dobrze poradziły sobie z Turim, a Lyalla wysłała na

drzewo, zanim je podpiłowała. Niele jak na nowicjusza.

- Pan Ballard? - Ian uniósł wzrok i zobaczył młodego człowieka

z biura hotelowego. - Włanie przyszedł telegram. Pomyślałem, że

to może co ważnego, więc od razu przyniosłem.

- Dziękuję - Ballard rozdarł kopertę. - To depesza z Anglii. -

Szybko przeczytał i zmarszczył brwi. - Dlaczego miałby...?

- Jakie kłopoty?

- Niezupełnie - podał McGillowi telegram. - Dlaczego jaki fa-

cet miałby lecieć nagle przez pół wiata, żeby się ze mną zobaczyć?

- Kto to jest Stenning?

- Przyjaciel dziadka - Ballard z roztargnieniem spoglądał

w stronę basenu.

McGill zaczął snuć przypuszczenia:

- Pisze, że odlatuje nocnym samolotem. Nie ma większego zna-

czenia czy polecą na zachód, czy na wschód i tak do Auckland ma

czterdzieci godzin. Potem musi złapać lokalny rejs tutaj. Zajmie mu

to jakie dwa dni, czyli możesz się go spodziewać w sobotę rano.

- W sobotę nie ma komisji. Wyjadę po Stenninga na lotnisko.

- Lepiej przelij mu do Auckland wiadomość i zaaranżuj spot-

kanie tutaj.

Ballard skinął głową.

- Stary Ben wspominał co o Stenningu, kiedy widziałem się

z nim po raz ostatni. Powiedział, że gdyby mu się co przytrafiło,

powinienem skontaktować się ze Stenningiem. Potem stwierdził,

żebym sobie nie zawracał tym głowy, bo on sam odszuka mnie dość

szybko. Wygląda na to, że mówił poważnie.

- Kim jest ten Stenning, poza tym, że przyjaśnił się z twoim

dziadkiem?

- Prawnikiem.

- W takim razie przybywa w samą porę - stwierdził McGill. -

Potrzebujesz kogo takiego.

Ballard potrząsnął głową.

- To nie adwokat. Specjalizuje się w podatkach.

- A, jeden z tych chłopców - McGill zdusił miech. - Na pewno przyjeżdża, by wyznać ci, że pomylił się przy obliczaniu podatku spadkowego i zamiast trzech milionów po staruszku dostaniesz tylko trzy tysiące.

Ballard umięknął się.

- Nie dostanę nawet trzech centów. Ben uprzedził mnie o tym.

Oznajmił, że sfinansował moje wykształcenie, a teraz muszę stanąć na własnych nogach, tak jak on to zrobił w moim wieku. Mówiłem ci już, że wszystkie pieniądze zostały ulokowane w jakich trustach. - Przeciśgnął się. - Robi się chłodno. Wejdmy do rodka.

- W barze jest cieplej - zgodził się McGill.

Przesłuchanie

dzień trzeci

XI

Tłum dziennikarzy, zgromadzonych na galerii prasowej, przysłuchiwał się zeznaniom składanym przez Erica Petersona. Dan Edwards bezwstydnie zapewnił sobie więcej miejsca dzięki temu, że sprowadził dwóch nieopierzonych reporterów, a następnie odesłał

ich, gdy rozpoczęło się postępowanie. Na nic się to jednak nie zdało, protesty ze strony innych dziennikarzy wkrótce doprowadziły do zajęcia obu miejsc i Edwards był zmuszony gryzmolić swoje notatki w takiej samej ciasnocie, jak pozostali.

Harrison zapisał co w notesie i podniósł wzrok.

- A więc doszliśmy do momentu, w którym doktor McGill wyszedł, przedstawivszy uprzednio złe wiadomoci. Co zdarzyło się póniej, panie Peterson?

Eric Peterson wzruszył ramionami.

- Spotkanie się przedłużało. Zupełnie uczciwie muszę przyznać, że niektórzy z nas nie dali się przekonać o powadze sytuacji. Trzeba pamiętać, że cała ta sprawa spadła na nas nagle, innymi słowy, zostaliśmy zaskoczeni. W końcu, jeli kto przychodzi do ciebie i mówi: "Wnet nastšpi koniec wiata", będziesz domagał się wielu dowodów, zanim mu uwierzysz.

- Uznaję pańskš postawę - rzekł Harrison. - Czy zechciałby pan dokładniej przedstawić pogłšdy niektórych członków rady?

- Na przykład mój brat dowodził, że gdyby nawet McGill był bliski prawdy, to nie chciałby wywoływać paniki. Zgadzałem się z nim, tak samo zresztš jak Matt Houghton, burmistrz. Phil Warrick zdawał się w ogóle nie mieć żadnego zdania. Szedł po prostu z wiatrem i przyznawał rację każdemu. Pani Samson nawoływała, bymy natychmiast rozpoczęli przygotowania do ewakuacji.

- Jakie stanowisko zajęła dyrekcja kopalni?

- Pan Ballard podzielał pogląd pani Samson. Według pana

Quentina nie groziło nam rzeczywiste niebezpieczeństwo, a ostrzeżenie traktował na zasadzie czczej pogroźki. Pan Cameron skłaniał się do decyzji pana Ballarda. - Peterson zaplótł ręce. - Trzeba sobie uwiadomić, że każda decyzja dotycząca miasta musiała zostać podjęta przez radę. Nie leżało w gestii dyrekcji kopalni pouczanie radnych, co mają zrobić. Doktor McGill wyjanił nam, że ze strony zachodniego stoku nie grozi nam natychmiastowe niebezpieczeństwo i niektórym z nas wydawało się, że nie ma powodu do popiechu z zatwierdzeniem projektu, obciążającego miasto dużymi wydatkami i będącego stratą czasu.

- I straconymi głosami, gdyby nic się nie wydarzyło - cynicznie zauważył Edwards.

- _ No więc, jak powiedziałem, sporo było gadania i przez jaki czas kręciliśmy się w kółko. W końcu Matt Houghton wpadł na pomysł. Powiedział, że w tym co mówił McGill może co być, ale wolałby zasięgnąć jeszcze opinii kogo innego. Zamierzał w tym celu zadzwonić do Christchurch.

- Z kim chciał rozmawiać?

- W tym właśnie tkwił problem. Tego nie wiedział ani on, ani nikt inny. Pan Cameron sugerował kogo z Departamentu Lenictwa, twierdził, że oni powinni znać warunki lawinowe. Kto, nie pamiętam kto, proponował Departament Obrony Cywilnej. Wreszcie zdecydowano, że spróbujś w obu miejscach. Pani Samson powiedziała,

że trzeba zawiadomić policję, na co również wyrażono zgodę.

- Czy kierownictwo kopalni zaproponowało co konkretnego?

- Tak, w ramach transportu. Chciano udostępnić ciężarówki

i tym podobne rzeczy. Także buldożery.

- Kto złożył tę propozycję?

Peterson spojrział z ukosa na Ballarda. Zawahał się mówiąc:

- Nie pamiętam. Może pan Cameron.

Ballard skwitował to nieznacznym umiechem.

- Co wydarzyło się potem?

- Zakończono naradę i zdecydowano, że pomimo niedzieli spot-

kamy się nazajutrz, o jedenastej rano.

- Rozumiem. - Harrison rozejrzał się. - Czy są jeszcze jakie

pytania do pana Petersona?

Smithers uniósł rękę.

- Reprezentuję Ministerstwo Obrony Cywilnej. Czy rzeczywiście

kontaktowano się z władzami Obrony Cywilnej?

- O ile wiem, to nie.

- Dlaczego?

- Rozmawiałem po spotkaniu z Mattem Houghtonem. Nie bar-

dzo wiedział, jak postąpić. Stwierdził, że najchętniej zrobiłby to, co

zawsze przed podjęciem ważnej decyzji - po prostu przespałby się

z tym.

- A policja, czy ich powiadomiono?

- Okazało się to trochę skomplikowane. Arthur Pye wyjechał do

górnjej części doliny w zwiŝzku ze sprawŝ napastowania owiec.

- Kim jest Arthur Pye?

- Miejskim policjantem. Hukahoronui jest małš miejscowociŝ, mieliŝmy więc tylko tego jednego policjanta.

- Czy chce mi pan zasugerować, że dyskutujŝc kwestię powiadomienia policji, mieliŝcie na myli poinformowanie o tym konstabla Pye'a? - z niedowierzaniem zapytał Smithers.

- No, on pewnie przekazałby sprawę dalej - bronił się Peterson.

- Jednym słowem, nikt poza ludmi z Hukahoronui nie znał sytuacji?

- Przypuszczam, że tak włanie było.

- A w Hukahoronui znała jŝ tylko garstka ludzi.

- Tak, sir.

Smithers zajrzał do notatnika.

- Mówił pan, że kiedy zadecydowano zasięgnąć opinii innego rzeczoznawcy, pragnęŝc jŝ skonfrontować z orzeczeniem doktora McGilla, nikt nie wiedział z kim się skonsultować. - Podniósł głowę i popatrzył na Petersona z niedowierzaniem. - Czy nikt z członków rady nie zapoznał się z dyrektywami wysłanymi przez moje ministerstwo?

- Otrzymujemy wiele pism od rzŝdu - Peterson wzruszył ramionami. - Sam wszyskiego nie czytałem.

- Najwyraniej ŝaden z radnych ich nie czytał. - Smithers odechnęł głębokoj. - Panie Peterson, jako radny sprawował pan odpo-

wiedzialnš funkcję. Czy zgodzi się pan, że w waszej miejscowoci nie poczyniono żadnych przygotowań na wypadek klęski żywiołowej? Nie chodzi mi tylko o lawiny, ale żyjemy przecież w kraju często nawiedzanym przez trzęsienia ziemi, co jest głównym powodem istnienia Ministerstwa Obrony Cywilnej.

- Czy mogę zgłosić sprzeciw? - wtrcił szybko Lyall.

Harrison podniósł oczy znad notatek.

- Co to za sprzeciw?

- Pragnę przypomnieć, że miasto Hukahoronui jest stosunkowo młode i jego ludność składa się w większości z imigrantów, niedawno przybyłych do doliny. W takiej sytuacji zrozumiałe wydaje się, że poczucie zbiorowej współodpowiedzialności jest niższe, niż w rodowiskach bardziej zasiedziałych.

- Panie Lyall, takie więc sš pańskie wštpliwoci? Zdaje się pan wyręczać w odpowiedzi wiadka.

- Nie, panie przewodniczący. Sšdzę jedynie, że jest pewnš niestosownościš zadawanie panu Petersonowi tak ciężkich gatunkowo pytań. Pan Smithers uzurpuje sobie prawo, które ma komisja, do decydowania, czy problem zawarty w jego pytaniu należy do sprawy.

- Słaby argument, niemniej słuszny - przyznał Harrison. - Proszę jednak na przyszłość powstrzymać się od gwałtownych sprzeciwów. Panie Smithers, pańskie ostatnie pytanie było nieformalne.

Czy jeszcze chce pan o co zapytać?

- Nie tego wiadka - krótko odparł Smithers.

- W takim razie dziękujemy panu, panie Peterson, przypominam jednak, że może pan zostać ponownie wezwany.

Peterson, z wyraźną ulgą, opuścił miejsce dla wiadków, a Harrison nachylił się, by zamienić kilka słów z Reedem. Następnie ponownie rozsiadł się na krzele i powiedział:

- Pan Cameron, inżynier Towarzystwa Górniczego Hukahoronui był hospitalizowany przez wiele miesięcy z powodu obrażeń odniesionych w czasie katastrofy. Jednak zawiadomił komisję, że czuje się już na tyle dobrze, by móc złożyć zeznania. Znajduje się teraz wśród nas. Zechce pan podejść, panie Cameron?

Rozległ się szmer głosów, gdy Cameron, ciężko opierając się na ramieniu sanitariusza, niepewnie przemierzał salę. Stracił sporo na wadze i sprawiał wrażenie wychudzonego. Miał zapadnięte policzki, a włosy, ledwie przypruszone siwizną przed lawiną, były teraz zupełnie białe. Wyglądał na starca.

Zajął miejsce dla wiadków, a sanitariusz usiadł za nim. Reed spytał:

- Jak się pan nazywa?

- Joseph McNeil Cameron.

- Jaki jest pański zawód, panie Cameron?

- Byłem inżynierem górnictwa - stanowczo rzekł Cameron. -

Dokładnie mówiąc, byłem nim w Towarzystwie Górniczym Hukahoronui w czasie istotnym dla dochodzenia komisji. - Jego słowa, choć wymawiane powoli, brzmiały zdecydowanie.

- Panie Cameron - rzekł Harrison - gdyby w którymkolwiek

momencie poczuł pan, że nie jest w stanie kontynuować, proszę bez skrępować nam o tym powiedzieć.

- Dziękuję, panie przewodniczący.

- Rozumiem, że chce pan złożyć zeznania dotyczące wydarzeń

wieczoru tego dnia, kiedy uczestniczył pan w spotkaniu rady miejskiej. Chodzi o sobotni wieczór, prawda?

- Tak, sir. Tamtego wieczoru w hotelu D'Archiac odbywał się

dansing. Zaprosiłem na niego pana Ballarda i doktora McGilla.

Towarzyszyła nam także moja córka Stacey, która przyjechała ze

Stanów Zjednoczonych na wakacje i miała w następnym tygodniu

wracać. Na dansingu spotkaliśmy kilku znajomych i dowiedziałem

się, że burmistrz nigdzie nie dzwonił. Wiadomość ta, połączona

z nowym, niepokojącym raportem doktora McGilla, bardzo nas

zmartwiła.

- Czy mógłby pan przedstawić to bardziej szczegółowo - po-

prosił Harrison.

- Oczywiście. Włanie zaczynamy kolację...

McGill przejrzał menu.

- Gę kolonialna - przeczytał. - Niele brzmi.

Ballard zdusił miech.

- Nie spodziewaj się drobiu.

- Miałam właśnie to zamówić - oznajmiła Stacey Cameron. Była

wysoką, ciemnowłosą dziewczyną, o typowo amerykańskiej, smu-

kłej sylwetce. McGill ocenił jś wprawnym okiem i zakwalifikował jako stuprocentowy, amerykański model piękności, odmianę kalifornijskš.

- A co to jest, jeli nie ptak? - spytała.

- Teksański słowik teź nie jest ptakiem, kochanie, tylko osłem - wyjanił Cameron. - Nowozelandczycy wymylili podobny żart.

Stacey była wstrzšnięta.

- Czyźby to miała być konina?

- Nie - odparł Ballard. - To hogget z nadzieniem.

- Nic juź nie rozumiem - poskarżył się McGill. - Co to jest ten hogget?

- Co między jagnięciem a baranem. W Nowej Zelandii sš miliony owiec i niemal tyle samo sposobów ich przyrzšdzania. Gę kolonialna jest wprawdzie żartem, ale zupełnie niezłym.

- Pułapka na nieostroźnych turystów - skomentował McGill. -

A skoro juź o turystach mowa, kiedy wracasz do Stanów, Stacey?

- Zostało mi jeszcze tylko dziesięć dni - westchnęła.

- Próbowałem jś namówić, żeby została - powiedział Cameron.

- Dlaczego nie chcesz? - zapytał Ballard.

- Chciałabym - odparła z żalem. - Chociaźby po to, by zajšć się tym szaleńcem. - Nachyliła się i poklepała ojca po dłoni. - Ale mój szef z San Francisco liczy na mnie i nie mogę go zawieć.

- Nikt nie jest niezastšpiony - powiedział Cameron. - Ile czasu zajęłoby ci zwolnienie się?

- Jakie sześć miesięcy.

- Może więc wtedy?

- Zastanowię się jeszcze - obiecała. - Naprawdę.

W trakcie kolacji Cameron opowiadał o kłopotach, na jakie natknęli się podczas uruchamiania kopalni.

- Główny problem mieliśmy z ludmi. Poczłtkowo okoliczni mieszkańcy nie wykazywali zbyt wielkiego entuzjazmu. Wczeniej prowadzili bardzo ustabilizowane życie i nie pragnęli zmian. Naturalnie z wyjłtkiem starego Petersona, który dostrzegł kryjłsce się w tym moźliwoci.

- A włanie - wtrłcił McGill - jak to jest z tymi Petersonami?

I ilu ich, na Boga, mieszka tutaj?

- Trzech braci - wyjanił Ballard. - John, Eric i Charlie. Stary umarł w zeszłym roku.

Cameron dodał:

- John ma tęgłł głowę, Eric energię, a Charlie mięnie i niewiele poza nimi. Gdyby Charlie jako chłopiec miał dwa razy tyle rozumu co teraz, to i tak byłby półgłówkim. Petersonowie słł włacicielami supermarketu, stacji benzynowej, majłł połowę udziałów w tym hotelu, prowadłł kilka farm i tak dalej. Charlie marzy o przekształceniu Huka w orodek narciarski, ale nie jest to takie proste. Jego bracia twierdłł, że sytuacja jeszcze do tego nie dojrzała. Tak, stary Peterson dostrzegł moźliwoci, a synowie kontynuujłł jego dzieło.

- Zapomniałł o Liz - dodała Stacey. - Siedzi tam, przy czwar-

tym stoliku od nas.

Ballard odwrócił głowę. Nie widział Liz od swego powrotu do doliny i w pamięci miał ciśnie piegowatś, niezdarnś dziewczynkę z mysimi ogonkami i poobijanymi kolanami. To, co zobaczył, tak bardzo różniło się od zapamiętanego obrazu, że zaparło mu dech.

Liz Peterson była wyjstkowo piękns dziewczynś, o naturalnej urodzie, nie wspomaganej kosmetykami. Jej czar tkwił wewnśtrz, pod skórś, w kształcie głowy, w blasku zdrowia i młodoci, w dystygowanych, pełnych gracji ruchach ciała. Był w niej zaklęty urok młodego, zdrowego zwierzęcia, spotęgowany przez tę niewiadomś arogancję, tak charakterystycznś dla konia wycigowego czystej krwi lub rasowego psa myliwskiego.

- Na Boga! - westchnśł. - Wydorolała.

Cameron zamięł się cicho.

- To się zazwyczaj zdarza.

- Dlaczego jej wczeniej nie widziałem?

- Odwiedzała kogo na Wyspie Północnej, włanie w tym tygodniu wróciła - wyjanił Cameron. - Jadła z nami kolację w poniedziałek. Zrobiła duże wrażenie na Stacey, a moja córka nie zachwyca się byle czym.

- Lubię Liz - powiedziała Stacey. - Wie, czego chce.

Ballard pilnie wpatrywał się w swój talerz.

- Czy który z Petersonów założył już rodzinę?

- John się ożenił, a Eric zaręczył.

- A Charlie?

- Nie, na razie nie musiał. Choć z tego co słyszałem, otarł się o takś możliwość raz czy dwa. Jeli chodzi o Liz, to dawno już powinna wyjć za mż, ale Charlie ma sposoby na odstraszenie młodych ludzi. Troszczy się o siostrę jak kwoka o swoje jedyne kurczśtko.

- Petersonowie nie przepadajś za tobś, Ian - stwierdził

McGill. - O co chodziło dzi rano?

- Stara sprawa - krótko zbył Ballard. Zerknśł na Camerona. -

Wiesz o tym, Joe?

- Słyszałem - przyznał Cameron - co o Ballardach bezprawnie pozbawiajścych Petersonów kopalni.

- Tak włanie oni to przedstawiajś - mruknśł Ballard. - Może z wyjśtkiem Johna, który ma zbyt wiele rozsśdku, ale Eric rozpowszechnia historię w swojej wersji. Prawda jest taka, że mój ojciec, po kłótni z dziadkiem, wyemigrował do Nowej Zelandii. Chociaż opucił rodzinę, pozostał na tyle Ballardem, by zainteresować się złotem, które znalazł na swojej ziemi. Zdawał sobie sprawę z tego, że złóże jest zbyt mało wydajne, by rozpoczynać poważnś eksploatację, szczególnie przy ówczesnej cenie złota, ale kiedy sporzśdzał testament, przed wstśpieniem do wojska, ziemię pozostawił mojej matce, a prawo do minerałów dziadkowi.

- Pomimo faktu, że byli skłócenii? - spytał McGill.

- Był przede wszystkim Ballardem. Cóż matka mogłaby zrobić

z prawami do minerałów? Tak czy inaczej, po jego mierci matka musiała sprzedać ziemię, bo sama nie dałaby rady na niej gospodarować. Większą jej część, włącznie zachodni stok, kupił stary Peterson, ale nie zadbał o to, by sprawdzić czy nabywa jednocześnie prawa do minerałów. Nie wiem nawet, czy w ogóle go to obchodziło, lecz kiedy dziadek odkupił od matki resztę gruntu, ten kawałek u podnóża stoku, i zaczął wydobywać rudę tuż pod nosem Petersona, rozpętało się piekło. Oskarżenia o oszustwo rozrzucano wokół jak konfetti. Petersonowie zawsze byli przewiadczeni, że moja rodzina uknuła przeciwko nim misterny spisek. Oczywiście nie mieli racji, ale jako Ballard zostałem do tego przypięty.

- Sprawa wcale tak nie wygląda, kiedy przedstawiasz ją w ten sposób - stwierdził Cameron. - Tym niemniej nie dziwię się, że Petersonowie są wciekli.

- Nie wiem dlaczego - rzekł Ballard. - Są jedynymi ludmi czerpiącymi dochody z kopalni. To dzięki niej nastąpiła dla całej doliny era prosperity, a Petersonowie zbierają samą mietankę. Ballardowie z pewnością nie czerpią dochodów. Znasz koszty eksploatacyjne i wiesz, że towarzystwo ledwie wychodzi na swoje. - Pokręcił głową. - Nie wiem, co się stanie, jeśli będziemy musieli dodać do tego ekstensywne zabezpieczenia przeciwlawinowe. Przez cały dzień próbowałem złapać Crowella, ale jest nieosiągalny.

- Co to za facet? - spytał McGill.

- Prezes towarzystwa. Mieszka w Auckland.

- Myślałem o zabezpieczeniach przeciwlawinowych - powiedział w zadumie McGill. - Mogę przedstawić ci, Joe, kilka cyfr. Konstruujsz galerię przeciwlawinową nad wejściem do kopalni, przyjmij jako ciśnienie spiętrzenia sto ton na metr kwadratowy.

Cameron wzdrygnął się.

- Aż tyle? - spytał z niedowierzaniem.

-^t Rozmawiałem ze wiadkami obsunięcia w 1943 roku. Z ich relacji wynika, że spadła lawina pyłowa, taka sama jak w 1912, którą opisywał Turi Buck. Następna też może być taka.

- Pyłowa? Co to znaczy?

- Nie czas teraz na wykład o dynamice lawin. Wszystko, co powiniene wiedzieć to, że jest szybka i ma cholerną siłę uderzenia.

- Lawina z 1943 roku zamieniła czterdzieci hektarów lasu w drewno na opał - wtrącił Ballard.

Cameron odłożył widelec.

- Teraz już rozumiem, dlaczego martwisz się o miasto.

- Wiele bym dał za to, żeby rada miejska tak samo się tym przejęła jak ja - z rezygnacją stwierdził McGill.

Cameron uniósł wzrok.

- Nadchodzi Matt Houghton. Jeli mu powiesz to, co przed chwilą mnie, może wystraszy się w tym samym stopniu.

Kiedy zbliżył się połyskujący łysiną Houghton, Cameron przysunął mu krzesło.

- Siadaj Matt. Jak zareagowali ci z Obrony Cywilnej?

Houghton usiadł ciężko.

- Jeszcze nie miałem czasu z nimi porozmawiać. Ustawimy tablice na stoku. Robiš je teraz skauci Bobb/ego Fawcetta, a jutro je poustawiajš. Masz jakie Źerdzie, Joe, które moglibyśmy wykorzystać?

- Jasne - obiecał Cameron roztargnionym głosem. Popatrzył na McGilla.

Ballard pochylił się.

- Zabrakło ci czasu? Co chcesz przez to powiedzieć? Sšdziłem, że uzgodnilimy...

Houghton zatrzepotał rękami.

- Ian, jest sobota - powiedział płaczkliwie i wzruszył ramionami. - A jutro niedziela. Zapewne nie dodzwonimy się do nich przed poniedziałkiem.

Ballard popatrzył zdumiony.

- Matt, czy naprawdę sšdzisz, że Dowództwo Obrony Cywilnej jest zamknięte w czasie weekendów? Wszystko, co musisz zrobić, to podnieć tę cholernš słuchawkę.

- Uspokój się Ian. Mam doć kłopotów z Petersonami. Charlie uważa, że nikt nie może mu zabronić chodzić lub jeździć na nartach po jego własnym terenie.

- Na miłość boskš! Czy on oszalał?

Houghton westchnł.

- Znasz Charliego. Kieruje nim zadawniona nienawić.

- Co, u diabła, mogłem mieć wspólnego z tamtą transakcją. Byłem wtedy dzieckiem.

- To nie to, chodzi o coś innego. Wiesz, że Charlie był bliźniakiem Aleca.

- Ale to stało się prawie dwadzieścia pięć lat temu.

- On ma dobrą pamięć, Ian, dobrą pamięć. - Houghton potarł brodę. - Wszystko, co mówiłem nam o swoim wykształceniu, wiesz, Johannesburg, Harvard... Eric nie bardzo chciał w to uwierzyć.

- A więc myli, że jestem zarówno kłamcą, jak i tchórzem - rzekł z goryczą Ballard. - Jakie kwalifikacje trzeba według niego posiadać, żeby kierować taką firmą?

- Wspomniał o bogatym dziadku - kwano wyjanił Houghton.

Spucił oczy, czując na sobie twarde spojrzenie Ballarda.

- Czekam na telefon od starego Crowella. Jeli chcesz, możesz z nim porozmawiać. Wyjani ci moje kwalifikacje - powiedział lodowato Ballard.

- Uspokój się, ja ci wierzę. Powiodło ci się w życiu i tylko to się liczy.

- Nie, Matt. Liczy się jedynie ten przeklęty nieg na stoku ponad miastem i nie chcę, żeby jaka stara historia pokrzyżowała wszystko.

Zamierzam dopilnować, by zrobiono co trzeba, a jeżeli Petersonowie wejdą mi w drogę, to nie będę ich omijał, tylko zdepczę. Zetrę.

Houghton spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Mój Boże, ale się zmienił!

- Turi Buck stwierdził to pierwszy, wydorolałem - Ballard powiedział to zmęczonym głosem.

Przy stole zapanowała kłopotliwa cisza. Wreszcie przerwał ją McGill, który dotychczas przysłuchiwał się z uwagą.

- Panie Houghton, nie rozumiem tych wszystkich rozgrywek, ale jedno mogę panu powiedzieć. Sytuacja stała się obecnie dużo poważniejsza, niż to przedstawiłem na porannym spotkaniu. Pobierałem więcej próbek ze stoku i okazuje się, że stabilność jest coraz słabsza. Rozmawiałem także ze wiadkami poprzednich lawin i właśnie mówiłem panu Cameronowi, by przygotował się na coś, co rzeczywiście porządnie uderzy w kopalnię. Muszę pana uprzedzić, że dotyczy to również miasta.

Houghton wydawał się obrażony.

- Czemu nie powiedział pan tego rano, zamiast zasłaniać się naukowymi wykrętami? Na porannym zebraniu mówił pan jedynie o istniejącym zagrożeniu.

McGilla zirytowały te słowa.

- Chwilami wstąpię, czy mówimy tym samym językiem - warknął. - Zagrożenie wciąż istnieje i będzie istniało tak długo, dopóki coś się nie zdarzy. A wtedy stanie się zagrożeniem rzeczywistym, któremu nie można będzie już przeciwdziałać. Czego pan ode mnie oczekuje? Żebym wszedł na stok i spowodował lawinę jedynie po to, by panu dowiedzieć, że jest ona możliwa?

- Wracaj do swojej rady miejskiej - zaproponował Ballard -

i porad im, żeby przestali się bawić w politykę. A Petersonom przypomnij w moim imieniu, że nikt nie głosuje na nieboszczyków. - Jego głos był jak ze stali. - Możesz im też powiedzieć, że jeli do jutra do południa nie zrobiś nic konkretnego, pomnę ich, zwołam publiczne spotkanie i zapoznam ludzi z sytuacją.

- I jak najszybciej zadzwoń pan do Obrony Cywilnej - dodał McGill.

Houghton westchnął głęboko i wstał. Jego czerwona twarz błyszczała od potu.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał odchodząc.

Ballard popatrzył za nim.

- Zastanawiam się, czy to dobra pora, żeby się upić?

XII

- Czy pan Ballard dużo pił tej nocy? - zapytał Lyall.

Usta Camerona zacisnęły się, lecz po chwili zapanował nad sobą.

- Nie więcej niż większość z nas - odparł pogodnym tonem. -

Proszę pamiętać, że bylimy na zabawie. Na pewno nie wypił tyle co ja. - A po namyśle dodał: - Ani pańscy obecni klienci.

Lyall rzucił ostro:

- Muszę zaprotestować. wiadkowi nie wolno insynuować tego rodzaju rzeczy.

Harrison bez powodzenia usiłował ukryć umiech.

- Wydaje mi się, że pan Cameron starał się po prostu ocenić ilość alkoholu wypitego przez pana Ballarda. Czyż nie tak?

- To była taka prowincjonalna zabawa - cišgnšł Cameron. -

Jasne, że się piłó. Kilku chłopaków z kopalni wiele się już wstawiłó.

Paru mieszkańcom miasta też niewiele brakowałó. Ja również pod koniec nabrałem kolorów. Ale panu Ballardowi daleko było do upicia się. Nie sšdzę nawet, by to lubił. Wypił po prostu parę kieliszków.

- Myłę, że wyjania to wštpliwoci pana Lyalla. Proszę dalej, panie Cameron.

- No więc, okołó jedenastej trzydzieci pan Ballard znów zabrał się ostro do burmistrza, pytajšc go czy dzwonił do Obrony Cywilnej lub zrobił cokolwiek w tej sprawie, ale Houghton zaprzeczył. Według niego kilka godzin nie stanowiłó różnicy i nie zamierzał robić z siebie idioty, dzwonišc w rodku nocy do jakiego stróža i zadajšc mu głupie pytania.

Harrison spojrział na Ballarda.

- Panie Cameron, byłoby niewłaciwe pytanie pana, dlaczego pan Ballard sam wówczas nie zadzwonił. Jestem pewien, że we właciwym czasie sam to wyjani. Jeżeli jednak sytuacja była tak napięta, dlaczego pan tego nie zrobił?

Cameron wyglšdał na zakłopotanego.

- Powiedziano nam bez ogródek, żebyśmy nie wtykali nosa w sprawy miasta. Mylelimy zresztš, że do tego czasu już zatelefonowano. Kiedy okazałó się, że to nieprawda, uznaliśmy, że szansa zastania w Obronie Cywilnej kogo kompetentnego jest znikoma.

Ponadto pan Ballard wciř miał nadzieję na współpracę z radř, a gdyby zadzwonił, mogliby pomyłec, że ich lekceważy w sprawach dotyczřcych miasta. Stosunki między kopalniř a mieszkańcami Hukahoronui mogłyby zostać zerwane.

- Jak odniósł się do tego doktor McGill?

- Nie było go akurat w pobliżu, wyszedł, by sprawdzić pogodę.

Ale póniej stwierdził, że pan Ballard okazał się cholernym głupcem. - Cameron przesunřł dłoniř po policzku. - O mnie zresztř powiedział to samo.

- Wyglřda na to, że jedynie doktor McGill zachował w tym wszystkim rozsřdek - zauważył Harrison. - Wszyscy pozostali zwalali na siebie odpowiedzialnoć z powodów, których znaczenie okazało się nieistotne, zważywszy ogrom katastrofy.

- Zgadzam się - szczerze przyznał Cameron. - Ale doktor McGill był jedynř osobř, która w pełni zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Kiedy uprzedzał mnie, że należy przygotować się na cinienie spiętrzenia stu ton na metr kwadratowy, mylałem, że nieco przesadza. Przyjšłem jego argumentację, ale podwiadomie nie uwierzyłem w niř. Sřdzę, że podobnie podchodził do tego pan Ballard, majřcy równieŹ wykształcenie techniczne.

- A poniewaŹ członkowie rady nie posiadali nawet takiego wykształcenia, uważa pan, że usprawiedliwia to ich opieszałość?

- Nie - cięŹko powiedział Cameron. - W większym lub mniejszym stopniu zawinilimy wszyscy. Nic nas nie usprawiedliwia,

może jedynie tłumaczy.

Przez dłuższy czas Harrison milczał, wreszcie łagodnie rzekł:

- Przyjmuję to wyjanienie, panie Cameron. Co zdarzyło się potem?

- Zostałem z panem Ballardem przy stoliku, trochę rozmawialiśmy i popijaliśmy. Jeli pan Ballard pił tej nocy, to włanie wtedy. Wcześniej nie wypił więcej niż dwa drinki.

Cameron rozmawiał z Ballardem dwadzieścia minut, później dołączyła do nich Stacey. Ballard popatrzył w stronę parkietu, nadeszła już pora, kiedy żywe, rockowe rytmy zostały zastąpione nastrojowymi melodiami night-clubu.

- Zatańczymy? - zaproponował.

Stacey skrzywiła się.

- Dziękuję ci bardzo, ale nie. Dzi wieczorem zdarłam już zelówki. - Usiadła, zsunęła buty ze zmęczonych stóp i spojrzała na niego. - Liz Peterson zastanawia się, czy może uważasz jś za chorš na ospę.

- Co! - Zamrugał oczami.

- Chyba sšdzi, że jś ignorujesz. Može ma rację?

Ballard umiechnšł się dyskretnie.

- Až do tego wieczoru nie pamiętałem, że w ogóle istnieje.

- Ale już sobie przypomniałe. Dlaczego z niš nie zatańczysz?

Włanie jest wolna.

Ballarda to zaskoczyło, ale po chwili umiechnšł się.

- Na miłość boską, czemu nie? - Opróżnił jednym haustem szklankę. - No to pokręcimy się! - Odszedł w stronę parkietu.

- Oszalała? - szepnął z wyrzutem Cameron. - Nie wiesz, że Ballard i Petersonowie żyją jak pies z kotem? Chcesz rozpętać wojnę?

- Kiedy musisz zacząć ze sobą normalnie rozmawiać - odparła Stacey. - Huka jest zbyt małe, by móc się w nim ignorować.

Cameron nie wyglądał na przekonanego.

- Mam nadzieję, że wiesz co robisz.

- Tato, o co chodzi z tą całą lawiną?

- Jaką lawiną?

- Nie rozmawiaj ze mną jak z kretyką - obraziła się Stacey. - Z tą lawiną, o której mówiliście przy kolacji.

- A, pytasz o lawinę! - Cameron kiepsko udawał nonszalanckę. - Nic takiego. McGill chce nas zmobilizować do jakich działań zapobiegawczych.

- Działania zapobiegawcze - powtórzyła z namysłem. - Inaczej to odebrałam, słysząc jak Ian przyciska Houghtona. - Spojrzała w bok. - O, jest Mike. Jak tam z pogodą?

- Ciężki nieg rozpadał się na dobre - McGill zerknął na zegarek. - Prawie północ. Długo jeszcze będzie trwała ta potupanka?

- Dansing skończy się dokładnie o dwunastej - wyjanił Cameron. - Ci Nowozelandczycy są strasznie religijni. Żadnych tańców w niedzielę.

McGill skinął głową.

- To dobrze, nie będzie mi przykro, że idę do łóżka. - Przeciśg-

nął się. - Co powiedzieli ci z Obrony Cywilnej?

- Houghton wcale do nich nie zadzwonił.

- Nie zadzwonił! - McGill chwycił Camerona za ramię. - A ty

siedzisz tu z założonymi rękami? Może Ian próbował? - Cameron

pokręcił głowę. - W takim razie jest skończonym głupcem, ty zresz-

tś też. Gdzie jest telefon?

- Jeden w holu - rzekł Cameron. - Słuchaj, Mike, o tej porze nie

zastaniesz tam nikogo kompetentnego, kto mógłby ci cokolwiek

powiedzieć.

- Żeby mi co powiedzieć? Do diabła! To ja im powiem. Zaalar-

muję wszystkich.

Odszedł gwałtownie, z Cameronem deptającym mu po piętach.

Kiedy okrężali parkiet, rozległ się krzyk. McGill natychmiast spoj-

rzał w tamtym kierunku i zobaczył Charliego Petersona, trzymajš-

cego rękę na ramieniu Ballarda.

- Jeszcze tego nam brakowało - rzucił zdegowany. - Chod,

Joe - ruszył przez parkiet w stronę, gdzie dwaj mężczyźni szyko-

wali się do bójki.

Ballard tańczył z Liz Peterson, gdy poczuł na swoim ramieniu

ciężkš dłoń Charliego. Charlie szarpnął nim. Miał spoconš twarz

i przekrwione oczy, a z jego ust buchnął zapach alkoholu, kiedy

wychrypiał;

- Trzymaj się z dala od mojej siostry, Ballard.

Liz oblała się rumieńcem gniewu.

- Charlie, powiedziałam ci...

- Zamknij się! - Jego ręka wciśz przygniatała ramię Ballarda. -

Jeli jeszcze raz cię z niś złapię, skręcę ci kark.

- Zabierz tę łapę - warknął Ballard.

Fala wciekłości opuciła Charliego i umiechnął się dobrotliwie.

- Zabierz jś sam, jeżeli potrafisz. - Wbił złoliwie kciuk w mięsień na ramieniu Ballarda.

- Skończ już te brednie - rzuciła Liz. - Z dnia na dzień jeste bardziej szalony.

Charlie zignorował słowa siostry i wzmógł nacisk.

- No, i co ty na to? Mamusia nie nakrzyczy, nie ma jej tutaj.

Ballard zdawał się opadać z sił. Opuszczone ręce, skrzyżowane w nadgarstkach, robiły wrażenie zupełnie bezwładnych, lecz nagle poderwał je gwałtownie, silnie uderzył od dołu w łokieć Charliego i oswobodził się.

Charlie rzucił się do przodu, ale w tej samej chwili Cameron złapał go za rękę i wykręcił mu jś na plecach. Zrobił to z wprawś, wiadczścś, że nieobce mu były rozróby w spelunkach.

- Skończcie z tym - powiedział McGill. - To parkiet przeznaczony do tańca, a nie ring bokserski.

Charlie wciśz jeszcze rwał się do przodu, ale McGill odepchnął go zdecydowanie.

- Dobra - zagroził Charlie. - Poczekał na zewnśtrz, jak nie

będziesz miał przyjaciół do pomocy.

- Jezu, pleciesz jak szczeniak - rzekł McGill.

- Niech ten drań mówi za siebie - powiedział Charlie.

W oddali rozległ się donony głos.

- Czy jest tu pan Ballard? Jest proszony do telefonu.

McGill odwrócił się do Ballarda.

- Id, odbierz telefon.

Ballard poprawił rękawy zmiętej marynarki i zdawkowo skinął głową. Przeszedł obok Charliego, nie zwracając na niego uwagi.

Charlie uwolnił się wreszcie z ręki Camerona i krzyknął:

- Nic się nie zmieniło, draniu. Wciśz się boisz.

Kto zapytał:

- Co tu się dzieje?

McGill odwrócił się i zobaczył Erica Petersona. Zabrał dłoń z piersi Charliego i powiedział:

- Twojemu młodszemu bratu pomieszało się w głowie.

Eric spojrzał na Liz.

- Co tu się stało?

- To samo co zawsze, gdy jakiś mężczyzna zbyt blisko do mnie podejdzie - odparła ze znużeniem. - Ale tym razem wyjątkowo przesadził.

Eric chłodno upomniał Charliego:

- Mówiłem ci już co na ten temat.

Charlie wyrwał ramię z uchwytu Camerona.

- Ależ to był Ballard - bronił się. - Ballard!

- Ach, tak - Eric zmarszczył brwi, ale po chwili ciśgnął: - Nie-
ważne kto to był. Nie rób więcej takich scen. - Zawiesił głos. - Nie
publicznie.

McGill spojrział znacząco na Camerona i obaj odeszli w stronę
holu. Zastali Ballarda przy kontuarze recepcji. Recepcjonista wska-
zywał:

- Tam jest aparat.

- Kto mógłby do ciebie dzwonić?- spytał McGill,

- Liczę na to, że Crowell.

- Jak skończysz, chciałbym zadzwonić do Christchurch. -

McGill zwrócił się do recepcjonisty: - Czy macie książkę telefonicz-
ną Christchurch?

Ballard odebrał telefon, podczas gdy McGill kartkował strony.

- Tu Ballard.

Rozdrażniony głos powiedział:

- Mam tu z tuzin notatek z prób, żeby do ciebie zadzwonić.

Włanie wróciłem, więc lepiej żeby to było co ważnego.

- Jest - odparł ponuro Ballard. - Znajdujemy się w kiepskiej
sytuacji. Mamy powody przypuszczać, że miastu i kopalni grozi
zniszczenie przez lawinę.

W słuchawce panowała zupełna cisza, zakłócana jedynie przez
odgłosy muzyki, dobiegające z sali tanecznej.

- Co? - spytał w końcu Crowell.

- Lawina - powtórzył Ballard. - Szykujš się poważne kłopoty.

- Nie żartujesz?

Ballard zasłonił drugie ucho, by stłumić hałas muzyki.

- Oczywiście, że nie żartuję, przynajmniej nie z takich rzeczy.

Chcę, żeby się skontaktował z Ministerstwem Obrony Cywilnej i zawiadomił ich o tym. Wkrótce możemy potrzebować pomocy.

- Nic nie rozumiem - słabo powiedział Crowell.

- Nie musisz rozumieć - ucišł Ballard. - Po prostu przekaż im, że miastu Hukahoronui grozi zniszczenie.

McGill zaznaczył palcem miejsce w ksišzce telefonicznej. Unišł oczy, gdy kto przebiegł obok i zobaczył Charliego Petersona, zbliżającego się szybko w stronę Ballarda. Rzucił ksišzkę i skoczył za nim.

Charlie szarpnął Ballarda za ramię, a ten krzyknął:

- Co, do diabła...?

- Połamię cię na kawałki - powiedział Charlie.

Powstałe zamieszanie sprawiło, że nikt nie usłyszał łagodnego dudnienia odległego grzmotu. Ballard zamierzył się na Charliego, mając ruchy ograniczone trzymanš słuchawkš. Dochodziło z niej trajkotanie Crowella z Auckland. McGill z trudem odcišgnął Charliego.

Ballard, ciężko dysząc, przyłóżył słuchawkę do ucha. Usłyszał słowa Crowella:

- ... tam się dzieje? Jeste tam, Ballard? Co?

Połączenie zostało przerwane.

McGill odwrócił Charliego i rozłożył go prawym sierpowym, wymierzonym prosto w szczękę. W tej samej chwili zgasły wszystkie wiatła.

XIII

- Gdy zgasły wiatła, zrobiło się zamieszanie - kontynuował Cameron. Odwrócił się nieco i cicho powiedział co do sanitariusza.

Ten wstał, nalał do szklanki wody i podał mu ją. Kiedy Cameron sięgnął po szklankę, wszyscy zauważyli, że drży mu ręka.

Harrison obserwował go uważnie.

- Zeznaje pan już od dość długiego czasu, panie Cameron i myślę, że możemy panu na razie podziękować. Skoro założyliśmy pewną chronologię, naturalną kolejną rzeczą będzie, jeśli poprosimy teraz pana Crowella. Dziękuję, panie Cameron.

- Dziękuję, sir. - Cameron wstał z trudem i wspierając się na pielęgniarkę wolno pokutykał przez salę.

Odezwał się Reed:

- Czy zechce pan podejść, panie Crowell?

Niski, otyły mężczyzna wstał i z pewnym ociąganiem zbliżył się do stołu. Siadając, spojrzał w bok, na Rickmana, który uspokajająco skinął głową.

- Jak się pan nazywa? - spytał Reed.

Crowell obliznął nerwowo usta i chrząknął.

- Henry James Crowell.

- A pański zawód, panie Crowell?
 - Jestem prezesem kilku spółek, w tym Towarzystwa Górniczego Hukahoronui.
 - Czy posiada pan akcje tego towarzystwa? - zapytał Harrison.
 - Tak, niewielki udział.
 - Czy pan Ballard pełnił funkcję dyrektora zarządzającego tej firmy?
 - Tak.
 - Na czym polegały jego obowiązki?
- Crowell zmarszczył brwi.
- Nie rozumiem pytania.
 - Ależ panie Crowell. Z pewnością pan Ballard miał obowiązki, które zostały ciele określone.
 - Oczywiście, sir. Były to typowe obowiązki, wynikające z pełnionej przez niego funkcji, pilnowania ogólnych interesów firmy pod kierunkiem rady dyrektorów.
 - Której pan przewodniczył.
 - Zgadza się.
 - Wysłuchał pan zeznania dotyczącego rozmowy telefonicznej z panem Ballardem. Czy rzeczywiście dzwonił pan do niego?
 - Tak.
 - Dlaczego?
 - W sobotę przebywałem poza domem i wróciłem późno w nocy. Sekretarka zostawiła mi plik wiadomości od pana Ballarda,

z których wynikało, że powinienem się z nim skontaktować. Z liczby i tonu tych notatek wywnioskowałem, że sprawa jest pilna, więc niezwłocznie zadzwoniłem.

- I co pan usłyszał?

- Co o lawinie. Niezupełnie go zrozumiałem, mówił bardzo niejasno.

- Czy nie poprosił go pan o dokładniejsze wyjaśnienia?

- Tak - dłonie Crowella zacisnęły się nerwowo. - Ja słyszałem, rozmowę zagłuszała muzyka. To, co mówił Ballard, nie brzmiało zbyt logicznie.

Harrison przyjrzał mu się z namysłem i skierował spojrzenie w bok.

- Słucham, panie Smithers?

- Czy wiadek może potwierdzić lub zaprzeczyć, że pan Ballard prosił go o skontaktowanie się z Ministerstwem Obrony Cywilnej, by uprzedzić ich o niebezpieczeństwie zagrażającym Hukahoronui?

Oczy Harrisona ponownie zwróciły się na Crowella, który wiercił się na krzele.

- Powiedział co w tym rodzaju, ale jak już mówiłem, słyszalność była nie najlepsza. Dużo krzyków i wrzasków. - Zamilkł na chwilę. - Potem przerwano połączenie.

- Co pan wtedy zrobił? - spytał Harrison.

- Porozmawiałem o tym z żoną.

Przez salę przeszedł szmer rozbawienia. Harrison ostro zastukał

młotkiem.

- Czy skontaktował się pan z Ministerstwem Obrony Cywilnej?

Crowell zawahał się.

- Nie, sir.

- Dlaczego?

- Sądziłem, że to jakiś kawał. Ta muzyka i hałas na linii... pomyślałem, że... - umilkł.

- Pomyślał pan, że pan Ballard żartował? - zapytał Harrison.

Lyall i Rickman natychmiast podnieśli ręce. Harrison wskazał na Rickmana i skinął mu głową.

- Czy uważał pan, że pan Ballard był pijany? - spytał Rickman.

Lyall umiechnął się i opucił rękę.

- Prawdę mówiąc, tak właśnie pomyślałem.

- Czy to właśnie pan sugerował, twierdząc, że pan Ballard wyrażał się nielogicznie?

- Tak - przyznał Crowell, z wdzięcznością umiechając się do Rickmana.

- Proszę nie podpowiadać wiadkowi - zwrócił uwagę Harrison.

- Przepraszam, panie przewodniczący. - Rickman umiechnął się zachęcająco do Crowella. - Kto powierzył panu Ballardowi stanowisko dyrektora zarządzającego?

- Instrukcja nadeszła z Londynu, od głównego akcjonariusza.

- W takim razie, nie miał pan nic wspólnego z tą nominacją.

Czy można zatem powiedzieć, że narzucono panu pana Ballarda?

- Jako właściciel niewielkiej liczby akcji nie miałem zbyt dużo do powiedzenia w tej sprawie.

- A gdyby pan miał, kogo by pan wybrał na to stanowisko?

- Pana Dobbsa, który był menedżerem kopalni.

- I który teraz nie żyje.

Crowell opucił głowę i nic nie odpowiedział.

- To wszystko - stwierdził Rickman.

- Co pan pomyślał o panu Ballardzie, kiedy spotkał się pan z nim po raz pierwszy? - zapytał Harrison.

Crowell wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że jest dość przystojnym, młodym człowiekiem, może nieco zbyt młodym na to stanowisko.

- Czy podejrzewał go pan o jakie skłonności do picia lub robienia kawałów?

- Nie, wówczas się one nie ujawniły.

- Jak zrozumiałem, stało się to później. Kiedy?

- Tamtego wieczoru, panie przewodniczący.

Harrison westchnął, zmęczony mętnymi odpowiedziami Crowella.

- Usłyszeliśmy wcześniej zeznanie, że pan Ballard nie był ani pijany, ani też nie żartował. Dlaczego więc nie uwierzył pan jego słowom?

Crowell potrząsnął bezradnie głową i spojrzał na Rickmana, który pilnie wpatrywał się w leżącą przed nim kartkę papieru.

- Właćwie nie wiem, brzmiało to niezbyt przekonująco.

- Zasugerowano tu, że pan Ballard został panu "narzucony". -

Harrison wypowiedział to słowo ze wstrętem. - Czy w sprawie jego nominacji złożył pan komu jakiegokolwiek zastrzeżenia?

- Nie.

Harrison wolno pokręcił głową, spoglądając na wiadka.

- No, dobrze. Nie mam dalszych pytań. - Spojrzał w dół. - Słucham, panie Ballard?

- Chciałbym zapytać o kilka spraw.

- Widzę, że wciąż brakuje panu prawnego reprezentanta. Czy według pana jest to rozsądne? Musiał pan słyszeć przysłowie o tym, że człowiek, który sam dowodzi swoich praw ma głupca za obrońcę.

Ballard umięknął się.

- Może jest to aktualne w sądzie, ale, panie przewodniczący, wciąż pan podkreślał, że to nie sąd. Myślę, że potrafię sformułować kilka pytań.

Harrison kiwnął głową.

- Proszę więc, panie Ballard.

Ballard spojrzał na Crowella.

- Panie Crowell, dwa tygodnie po katastrofie rada odwołała mnie ze stanowiska. Dlaczego?

Dłoń Rickmana wystrzeliła w górę.

- Protestuję! To, co wydarzyło się po wypadku, nie wchodzi w zakres tego dochodzenia.

- Pan Rickman ma słuszość - przyznał Harrison. - Nie sądzę,

żeby ta wiadomość okazała się nam pomocna.

Ballard wstał.

- Czy wolno mi zakwestionować to stwierdzenie?

- Oczywiście.

Sięgnął po notatnik.

- Kiedy rozpoczęło się dochodzenie, zapisywałem pańskie uwagi. Oznajmił pan, że składane tutaj zeznania nie mogły zostać wykorzystane w żadnych przyszłych krokach prawnych. Wydaje mi się, że dochodzenie to może okazać się jedynym przesłuchaniem publicznym.

Odwrócił kartkę.

- W drugim dniu doktor McGill powiedział, że liczba ofiar katastrofy mogła być mniejsza. Odrzucił pan sprzeciw na podstawie tego, że to nie są, a procedura zależy wyłącznie od pańskiego uznania.

Uniósł wzrok.

- Panie przewodniczący, to dochodzenie jest szeroko komentowane w prasie, nie tylko w Nowej Zelandii, ale również w całym Zjednoczonym Królestwie. Bez względu na wyniki pańskich badań, opinia publiczna i tak znajdzie sobie kogo winnego niepotrzebnych ofiar. A teraz insynuuje się różne rzeczy odnośnie mego charakteru, nałogowego picia i skłonności do kawalerstwa, czego we własnym interesie nie mogę nie zakwestionować. Proszę o zezwolenie na przepytanie pana Crowella w związku z tymi sprawami,

a fakt odsunięcia mnie od obowiązków dwa tygodnie po katastrofie wydaje mi się najzupełniej uzasadnionym powodem do wyjaśnienia ich.

Harrison krótko skonsultował się z dwoma doradcami, wreszcie oznajmił:

- Nie jest życzeniem tej komisji, by lekkomyślnie podważano tu czyjskolwiek reputację. Proszę usiść, panie Ballard i kontynuować przesłuchanie pana Crowella.

Rickman powiedział ostrzegawczo:

- Może to okazać się podstawą do apelacji, panie przewodniczący.
- Rzeczywiście, może - ze stoickim spokojem przyznał Harrison. - Procedurę postępowania znajdzie pan w Akcie o Komisjach Dochodzeniowych. Proszę, panie Ballard.

Ballard usiadł.

- Dlaczego więc zwolniono mnie ze stanowiska dyrektora, panie Crowell?

- Tak jednogłonie zdecydowała rada.

- Niezbyt dokładnie mi pan odpowiedział, ale zostawmy to na razie. Zeznał pan, że nie miał nic wspólnego z moją nominacją, że wybrałby pan raczej kogo innego i że instrukcje nadeszły z Londynu. Czy zawsze otrzymuje pan instrukcje z Londynu?

- Oczywiście, że nie.

- W" takim razie skąd? Od kogo?

- Ależ od... - Crowel! urwał nagle. - Nie otrzymuję żadnych

poleceń, jak pan to ujął. Jestem prezesem firmy.

- Rozumiem. Czy uważa się pan za swego rodzaju dyktatora?

- To potwarz.

- Może według pana. Tak czy inaczej, proszę odpowiedzieć.

- Oczywiście, że nie jestem dyktatorem.

- Tkwi w tym sprzeczność - zauważył Ballard. - Albo kto pana instruuje, albo nie. Więc jak to jest, panie Crowell?

- Jako prezes biorę udział w podejmowaniu decyzji przez radę.

Wszelkie decyzje są ustalane wspólnie.

- Wielce demokratyczny sposób - skomentował Ballard. - Ale decyzja o mianowaniu mnie na dyrektora nie została podjęta wspólnie przez radę, prawda?

- Nasze ustalenia nie muszą być jednogłone - wyjął Crowell. - Jak pan już zauważył, jest to demokratyczny system, opierający się na większości głosów.

- Nie na tyle jednak demokratyczny, by każdemu przysługiwał taki sam głos. Czyż nie jest faktem, że ten, kto kontroluje przeważającą liczbę głosów, kontroluje zarazem firmę?

- Tak samo wygląda to wszędzie.

- A w swoich zeznaniach powiedział pan, że moja nominacja przyszła od głównego akcjonariusza z Londynu. Czy ten akcjonariusz jest także członkiem rady?

Crowell drgnął nerwowo i cichym głosem przyznał:

- Nie, nie jest.

- Czy, w takim razie, nie oznacza to, że pańska rada dyrektorów nie posiada faktycznej władzy, a zatem jest fikcyjną demokracją?

Czy nie okazuje się, że towarzystwo kontrolowane jest gdzie indziej? Może w londyńskim City?

- Pan błędnie interpretuje fakty - posępnie rzucił Crowell.

- Przejdmy teraz od mojej nominacji do zwolnienia - zaproponował Ballard. - Czy to polecenie także nadeszło z Londynu?

- Mogło tak być.

- Pan wie to na pewno. Jest pan przecież prezesem rady.

- Ale nie zajmuję się prowadzeniem towarzystwa na co dzień.

- Nie - zgodził się Ballard. - To należało do funkcji dyrektora zarządzającego. Sam pan tak owiadczył w swoich zeznaniach.

Z pewnością nie usiłuje pan tu sugerować, że sam się zwolniłem?

Dan Edwards nie mógł się opanować. Z galerii prasowej doszedł jego głony chichot, a Harrison spojrzał w górę, marszcząc brwi.

- Jest pan mieszy - powiedział Crowell.

Ballard odparł oschle:

- Nie ja jestem autorem dowcipu tkwiącego w tej sytuacji. Pozostaje tylko jedno wyjanienie. Czy twierdzi pan, że zwolnienie dyrektora zarządzającego było takimi drobnostkami w codziennych interesach, że nie zostało ono przez pana, jako prezesa, zauważone?

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie powinien pan wiedzieć, skąd wyszedł projekt odwołania mnie, prawda?

- Teraz, gdy się nad tym zastanowiłem, przypomniałem sobie, że decyzja ta nadeszła z Londynu.

- Rozumiem. Ale znów nie stanowi to odpowiedzi na moje pytanie. Czy już pan zapomniał, że skontaktował się z Londynem, gdyż rada jest jedynie marionetką pociągającą za sznurki trzymane w londyńskim City? Czy nie jest faktem, że zasugerował pan, iż towarzystwo może zostać postawione w złym świetle z powodu zeznań, które mają być złożone w trakcie tego dochodzenia? I czy nie dał pan do zrozumienia, że ja, jako nowicjusz, będę idealną osobą do zrzucenia odpowiedzialności i że to właśnie wtedy postanowiono mnie odwołać?

- Protestuję! - krzyknął Rickman. - Pan Ballard nie ma prawa w ten sposób wymuszać zeznań.

- Jestem skłonny się zgodzić - przyznał Harrison. - Nie mogę pozwolić na takie praktyki, panie Ballard.

- Wycofuję pytanie. - Słyszyc po szumie na galerii prasowej, domyślił się, że zarobił punkt tam, gdzie miało to znaczenie. - Powrócę zatem do rozmowy telefonicznej z panem Crowellem. Co pan zrobił, gdy przerwano połączenie? Ach tak, racja, porozmawiał pan o wszystkim z żoną, prawda? Jaki był przedmiot państwa rozważań?

- Nie pamiętam. Była późna noc - dodał Crowell z irytacją - i oboje czulimy się zmęczeni.

- Czy nie próbował pan połączyć się ze mną ponownie?

- Nie.

- Nie? Dlaczego?

- Słyszał pan moje zeznania. Sądziłem, że jest pan pijany.

- Jak długo tkwił pan w tym przekonaniu? - lekko zapytał Ballard.

Crowell wyglądał na zdumionego i zaskoczonego.

- Nie rozumiem.

- To zupełnie proste pytanie. Proszę na nie odpowiedzieć.

- Nie zaprzęstałem sobie tym głowy.

Ballard znów sięgnął do notatek.

- Zeznał pan, że sekretarka zostawiła liczne wiadomości ode mnie. Mówił pan również, że z ich iloci i tonu wywnioskował pan, że sprawa jest pilna. Czy według pana byłem pijany przez cały dzień? Pierwszy raz bowiem zadzwoniłem o 11.30 przed południem.

- Już panu powiedziałem. Nie zastanawiałem się nad tym.

- Najwyraniej. Czyli nie próbował pan więcej dzwonić do mnie?

- Nie.

- A do Ministerstwa Obrony Cywilnej?

- Nie.

- Gwoli ciekawoci, panie Crowell, co więc pan zrobił? To znaczy po przedyskutowaniu tego z żoną.

- Poszedłem do łóżka.

- Poszedł pan do łóżka - wolno powtórzył Ballard. - Dziękuję

panie Crowell, to wszystko. - Odczekał chwilę, aż Crowell wstając z krzesła znalazł się w półprzysiadzie. - Acha, jeszcze jedno. Czy do składania zeznań zgłosił się pan na ochotnika, czy też został pan wezwany?

- Protestuję - sprzeciwił się Rickman. - To nie ma nic do rzeczy.

- Zgadzam się - spokojnie rzekł Harrison. - Komisji wcale nie jest potrzebna informacja, że pan Crowell został wezwany, już o tym wie. - Zignorował trudny do zidentyfikowania odgłos, który wydał Rickman i łagodnie dodał: - A teraz proponuję przerwę na lunch.

XIV

Podczas lunchu w restauracji nie opodal sali posiedzeń, McGill stwierdził:

- Niele sobie radzisz, Ian. Podsunęło im trochę ciekawego materiału dzi rano.

Ballard nalał sobie szklankę wody.

- Nie przypuszczałem, że Harrison puci mi to płazem.

- Puci płazem! Boże, on ci wyranie szedł na rękę. Beształ cię, kiedy musiał, ale nie powstrzymywał. Mylałem, że pękne, gdy dał tę wstawkę o wezwaniu Crowella. Jednym tchem zgodził się z Rickmanem i przebił go harpunem. - McGill zamilkł na chwilę. - Nie wydaje mi się, żeby Harrison darzył Crowella zbyt niś sympatiš.

- Sam go niezbyt lubię.

- Nie przysparzasz sobie popularności w rodzinie. Ta teatralna

mowa o towarzystwie tańczącym na sznurkach pociąganych w City
nie przypadnie do gustu twoim wujom. Gdzie nauczyły się takich
chwytów?

Ballard umiechnął się.

- Oglądajśc Perry Mason Show. - Wzruszył ramionami. - I tak
nie ma to dla mnie większego znaczenia. Już się zdecydowałem
opucić Ballard Group.

- Po takim wystąpieniu nie będziesz miał innego wyjścia. Nie
wyobrażam sobie, by jakakolwiek firma Ballardów zatrudniła cię
teraz. Co zamierzasz robić?

- Jeszcze się nie zdecydowałem, ale co się pewnie trafi. - Zmarsz-
czył brwi. - Wciśz się zastanawiam, czego może chcieć Stenning.

- Znasz go w ogóle?

- Niezbyt dobrze. Stary polegał na nim w wielu sprawach
i wiem dlaczego. To twardy, dowiadczony facet, niemal tak bez-
względny jak sam stary Ben. Ben mówił mu zawsze, co chce zrobić,
a Stenning wynajdywał legalny sposób, aby to przeprowadzić. Jest
bardzo bystry.

- Mówisz, że jest stary, ile ma lat?

Ballard zastanowił się.

- Dobiega chyba siedemdziesiątki. Był młodszy od Bena. To
jeden z tych inteligentnych, młodych ludzi, którymi Ben otaczał się
w początkowych latach.

- Siedemdziesięcioletni gość, lecący przez pół wiata - zadumał

się McGill. - To może być ważne, Ian.

- Nie wiem tylko, jak ważne.

McGill uniósł wzrok.

- Nadchodzi kto, kto również nie przysparza sobie popularności w rodzinie. - Powstał z krzesła. - Cześć, Liz.

Liz Peterson położyła dłoń na ramieniu Ballarda.

- Nie wstawaj, Ian. Cześć, Mike.

McGill przysunął jej krzesło. Wyciągnął rękę i podrapał za uszami psa Liz.

- Cześć, Victor. Jak ci leci, chłopie? - Wilczur wywiesił język i energicznie machnął ogonem.

- Nie widziałem cię dzisiaj na przesłuchaniu - powiedział Ballard.

- Byłam. Za nic bym tego nie przepuściła. Po prostu nie siedziałam z braćmi. Nie lubię Lyalla, bo traktuje mnie z góry. Gdzie jest Joe?

- Wrócił do szpitala. Wyczerpało go składanie zeznań.

Liz zastukała w stół.

- Mój czarujący braciszek Charlie produkuje kule, a Lyall nimi strzela. - Sparodiowała akcent Lyalla: - "Czy pan Ballard dużo pił tej nocy?" Niemal krzyknęłam z radości, kiedy Joe natychmiast mu zripostował. Charlie musiał poczuć się zawiedziony.

- Nie zaskarbiasz sobie ich sympatii - ostrzegł Ballard.

- Niech obaj idź do diabła - rzuciła bez troski. - Jedyne Johnnie

trzymał mnie tutaj, ale teraz, gdy nie żyje, wyjadę z Huka. Może nawet w ogóle z Nowej Zelandii.

- Niezła z was para - skostatował McGill. - Czy żadne z was nie wierzy w więzy rodzinne?

- Sš różne układy - powiedziała Liz. - Włanie przed chwilš niemal przyprawiłam Charliego o atak serca. Ostrzegłam go, że jeli choć raz kto będzie jeszcze insynuował, że Ian był wtedy pijany, zaoferuję swoje usługi w charakterze twojego wiadka. Powiedzia-
łam, że dostatecznie dobrze wiem, kiedy mężczyzna, z którym tań-
czę, jest pijany i że Ian nie był, ale za to Charlie z całš pewnością. -
Rozemiała się. - Nigdy przedtem nie widziałam, by kto jedno-
czenie czerwieniał i bladł.

- Powinna uważać, Liz - poważnie rzekł Ballard. - Charlie mo-
że wpać w szal.

- Mylisz, że nie wiem? Już kiedy musiałam przyłożyć mu po
głowie butelkš. Ale potrafię sobie z nim poradzić.

McGill umiechnšł się ironicznie.

- Trochę się to różni od tego modelu życia domowego, który
prezentuje nam nasza droga królowa.

- Dziękuję za wsparcie, Liz - powiedział Ballard. - Od czasu
lawiny byłem wcišz przygnębiony, ale teraz depresja mija. Podjšłem
juž kilka decyzji i chyba wychodzę na prostš. Jest w tym i twoja
zasługa.

- Przyniosłam ci więcej niż wsparcie, mam informacje. Rickman

i Lyall knujš co razem. Przed chwilš przejeżdżałam obok biura firmy i widziałam, jak wychodzili stamtšd, miejsc się do rozpuku.

- Uważaj, Ian - ostrzegł McGill. - Szykuje się wspólna nagonka.

- Dziękuję, Liz - powiedział Ballard.

Spojrzała na zegarek.

- Chyba po południu sišdę z chłopakami. Może dowiem się czego więcej. Do zobaczenia na przesłuchaniu. - Wstała. - Chod, Victor.

Kiedy odeszła, McGill stwierdził:

- Jest najpiękniejszym szpiegiem, jakiego widziałem. - Dopił kawę i rozejrzał się za kelnerkš. - Chodmy i my. A tak przy okazji, co zdecydowałe?

- O jednym już słyzałe, opuszczam Ballard Group.

- Co jeszcze?

- Żenię się - odparł Ballard spokojnie.

McGill zastygł, z portfelem na wpół wycišgniętym z kieszeni na piersi.

- No, gratuluję. Kim jest ta szczęliwa dziewczyna?

Ballard przyłożył serwetkę do ust.

- Liz Peterson, jeli mnie zechce.

- Chyba zwariowałe - westchnšł McGill. - Kto by chciał mieć

Charliego za szwagra?

XV

MacAllister był elektrykiem, flegmatycznym i udzielajšcym

skrupulatnych odpowiedzi. Kiedy Harrison zapytał go o czas przecięcia linii elektrycznej, wyjaśnił:

- Stało się to dwie minuty i siedem sekund przed północą.
- Skąd pan to wie? - zapytał profesor Rolandson.
- Przy wyłącznikach automatycznych znajduje się urządzenie rejestrujące. Gdy się wyłączyły, czas został zarejestrowany.
- Co pan wtedy zrobił? - spytał Harrison.
- Ustaliłem miejsce przerwania.
- W jaki sposób? - chciał wiedzieć Rolandson.
- Pociłem prąd na linię i zmierzyłem oporność. To pozwoliło mi ustalić przybliżoną odległość od punktu awarii. Umieściłem go nieco przed Hukahoronui.
- A potem?
- Zadzwoiłem do elektryka w urzędzie telefonicznym, by dowiedzieć się czy ma podobne kłopoty. Okazało się, że tak, potwierdził także moją ocenę. Następnie wysłałem ekipę kontrolną.
- Co ustalono?
- Zadzwonili do mnie prawie dwie godziny później, by zameldować, że znaleli uszkodzenie. Powiedzieli, że spowodowały je opady niegu. Towarzyszyła im również ekipa z poczty i moi ludzie mogli skorzystać z ich przenośnego telefonu.
- Powiedzieli tylko, że zawiniły opady niegu?
- Tak, sir. Nie wydawało mi się jednak możliwe, aby padający nieg mógł przeciąć przewody, poprosiłem więc o dalsze informa-

cje. Wejście do doliny Hukahoronui wiedzie przez Szczelinę, wyłom, a moi ludzie twierdzili, że nieg zasypał go wyżej, niż mogli to zobaczyć w ciemnościach. Znam to miejsce, sir, więc zapytałem czy rzeka, która wypływa z doliny wciśz płynie. Okazało się, że odpływ był bardzo niewielki. Wywnioskowałem z tego, że po drugiej stronie osypiska rzeka wylała, w związku z czym niezwłocznie zawiadomiłem policję.

- Wykazał pan szybko orientację - zauważył Harrison. - Dlaczego jednak właśnie policję?

- Uczyniłem tak zgodnie z urzędowymi instrukcjami, sir - flegmatycznie wyjął MacAllister.

- Czy podjął pan dalsze kroki?

- Tak, sir. Pojechałem na miejsce uszkodzenia kabla. Kiedy ruszałem, nieg mocno sypał, ale w miarę jazdy warunki znacznie się pogarszały. Gdy przybyłem na miejsce, była już zamieć. Miałem wprawdzie w samochodzie reflektor, lecz światło odbijało się od padającego niegu i nie mogłem zobaczyć, jak wysoko w Szczelinie sięga zator. Zbadałem odpływ rzeki, okazał się minimalny. Sytuacja wydała mi się na tyle poważna, by powtórnie zadzwonić na policję.

- Jaka była reakcja ze strony policji?

- Zanotowali fakty, które im podałem, sir.

- Nic więcej?

- Nic więcej mi nie powiedzieli.

- Mówił pan, że nie mógł ocenić wysokości zatoru. Oczywiście

nie mógł pan też stwierdzić jego głębokoci, to znaczy tego, jak

daleko sięga w głąb Szczeliny?

- Nie, sir.

- Czy podjął pan jakie kroki, żeby to ustalić?

- Nie wtedy. Mocno sypał nieg, panowała ciemność. Badania w tych warunkach były niezwykle niebezpieczne. Nie wspiłem się więc na górę, ani nie posłałem tam nikogo innego. Ssdziłem, że lepiej z tym poczekać do witu, kiedy będziemy mogli widzieć to, co robimy.

Harrison spojrział na Smithersa.

- Z zeznań pana MacAllistera wynika, że była to pierwsza okazja, by kto spoza Hukahoronui dowiedział się o tych kłopotach. -

Przeniósł wzrok na, siedzącego obok Rickmana, Crowella i sprostował: - To znaczy kto, kto zrobił w tej sprawie co konkretnego. Czy ma pan jakie pytania, panie Smithers?

- Nie, panie przewodniczący. Ale ssdzę, że wiadkowi należy pogratulować rozsądnych decyzji, które podjął, szczególnie szybko, z jakś przekazał wiadomość o potencjalnym zagrożeniu.

- Podzielam pańskie zdanie. - Harrison zwrócił się do MacAllistera. - Do której godziny doprowadza nas pańska relacja?

- Po raz drugi zadzwoniłem na policję o trzeciej trzydziści, w niedzielę rano.

- Dziękuję. Może pan wrócić na swoje miejsce, mając wiadomość, że dobrze wypełnił pan swoje obowiązki.

MacAllister opucił miejsce dla wiadków, a Harrison powiedział:

- Sądzę, że czas powrócić do tego, co działo się w Hukahoronui po zganiu wiatła. Przed chwilą usłyszeliśmy o obsunięciu niegu, który zablokował Szczelinę Hukahoronui. Chciałbym poprosić doktora McGilla o fachową wypowiedź na ten temat.

McGill wstał, zbliżył się i postawił teczkę na podłodze.

- Czy był pan obecny w holu hotelu D'Archiac, kiedy zgasło wiatło? - zapytał Harrison.

- Tak, sir. Jak powiedział już pan Cameron, powstało wówczas spore zamieszanie. Pan Ballard próbował rozmawiać z panem Crowellem i miał z tym kłopoty, z powodu działań pana Charlesa Petersona. Ruszyłem mu na pomoc i właśnie wtedy zgasło wiatło.

Pan Ballard stwierdził, że połączenie telefoniczne również zostało przerwane.

- Czy słyszał pan nieg osuwający się do Szczeliny?

- Nie. W hotelu panował zbyt wielki gwar.

- A więc, co stało się później?

- Dyrekcja hotelu postarała się o wiatło. Znalazły się wiece i lampy naftowe. Powiedziano mi, że wyłączenie elektryczności nie jest niczym niezwykłym i podobny przypadek miał miejsce w ubiegłym miesiącu. Wszyscy przyjęli to jako rzecz naturalną. Zapytałem o głuchy telefon, lecz również tym nikt zdawał się nie przejmować.

Tak czy inaczej, dancing się skończył, więc wszyscy rozeszli się do

domów.

- Łŕcznie z panem?

- Tak. Wróciłem do domu z panem Ballardem i położyłem się spać.

McGill został wyrwany przez Ballarda z głębokiego snu. Zbudził się w ciemnościach i odruchowo wŕszył lampkę nocną. Dopiero kiedy nie zapaliła się, przypomniał sobie o braku wiatła. Postać Ballarda odcinała się w mroku ciemniejszym konturem. Spytał go:

- Która godzina?

- Piŕta trzydzieli. Włanie dzwonił Cameron z ciekawŕ informacjš. Podobno jeden z jego ludzi, Jack Stevens, wyjechał dzi rano do Christchurch, by spotkać się z matkŕ. Twierdzi, ŕe nie może wydostać się z doliny.

- Dlaczego?

- Mówi, ŕe Szczelina jest zasypana niegiem. Nie można tamtędy przejechać.

- Jaki ma samochód?

- Volkswagena.

- No, to trochę wyjania, prawda? Pamiętasz, co przytrafiło się tym dwóm Amerykanom kilka dni temu? Czy wciŕż pada?

- Bardzo mocno.

- No, proszę. Na pewno sypało caŕ noc. Wŕpię nawet czy przejadę Land-Roverem.

- Według Camerona, Jack twierdzi, ŕe wyglŕda to nieco inaczej.

Mówi o cianie niegu, tak wysokiej, że nie mógł zobaczyć jej szczytu.

Poleciłem Cameronowi, żeby go do nas przyprowadził.

McGill mruknął:

- Możesz zapalić tę wiecę na toaletce?

Dziesięć minut później pytał:

- Jeste pewien? Czy nie jest to po prostu głęboka zasma w poprzek drogi?

- Mówiłem już, że nie - odparł Stevens. - To cholernie wielka ciana niegu.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeli zobaczę to sam - postanowił

McGill. Ballard zaproponował:

- Jadę z tobš. - Spojrzał na telefon, potem na Camerona. - Jeżeli nie ma pršdu, to jak udało ci się do mnie zadzwonić?

Wyjanił to Stevens:

- Centrala ma rezerwowe baterie i dieslowski generator do ich ładowania. W przypadku rozmów miejscowych to w zupełności wystarcza.

McGill kiwnął głowš.

- Cokolwiek zaszło w Szczelinie, musiało zerwać zarówno przewody elektryczne, jak i linie telefoniczne. - Sięgnął po grubš kurtkę z kapturem. - Chodmy.

- Też pojedę z wami - powiedział Cameron.

- Nie - sprzeciwił się McGill. - Włanie podsunięto mi pewien pomysł. Macie w kopalni generatory dieslowskie?

- Jasne.

- W takim razie dopilnuj, żeby w każdej chwili nadawały się do użytku. Mam wrażenie, że niedługo będziemy potrzebowali prądu.

- To raczej mnie dotyczy - rzekł Stevens. - Jestem elektrykiem w kopalni. - Mrugnął w kierunku Camerona. - Dostaję podwójną stawkę za pracę w niedzielę?

Ballard wyszedł, by przebrać się w narciarskie spodnie i kurtkę, potem dołączył do McGilla w garażu. Usiadł za kierownicą Land-Rovera i wcisnął samoczynny rozrusznik, który zaskowyczał, lecz nie spowodowało to zapalenia silnika. - Jest zimny - mruknął, wciskając ponownie rozrusznik. Próbował jeszcze kilkakrotnie, ale silnik wciąż nie zapalał. - Niech diabli wezmą to cierwo!

- Uspokój się - powiedział McGill. - Zalała go. Zaczekaj parę minut. - Naciśnął kurtkę i włożył rękawiczki. - O co chodzi między tobą a Charlim Petersonem? Dziś w nocy zachowywał się tak, jak ło w okresie rui.

- To stara historia - zbył Ballard. - Nie warto wspominać.

- Lepiej, żebym ją poznał. Zrozum, Ian, Petersonowie stanowią czterdzieści procent rady miejskiej i ten głupi burmistrz Houghton zrobi wszystko, co mu każe John Peterson.

- John jest w porządku.

- Być może. Ale Eric jest wciękły na kopalnię i nie cierpi ciebie.

Jeli chodzi o Charliego, to sam już nie wiem. Wydaje mi się, że co innego stoi mu ociś w gardle. Co mu zrobiła? Odbiła mu

dziewczynę, czy co w tym stylu?

- Oczywiście, że nie.

-, Gdy jaka stara kłótnia staje na drodze porozumienia się z rad-
d-ś, wolałbym wiedzieć o co chodzi. Ubiegłej nocy Charlie doć już
narozrabiał.

- To dotyczy odległych spraw.

- Opowiedz jednak. nieg w Szczelinie nam nie ucieknie, jeli to
co mówi Stevens jest prawd-ś. Mamy czas.

- Nigdy nie znałem mojego ojca - zaczął Ballard. - Urodziłem
się w styczniu 1939 roku w Anglii i przywieziono mnie tu jako
niemowlę. W tym samym roku zdarzyło się co jeszcze.

- Wojna?

- Otóż to. Ojciec pokłócił się ze starym Benem i opuścił Anglię,
by tutaj zająć się farmerstwem. Kupił ziemię, ale gdy wybuchła
wojna, wstąpił do wojska. Był na Saharze z dywizj-ś nowozelandz-
k-ś. Zobaczyłem go dopiero w wieku czterech lat, kiedy wrócił
w 1943 roku. Matka chciała go wtedy zatrzymać, wielu żołnierzy
odmówiło wówczas powrotu do służby liniowej. Trochę kłócili się
o to. W końcu problem sam się rozstrzygn-ś, ojciec zgin-ś w czasie
lawiny. Widziałem jak to się stało i jest to chyba moje jedyne wspo-
mnienie o nim.

- Niewiele.

- Tak. Ten wypadek odmienił mojs matkę i od tego czasu stała
się trochę dziwna. Nie, żeby pomieszało się jej w głowie, czy co

w tym rodzaju. Stała się po prostu dziwna.

- Nerwowa?

- Mylę, że można to tak określić.

- Jakie były objawy?

Ballard wpatrywał się w płatki niegu wirujące na wietrze

w otwartych drzwiach garażu.

- Można chyba powiedzieć, że cechowała ją nadopiekuńczość

we wszystkim, co dotyczyło mnie.

- Czy to właśnie Charlie miał na myśli mówiąc, że nie wypuci-

łaby cię na niego, żeby się nie przeziębiał?

- Co w tym stylu.

- Błknął też, że nie wdrapałby się na stok bardziej stromy niż

bilardowy stół.

Ballard westchnął.

- Właśnie tak było. Wszystko pogarszał jeszcze fakt, że matka

pracowała tutaj jako nauczycielka. Próbowала sama zajmować się

farmą, ale nie dała rady. Sprzedała więc większość ziemi staremu

Petersonowi, zachowując jedynie ten skrawek, na którym stał dom.

Aby zarobić na życie, przyjęła posadę nauczycielki w tutejszej szko-

le. Miała odpowiednie kwalifikacje. Ale byłem w tym wszystkim

jeszcze ja. Otoczony zbyt troskliwą opieką i uważany na dodatek za

pupilka nauczycielki.

- "Nie wchod do wody, zanim nie nauczysz się pływać" -

zacytował McGill.

- Nie wiesz nawet, jak bardzo się to sprawdziło - w głosie Ballarda zabrzmiała nuta goryczy. - Podobnie jak wszyscy chłopcy na całym wiecie i my mieliśmy swójś dziurę do pływania, przy urwisku, za składem Petersonów. Oprócz mnie wszyscy umieli wiele pływać. Potrafiłem wtedy jedynie chlapać się pieskiem na płyci-
znach, ale gdyby matka dowiedziała się o tym, zrobiłaby mi piekło.

Wyjść paczkę papierosów i poczęstował McGilla, który wyciśg-
nł zapalniczkę. Zaciśgajśc się dymem, mówił dalej:

- Miałem dwanacie lat, kiedy to się stało. Była wiosna, poszli-
my z Alekiem Petersonem nad rzekę. Alec był czwartym z braci.

Po roztopach, z góry spłynęło dużo wody, rzeka wezbrała, nurt był
wartki, a woda cholernie zimna, ale wiesz jakie sś dzieci. Chlapa-
łem się na płycinie, częćiej wyskakujśc z wody, niż się w niej
zanurzajśc, lecz Alec wypucił się dalej. Jak na dziesięćlatka był
silny i dobrze pływał.

- Przewiduję finał - mruknł McGill. - To nie mogło się dobrze
skończyć.

- Mylę, że złapał go skurcz - powiedział Ballard. - Krzyknł,
kiedy porwał go główny nurt. Wiedziałem, że nie mam cienia
szansy, by go wyciśgnąć, ale znałem rzekę. Wiła się wokół urwiska,
a po przeciwnej stronie znajdował się wir, który zazwyczaj wyrzu-
cał na brzeg wszystko, co pływało. Dzieciaki wiedziały, że jest tam
najlepsze miejsce na zbieranie drewna na opał. Poleciałem więc,
najszybciej jak mogłem, przez urwisko, obok składu Petersonów. -

Głęboko zaciśgnął się papierosem. - Miałem rację. Alec wypłynął blisko brzegu i mogłem, brodząc, złapać go. Ale płynąc wokół urwiska, uderzył głową o skałę. Czaszka mu pękła, wyciekał z niej mózg, a on był już martwy jak kamień.

McGill sapnął:

- Paskudnie! Ale nie rozumiem, jak można było winić cię za cokolwiek.

- Doprawdy? No to ci powiem. Dwie osoby usłyszały krzyk Aleca, ale znajdowały się zbyt daleko, by co zrobić. Widziano za to mnie, biegnącego jak diabli. Ci chłopcy opowiadali później, że uciekłem, zamiast go ratować. Tymi wiadkami byli bracia Aleca: Charlie i Eric.

McGill gwizdnął.

- Teraz zaczynam pojmować.

Przez następne cztery lata uczynili z mojego życia mordęgę.

Przeszedłem piekło, Mikę. Petersonowie stawili przeciwko mnie inne dzieci. Spędziłem najbardziej samotne lata ze wszystkich. Gdyby nie Tawhaki, syn Turiego, chyba bym zwariował.

- Musiało ci być ciężko.

Ballard kiwnął głową.

- Wreszcie, gdy miałem szesnacie lat, stary Ben pojawił się w dolinie, jakby spadł z nieba. Wtedy także dokonano wstępnych badań dla kopalni. Ben wysłuchiwał miejscowych plotek, najpierw spojrzał na mnie, potem na matkę, i pokłócili się na całego. Oczy-

wicie Ben zwyciężył, niewielu ludzi potrafiłoby mu się sprzeciwić.

W efekcie zabrał mnie do Anglii.

- A twoja matka?

- Została jeszcze w Huka przez parę lat, dopóki nie ruszyła

kopalnia i też wróciła do Anglii.

- I znowu przejęła nad tobś kuratelę?

- Mniej więcej, ale wtedy już inaczej do tego podchodziłem.

Przestałem się trzymać jej spódnicy. - Ballard rzucił niedopałek

w niego.

Przez chwilę panowała cisza, którą wreszcie przerwał McGill.

- Wciśz tego nie rozumiem. Doroli ludzie nie zachowujś się tak

jak Charlie z powodu czego, co zdarzyło się w czasie ich dzie-

ciństwa.

- Nie znasz Charliego. John jest w porzśdku. Eric też, pomijajśc

to, co sśdzi na temat kopalni. Ale, po pierwsze, Alec i Charlie byli,

jako bliźniacy, bardzo do siebie przywiśzani. I po drugie, mimo że

nie można Charliego nazwać upoledzonym, to jednak nigdy nie

dorósł, nigdy w pełni nie dojrzał. Sam powiedziałe w nocy, że

zachowuje się jak uczeń.

- Tak - McGill przesunśł dłoniś po policzku. Nie był ogolony,

więc dało to drażniścy dźwięk. - W każdym razie dobrze, że mi to

wszystko opowiedziałe. To dużo wyjańiło.

- Ale żaden z nas nic na to nie może poradzić. - Ballard ponow-

nie nacisnśł starter i silnik zaskoczył wreszcie miarowym warko-

tem. - Ruszamy do Szczeliny.

Wjechali do miasta i kiedy mijali supermarket, McGill wskazał na samochód, który właśnie wyjeżdżał.

- Wygląda na to, że on też się gdzie wybiera.

- To John Peterson - Ballard przyspieszył, by wysunąć się do przodu i ruchem ręki zatrzymał go.

Gdy Peterson podjechał z boku, McGill opuścił boczną szybę.

- Daleko się pan wybiera, panie Peterson?

John wyjanił:

- Mam jutro rano spotkanie w Christchurch, pomyślałem więc, że jeśli wyjadę wcześniej, uda mi się wygospodarować tam trochę czasu na kilka rundek golfa. - Rozemiał się wskazując na niego. -

Tutaj niewielkie mam na to szansę, prawda?

- Może się pan rozczarować - uprzedził go McGill. - Według naszych informacji Szczelina jest zablokowana.

- Zablokowana? Niemożliwe!

- Właśnie jedziemy przyjrzeć się temu. Może pan chce pojechać z nami?

- W porządku, ale sądzę, że kto wprowadził was w błąd.

McGill zasunął szybę.

- Jak powiedziała Królowa niegu, przed niadaniem mogę pomyśleć o szeciu nieprawdopodobnych rzeczach... Ruszaj, Ian.

Jechali przez drogę pniąc się w stronę Szczeliny, biegnąc równolegle do rzeki. Kiedy wiatła samochodu omiotły koryto rzeki,

McGill odezwał się:

- Jack Stevens mógł mieć rację. Czy widziały już rzekę tak wezbranś?

- Odpowiem ci, gdy minimy następny zakręt. - Na kolejnym wirażu Ballard zatrzymał auto. wiatło reflektorów igrało na spokojnej wodzie, wydobywajśc z mroku łagodne wiry. - Nigdy tak nie wyglśdała. Wśwóz ma tu nie więcej niż dziesięć metrów głębkości.

- Jedmy dalej. - McGill obejrzał się. - Peterson wciśż jest za nami.

Ballard dojechał tak daleko jak mógł, dopóki nie zatrzymała ich ciana, która nagle wyłoniła się z ciemności, ciana, która nie miała prawa znajdować się w tym miejscu.

- Mój Boże! Spójrz tylko na to!

McGill wysiadł z samochodu. Poszedł w stronę nieźnej zapory, a jego sylwetka ostro rysowała się w blasku reflektorów. Trścił niego i popatrzył do góry, kręcśc głowś. Ruchem ręki dał Ballardowi znak, by dołśczył do niego.

Ballard wysiadł z wozu, akurat w tej samej chwili, gdy nadjechał John Peterson. Podeszli razem do McGilla, rozcierajśc zmarznięte dłonie. Peterson spojrzał na górę zwałonego niegu.

- Skśd się to wzięło?

McGill wyjanił uprzejmie:

- To, co pan widzi, panie Peterson, jest końcowym efektem lawi-

ny. Niezbyt wielkiej, ale też nie małej. Przez dłuższy czas nikt się nie wydestanie z Hukahoronui, a przynajmniej nie samochodem.

Peterson, osłaniając oczy przed padającym niegiem, spojrzął do góry.

- Tam jest mnóstwo niegu.

- Lawiny na ogół składają się właśnie ze niegu - oschle zauważył McGill. - Jeli stok ponad miastem puci, to zobaczy pan znacznie więcej niegu niż tutaj.

Ballard odszedł na bok, obserwując rzekę.

- Dolinie grozi powód, jeżeli woda w dalszym ciągu będzie się cofać.

- Nie sądzę - odparł McGill. - Woda jest tu głęboka i na dnie musi być znaczne ciśnienie. Wkrótce przebije się przez to wszystko.

Według mnie, nastąpi to jeszcze dziś. Nad rzeką utworzy się niegowy most, ale droga i tak nadal będzie nieprzejezdna.

Wrócił do nieżnej ciany, wziął garć niegu i przyjrzał mu się.

- Niezupełnie suchy, ale wystarczy.

- Co pan ma na myśli? - spytał Peterson.

- Nic. Po prostu jestem fachowcem. - Podsunął otwartą dłoń pod nos Petersona i wskazującym palcem lewej ręki zamieszał nieg. - Nieszkodliwy puch, prawda? Jak wełna jagnięcia. - Zaciśniętą w pięć dłoń wypełnioną niegiem. - W moim zawodzie pracowałem kiedyś facet, Zdarsky - rzekł z pozorną niedbałością. - Był pionierem, działającym przed pierwszą wojną światową. Powie-

dział: "nieg to nie wilk w owczej skórze, to tygrys w przebraniu jagnięcia".

Otworzył zacinięts pięć.

- Proszę na to spojrzeć, panie Peterson. Co to jest?

We wgłębieniu dłoni leżała gruda twardego lodu.

- A więc to była pierwsza lawina - upewnił się Harrison.

- Tak, sir.

- I spowodowała odcięcie doliny?

- Zgadza się.

- No i co stało się dalej?

McGill podjšł opowieć:

- Poczštkowo miałem zamiar przekonać radę miejskš o konieczności ewakuacji mieszkańców doliny aż do czasu ustšpienia zagrożenia. Teraz stało się to niemożliwe.

- Mówi pan "niemożliwe"? Z pewnościš można było wspišć się na przeszkodę.

- Mogli jš pokonać sprawni i silni, ale co ze starcami, kalekami i dziećmi? W każdym razie przynajmniej jeden z członków rady miejskiej został wreszcie przekonany o możliwości wystšpienia lawiny w Hukahoronui. Był on gotów wrócić do miasta i użyzyć całego swego autorytetu, by poprzeć mnie w mych zamierzeniach.

Pan John Peterson sprawował poprzednio funkcję burmistrza i jego słowo wiele jeszcze znaczyło. Zawrócilimy zatem do Hukahoronui, by podjšć jakie działania.

Harrison skinął głową i co zanotował.

- Jak brzmi nazwisko tego człowieka, którego słowa zacytował pan panu Petersonowi? Jak się je pisze?

- Z-d-a-r-s-k-y, Matthias Zdarsky. Był Austriakiem, jednym z pionierów zajmujących się badaniem niegu. - McGill zawahał się. - Znam anegdotę, która łączy się z tym, co powiedziałem panu Petersonowi.

- Proszę bardzo - zgodził się Harrison. - Jeli tylko nie odwiedzie nas ona zbyt daleko od celu, dla którego się tutaj zebraliśmy.

- Nie sądzę, by tak się stało. Kilka lat temu pracowałem w zachodniej Kanadzie jako doradca techniczny do spraw zabezpieczenia przeciwlawinowego. Przebywał tam też kartograf, któremu zlecono opracowanie mapy tego obszaru, uwzględniającej miejsca szczególnie zagrożone. Była to żmudna robota, lecz pewnego dnia, kiedy niemal ją ukończył, po powrocie z lunchu zobaczył, że jakiś żartowniś, w każdym oznaczonym miejscu wypisał gotyckimi literami: "Tu są tygrysy". Zupełnie tak samo jak na starych mapach.

Lekko umięknął się.

- Kartograf nie miał zbyt wysokiego mniemania o tym żarcie, ale szef jego działu wziął mapę, oprawił ją i powiesił na cianie swego gabinetu, aby każdemu przypominała o zagrożeniu lawinowym. Widzi pan, wszyscy w branży znają historię Matthiasa Zdarskyego i wiesz, co mu się przydarzyło.

- Pouczająca anegdota - przyznał Harrison. - I najzupełniej sto-

sowna. Rzykując dalszą stratę czasu, chciałbym i ja dowiedzieć się, co przydarzyło się Zdarsky'emu.

- Służył w armii austriackiej podczas pierwszej wojny światowej. W tamtych latach obie strony, to znaczy Austriacy i Włosi, używali lawin jako broni w Dolomitach i Tyrolu. Mówi się, że w tamtej wojnie osiemdziesiąt tysięcy ludzi zginęło pod lawinami. W 1916 roku Zdarsky szedł na pomoc dwudziestu pięciu austriackim żołnierzom zasypianym przez lawinę, kiedy i jego spotkało to samo. Miał szczęście, że odnaleziono go jeszcze żywego, ale to wszystko, co można powiedzieć. Doznał osiemdziesięciu złamań koci i przemieszczeń i upłynęło jedenacie lat, zanim znów mógł przypiść narty.

W sali zapanowała cisza. Po chwili Harrison powiedział:

- Dziękuję, doktorze McGill. - Spojrzał na zegarek. - Mylę, że na tym zakończymy ostatnie posiedzenie przed weekendem. Przesłuchania zostaną wznowione w poniedziałek, o dziesiątej rano. - Lekko stuknął młotkiem. - Ogłaszam odroczenie obrad.

XVI

Następnego ranka Ballard udał się do szpitala odwiedzić Camerona. Starał się robić to możliwie najczęściej, chcąc dotrzymać staremu człowiekowi towarzystwa i podnieć go na duchu. Cameron stał się teraz starym człowiekiem, przeżycia w czasie lawiny zabiły niemal jego duszę i ciało. McGill oznajmił:

- Wpadnę do niego jutro. Mam kilka spraw w sztabie Deep

Freeze.

- Będę przejeżdżał tamtędy po południu - powiedział Ballard. -

Odbieram Stenninga z Harewood. Chcesz, żebym cię zabrał przy okazji?

- Chętnie. Zapytaj o mnie w biurze.

Ballard zastał Camerona w fotelu na kółkach. Mimo panującego upału był opatulony kocem. Kiedy Ian wszedł do pokoju, właśnie rozmawiał z Liz Peterson.

- Cześć! - zawołała Liz. Akurat opowiadałam Joemu, jak Mike próbował zmrozić nam krew w czasie swoich wczorajszych zeznań.

- Tak, myślę, że przyprawił Harrisona o drżenie. - W głębi ducha uważał za niezbyt taktowne opisywanie cierpień Zdarsky'ego komu, kogo także przysypała lawina i zastanawiał się, ile Liz zdążyła przytoczyć szczegółów.

- Jak się czujesz, Joe?

- Dzi nieco lepiej. Wczoraj po południu również mogłem zostać, nie oglądając się na tego głupiego lekarza.

- Rób to, co ci każe - doradził Ballard. - Jak uważasz, Liz?

- Myślę, że Joe powinien robić co chce. Lekarze nie zawsze mają rację.

Cameron rozemiał się.

- Dobrze mieć u boku piękną dziewczynę, ale naprawdę nie powinna tu przychodzić, Liz. - Skinął w stronę okna. - Powinna być tam i cieszyć się słońcem. Na przykład na korcie tenisowym.

- Mam mnóstwo czasu na tenisa, Joe - zaprotestowała. - Resztę

życia. Dobrze się tutaj tobś opiekujś?

- Raczej tak, ale jest jak w każdym innym szpitalu. Jedzenie

okropne, majś zbyt wielu dietetyków, a za mało kucharzy.

- Podelemy ci co - obiecał Ballard. - Prawda, Liz?

Umiechnęła się.

- Podobno wiele gotuję.

Siedzieli tak długo, dopóki ich Cameron nie wygonił, mówiąc że

młodzi ludzie powinni znaleźć sobie lepsze zajęcie, niż przesiady-

wanie w szpitalu. Gdy wyszli na słońce, Ballard zapytał:

- Masz jakie konkretne plany, Liz?

- Nic specjalnego.

- Co w takim razie powiesz na lunch w moim towarzystwie?

Zawahała się na ułamek sekundy, ale odparła:

- Chętnie.

- Pojedziemy moim samochodem. Odwiozę cię po południu,

w drodze na lotnisko. Mam się z kim spotkać.

- Narażasz się na podwójne koszty. Muszę zabrać Victora. Nie

mogę go przecież zostawić w samochodzie.

- Oczywiście.

Rozemiała się.

- Kochaj mnie i mego psa.

Uruchamiając silnik, Ballard spytał:

- Serio wczoraj mówiła o opuszczeniu Nowej Zelandii?

- Myślałam o tym.

- Dokąd by pojechała?

- Przypuszczam, że do Anglii, przynajmniej na razie. Potem może do Ameryki. Ty już sporo podróżowałaś, prawda? Zawsze chciałam zobaczyć kawałek wiata.

Wyszli wreszcie poza teren szpitala.

- Tak, jedziłem trochę, ale na ogół wiślało się to z pracś. Jedno ci powiem. Nigdy nie spodziewałem się, że wrócę do Nowej Zelandii.

- W takim razie, co cię tu przyгнаło?

Ballard westchnął.

- Chciał tego mój dziadek. To był stary wyga, umiał postawić na swoim.

- Był! Nie wiedziałam, że nie żyje.

- Umarł kilka dni temu.

- Och, Ian. Tak mi przykro.

- Mnie też, mimo wszystko. Niewiele czasu spędziliśmy razem, ale będzie mi go brakowało. Teraz, kiedy odszedł, nic mnie już nie wiśnie ze spółkś Ballardów. Prawdę mówię, sam do tego doprowadziłem.

- Mikę miał rację. Oboje jako nie potrafimy dogadać się z krewnymi. - Liz rozemiała się. - Wczoraj w nocy pokłóciłam się z Charlim. Kto zobaczył nas w restauracji i doniósł mu.

- Liz, nie chciałbym, żeby miała przeze mnie kłopoty.

- Mam już dość kurateli Charliego. Jestem dorosła i będę spotykała się z kim zechcę. Powiedziałam mu to wczorajszej nocy. -

Odruchowo potarła policzek.

Ballard kštem oka zauważył ten gest.

- Uderzył cię?

- Nie po raz pierwszy, ale na pewno ostatni - spostrzegła wyraz twarzy Ballarda. - Nie przejmuj się, Ian. Potrafię się bronić. Uważa się mnie za agresywnš tenisistkę, a te smeczowe uderzenia wyra-
biajš mięnie.

- Czyli oddała mu. Wštpię jednak, by na Charlim zrobiło to większe wrażenie.

Umiechnęła się szelmowsko.

- Tak się złożyło, że akurat trzymałam talerz spaghetti. - Kiedy Ballard wybuchnšł miechem, dodała: - Eric też mu dołożył. My, Petersonowie, jesteśmy całkiem szczęliwš rodzinš.

Skierował samochód na hotelowy parking. Gdy wchodzili już do holu, zaproponował:

- Niele tu karmiš, ale co by powiedziała na drinka przed lunchem?

- Może być, byle zimny i w wysokiej szklance.

- Chod, wypijemy koło basenu - poprosił. - Tędy. - Nagle zesztyniał i zatrzymał się.

- Co się stało?

- Odsiecz nadcišgnęła. To mój kuzyn, Francis. Skšd on się, do

diabła, tu wziął?

Stanął przed nimi doć młody mężczyzna, ubrany w urzędniczy garnitur.

- Dzień dobry, Ian - rzucił szorstko.

- Dzień dobry, Frank. Panno Peterson, to mój kuzyn, Frank Ballard.

Francis ukłonił się niedbale.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, Ian.

- Oczywiście. Włanie idziemy na drinka. Chod z nami.

Frank pokręcił głową.

- To sprawa prywatna.

- Dobrze. W takim razie po lunchu.

- Nie, nie mam tyle czasu. Za chwilę mam powrotny samolot do Sydney. To musi być teraz.

- Nie przejmujcie się mną - powiedziała Liz. - Zaczekam na ciebie obok basenu. Chod, Victor. - Odeszła, nie czekając na odpowiedź.

- Może w twoim pokoju? - spytał Frank.

- Zgoda. - Ballard ruszył przodem. Milczeli, dopóki nie weszli do rodka. Wreszcie Ballard zamknął drzwi i spytał: - Co cię sprowadza z Australii, Frank?

Frank odwrócił się gwałtownie.

- Doskonale wiesz, po co tu przyjechałem. Dlaczego, do diabła tak się wczoraj czepiałe Crowella. Zadzwoił do mnie, żeby się

wypłakać choćby na odległość.

Ian skwitował to umiechem.

- Po prostu usiłuję wydobyć na wiatłoienne trochę prawdy.

Frank nie odwzajemnił umiechu.

- Zrozum, Ian, stawiasz firmę w wyjśtkowo kłopotliwym położeniu. Nadajesz się na dyrektora zarządzającego jak jasna cholera.

- Czy nie zapomniała przypadkiem, że Crowell odwołał mnie z tego stanowiska? A może twoje słowa mam zrozumieć jako propozycję powtórnego zatrudnienia?

- Ty skończony idioto! Odwołanie obowiśzywało tylko do dnia zakończenia dochodzenia. Gdyby ruszył głowś i milczał, wszystko byłoby w porzřdku i w przyszłym tygodniu znowu siedziałby w siodle. Teraz nie jestem już tego taki pewien. Obrzuciła towarzystwo zbyt duźś ilości błota, by można uważać cię za odpowiedzialnego na to stanowisko.

Ian usiadł na łóżku.

- Dobrze wiesz, że gdybym się nie odzywał, byłbym skończony.

Nie miałbym szans między firmą a Petersonami. Czy naprawdę sądziła, że bez sprzeciwu pozwolę zrobić z siebie kozła ofiarnego?

- To firma Ballardów - wciekle rzucił Frank. - Dbamy o swoje interesy. Czy nie ma w tobie poczucia więzi rodzinnej?

- Zadbaliśmy o mnie jak lis o królika - odpalił Ian.

- Jeli naprawdę tak sądzisz, to przykro mi. W poniedziałek, kiedy dochodzenie zostanie wznowione, lepiej sied cicho. Jeżeli mi

obiecasz, że skończysz z tymi przemówieniami do publiczności, które tu wygłaszałeś, to może znajdzie się jeszcze w spółce jaka praca dla ciebie. Wstąpię, czy uda mi się załatwić ci dyrektorowanie Hukahoronui, bo mój stary szaleje, ale gwarantuję jakąś posadę.

- Dzięki - powiedział Ian ironicznie - ale nie skorzystam z twojej wspaniałomyślności. Wiesz co myślę o spółce. Nigdy nie robiłem z tego tajemnicy.

- Na miłość boską! - wybuchnął Frank. - Chyba zdajesz sobie sprawę z naszych wpływów. Jedno słowo i nigdy już nie dostaniesz pracy w górnictwie. Zrozum, nie musisz nawet nic robić, przestań tylko zadawać publicznie idiotyczne pytania.

Ian podniósł się.

- Frank, nie ustawiaj mnie - ostrzegł.

- Jeszcze nawet nie zacząłem. Oczekuję jedynie od ciebie odrobiny rozsądku. Czy wiesz, o ile spadły akcje firmy po wczorajszym dniu? Skutki tej wrogiej reklamy odczuwa się nawet w Londynie.

Tracimy przez ciebie forszę.

- Serce mi się kraje.

- Mielimy zamiar wypuścić nową emisję akcji Hukahoronui.

Jakie mamy szansę, jeśli w dalszym ciągu będziesz omieszał prezesa?

- Głupota Crowella nie jest moją zasługą, sam zrobił z siebie idiotę. Dlatego zresztą odpowiadał wam na tym stanowisku, bo tańczył, jak mu zagralicie. To jego powinnicie się pozbyć, a nie

mnie.

- Jeste beznadziejny - rzekł Frank. - Nie pozbywamy się ciebie.

- Nie - zgodził się Ian. - Odchodzę z własnej woli tam, dokąd

mi się podoba. Frank, nie mam zamiaru poddać się szantażowi,

a postępując tak dalej, sami się wykończycie.

Frank podniósł wzrok i spytał ostro:

- Co masz na myli?

- Czy wzięłaś pod uwagę skład komisji dochodzeniowej? Zasia-

da w niej, jako przewodniczący, Harrison i dwóch jego doradców,

będących specjalistami w swoich dziedzinach. Rolandson zna się na

niegu, a French jest z Departamentu Kopalń. Jak dotąd niewiele

mówił.

- I co?

- To, że jeszcze trochę nacisków z twojej strony i zaczniesz zada-

wać pytania na temat warunków pracy w kopalni, a kiedy skończysz,

French napisze raport, od którego włosy staną ci dęba, natomiast

akcjonariuszom z całą pewnością nie przypadnie to do gustu. Do-

piero wtedy zobaczysz, co stanie się z akcjami.

- Ian, jesteś cholernie uparty, dlaczego?

- Jeszcze się pytasz, po tym, co zrobiłem? Nie lubię, gdy ktoś mnie

manipuluje. Nie lubię, gdy się mnie ustawia. Nie jestem Crowellem.

I ostatnia sprawa. Tego dnia, kiedy mnie wylano - nazwijmy to bez

ogródek, Frank, dajmy spokój tym bzdurom o zawieszeniu - wi-

działem wyniki ostatnich analiz urobku. Bogaty urobek, Frank,

bardzo bogaty urobek. Ale wyjanij mi, dlaczego tych rezultatów nie podano akcjonariuszom?

- Nie twój cholerny interes.

- Mógłby nim być, gdybym kupił kilka akcji. Oczywiście nie zrobię tego. Ta kopalnia przysporzy komu fortuny, ale o ile cię znam, zwykli udziałowcy niewiele na tym skorzystają.

- Nikt nie skorzysta, jeli dalej będziesz wierzył i kretyńsko pytał o zabezpieczenia przeciwlawinowe - cierpko odparł Frank. - Dobry Boże, czy wiesz, ile nas to będzie kosztowało, jeżeli to przekłete dochodzenie pójdzie nie tak jak trzeba?

Ian wpatrywał się w niego.

- Nie bardzo rozumiem, co to znaczy: tak jak trzeba? Chyba nie mylicie wycofać się z założenia tych zabezpieczeń?

- Do diabła, lawina trafia się tam raz na trzydzieci lat. Zanim spadnie następna, kopalnia będzie wyeksploatowana.

Ian głęboko zaczerpnął powietrza.

- Ty skończony głupku! Tak było wtedy, gdy drzewa jeszcze osłaniały zachodni stok. Teraz, kiedy je wycięto, lawina może się obsuwać przy każdym większych opadach niegu.

- No dobra - Frank machnął niecierpliwie ręką. - Zalesimy stok.

To i tak wyniesie taniej, niż płotki przeciwlawinowe, których domaga się twój przyjaciel McGill.

- Frank, czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, ile potrzeba czasu, żeby urosło drzewo? Wiedziałem, że jesteście li, ale wreszcie prze-

konalem się, jak daleko sięga wasza zachłanność. - Głos Ballarda

brzmiał twardo. - Skończmy już lepiej tę rozmowę - podszedł do

drzwi i otworzył je na ocież.

Frank zawahał się.

- Przemyśl to jeszcze, Ian.

- Precz! - rzucił Ian zdecydowanie.

Pożałujesz tego.

Jak się czuje wuj Steve?

Nie spodoba mu się odpowiedź, którą zawiozę do Sydney.

- Powinien tu przyjechać osobiście, a nie wyręczać się półgłów-
kiem, by ten odwaliał za niego brudną robotę. Jest zbyt inteligentny,
by sądzić, że groby mogą poskutkować. O ile go znam, raczej
próbowałby przekupstwa. Ale powiedz mu ode mnie, że to też nic
by nie dało. Może w ten sposób uratujesz własną skórę.

Frank zatrzymał się w progu.

- Jeste skończony, Ian. Mam nadzieję, że wiesz o tym.

Ian zamknął mu drzwi przed nosem.

Odwożąc Liz na parking koło szpitala, gdzie zostawiła samo-
chód, Ballard usprawiedliwiał się:

- Przepraszam za nieudany lunch. Miałem kilka spraw na gło-
wie.

- Trochę smętnie to wypadło - przyznała. - Co się stało? Jakie
kłopoty z rodziną? Straciła humor dopiero wtedy, gdy zobaczyła
swojego kuzyna.

Nie odpowiedział od razu. Zjechał z drogi i zatrzymał się przy

krawężniku. Odwrócił się do dziewczyny i wyjaśnił:

- Oboje mamy chyba z tym kłopoty. Kiedy wybierasz się do

Anglii, Liz?

- Nie myślałam jeszcze konkretnie.

- Ja wyjeżdżam, jak tylko skończy się dochodzenie. Może pojechałaby ze mną?

- Mój Boże, Charliego trafiłby szlag. Czy powinnam to zrozumieć jako owiadczenia? A może mam jechać w charakterze kochanki?

- Wybór należy do ciebie. Przyjmę każdą twoją decyzję.

Liz rozemiała się.

- Szekspir nie napisał tego tekstu. Jesteśmy jak Montekowie i Kapuleci, ale Romeo nigdy nie złożył takiej propozycji. - Dotknęła jego dłoni. - Lubię cię, Ian, ale jeszcze nie wiem, czy kocham.

- Rozumiem. Znamy się tak krótko. Zaledwie dwa, trzy dni w Huka, potem ta makabryczna katastrofa i teraz tydzień tu. Marne warunki do miłości, szczególnie pod nadzorem braciszka Charliego.

- A nie wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

- Wierzę - odparł Ballard. - Za to ty chyba nie. Mnie się to przydarzyło na dansingu, tamtego wieczoru, kiedy się wszystko zaczęło.

Słuchaj, Liz, gdy wsiądę już do samolotu, nie wrócę więcej do Nowej Zelandii. Szlag mnie trafia, że mógłbym cię już nie zobaczyć. Może mnie nie kochasz, ale pozwól mi przynajmniej spróbować.

- Być razem! - powiedziała. - Cudowne słowa. Mylisz, że to

realne?

- Co masz do stracenia?

Niewidzącym wzrokiem popatrzyła przez szybę. Po jakim czasie powiedziała:

- Jeżeli pojedę z tobś do Anglii, jeszcze nie jestem tego pewna, ale jeżeli jednak to zrobię, to bez zobowiązań. Cenię swójś niezależność i nie chciałabym jej stracić. Charlie nigdy nie mógł tego zrozumieć. Jeli więc pojedę, to będzie mój wybór. A jeżeli kiedy odejdę od ciebie, to też sama o tym zadecyduję. Rozumiesz?

- Tak.

- I pozwól, że wyjanę ci co, nad czym być może zastanawiała się. Eric walczy z Ballardami, nie tylko z tobś. Natomiast Charliemu chodzi konkretnie o ciebie. Miałam tylko dwa lata, kiedy zginśł Alec. Byłam za mała, by go pamiętać. Ale ty miałe wtedy dwanaście lat, teraz masz trzydzieci pięć. Tamten dwunastolatek i ty obecny, to różni ludzie, których nie należy ze sobś mylić tak, jak to robi Charlie. Nie znam prawdy o mierci Aleca. Nie dbam o to. Pojadę do Anglii z mężczyznś, a nie z chłopcem.

- Dziękuję - szepnśł Ballard. - Dziękuję ci, Liz.

- Wcale nie powiedziałam, że z tobś jadę - ostrzegła Liz. - Muszę to jeszcze przemyśleć. A jeli chodzi o pytanie, które zadałe wczyniej - co mam do stracenia?... - poklepała go po kolanie. -

Odpowied, mój drogi, brzmi tak prosto: dziewictwo!

Ballard zostawił Liz przy szpitalu i pojechał do sztabu Deep Freeze. Nie zastał McGilla w biurze, ale w końcu odnalazł go w klubie oficerskim, pogrążonego w jakiejś fachowej rozmowie.

- Postanowiłem najpierw wpaść do ciebie - powiedział Ballard. - Stary Stenning będzie pewnie zmęczony po długiej podróży, więc nie chcę, żeby musiał na mnie czekać.

- Jasne - zgodził się McGill. - Zaraz idę. O której przylatuje samolot?

- Za piętnacie minut, jeśli się nie spóni.

Pojechali na lotnisko Harewood, oddalone o dwie minuty jazdy.

Rozmawiali, czekając na samolot w hali głównej. McGill zastanawiał się:

- Nigdy nie widziałem prawnika milionera. Poznasz Stenninga?

Ballard kiwnął głową.

- Wysoki, siwy, szczupły facet. Trochę podobny do Bertranda Russella.

Samolot przyleciał punktualnie i kiedy już pasażerowie ciśnęli nieprzerwanym potokiem do odprawy, Ballard wskazał jednego z nich:

- Jest tam - McGill zobaczył wysokiego, starego człowieka, o ascetycznej twarzy. Ballard podszedł do niego. - Dzień dobry, panie Stenning. - Ucisnęli sobie ręce. - To mój przyjaciel, Mike McGill.

Przyjechał ze mną, żeby pomóc dwigać bagaże. Myślę, że zaraz nadejdą.

Stenning umiechnął się.

- Czy pan jest doktorem McGill, który zeznawał przed komisją?

- Tak, sir.

- Jeli wynajmujś pana teraz do noszenia walizek, to co nie-dobrze.

- Bagaż już jest - oznajmił Ballard. Stenning wskazał swoje walizki i Ballard powiedział: - Zaniesiemy te rzeczy do wozu, Mike. -

Kiedy opucili budynek lotniska, zwrócił się do Stenninga: - Zarezerwowałem panu miejsce w tym samym hotelu, w którym się zatrzymałem. Warunki sš nawet niezłe.

- Prowadcie mnie na razie do łóżka - rzekł Stenning. - Nie potrafię spać w samolocie. Jak przebiega dochodzenie?

- Przechowałem dla pana gazety. Znajdzie pan w nich dokładne relacje.

- To dobrze - mruknął Stenning. - Spędziłem w samolocie dwa dni, więc przestałem być na bieżšco z tš sprawš. Doktorze McGill, chciałbym z panem porozmawiać o katastrofie.

- W kaŹdej chwili, kiedy tylko nie będę w sšdzie.

Po przyjciu do hotelu McGill taktownie ulotnił się, a Ballard wskazał Stenningowi jego pokój. Stenning tłumaczył się:

- Mam już mniej sił niż dawniej, Ian. Idę do łóżka. Gdyby twój dziadek tu był, na pewno nie omieszkałby tego skomentować.

W moim wieku był wytrwałym globtroterem. - Pokręcił głowš. -

Przykro mi, że odszedł.

- Tak - rzekł Ballard. - Mi też.

Stenning spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Doprawdy? - spytał sceptycznym tonem. - Gdyby powiedział co innego, wcale by mnie to nie zaskoczyło. Stary Ben miał trudny charakter, a według mnie, nie traktował cię zbyt dobrze.

Ballard wzruszył ramionami.

- Tym niemniej, będzie mi go brakowało.

- Mnie również, Ian. Mnie również. A teraz, jeli wybaczysz staremu, zmęczonemu człowiekowi...

- Może jest pan głodny? Każę co przysłać.

- Nie, chcę tylko spać.

Ballard wskazał kredens.

- Wstawiłem tam kilka butelek. Whisky, gin, brandy i dodatki.

- Niezła myl. Whisky przed snem dobrze mi zrobi. Do jutra, Ian.

Ballard zostawił go i poszedł szukać McGilla. Znalazł go przy basenie, nad szklankę piwa. McGill uniósł brew.

- No i...?

- Nic - odparł Ballard. - Kompletnie niczego nie wyjanił.

McGill nachmurzył się.

- Co ci powiem. Jest cholernie pewne, że nie przyleciał dwadzieścia tysięcy kilometrów tylko po to, żeby pogadać z Mikiem McGillem o katastrofie.

Następnego ranka Stenning nie zszedł na niadanie. McGill po-

smarował grzanekę masłem.

- Nie spieszy się zbytnio. Jak to prawnik, oni pracujš w innym wymiarze czasu, niŹ kaŹdy z nas.

- Wczoraj miałem rodzinnyš wizytę - powiedział Ballard. - Mój kuzyn Frank. - Zrelacjonował McGillowi, co zaszło.

McGill aż gwizdnął.

- Wy, Ballardowie ostro gracie. Czy rzeczywiście może spełnić swójš grobę i załatwić ci wilczy bilet w górnictwie?

- Wštpię. Raczej chciałby myleć, Źe to potrafi. Z pewnością jednak mógłby utrudnić mi Źycie.

- Co go sprowadziło do Sydney? Dziwny przypadek, prawda?

- Ballard Group prowadzi interesy w wielu krajach, takŹe w Australii. Nie ma w tym nic dziwnego, Źe kto z rodziny nagle gdzie wyskakuje. Sšdzę, Źe i ojciec Franka, stryj Steve, jest takŹe w Sydney. Tak przynajmniej dał mi do zrozumienia Frank.

McGill sięgnął po marmoladę.

- Tak czy owak, to bardzo dogodny zbieg okolicznoci. Crowell musiał wiedzieć, Źe sš w Australii, bo od razu nagadał na ciebie.

Frank zjawił się jak na zawołanie.

Przez jaki czas rozmawiali skaczšc z tematu na temat. Wreszcie

Mikę skończył pić kawę.

- Idę do szpitala, odwiedzić Joego. Jeli Stenning ma ci co waŹnego do powiedzenia, pewno nie chciałby, abym mu przeszkadzał. - Odszedł, zostawiajšc przy stoliku Ballarda nad resztkami

niadania.

Ballard przejrzał nad basenem niedzielne gazety, wyszukując głównie relacji z dochodzenia. Przeczytanie ich nie zajęło mu zbyt dużo czasu, przeszedł więc do innych wiadomości, których także nie starczyło mu na długo. Był dziwnie niespokojny. Przyszło mu do głowy, by odszukać Liz, ale nie mógł opuszczać hotelu przed rozmową ze Stenningiem. Wrócił do pokoju, założył kąpielówkę i utopił swą frustrację, przepływając kilkanaście razy basen.

Była już piętnasta trzydziści, kiedy wreszcie pokazał się Stenning, niosąc parę wycinków z gazet.

- Dzień dobry, Ian - powiedział rzeko.

- Spał pan dobrze?

- Jak niemowlę. Można się było tego zresztą spodziewać, jadłem niadanie w pokoju. Gdzie jest doktor McGill?

- Pojechał do szpitala, odwiedzić Joego Camerona, inżyniera kopalni.

Stenning machnął trzymanymi w ręce wycinkami.

- Tak też wywnioskowałem. - Rozejrzał się dokoła. - Ładnie tutaj. Równie dobrze możemy tu pogawędzić.

Ballard rozłożył jeszcze jedno krzesło.

- Miasto też prezentuje się nie najgorzej. Christchurch szczyci się tym, że jest bardziej angielskie niż sama Anglia.

Stenning usiadł.

- Z przyjemnościś je zobaczę. - Zerknął na wycinki, potem po-

składał je i włożył do kieszeni. - Przeżywasz trudne chwile w czasie tego dochodzenia. Wstąpię, by twojej rodzinie przypadło do gustu to, co powiedziały.

- Też nie mam złudzeń - przyznał Ballard. - Wczoraj pokazał się Frank. Sugerował, bym się zamknął.

- I co ty na to? - spytał Stenning z zainteresowaniem.

- Wyrzuciłem go za drzwi.

Stenning nie skomentował tego, ale odpowiedź widocznie zadowolila go, w jaki trudny do określenia sposób, którego Ballard nie potrafił zrozumieć.

- Wiesz, że byłem dla twojego dziadka kim więcej, niż tylko prawnikiem. Byłem jego przyjacielem.

- Pamiętam, że miał do pana zaufanie.

- Zaufanie - powtórzył Stenning i uśmiechnął się. - O tym właśnie chciałem z tobą pomówić. Co właściwie wiesz o sposobie, w jaki twój dziadek organizował swoje sprawy, mam na myśli sprawy finansowe?

- Siedem lat temu? Dwadzieścia osiem.

Stenning przechylił się do tyłu.

- Sądzę, że kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy z Benem o stworzeniu fundacji, miałe dwadzieścia sześć lat. Ian, byłe zaledwie gołowąsem. Ben nie mógł się zdobyć na złożenie takich pieniędzy i władzy, bo pieniądze to władza, w ręce kogo tak młodego. Poza tym nie był ciebie zbyt pewien. Uważał, że jeste niedojrzały jak na

swoje lata. Obwiniął zresztś o to twojś matkę.

- Wiem. W czasie naszego ostatniego spotkania dał temu wyraz.

- Założył więc fundację Ballarda. I miał dwie rzeczy do zrobienia: zapewnić sobie utrzymanie zasadniczej kontroli i przeżyć jeszcze siedem lat. Powiodło mu się w obu przypadkach. A w międzyczasie obserwował cię jak jastrzśb, chcśc zobaczyć kim jeste.

Ballard skrzywił się.

- I co, spełniłem oczekiwania?

- Tego się już nie dowiedział. Zmarł przed zakończeniem eksperymentu w Hukahoronui.

Ballard wpatrywał się w niego.

- Eksperyment! Jaki eksperyment?

- Zostałe poddany testowi - rzekł Stenning. - A wyglśdało.to tak: Miałe już trzydzieci pięć lat, byłe bardziej niż kompetentny w kaźdej powierzanej ci pracy i wiedziałe jak kierować ludmi: Ale Ben wciśz bał się, że w rodku jeste miękki i znalazł sposób, by cię wypróbować. - Zawiesił głos. - O ile wiem, nigdy nie zgadzałe się specjalnie z rodzinś Petersonów.

- To słabo powiedziane.

Twarz Stenninga pozostała niezmienna.

- Ben mówił mi, że Petersonowie bez trudu dołożyli ci, gdy byłe chłopcem. Wysłał cię do Hukahoronui, żeby zobaczyć czy się to powtórzy.

- A niech mnie diabli porwś! - Ballard rozzłocił się nagle. -

Wiedziałem, że miał kompleks władzy, ale za kogo się, do cholery, uważał? Za Boga? I po co, do diabła, było to wszystko?

- Nie jeste chyba aż tak naiwny - powiedział Stenning. - Zastanów się nad składem zarządu.

- W porządku. Dwóch Ballardów, pan i dwóch innych. No i co z tego?

- To proste. Stary Brockhurst, Billy Bendell i ja bylimy wypróbowanymi przyjaciółmi Bena. Musielimy przyjść do zarządu dwie osoby z rodziny, żeby nie zwietrzyli pisma nosem. Gdyby zaczęli podejrzewać, do czego zmierzał Ben, znaleliby sposób, żeby wtrącić swoje trzy grosze i zniweczyć jego plany. Każdy, choć trochę nieuczciwy prawnik, mógłby wynaleźć kruczek, pozwalający na storpedowanie fundacji przed miarą Bena. Ale przez te siedem lat nasza trójka tak popuszczala Ballardom liny, żeby łódka nie zaczęła się kołysać. Szlimy w zarządzie zgodnie z dwoma Ballardami, oponując jedynie w sprawach, które nie miały dla nich zbyt wielkiego znaczenia. Zapewne sądzisz, że tak będzie w dalszym ciągu, ale się mylisz.

- Nie rozumiem co to ma wspólnego ze mną.

Stenning odpowiedział spokojnie:

- Życzeniem Bena było, żeby wszedł do zarządu.

Ballard popatrzył na niego.

- No więc?

- Więc zostało to zaaranżowane następująco: Rada uzupełnia się

we własnym zakresie. Jeli odchodzi jaki jej członek, wybiera się przez głosowanie jego następcę. I, co jeszcze ważne, głosuje także ten, kto ustępuje. Brockhurst ma już prawie osiemdziesiątkę i pozostawał w radzie jedynie ze względu na Bena. Kiedy będzie odchodził, otrzymasz jego głos, głos Billa Bendella i mój, co stanowi większość i Ballardowie nic na to nie poradzą.

Ballard przez dłuższy czas milczał. Wreszcie powiedział:

- Wszystko się zgadza, ale ja nie jestem administratorem, przynajmniej nie w stylu rady. Przypuszczam, że wiążę się z tym jakie honorarium, ale muszę przecież zarobić na życie. Oferuje mi pan posadę dla emerytowanego businessmana. Nie chcę prowadzić fundacji dobroczynnej, nawet tak poważnej.

Stenning ze smutkiem pokręcił głową.

- Wciśnij nie pojmujesz sedna sprawy. Ben ustanowił fundację z jednego, jedyne go powodu: chciał zapobiec rozdrobnieniu majątku i utrzymać w całości Ballard Group tak, by nie dostała się w ręce jego synów. - Wyjął z kieszeni kopertę. - Mam tutaj notowania giełdowe z połowy ubiegłego tygodnia akcji firm należących do Ballard Group.

Wyciągnął arkusz papieru.

- To zdumiewające, ile może zawierać taka mała kartka. - Pochylił głowę. - Ogólna wartość akcji wynosi dwieście trzydzieci dwa miliony funtów. Udział Ballardów, to znaczy twoich wujów i wszystkich kuzynów, wynosi około czternastu milionów. Fundacja Ballarda

ma czterdzieci jeden milionów i jak dotychczas jest największym akcjonariuszem.

Wsunął kartkę do koperty.

- Ian, ktokolwiek uzyska większość głosów w zarządzie, będzie mógł kontrolować fundację, czyli jednoczenie Ballard Group. Siedem lat czekaliśmy na to, by mógł objąć swoje dziedzictwo.

Ballardowi zaparło dech. Niewidzącymi oczami wpatrywał się w roziskrzony basen, rozumiejąc, że mgła w oczach nie pochodzi jedynie z odbitych w wodzie promieni słonecznych. Ten wspaniały, samolubny, szalony starzec. Otarł oczy, wiadomy ich wilgotności.

Dotarł do niego głos Stenninga.

- Co takiego?

- Powiedziałem, że jest w tym haczyk.

- Spodziewałem się.

- Tak. - Przez twarz Stenninga przemknął przelotny uśmiech. -

Ben wiedział, że umiera. Dwa dni przed śmiercią wymógł na mnie przyrzeczenie, że przyjadę tutaj i sprawdzę wyniki eksperymentu, ocenię, jak radzisz sobie z Petersonami. Jako przyjaciel Bena i jego prawnik czuję się zobowiązany uszanować jego ostatnią wolę i zrobić to, co zrobiłby on sam, gdyby żył.

- Czyli jeszcze nic pewnego?

- Czytałem z wielkim zainteresowaniem relacje z dochodzenia.

Niele walczyły, Ian. Ale wydaje mi się, że Petersonowie wciśz dają ci łupnia. Ben uważał, że człowiek, który nie potrafi się bronić,

nie jest kim odpowiednim do kierowania Ballard Group i muszę przyznać, że zgadzam się z nim. Sprawowanie tak wielkiej władzy wymaga wyjatkowo silnego charakteru.

- Po raz drugi dzisiejszego dnia szokuje mnie pan - powiedział spokojnie Ballard.

- Wcale nie zamierzam opierać się na doniesieniach prasy - wyjął Stenning. - Zbyt długo jestem prawnikiem, by wierzyć we wszystko, co czytam. Zostaniesz, Ian, sprawiedliwie oszdzony. Ze względu na szacunek dla Bena, musi to być uczciwe.

- A pan będzie moim sędziś. Moim jedynym sędziś?
Stenning kiwnął" głowś.

- Ben bardzo na mnie polegał, ale ostatnie zadanie, jakie mi powierzył, jest najcięższym brzemieniem jakie kiedykolwiek musiałem dwigać. A przecież nie mogę od niego uciec.

- Nie - przyznał Ian melancholijnie. - Nie sśdzę, by mógł pan. - Pomyślał o własnej chęci ucieczki z Hukahoronui, kiedy miał szesnacie lat. Potrzeba ucieczki od przeladowań Petersonów była nieodparta. - Chciałbym się trochę przejć i przemyleć to wszystko.

- Zupełnie zrozumiałe - zgodził się Stenning. - Spotkamy się na lunchu?

- Nie wiem. - Ballard wstał i zabrał ręcznik. - Pokaże się tu McGill. Może pan z nim porozmawiać o lawinie.

Przeciśł trawnik i udał się do swego pokoju.

Przesłuchanie

dzień czwarty

XVIII

Kiedy następnego ranka, przy niadaniu, Stenning wyraził chęć pójcia na dochodzenie, Ballard zawahał się.

- Mogš być z tym kłopoty. Wszystkich to interesuje i ludzie czekajš w kolejce na miejsca dla publiczności. Może jednak pan usiść ze mnš, jeli to panu odpowiada.

- Wštpię, czy to wskazane - odparł Stenning. - Wieć o tym szybko dotarłaby do twoich wujów. Ale nie martw się, Ian, nim poszedłem spać, zadzwoniłem do doktora Harrisona, który obiecał mi miejsce. Zwyczajła grzeczność w stosunku do wizytujšcego prawnika.

Sprytne, pomyłał Ballard. Bardzo sprytne!

- Wieć o pańskiej obecności i tak może dojć do rodziny.

Stenning rozkroił kawałek smażonego bekonu.

- Wštpię. Nikt mnie nie zna w Nowej Zelandii, a sam mówisz, że nie ma tu nikogo z rodziny.

Za dziesięć dziesiąta Ballard siedział już na swoim miejscu i przeglšdał notatki. Zauważył wchodzšcego Stenninga, którego wony zaprowadził do łoży dla gości. Stenning usiadł i z ciekawościš rozejrzał się po sali, omijajšc wzrokiem Ballarda z pozornym brakiem zainteresowania. Wyjšł notes i pióro z teczki i położył je przed sobš na stole.

Ballard powrócił do swych notatek, ale po chwili jaki cień

oderwał jego uwagę. Uniósł głowę i zobaczył Rickmana.

- Czy mogę z panem zamienić kilka słów, panie Ballard?

Ballard skinął w stronę stołu sędziowskiego.

- Byle szybko. Zaraz zaczynamy.

- Zajmę panu tylko chwilę. - Rickman oparł się na krawędzi

stołu i pochylił. - W piątek pana Crowella bardzo zirytował sposób,

w jaki potraktował go pan w czasie składania zeznań, ale podczas

weekendu wszystko przemyślał i obecnie jest dużo spokojniejszy.

- Miło mi to słyszeć - zakpił Ballard, z trudem zachowując po-

wagę.

- Może pan o tym nie wiedział, ale pan Crowell ma zostać... no...

przeniesiony na wyższe stanowisko. Obejmuje prezesurę nowoze-

landzkiej spółki Mineral Holdings macierzystej firmy Towarzystwa

Górniczego Hukahoronui. Zanosilo się na to już od dłuższego czasu.

- Przypuszczam, że jest z tego zadowolony.

- Uważa, że nie podoła obu stanowiskom. W konsekwencji

zwolni się prezesura Towarzystwa Górniczego.

- Interesujące - powiedział obojętnie Ballard i umilkł, chcąc

zmusić Rickmana do dalszych wynurzeń.

- Jak pan pamięta, analizy wydobycia dokonane przed lawiną

wykazały zwyczajną zawartość złota i w związku z tym rada zadecy-

dowała wypuścić pakiet akcji, by móc sfinansować szeroko zakro-

jone plany rozwojowe. Ktokolwiek więc obejmie prezesurę, znajdzie

się w bardzo korzystnej sytuacji. Z tym stanowiskiem związany jest

znaczny procent opcji akcyjnych. Oznacza to możliwość zakupienia

wielu akcji według parytetu.

- Dobrze wiem co to opcja.

Rickman rozłożył ręce.

- A więc rozumie pan chyba, że gdy wiadomość o zwiększonej zawartoci złota rozejdzie się, cena akcji niewstpliwie wzronie.

Właciciele akcji mogš zarobić na tym dužo pieniędzy.

- Czy nie jest to sprzeczne z prawem? Krzywo się patrzy na takie wewnętrzne transakcje.

- Zapewniam pana, że wszystko zostanie przeprowadzone w zupełnie legalny sposób - stwierdził Rickman.

- No cóż, wierzę panu na słowo, panie Rickman. Ostatecznie to pan jest prawnikiem, nie ja. Ale nie rozumiem, co to może mieć wspólnego ze mnš.

- Pan Crowell, jako prezes spółki macierzystej, będzie miał wiele do powiedzenia przy angażowaniu prezesa Towarzystwa Górniczego. Uważa, że posiada pan odpowiednie do objęcia tego stanowiska kwalifikacje, jeli tylko chciałby pan być brany pod uwagę jako kandydat.

- W zamian za co? - spytał Ballard bez ogródek.

- Dajmy spokój, panie Ballard. Obaj jesteśmy ludmi wiatowymi i obaj dobrze wiemy, do czego zmierza nasza rozmowa.

- Czuję w tym rękę wuja Steve'a - powiedział Ballard. - Pocišga za sznurek w Sydney, a Crowell podskakuje. - Wskazał puste miej-

sce dla wiadków. - Crowell siedział tam w piśtek, a ja przypieka-
łem go ze wszystkich stron. Teraz proponuje mi stanowisko prezesa
spółki, z której włanie mnie wylał. W jakim wietle stawia to Cro-
wella, panie Rickman? - pokręcił głowś. - Nie sśdzę, by mógł mnie
pan wciśgnść na listę kandydatów.

Rickman zmarszczył brwi.

- Proponuję panu stanowisko, które odrzuciłoby niewielu mło-
dych ludzi, zwłaszcza w obliczu zeznań, które wkrótce zostaną
złożone podczas tego dochodzenia, zeznań szczególnie obciśzajś-
cych pana. Efekt tych zeznań może zostać zminimalizowany -
umilkł na chwilę. - Lub wprost przeciwnie.

- Cieszę się, że nie należę do ludzi pańskiego pokroju, panie
Rickman, albo do tego, co Crowell. Jestem człowiekiem mówiącym
wprost i dlatego powiem panu, co o tym myślę. Najpierw próbował
mnie pan przekupić, a teraz grozi mi pan. Uprzedzałem już Franka
Ballarda, że ani jedno, ani drugie nie poskutkuje. Panu powtarzam
to jeszcze raz. A teraz zjeżdżaj pan, panie Rickman!

Rickman poczerwieniał na twarzy.

- Gdybym miał wiadka naszej rozmowy, zaskarżyłbym pana
o oszczerstwo.

- Przecież sam pan zadbał o to, by nie mieć wiadka - odciśł się
Ballard. - Dlaczego pan tak szeptał?

Rickman aż syknśł z oburzenia, odwrócił się na pięcie i poszedł
na swoje miejsce, gdzie wdał się zaraz w gwałtownś wymianę zdań

z Crowellem. Ballard obserwował ich przez moment, wreszcie skierował wzrok na miejsce zarezerwowane dla wiadków. Mikę McGill uniósł brwi w niemym pytaniu, mrugnął więc do niego uspokajająco.

W zaufaniu wyjawiał wczynie Mike'owi powody, dla których Stenning z takim popiechem przyleciał do Nowej Zelandii. McGill aż zakrztusił się piwem.

- Dwieście trzydzieci dwa miliony funtów...! - Odstawił szklanę i zapatrzył się przed siebie, cicho poruszając ustami. - To ponad sześćset milionów dolarów. Nawet na amerykańskie warunki, nie jest to drobiazg.

- Ale to nie moje - upomniał go Ballard. - To majątek akcjonariuszy.

- Choćby nawet, ale ty będziesz go kontrolował i pokierujesz nim jak zechcesz. To diabelnie dużo władzy.

- Jeszcze nie jestem członkiem zarządu. Decyzja należy do Stenninga.

- Nieprawda - rzucił ostro McGill. - Zależy tylko od ciebie*

Wszystko, co musisz zrobić, to przewalcować Petersonów. Tyle powiedział ci Stenning. Mój Boże, ten twój dziadek musiał być kiedy wcielonym diabłem. Potrafił wymyślić przedni numer.

- Przewalcować Petersonów - powtórzył Ballard. - Może się to niezbyt spodobać Liz.

- Czy uważasz, że nie należy widzieć wiata poza kobietę? -

parsknął McGill. - W każdym razie Stenning postawił sprawę zupełnie jasno. Skórę zdartą z Petersonów musisz przybić do drzwi obory i masz to zrobić tutaj, publicznie, w czasie tego dochodzenia.

To twoja ostatnia szansa.

Ballard spytał z kwanš minš:

- A niby jak mam to zrobić?

McGill wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Do czasu pierwszej lawiny zabawiali się lokalnš politykš,! z tego tytułu można stawiać im zarzuty. Ale potem nie popełnili żadnego błędu. Zrobili wszystko co trzeba w odpowiednim czasie i za to zostaną docenieni. Charlie zgłosił się nawet na ochotnika, żeby pójć ze mnš na stok, po lawinie, kiedy obawiałem się drugiego obsunięcia. To wymagało odwagi. Od tamtej chwili nie ma się o co przyczepić do Petersonów.

- Czyli zabrakło walca.

McGill rozemiał się krótko.

- Ależ oczywiście, że jest. Padnš przeciw pytania dotyczšce twojej decyzji odnonie kopalni. Eric wysunš słusznš sugestię, a ty jš odrzucił. Ponad pięćdziesiąt osób zginęło, Ian. Jest więc walec, ale poprowadzš go Petersonowie i przetoczš po tobie.

XIX

Eric Peterson składał zeznania:

- Musiało być między wpół do siódmej, a siódmš w niedzielę rano, kiedy obudził mnie mój brat, John. Przyszedł z nim pan

Ballard i doktor McGill. Powiedzieli, że spadła lawina. Poczłtkowo im nie uwierzyłem. Niczego nie słyszałem, a z tego, co wczenej opowiadali, lawina miała przecież zmieć całe miasto. John wyja- nił jednak, że nieg zablokował Szczelinę i zostalimy odcięci od wiata. - Wzruszył ramionami. - Wciřż nie wierzyłem, lecz to, co mówił John, brzmiało bardzo przekonujřco. Powiedział, że jeli aż tak zasypało Szczelinę, równie dobrze może okazać się prawdř to, co doktor McGill mówił o niebezpieczeństwie zagrażajřcym mia- stu od strony zachodniego stoku. Mój brat usiadł przy telefonie i zaczął wydzwaniać, zwołujřc nadzwyczajne zebranie rady. Do- chodziła ósma i zaczynało witać. Spotkanie odbyło się w super- markecie.

Tego niedzielnego poranka zabrakło chłodnego blasku wisřcych na cianie neonówek. Dwie oliwne lampy dawały ciepłe wiatło, blednřce w miarę jak rozjaniało się niebo. Nie było jeszcze widać słońca, które musiało wznieć się wysoko, ponad wschodnie zbocze doliny, by przebić ciężko opadajřcř mgłę.

Eric Peterson dołożył polan do staromodnego, brzuchatego pieca, mówiřc:

- Dobrze, że nie pozbylimy się tego zabytku. - Kciukiem wska- zał zaplecze sklepu. - Mam tam siedem i pół tysiřca litrów oleju opałowego, który do niczego się teraz nie nadaje. Centralne ogrze- wanie napędzajř dwa silniki elektryczne.

- Gdzie podziewa się Matt? - spytała niespokojnie pani Sam-

son.

- Przyjdzie - odparł John Peterson. - Zna go pani przecież, jest powolny, ale solidny.

Eric założył pokrywę na piec.

- Poza tym sš jeszcze zamrażarki i chłodnie, wszystko na pršd.

Dobrze, że to się nie stało latem.

- Na miłoc boskš! - z irytacjš krzyknšł John. - Choć raz zrób użytek ze swego cholernego mózgu. Jak, do diabła, mogłoby się to stać w lecie?

Eric umilkł zaskoczony.

- Zapomniałem, miałem na myli...

- Do diabła z tym, co myłał. Jeli nie potrafisz mówić z sensem, lepiej się zamknij!

Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Chcšc jš nieco rozładować, McGill zaproponował:

- Sšdzę, że powinniśmy zacząć, nie czekajšc na pana Houghtona. Możemy mu póniej wszystko powtórzyć.

- Nie ma potrzeby - odezwał się Phil Warrick. - Juž jest.

Przejciem między regałami Houghton zbliżył się do grupy skupionej wokół pieca.

- Wiem, że uzgodnilimy spotkanie na dzi rano, ale to juž chyba przesada. Czy wiecie, która godzina?

John Peterson uniósł dłoń.

- Matt, w Szczelinie spadła lawina i zablokowała jš zupełnie.

Jest tam tyle niegu, że nie widać szczytu.

- Chcesz powiedzieć, że nie możemy się stąd wydostać?

- W każdym razie, nie samochodem - wyjanił McGill.

Houghton rozejrzył się niepewnie, więc John Peterson wskazał mu miejsce.

- Siadaj, Matt. Jeżeli spadła jedna lawina, może spać i druga.

Proponuję, żebyśmy przeprosili doktora McGilla i wysłuchali jego sugestii.

- Nie ma za co przepraszać, a to, co mogę zaproponować... -

McGill przyjrzał się niewielkiej grupce. - Trochę nas mało. Chcę, żeby sprowadzono więcej mężczyzn, silnych i nie dających się łatwo nastraszyć. I kobiety też, ale nie jakie mimozy, tylko energiczne i przedsiębiorcze. - Trzy osoby zaczęły mówić jednocześnie, więc podniósł rękę. - Pani Samson, zechce pani pełnić rolę sekretarza.

Proszę zapisywać nazwiska tych, którzy zostaną wytypowani.

Zerwał się Eric.

- Na ladzie jest papier i ołówek. Zaraz przyniosę.

Dziesięć minut później McGill powiedział:

- To powinno wystarczyć, pani Samson. Może pójdzie pani natychmiast do tych ludzi i dopilnuje, by zjawili się tu jak najprędzej.

- Przylę ich tu na pewno.

Ballard podał jej jakąś kartkę.

- Proszę to dać Joemu Cameronowi. Przypuszczam, że prędzej znajdzie go pani w kopalni, niż w domu.

Pani Samson wyszła. McGill spojrział na nikłe wiatło za oknem.

- Pierwsza rzecz, jaką powinniśmy zrobić, to powiadomić kogo na zewnątrz o tym, co się tutaj dzieje. Kiedy się tylko wystarczająco rozwidni, trzeba będzie wysłać kilku mężczyzn. Dwie dwuosobowe drużyny, dla bezpieczeństwa. Napiszę im listy, bo nie chcę, żeby informacje zostały zniekształcone.

- Będziesz potrzebował sekretarki - odezwał się Ballard. - Możesz wziąć Betty z kopalni.

McGill krótko kiwnął głową.

- Jeli to, co spadnie ze stoku okaże się lawiną pyłową, a może tak być, ten sklep zostanie zniszczony.

- Naprawdę tak pan uważa? - zapytał Eric.

- Teraz, kiedy nie ma drzew, nie mam żadnych wątpliwości.

- Na miłość boską! - warknął Eric. - O co bym się nie spytał zaraz wymawia mi pan te drzewa.

McGill uderzył dłońmi w bok gabloty wystawowej. Wywołało to odgłos podobny do strzału z pistoletu, aż Warrick podskoczył.

- Posłuchaj no - rzucił chrapliwie McGill. - Pójdzie nam znacznie lepiej, jeli przestaniemy się wzajemnie oskarżać. Nikogo nie obwiniałem, po prostu stwierdziłem fakt.

Ballard wtrząsnął się, wskazując na drzwi:

- Zaraz przyjdzie tu sporo ludzi, którym musimy powiedzieć, że stoimy w obliczu katastrofy. Lepiej żeby nie dowiedzieli się, że rada miejska wiedziała o tym prawie dwadzieścia cztery godziny

wczeniu i zatrzymała to dla siebie. Chyba to rozumiesz, Eric?

Głos Johna brzmiał chłodno.

- Już raz cię prosiłem, Eric, jeśli nie potrafisz mówić do rzeczy, to się zamknij. Skinął głową McGillowi. - Proszę dalej.

- W porządku. Przyjmujemy, że ten budynek może zostać zwalony. Proponuję więc zabrać stąd żywność w jakie bezpieczne miejsce. - Rozejrzał się po zebranych i zatrzymał wzrok na Philu Warricku. - Czy mógłby pan to zorganizować?

- Oczywiście. Ale gdzie jest to bezpieczne miejsce?

- Może na razie dom Turiego Bucka, potem zastanowię się nad innymi. Zaczynajcie od podstawowych artykułów, wafle w czekoladzie zostawcie na koniec. A gdybyście znaleli jakie puste beczki metalowe, spuście do nich ze zbiornika olej opałowy, o którym wspomniał Eric. W przypadku katastrofy będziemy potrzebowali opału na równi z żywnością.

- W porządku - zdecydowanie powiedział Warrick. Ballard pomyślał o nim, że jest z pewnością dobrym facetem, dopóki otrzymuje polecenia, a nie musi sam ich wydawać.

- Nie zapomnijcie o magazynach na zapleczu - przypomniał John Peterson.

- No dobrze, wiemy już, co zrobić z żywnością, ale co z ludmi? - dopytywał się Houghton. - Nie możemy przecież wszystkich wpakować do domu Turiego Bucka. Według mnie powinniśmy się przenieść na wschodni stok.

- To na poczętek - odparł McGill. - Mam nadzieję, że to nie nastąpi, panie Houghton, ale jeśli lawina pyłowa spadnie z zachodniego stoku, to przetnie dno doliny i gładko przejdzie przez rzekę. Nie mam pojęcia jak wysoko wejdzie na wschodnie zbocze. - Houghton nie wyglądał na przekonanego i McGill poklepał go po kolanie. - Będzie się poruszała bardzo szybko, panie Houghton. Nie tylko szybciej, niż potrafi pan biec, ale i szybciej, niż mógłby pan jechać samochodem.

- Czy to pański domysł, McGill? - spytał Eric.

- Nie, moja ocena. Jak na mój gust, nieg z lawiny w Szczelinie był nieco zbyt suchy. A im bardziej jest suchy, tym większe prawdopodobieństwo powstania lawiny pyłowej i tym większa jej prędkość. Co więcej, im niższa temperatura, tym bardziej suchy staje się nieg. - McGill skinął w stronę okna. - Niestety, temperatura spada bardzo szybko.

- Jeżeli temperatura spada, to skąd ta mgła na dworze? - spytał Warrick. - Według mnie nie powinno tak być.

McGill zachmurzył się i powiedział:

- Proszę wierzyć, że mam rację. Od chwili, kiedy wstałem rano, temperatura obniżyła się o półtora stopnia.

- Dokąd zatem skierować ludzi? - ponownie zapytał Houghton.

- Może co wymylimy, gdy spojrzymy na tę mapę, którą mieliśmy wczoraj. - W tym momencie przy wejściu do supermarketu zrobił się ruch i McGill zwrócił się do -Warricka: - Proszę tam pójść

i jeszcze przez chwilę zatrzymać tych ludzi. Trzeba porozmawiać ze wszystkimi na raz. Dajcie mi znać, kiedy dojdzie reszta.

- Dobra - powiedział Warrick.

- I proszę im na razie nic nie mówić - dodał McGill. - Lepiej nie wywoływać paniki. Niech pan po prostu powie, że wszystkiego dowiedzą się za... - wychylił się i spojrzał na stojącego za Houghtonem Johna Petersona - za piętnacie minut. - John kiwnął głową.

Warrick odszedł, a Eric zaproponował:

- Znam wietne miejsce dla ludzi. Można by ich umieścić w kopalni. Jest jak cholernie wielki schron przeciwlotniczy, włanie we wnętrzu tej góry.

- Słuchajcie, to jest mył! - powiedział Houghton.

- Nie jestem pewien, czy to takie dobre miejsce - McGill podparł ręką brodę. - Portal znajduje się u samego podnóża stoku, więc każda lawina musiałaby przejść dokładnie ponad nim.

- No to w porządku - podchwycił John Peterson. - Włanie dlatego budujš galerie nieżne nad drogami. Widziałem je w Szwajcarii. nieg przelatuje po nich górš.

- Przecież sam pan powiedział, że większość niegu polecą przez dolinę, więc nie powinno być problemu z wyjciem, kiedy się to skończy - dodał Houghton.

- Ale wtedy mówiłem o lawinie pyłowej - przypomniał

McGill. - Przypućmy jednak, że temperatura zacznie się podnosić i wtedy zmieni się rodzaj lawiny. Będzie wolniejsza i cięższa, co

spowoduje, że piekielna masa niegu spiętrzy się włąnie u podnó-
ża stoku, blokując wyjście z kopalni. Mokry nieg po lawinie trzy-
ma jak beton.

- Kopalnia ma sprzęt - upierał się John Peterson. - Jeli mogš
nim drŹżyć w skale, równie dobrze mogš to zrobić w niegu, albo
lodzie. Wydostanš się na zewnštrz w godzinę po wszystkim.

McGill spojrział na niego.

- Zdaje się, że nie jesteśmy na tej samej długości fal. Czy wie
pan, ile jest niegu na zachodnim stoku?

- Nie sšdzę, doprawdy, nie mam pojęcia.

- Włanie! Dokonałem juŹ trochę obliczeń i wyszło mi ponad
milion ton.

Eric wybuchnšł miechem, a Houghton powiedział kategorycznie:

- NiemoŹliwe!

- Co w tym takiego niemoŹliwego? Macie tam prawie osiemset
hektarów pokrytych dwoma metrami niegu. Dziesięć centymetrów
opadów nieznych równa się jednemu centymetrowi deszczu,
z tym, że deszcz spływa, nieg za pozostaje. Ale tam na górze,
nieg został sprasowany, więc, według mnie, daje to ekwiwalent
około dwudziestu centymetrów wody, może nawet więcej. Nie po-
trzeba suwaka, żeby obliczyć ciężar tego wszystkiego. A w cišgu
ostatnich trzydziestu szeciu godzin nieg padał jak szalony, czyli
moŹe nawet oceniłem to zbyt skromnie.

Zapadła cisza. McGill potarł swój nieogolony podbródek.

- Co o tym sądzisz, Ian?

- Jeli chodzi o kopalnię, to bardziej obawiam się lawiny pyłowej. Przeglądając twoją matematyczną charakterystykę tej lawiny wywnioskowałem, że stosowała prawa dynamiki cieczy.

McGill kiwnął głową.

- Zgadza się.

- Tak myślałem. Jeżeli więc ciecz spłynie obok portalu z szybkością, którą opisałeś, to spowoduje fatalne skutki wewnątrz kopalni. Wywoła to podobny efekt, jak przy dmuchaniu nad szybką butelki piwa, tyle, że mocno zwielokrotniony.

- Podcinienie - rzekł McGill. - Niech to diabli, może wyciśnięć całe powietrze. Nie pomyślałem o tym.

- Pomówię z Cameronem - powiedział Ballard. - Może dałoby się zbudować jakąś przegrodę, albo bramę.

- Zostawmy to na razie - odparł McGill. - Wrócimy do tego, jeli nie znajdziemy innych miejsc. Przejdmy teraz do kolejnej sprawy. Przypuśćmy, że lawina spadnie i zasypie kogo. Co wtedy zrobimy?

- Pewnie niewiele - westchnął Houghton. - Przynajmniej sądzić z tego, co pan mówił. Będę już martwi.

- Niekoniecznie. Jest to założenie, którego nie należy przyjmować. W czasie lawiny zdarzają się przeróżne wypadki. Musimy wpoić tym ludziom przekonanie o konieczności natychmiastowego niesienia pomocy, gdy już dojdzie do katastrofy. Trzeba im wytłumaczyć, co mają robić.

- Pan będzie musiał im to powiedzieć - odezwał się John Peterson.

- Wiem - ponuro przyznał McGill.

Od strony drzwi wejściowych kto szedł wzdłuż regałów. Ballard odwrócił głowę i dostrzegł policjanta. Na jego widok doznał naglego olnienia i uderzył McGilla w plecy.

- Radio! - zawołał. - Pye ma nadajnik, musi mieć.

Arthur Pye zatrzymał się.

- Dzień dobry, John. Co się dzieje? Pani Samson powiedziała, żebym natychmiast tu przyszedł.

Ballard przerwał mu.

- Arthur, masz radiostację, prawda?

Pye spojrzał na niego.

- Tak, panie Ballard, normalnie mam, tyle że nie teraz. Co się zepsuło w nadajniku i oddałem go w piątek do naprawy. Jutro dostanę z powrotem.

McGill aż jęknął.

- To jaki przekłety spisek.

- Co się dzieje? - dopytywał się Pye.

Matt Houghton otworzył już usta, ale John Peterson uprzedził go i zwięśle wyjaśnił sytuację. Pye popatrzył z zainteresowaniem na McGilla.

- Czy to prawda?

McGill kiwnął głową.

- W ten sposób zostały przerwane linie elektryczne i telefoniczne.

ne. Czy kto jeszcze ma nadajnik? Sš tu jacy radioamatorzy?

- Nic o tym nie wiem - odparł Pye. - Może który ze skautów.

Zapytam Boba Fawcetta. - Zwrócił się do Johna Petersona: - Podjęto już jakie kroki?

John wskazał na kłębišcy się przed wejciem tłum.

- Zbieramy co mocniejszych facetów. Przedstawię im, jak się sprawy mają, a McGill doradzi co z tym zrobić. - Wzruszył ramionami. - Tylko on jeden orientuje się w tym wszystkim.

- Lepiej pospieszcie się - rzucił Pye. - Zaczynajš się niecierpliwić.

John Peterson spojrzał pytajšco na McGilla.

- Dobra. Zabieramy się do roboty.

- Zadzwoń do Turiego Bucka i uprzed go, by przygotował swój dom na przyjęcie gromady dzieci - powiedział McGill do

Ballarda, potem wstał i przyłšczył się do Petersona i Pye'a. - Tworzymy komitet lawinowy, ale zrobię wszystko, by nie stał się on klubem dyskusyjnym.

- Nie będzie - obiecał Pye.

McGill popatrzył na niego z uznaniem.

- Jest pan jego członkiem, panie Pye. Musimy się jeszcze postarać o lekarza. A teraz chodmy ogłosić złe wieci.

Eric Peterson kontynuował zeznania:

- Tak więc mój brat powiedział o wszystkim tym ludziom, których sprowadziła pani Samson. Początkowo mu nie uwierzyli, ale nadszedł kto z ulicy i potwierdził, że nie udało mu się przejechać

przez Szczelinę. Nawet wtedy długo ich trzeba było przekonywać,

że miastu zagraża niebezpieczeństwo. - Wzruszył ramionami. -

Tak, jakby się powtórzyło pierwsze spotkanie rady, tyle że na większą skalę. Każdy z zebranych chciał klócić się z losem.

- Która była wtedy godzina? - spytał Harrison.

- Ósma trzydziści, może bliżej dziewiętej.

- W takim razie musiało być już jasno.

- I tak i nie. Huka otoczone jest górami ze wszystkich stron, nie mamy więc bezprecedentnego wiatła aż do wczesnego przedpołudnia. Niebo zrobiło się już jasne, ale zalegała gęsta mgła.

Profesor Rolandson poprosił o głos. Harrison skinął przyzwalająco.

- Wspomniał pan, że doktor McGill mówił o spadku temperatury i że pan Warrick kwestionował to włanie z powodu mgły.

Muszę przyznać, że sam tego nie rozumiem. Według mnie w takich warunkach mgła powinna zostać wytrącona pod postacią szronu.

Czy wyjaniono to jako?

- Nic o tym nie słyszałem.

- A czy wówczas wciśz jeszcze padało?

- Nie, sir. Przestało. Przez resztę dnia nieg już nie padał.

Rolandson odchylił się do tyłu, natomiast Harrison spytał:

- Jak więc ostatecznie sytuacja została rozwiązana? Mam na myli przekonanie przybyłych ludzi.

- Załatwił to Arthur Pye. Przez chwilę pozwolił im się wygadać, a potem wskoczył na nich i powiedział, że szkoda czasu na dyskus-

je. Zrobił to bardzo przekonująco.

Harrison podniósł głowę i zwrócił się do sali.

- To wielka szkoda, że konstabl Pye nie może być tutaj, by złożyć zeznania. Jak państwu zapewne wiadomo, zginł już po katastrofie, spiesząc innym na ratunek. Wczoraj poinformowano mnie, że konstabl Pye i pan William Quentin, reprezentant zwińzków zawodowych w kopalni, zostali pomyślnie odznaczeni przez Jej Królewskš Wysokoć Krzyżem świętego Jerzego.

W odpowiedzi odezwały się najpierw pojedyncze głosy i sporadyczne oklaski, które wkrótce przerodziły się w burzliwą owację. Na galerii prasowej kipiało i wrzało. Harrison odczekał jakiś czas, wreszcie zastukał młotkiem.

- Kontynuujemy zeznania.

Sala ucichła i przewodniczący zwrócił się ponownie do Erica Petersona:

- Czy może nam pan powiedzieć, co robił wówczas pan Ballard?

- Skorzystał z telefonu, a później rozmawiał z panem Cameronem.

- Nie brał udziału w dyskusji?

- Nie wtedy. Odeszli z panem Cameronem na bok i tam rozmawiali.

- Czy słyszał pan o czym?

- Nie, sir.

Harrison spojrzał na Ballarda.

- Biorąc pod uwagę pewną decyzję, którą właśnie wtedy podję-

to, chciałbym usłyszeć relację z tej rozmowy. Dziękuję, panie Peterson. Czy zechce pan podejść, panie Ballard?

XX

Ballard był spięty. W Hukahoronui podjął decyzję, którą teraz musiał uzasadnić. Pociśgnęła ona za sobą miarę pięćdziesięciu czterech osób, którzy w innym przypadku żyliby teraz i wiadomość tego ciężła mu. Mocno splótł dłonie, by zapanować nad ich drżeniem.

Harrison ciśgnął:

- Czy może pan przekazać zasadniczą treść rozmowy jak się odbył pan wówczas z panem Cameronem?

Głos Ballarda brzmiał spokojnie.

- Rozważaliśmy sugestię pana Erica Petersona, dotyczącą użycia kopalni jako schronu. Już wcześniej rozmawiałem z doktorem McGillem o tym, czego możemy się spodziewać ze strony lawiny i powiedział, że lawiny pyłowe osiągną bardzo dużą szybkość, nawet do 450 kilometrów na godzinę. - Zamilkł na chwilę. - To oczywiście prędkość postępująca.

- Ma pan na myśli ogólną prędkość osuwającej się masy nieżelaznej? - zapytał Rolandson.

- Tak, ale według słów doktora McGilla, wewnątrz tej masy występują znaczne zaburzenia. Mogą się zdarzyć zawirowania, powodujące chwilowe podmuchy o prędkości dochodzącej do dwukrotnej wartości prędkości postępującej.

Harrison uniósł brwi.

- Twierdzi więc pan, że szybkość tych podmuchów może wynieść 800 kilometrów na godzinę?

- Tak zostałem poinformowany przez doktora McGilla.

- Rozumiem pańskie wstępliwoci. Obawiał się pan efektu piszczalek organowych, gdy lawina przewali się obok portalu kopalni.

- Tak, sir. Podcinienie byłoby kolosalne.

- A co z drugim typem lawiny?

- Lawina mokrego niegu spadałaby dużo wolniej, najwyżej z prędkości 50 do 65 kilometrów na godzinę. W rezultacie tej, względnie małej, szybkości miałyby tendencję do spiętrzania się przed portalem, a doktor McGill mówił mi, że nieg tego rodzaju natychmiast przekształca się w lód. Stałem zatem w obliczu możliwości, że kilkaset tysięcy ton lodu o nieznannej grubości odetnie ludziom wyjście z kopalni. Te właśnie problemy omawiałem z panem Cameronem.

- A jaki był pogląd pana Camerona na tę sprawę? - zapytał

Harrison.

Cameron miał wstępliwoci.

- Jezu! - rzekł z niedowierzaniem. - Chcesz wsadzić wszystkich ludzi do tej dziury w górze?

- To niezły schron.

- W porządku, wiem o tym, ale są też problemy. Tak wiele problemów, że nie wiem już od czego zacząć. Na przykład powiedz

mi, kiedy się możemy tej lawiny spodziewać?

- Może nigdy nie spać.

- No włanie. Jak długo więc mają tam ludzie siedzieć i czekać?

Wytrzymajś dzień i gdy nic się nie stanie, zechcś wyjć. Sśdzisz, że uda ci się ich zatrzymać?

- Mogłaby rada miejska.

Cameron chrzśknśł znacźco, wyrażajśc tym swój sśd o wpływach rady. .

- Prawdę mówiąc, nie cieszy mnie perspektywa czyjejkolwiek obecności w kopalni, gdyby miało rzeczywiście nastąpić obsunięcie.

Milion ton niegu, spadajścего z przeciętnie stromego wzniesienia, musi spowodować trochę drgań.

Ballard zmrużył oczy.

- Joe, do czego zmierzasz?

- Przecież wiesz, że ominęlimy niektóre przepisy.

- Wiem, kilka przypadków widziałem na własne oczy. Prawdę mówiąc, napisałem na ten temat raport do zarzśdu. Ale, Joe, nie jestem tu wystarczajśc długo, by poustawić pewne sprawy. To się musi jednak zmienić. Dlaczego, na Boga, pozwoliły im na takie matactwa?

- Nie stałem dostatecznie wysoko na wieczniku - sucho odparł

Cameron. - Moim bezporednim szefem jest ta pozbawiona kręgosłupa kupa galarety, Dobbs, a nad nim jeszcze Fisher, jednś nogś stojścý w grobie i przede wszystkim niekompetentny. Mylisz mo-

że, że z resztą ludzi jest lepiej? Ta premia produkcyjna, którą wy-
płacali, to prawie kryminał. Ci faceci są tylko ludmi i jeśli strza-
łowy może, powiedzmy, zarobić szybkiego dolca nie zważając na
przepisy, to zawsze poleci na szmal. A Dobbs udaje, że tego nie
widzi, bo też ma z tego swój udział.

- A ty?

Cameron spuścił wzrok.

- Ja pewnie też. - Spojrzał wyzywająco na Ballarda. - Nie mam
zamiaru się wybielać. Podaję ci tylko fakty. Nie jestem taki jak
Dobbs, bo nie robiłem tego dla pieniędzy, tylko dla zachowania
posady, Ian, muszę się jej trzymać, bo to już ostatnia, jaką dostałem
na stanowisku naczelnego inżyniera. Jeżeli ją stracę, zacznę obsu-
wać się w dół i wyląduję jako asystent młodego, sprytnego faceta,
który pnie się do góry. Kiedy osiągniesz mój wiek, zrozumiesz, że
trudno wtedy pozwolić sobie na takie ryzyko. Gdybym więc nie
przystał na te malwersacje, zostałbym wylany. - Rozemiał się iro-
nicznie i klepnął Ballarda w pier. - Tylko mi nie mów, że nie
miałem już swoich kłopotów. Zrobiłem wszystko, co mogłem,
uwierz, naprawdę zrobiłem, ale te rekiny z Auckland to sknerowata
kupa drani, trzęsących się nad każdym centem. Prosiłem Dobbsa,
prosiłem Fishera o większe dotacje na zabezpieczenia, na konstruk-
cje podporowe. Zawsze otrzymywałem jednakową odpowiedź:
"Rad sobie".

Ballard potarł oczy.

- Nie powiedziały mi niczego konkretnego. Co cię właściwie martwi?

- Wyjanię ci to. Jeli ta masa mokrego lub suchego, to nie ma znaczenia, niegu spadnie z góry, to grzotnie jak wszyscy diabli.

Może nawet interpretowaliśmy przepisy zbyt dowolnie, ale nie chciałbym znaleźć się w rodku, kiedy to nastąpi. Nie sšdzę, by konstrukcje podporowe to wytrzymały.

Ballard wcišgnł powietrze.

- Joe, ta sprawa zaczyna mierdzieć. Jest teraz kto w kopalni?

- Niedzielna ekipa konserwacyjna. Szeciu ludzi. Technicy i elektrycy.

Głos Ballarda cišł jak ostrze noża.

- Wycišgnij ich stamtšd. Natychmiast ich wycišgnij. I to biegiem, Joe.

Odwrócił się na pięcie i podszedł do hałaliwego, rozdyktowanego tłumu, obok drzwi. Wród beładnej gadaniny rozległ się podniesiony głos Arthura Pye'a:

- Spokój! Posłuchajmy, co ma do powiedzenia na ten temat McGill.

McGill wyjanił Ballardowi, który znalazł się u jego boku:

- Rozważaliśmy pomysł Erica Petersona użycia kopalni jako schronu. Według mnie to niezła myl. Sšdzę, że nie musimy się zbyt martwić sprawš podcinienia, jeli Joe Cameron będzie mógł zatkać wejcie. A w dodatku wszyscy się tam bez trudu zmieszczą.

- Nie - rzucił Ballard. - Nikt tam nie wejdzie. Włanie poleciłem odwołać stamtąd ludzi, którzy aktualnie znajdują się w rodku.

Rozległ się szmer głosów, krótko ucięty krzykiem Pye'a.

- Dlaczego nie, panie Ballard?

- Ponieważ uważam, że to niebezpieczne. Pan Cameron wyjaśnił przed chwilą, że uderzenie miliona ton niegu o dno doliny spowoduje pokany wstrząs. Nie sądzę, by kopalnia była bezpieczna.

Pye zmarszczył brwi.

- Nie jest bezpieczna?

- To moja decyzja i ja ją podjąłem - odparł Ballard. - Gdy tylko opuszczą już tamci ludzie, polecę zapłombować wejście.

- No, wszystko jasne - rzekł McGill. - Nie ma potrzeby więcej o tym mówić. - Nim odwrócił się do Pye'a, spojrzał z zaciekawieniem na Ballarda. - Chcę czterech ludzi, którzy znajdą góry, wyposażonych w liny i czekany, jeśli to w ogóle możliwe.

- Kilku skautów wiele się wspina.

- Wystarczy - zdawkowo rzucił McGill. - Ian, gdzie jest sekretarka, która mi obiecała?

- Tak właśnie to wyglądało - powiedział Ballard.

Harrison wykonał gest, jakby chciał od razu to skomentować, ale najpierw odchylił się do tyłu i spytał swego doradcę, siedzącego po lewej stronie:

- Czy ma pan jakie pytania, panie French?

- Istotnie. - French obrócił krzesło tak, by móc dobrze widzieć

Ballarda. - Panie Ballard. Orientuje się pan chyba, że reprezentuję

Departament Kopalń?

- Tak.

- Z wielką uwagą przysłuchiwałem się pańskim zeznaniom.

Czy mamy przyjąć, że kazał pan zabezpieczyć kopalnię z obawy przed zawaleniem się tunelu w przypadku lawiny?

- Zgadza się.

- Czy wiadomo panu, że ze względu na szczególny charakter naszego kraju, przepisy górnicze uwzględniają ewentualne trzęsienia ziemi?

- Tak.

- A więc, gdyby nawet duża ilość niegu spadła z zachodniego stoku nad kopalnię, to wywołane szkody byłyby niewielkie lub żadne, oczywiście pod warunkiem, że wcześniej stosowano się do przepisów. Zgadza się pan ze mną?

- Tak.

- Czyli, wnioskując z podjętych przez pana działań, najwyraźniej uważał pan, iż przepisy ustanowione prawnie przez mój departament nie były przestrzegane?

- Razem z panem Cameronem doszliśmy do wniosku, że zbyt dowolnie je interpretowano, głównie z powodu interesów czysto ekonomicznych. Nie była to rzecz, o której chętnie spierałbym się z inspektorem kopalń, gdyby się tam jaki pojawił.

- Panie Ballard, takie owiadczenie bardzo pana obciąża -

chłodno zwrócił mu uwagę French.

- Zdaję sobie z tego sprawę, sir.

- Jednym słowem, wierząc w to, kazał pan zaplombować kopalnię. W katastrofie, która potem nastąpiła, zginęły pięćdziesiąt cztery osoby. Po wypadku kopalnię otwarto i stwierdzono, że konstrukcje podporowe oparły się wstrząsowi. W żadnej z części kopalni nic się nie zawaliło. Gdyby cała ludność Hukahoronui schroniła się tam, jak proponował pan Eric Peterson, wszyscy byliby bezpieczni. Co pan powie na to, panie Ballard?

Ballard wyglądał na zakłopotanego.

- Od czasu lawiny nieustannie o tym myślę. Oczywiście, podjąłem niewłaściwą decyzję, ale to okazało się już po fakcie. Byłem tam i decyzja należała do mnie, więc podjąłem ją na bazie dostępnych mi przesłanek. - Zamilkł na chwilę. - Muszę dodać, że gdybym ponownie znalazł się w takiej sytuacji, to nie zmieniłbym tej decyzji.

Z galerii dla publiczności doszedł niespokojny szmer, a podłoga zaskrzypiała. Harrison odezwał się łagodnie:

- Ale kopalnia powinna być bezpieczna, panie Ballard.

- Tak, sir.

- A nie była.

- Nie była.

Rolandson pochylił się, szeroko rozłożył na stole łokcie i spojrzał na Frencha.

- Czy kopalnia została rozpieczętowana przez członka Inspektoratu Kopalń?

- Tak.

- Jakś wydał opinię na temat istniejących w niej konstrukcji podporowych?

- Oceniał je w swoim raporcie negatywnie - przyznał French. -

Muszę dodać, że bezporednio po inspekcji złożył mi ustną relację, a słowa, których użył, nie nadawały się do druku.

Ballard wtrzącił:

- Sporządziłem podobny raport dla zarządu firmy. Proszę, by włączono go do materiału dowodowego.

Harrison pochylił się.

- Panie Rickman, czy ten raport może zostać przedstawiony?

Rickman przez kilka minut rozmawiał szeptem z Crowellem, po czym uniósł wzrok.

- Mam obowiązek poinformować komisję, że zarząd firmy nie otrzymał takiego raportu od pana Ballarda.

Ballard poblądł, jednak opanowanym głosem powiedział:

- Mogę dostarczyć komisji kopię tego raportu.

- Z całym szacunkiem, panie przewodniczący - odezwał się

Rickman. - Fakt, że pan Ballard przedstawi kopię nie musi wiad-

czyć o tym, iż taki dokument wysłano do zarządu. W rzeczywisto-

ci każdy raport, który pan Ballard mógłby teraz dostarczyć komisji,

mógł zostać napisany post factum.

Harrisona zainteresowała ta kwestia.

- Czy naprawdę sugeruje pan, że raport, który pan Ballard chciał mi przedstawić, został sprokurowany już po wydarzeniach?

- Z całym szacunkiem, wskazuję jedynie, że istnieje taka ewentualność.

- Interesująca sugestia, panie Rickman. A co pan o tym sądzi, panie Ballard?

Ballard rzucił okiem na Rickmana, który odwzajemnił mu się niewinnym spojrzeniem.

- Pan Rickman imputuje, że jestem kłamcą.

- Ależ nie! - odparł Rickman niewinnie. - Tylko, że może pan nim być.

- Pan Rickman również nie poprawia mego obecnego nastroju - stwierdził Ballard. - Z przyjemnością odpowiem na każde z pytań dotyczących bezpieczeństwa kopalni, zadanych przez pana Frencha, pana Gunna, reprezentującego Związek Zawodowy Górników lub każdą z zainteresowanych osób.

Z twarzy Rickmana zniknęła uśmiech, gdy Gunn skwapliwie skorzystał z propozycji.

- Panie Ballard, powiedział pan, że kopalnia nie była bezpieczna. Czy poza zakwestionowanym raportem wspominał pan wówczas komukolwiek o tej sprawie?

- Tak. Rozmawiałem z panem Dobbsem, panem Cameronem i doktorem McGillem, zarówno przed, jak i po lawinie.

- Czy podjął pan jakie kroki, by naprawić zaniedbania?
- Napisałem raport i przygotowałem się do wcielenia go w życie.
- Ile czasu upłynęło od chwili objęcia przez pana stanowiska

w firmie do katastrofy?

- Sześć tygodni.

- Zaledwie sześć tygodni - jak echo powtórzył Gunn, z dobrze udanym zaskoczeniem. - W takim razie, ani pan Rickman, ani nawet pan Lyall nie bardzo mają prawo sugerować, iż był pan odpowiedzialny za stan rzeczy w kopalni.

- Nie miałem wcale takiego zamiaru - sucho wtrącił Lyall.

Rickman zbył to milczeniem.

- Ale kto jednak musiał być odpowiedzialny - kontynuował

Gunn. - Co, według pańskiej opinii, spowodowało tak skandaliczną sytuację?

- Kopalnia balansowała na granicy rentowności. By nie doprowadzić do deficytu, musiały zostać obcięte wszelkie dotacje. Całość pieniędzy wkładanych w kopalnię, szła w stronę produkcji, w stronę zysku. To, co temu nie sprzyjało, spychano na bok, dotyczyło to również inwestycji zabezpieczających. - Ballard poruszył się na krzele i spojrzał na Rickmana. - Teraz, kiedy natrafiono na bogatą żyłę złotodajnej rudy, miejmy nadzieję, że więcej nakładów zostanie przeznaczonych na bezpieczeństwo.

Rickman zerwał się na równe nogi.

- Panie przewodniczący, muszę zaprotestować. Wiadek zdra-

dza tajemnice firmy, tajemnice, które poznał w czasie pełnienia swoich obowiązków. Czy tak postępuje odpowiedzialny dyrektor?

Na galerii prasowej rozpiął się ically piekielny rozgardiasz. We wrzawie zginęła riposta Ballarda.

- Powinien pan raczej powiedzieć ex-dyrektor.

XXI

Kiedy komisja dochodzeniowa znów zebrała się po południu,

Harrison rzekł kwano:

- Mam nadzieję, że nie powtórzy się zachowanie, które doprowadziło do odroczenia porannej sesji. Nie do mnie należy ocena, czy pan Ballard zrobił mśdrze, mówiąc o pewnych sprawach. Sśdzę jednak, że został do tego sprowokowany metodami, jakimi się przeciw niemu posłużono, a przed którymi ostrzegałem otwierając nasze dochodzenie. Panie Rickman, udzielam panu ostatniego ostrzeżenia, proszę nie być nadgorliwym, broniąc interesów swojego klienta. Jeszcze jeden taki wypadek, a będę zmuszony zwrócić się do niego z prośbą o znalezienie sobie innego reprezentanta.

Rickman wstał.

- Przepraszam komisję, jeli jś w jakiś sposób uraziłem.

- Przyjmujemy pańskie przeprosiny. - Harrison zerknął do notatek. - Panie Ballard, chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie. Nie zajmie to dużo czasu, więc może pan pozostać na miejscu. Wspomniał pan, że konsultował się z panem Cameronem. Bardzo dokładnie przejrzałem pańskie zaznania i okazało się, że niezmiernie rzad-

ko wymienia pan nazwisko pana Dobbsa, menedżera kopalni

i zwierzchnika pana Camerona. Gdzie zatem był przez cały ten czas

pan Dobbs?

Ballard zawahał się.

- Doprawdy, nie wiem. Zdaje się, że co mu się stało.

- Co takiego?

- Chyba jakie załamanie nerwowe. Zamknął się w sobie. Wszystkie obowiązki zrzucił na mnie. Naturalnie, zaniepokoiłem się tym, wysłałem więc doktora Scotta, by z nim porozmawiał i spróbował ustalić przyczyny takiego stanu. Myślę, że jego zeznania będą bardziej wiarygodne. Nie jestem autorytetem medycznym.

- Tak, to chyba najlepsze wyjście. Wezwę go później, jeżeli okaże się to rzeczywiście konieczne. - Harrison ponownie zajrzał do notatek. - W tym czasie doktor McGill praktycznie objął dowództwo.

To zrozumiałe, gdyż jedynie on miał wiadomość tego, co miało nadejść. Myślę, że powinniśmy posłuchać teraz jego zeznań.

McGill zajął miejsce i niezwłocznie rzekł:

- Sądzę, że mogę wyjanić punkt, który zastanowił profesora Rolandsona. Chodzi o mgłę.

Rolandson uniósł wzrok.

- Włanie, chciałbym o to poprosić.

- Mnie również to martwiło - przyznał McGill. - Chociaż próbowałem tego nie okazywać. Nie mogłem zrozumieć skąd wzięły się takie opary przy gwałtownie spadającej temperaturze. Były bar-

dzo gęste, można je było niemal zaklasyfikować jako mgłę i sprawały nam wiele kłopotów. Dopiero po lawinie udało mi się to zrozumieć. - Wiedział, że będzie składał zeznania przez całe popołudnie, rozsiadł się więc wygodnie na krzele. - Zapewne pamięta pan, że pierwsza lawina zablokowała zarówno rzekę, jak i drogę. Rzeka zamarzła, ale oczywiście pod lodem woda płynęła swobodnie. Kiedy rzeka została zablokowana, woda podniosła się i przełamała lód. Miała stosunkowo wysoką temperaturę i kontakt z zimnym powietrzem spowodował powstanie oparów. Zamarzały one przez cały czas, tworząc szron, lecz woda rozlewała się po niskim terenie i zbyt duża jej powierzchnia wystawiona była na działanie powietrza, tak więc opary wytwarzały się szybciej niż zamarzały.

- Ciekawa teoria - przyznał Rolandson - i bez wątpienia prawdziwa.

- Jak już mówiłem, przysporzyło nam to wówczas dużo kłopotów. Znacznie utrudniało działania.

- Co, przede wszystkim, zaprzętało pańską uwagę? - spytał Harrison.

- Bezpieczeństwo ludzi - natychmiast wyjawił McGill. - Otrzymałem sporo pomocy, kiedy zrozumiano wreszcie powagę sytuacji.

Chciałbym podkreślić, że ci, którzy byli jej wiadomi, zrobili wszystko, co leżało w ich mocy. Szczególnie chciałbym podkreślić działalność Johna Petersona.

Harrison kiwnął głową i co zanotował.

- Jakie podjęto kroki?

- Istotne było komunikowanie się ze wiatem zewnętrznym.

Wysłałimy dwie grupy, które miały za zadanie wydostać się z doliny tak szybko, jak tylko wiatło na to pozwoli. Jedna z nich miała wspiąć się na rumowisko niegu, blokujące Szczelinę, druga za obrała bardziej okrężną drogę. Po ich wyekspediowaniu zebrałem wszystkie dzieci i odesłałem do domu Turiego Bucka, który, według naszych ocen, miał być bezpieczny. Równocześnie zastanawiałem się nad brakiem zabezpieczenia centrali...

- Centrali? - przerwał Harrison.

Przepraszam - rzekł McGill. - Transatlantyckie, albo trans-

pacyficzne nieporozumienie. Pan nazwałby to centralą telefoniczną (amer. central = ang. telephone exchange: centrala telefoniczna.).

Znajdowała się na otwartym terenie, wystawiona na uderzenie lawiny, a przecież musieliśmy mieć łączność. Brak sprawnych telefonów na etapie organizowania wszystkiego, bardzo skomplikowałby sprawę. Omówiłem to z panem Ballardem i panem Petersonem i w efekcie jeden z elektryków kopalni zgłosił się do obsługi centrali. Jednak pani Maureen Scanlon, telefonistka, nie zgodziła się przekazać swego posterunku. Twierdziła, że byłoby to zaniedbanie obowiązków i odmówiła opuszczenia centrali. Powiedziała też, że to jej pulpit i że nikt inny go nie tknie.

McGill zniżył głos.

- System telefoniczny działał bez zarzutu przez cały okres organizacji, aż do czasu lawiny, która zniszczyła centralę. Wtedy też

zginęła pani Scanlon. Próbę jej ocalenia przypłacił również życiem pan John Peterson. .

W sali zapanowała absolutna cisza, przerwana czyim westchnieniem.

Harrison cicho powiedział:

- Miał pan chyba pełne ręce roboty?

- No, można powiedzieć, że panowie Ballard i John Peterson okazali się zdolnymi oficerami sztabowymi. Pan Ballard dostarczył wszelkich możliwych rodków ratunkowych z kopalni i zajął się organizacją na tej płaszczyźnie, podczas gdy pan Peterson robił to samo na terenie miasta, wspierany przez członków rady miejskiej. Początkowo głównym problemem było przekonanie mieszkańców Hukahoronui o powadze sytuacji, dlatego też tak istotna była łączność telefoniczna. Członkowie rady osobiście wydzwaniali do wszystkich rodzin w dolinie. Jeli o mnie chodzi, to jedynie kierowałem działaniami, chcąc uniknąć jakich pomyłek, i wkrótce mogłem już spokojnie zastanowić się nad tym, co zrobić po uderzeniu lawiny.

Profesor Rolandson spytał:

- Jakś miał pan wtedy pewność, że dojdzie do kolejnej lawiny?

- Nie przyjmowałem tego za pewnik, ale uważałem za prawdopodobne. Jako naukowiec jestem przyzwyczajony do tego typu ocen, zwykle wykluczających precyzję. Lawiny są, jak powszechnie wiadomo, niemożliwe do przewidzenia. Znam wypadek ze Szwaj-

carii, gdzie pięćsetletni budynek został zmieciony, co dowodziło, że lawina nie zeszła tamtędy od takiego właśnie czasu. Nikt nie mógł się jej spodziewać. Ale opierając się na badaniu stoku i tej skromnej wiedzy, którą posiadamy, oraz własnych doświadczeniach z przeszłości, udało mi się ustalić szansę obsunięcia lawiny na około 70%.

Szansę wzrastającą ze spadkiem temperatury.

- Czyli dochodzisz do, powiedzmy, 80%?

- Tak, może nawet więcej.

- Pozwoli pan, że wyjąję to w sposób bardziej przystępny -

wtrącił Rolandson. - To, co doktor McGill mówi, oznacza, że szansa niewystąpienia lawiny była taka sama, jak wyrzucenie szóstki w pierwszym rzucie kostką. Jednym słowem możliwość obsunięcia się lawiny, według niego, wynosiła około cztery lub pięć do jednego.

- Możliwość, którą tylko nałogowy hazardzista mógłby przy-

jąć - skomentował Harrison. - Rozumiem więc, że ludziom doradzono udanie się w bezpieczne miejsca. Kto je określił?

- Ja, sir - McGill zawahał się. - Bezpieczeństwo jest pojęciem względnym. Prawdę mówiąc, nie byłem nawet pewny domu Turiego Bucka, gdy wycięto te drzewa na stoku. Nie mieliśmy jednak nic lepszego i dlatego skierowaliśmy tam większość dzieci. Jeli chodzi o resztę, to przyjrzałem się mapie oraz istniejącym warunkom terenowym, oczywiście w miarę możliwości, gdyż opary utrudniały widoczność. Próbowałem wykorzystać nierówności terenu, aby osłonić czym ludzi przed niegiem. - Zamilkł na chwilę. - W jed-

nym przypadku popełniłem błąd.

- Nikt nie może pana za to winić - uspokoił go Harrison.

- Dziękuję, sir. Główna trudność polegała na zmobilizowaniu ludzi. Nikt nie chciał opuścić ciepłego domu i wystawać w niego na otwartej przestrzeni. Gęste opary nie czyniły tej perspektywy bardziej zachęcającej. Bardzo w tym pomógł konstabl Pye, który po raz kolejny wykazał się ogromną siłą przekonywania.

- Powiedział pan, że był to czas, kiedy mógł się pan zastanowić nad tym, co zrobić po lawinie. Co miał pan na myśli?

- Zasadniczym elementem po zejściu lawiny jest szybkość podjęcia akcji ratowniczej, ale ratownicy muszą wiedzieć, czego się od nich oczekuje. Odnalezienie kogo zasypanego w niego jest wyjątkowo trudne. Dowiadczena szwajcarskie wskazują, że wytrenowanej, dwudziestoosobowej grupie przeszukanie powierzchni jednego hektara zajmuje dwadzieścia godzin.

- Hektar odpowiada dziesięciu tysiącom metrów kwadratowych - wtrącił Rolandson.

- Włanie, a my nie mieliśmy ani przeszkolonych ludzi, ani sprzętu. Nie mogliśmy też liczyć na pomoc z zewnątrz, musieliśmy więc improwizować. ciśnień z domów anteny telewizyjne.

Dostarczyły one rurek aluminiowych do wykonania sond dla drużyn ratowniczych. Pan Cameron w warsztacie kopalni poprzycinał je do długości trzech metrów. Zorganizowałem trzy ekipy, w sumie sześćdziesięciu mężczyzn i próbowałem błyskawicznie przeszkolić

ich w zakresie ratownictwa lawinowego.

- O której to było godzinie?

McGill potrząsnął głową.

- Nie potrafię dokładnie odpowiedzieć, sir. Byłem zbyt zajęty, by spoglądać na zegarek.

Opary lepiły się wręcz do skóry. Kłębiły się, gdy lekki wiatr zmieniał kierunek, pogarszały gwałtownie widoczność. Duża grupa mężczyzn, w grubych, zimowych ubraniach, trochę bezcelowo dreptała tu i tam. Jedni przytupywali nogami, inni chuchali w dłonie lub wymachiwali ramionami dla rozgrzewki.

- Dobra, chłopcy - krzyknął McGill. - Ci, którzy mają sondy, niech wyjdą do przodu i staną w szeregu. - Ogarnął ich krytycznym spojrzeniem. - Wyrównajcie, jakbyście byli w wojsku na defiladzie, ramię przy ramieniu, w pozycji na "spocznij". Rozstawcie stopy na jakie dwadzieścia pięć centymetrów.

Mężczyźni szurając nogami, ustawili się. Z grupy dobiegł miech pełen zażenowania, gdy uwiadomili sobie przedstawienie, które musieli z siebie robić.

- Nie ma w tym nic miesznego - sucho upomniał McGill. -

Pozostali niech się zbiorą wokół i obserwuj.

Zbliżył się, trzymając zwój drutu i podał jego koniec mężczyźnie, stojącemu na lewym końcu szeregu.

- Trzymaj. - Przeszedł wzdłuż szeregu, rozwijając drut, aż znalazł się na prawym końcu. - Teraz wy dwaj jesteście markierami.

Pochyľcie się i nacišgnijcie mocno ten drut na niego. Wszyscy

pozostali niech go dotknš czubkami butów.

Obserwował ich, gdy się ustawiali.

- Dobrze. Wyobracie sobie teraz, że macie przed sobš teren, gdzie, jak sšdzicie, jest kto przysypany ale nie wiecie dokładnie w którym miejscu. Umiećcie sondę tuż przed czubkiem lewego buta i pchnijcie jš w dół. Wyczujecie tutaj ziemię na głębokoci mniejszej niż metr, lecz jeżeli spadnie lawina, niegu będzie o wiele więcej.

Wszyscy sondowali.

- W porzšdku, a teraz zróbcie to samo przed czubkiem prawego buta.

Kto zawołał:

- Jak rozpoznać, że znalelimy ciało?

- Zorientujecie się - odkrzyknš McGill. - Nie można się pomylić. Jeli który z was uderzy w ciało, niech naciska łagodnie i nie używa sondy jak włóczni. Gdy zdarzy się co takiego, zawołajcie dowódcę drużyny, by oznaczył miejsce dla kopaczy. A teraz markerzy, zróbcie krok do przodu, nie więcej niż trzydzięci centymetrów i ponownie nacišgnijcie drut. Cała reszta niech przyłóży do niego czubki butów i sonduje tak samo, jak przedtem.

Odwrócił się do tłumy obserwatorów.

- Widzicie co robiš? Sondujš każdy kawałek. Daje to 95% szans na odnalezienie ciała. Dokładnoć tego sondowania można jeszcze

zwiększyć wbijając się w pokrywę nieznę w mniejszych odstępach.

Da to pewnoř stuprocentowř, pod warunkiem, że ciało nie będzie zagrzebane głębiej, niż może sięgnęć sonda.

- Ale to idzie strasznie wolno - zauważył kto.

- Racja - zgodził się McGill. - Tempo jest przy tym żadne. Kiedy otrzymamy następnę partię sond, nauczę was sondowania pobieżnego. Jest trochę mniej precyzyjne, ale dużo szybsze, a czasem szybkoć może się okazać skuteczniejsza niż dokładnoć.

- Nadjeżdża Cameron z kolejnymi sondami - zawołał kto z tłumy.

McGill odwrócił się i zobaczył jadę w ich kierunku ciężarówkę.

Gdy zatrzymała się, powiedział: .

- W porzřdku, rozładujcie ję.

Wycięgnę paczkę papierosów. Z szoferki wysiadł Cameron i skrzypię butami zbliżył się do niego, poczęstował się papierosem.

- Dzięki, Mikę. Jak ci leci?

McGill upewnił się, że żaden z mężczyzn go .nie słyszy.

- Kiepsko. Wiesz ile czasu zajmuje przeszkolenie członków Par-senndienstu w Szwajcarii? A oni mają odpowiednie sprzęt.

- Co to takiego... to, co powiedziały? Jaki rodzaj nieżnej służ-by ratunkowej?

McGill kiwnę głowę.

- Ci faceci mają sporo zapalu, ale gdy nadejdzie krytyczny moment, nie na wiele się to zda. Niektórzy z nich mogą się znaleźć pod

niegiem, zamiast na jego powierzchni, gdzie będą ich potrzebował.

Reszta będzie do niczego.

- Jak to? .

- Milion ton niegu lub czegokolwiek innego, co upadnie tuż

obok, odbiera człowiekowi zapał. - McGill wypucił duży kłęb

dymu. - Okreła się to terminem szoku powypadkowego. Będziemy

potrzebowali szybkiej pomocy z zewnątrz i mogę się tylko modlić,

by przywieli ze sobą psy. Tresowany pies odnajdzie ciało dziesięć

razy szybciej, niż dwudziestoosobowa ekipa. W Szwajcarii połowę

ofiar lawin odnajdują właśnie psy.

Cameron odwrócił się i popatrzył na szereg mężczyzn, sondują-

cych nieg.

- W takim razie, po co to wszystko robisz?

- Tylko po to, by podtrzymać ich morale. Lepiej, jeśli mają jakie

zajęcie. Ile sond przywiozłeś?

- Dwadzieścia. Nim minie godzina, przygotujemy następny takś

porcję. - Spojrzał na ciężarówkę. - Już rozładowali. Ruszam w drogę.

- Dobra, Joe. - Gdy Cameron odjechał, McGill zawołał: - Niech

przyjdź tutaj ci z nowymi sondami. Pokażę, jak wygląda sondowa-

nie pobieżne. - Zamilkł, gdyż właśnie nadjechał Land-Rover i za-

trzymał się w pobliżu. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni, Ballard

i jaki drugi, którego McGill nigdy przedtem nie widział.

Ballard podszedł natychmiast.

- Mike, to Jack MacAllister. Przedostał się przez Szczelinę.

- Na szczycie spotkałem dwóch waszych ludzi - oznajmił Mac-
Allister. - Poszli dalej, bo chcieli dotrzeć do telefonu. Powiedzieli
nam co tu się dzieje, więc przyszedłem, żeby to zobaczyć na własne
oczy.

- Dzięki Bogu! - westchnął z ulgą McGill. Był to okrzyk płynący
wprost z serca. Taksującym wzrokiem zmierzył MacAllistera. - Ja-
kie są szanse na ewakuowanie mieszkańców doliny?

MacAllister pokręcił głową.

- Żadne. Musiałem się wiele natrudzić, żeby tu dotrzeć. nieg
stwardniał i właściwie przypomina lód. Miejscami trzeba się wspi-
nać niemal pod kątem prostym. Ale chłopcy od telefonów próbują
przerzucić liny górą.

- Zawsze to coś. - McGill przydeptał niedopałek. - W końcu
przedostaliśmy się na zewnątrz. Lepiej póno niż wcale.

- Wiedzieli już w nocy - nieoczekiwanie powiedział MacAllis-
ter. - Zadzwoiłem na policję. Po drugiej stronie Szczeliny czeka
cała brygada. Rozlokowywali się, gdy zaczynałem wspinaczkę.

- Coraz lepiej. - McGill zwrócił się do Ballarda. - Wiesz co mnie
martwiło?

- Co?

McGill wskazał na górę.

- To, że nie mogłem zobaczyć tego przekłętego stoku z powodu
mgły. Przyprawiało mnie to o dreszcze.

- Cicho! - rzucił MacAllister. - Co to?

W górze rozległ się słaby warkot, narastający i z każdą chwilą głośniejszy.

- Samolot - powiedział McGill, starając się przebić wzrokiem mgłę.

- Nie uda mu się tu wylądować - odezwał się Ballard.

Nasłuchiwali przez jakiś czas, gdy samolot zataczał nad nimi kręgi, ale nie zobaczyli go. Krążył nad nimi przez dziesięć minut, potem odleciał, by wrócić pięć minut później.

- I to wszystko - powiedział McGill. Położył dłonie na oparciu krzesła dla wiadków i spojrzał na Harrisona. - Właśnie wtedy spadła na nas lawina.

XXII

Harrison zaczerpnął głęboko powietrza.

- A więc dochodzimy do samej lawiny. Prasa sugerowała, że odgłos tego samolotu, wysłanego przez Obronę Cywilną w celu zbadania sytuacji, stał się czynnikiem powodującym zejście lawiny.

Czy pan również tak uważa, doktorze McGill?

- To kompletny nonsens, sir - bez ogródek odparł McGill. -

Twierdzenie, że dźwięk może wywołać lawinę jest mitem, czczym gadaniem. W Stanach Zjednoczonych przeprowadzono badania, używając samolotów ponaddwiekowych. Nawet wysokie nadciśnienie, ponad pięćdziesiąt ton na metr kwadratowy, wywoływane przez samolot wojskowy typu Hustler, nie dało wykrywalnego efektu. - Przerwał na chwilę. - Ale miało to miejsce przy normal-

nym użytkowaniu. W Montanie dokonano eksperymentów z samolotem F-106, nurkującym na cel i wyprowadzanym z lotu nurkującego przy szybkości ponaddwiejkowej. To już wywołało lawinę.

Jednak samolot, który słyszałem, krząca nad Hukahoronui, w żaden sposób nie mógł jej spowodować.

Harrison umiechnął się.

- Pilotowi tego samolotu spadnie kamień z serca, gdy to usłyszy.

Wydaje mi się, że nie dawało mu to spokoju.

- Zupełnie niepotrzebnie - powiedział McGill. - Ten nieg był już gotów, by spać i zrobił to bez niczyjej pomocy.

- Dziękuję, doktorze McGill. Sądzę, że pilot i obserwator tego samolotu byli jedynymi, którzy widzieli początek lawiny. Z zeznań, które czytałem, wynika, że obserwator ma nam więcej do zaoferowania jako wiadek. Jeszcze raz więc dziękuję, doktorze. Proszę wezwać porucznika lotnictwa, Hatry'ego.

Hatry zajął miejsce. Był młodym, dwudziestoparoletnim mężczyzną, o pogodnej twarzy, ubranym w lotniczy mundur.

Reed spytał:

- Pańskie nazwisko?

- Charles Howard Hatry.

- Zawód?

- Porucznik lotnictwa Royal New Zeland Air Force.

Głos zabrał Harrison:

- Jak to się stało, że przelatywał pan wówczas nad Huka-

horonui?

- Takie dostałem rozkazy, sir.

- Czego dokładnie dotyczyły?

- Miałem polecieć do Hukahoronui i w miarę możliwości wylądować. Miałem rozeznaczyć sytuację i przekazać spostrzeżenia drogą radiową. Wydaje mi się, że rozkazy pochodziły z Obrony Cywilnej.

W każdym razie tak mi powiedziano.

- No właśnie. Proszę dalej.

- Kapitan lotnictwa, Storey, był pilotem, a ja obserwatorem. Do Hukahoronui wystartowaliśmy z lotniska Harewood, tutaj, w Christchurch. Kiedy dolecieliśmy na miejsce, okazało się, że lądowanie jest niemożliwe. W dolinie zalegała gruba warstwa chmur lub oparów.

Przekazaliśmy przez radio tę informację do Christchurch i otrzymaliśmy polecenie krążenia jakiś czas nad doliną, na wypadek, gdyby opary się podniosły.

- Jakie panowały warunki atmosferyczne, poza niskimi leżącymi oparami?

- Bardzo dobre, sir. Niebo było czyste, słońce świeciło mocno.

Przejrzystość powietrza była wyjątkowa. Wspaniała do robienia zdjęć. Pamiętam, że powiedziałem do kapitana Storeya, że na zewnątrz jest pewnie zimno. Był to po prostu rzeki i chłodny dzień.

- Wspomniał pan o fotografowaniu. Czy zlecono panu może wykonanie zdjęć?

- Tak, sir. Wykorzystałem dwa filmy na sfotografowanie terenu

wokół doliny, w sumie zrobiłem siedemdziesiąt dwa zdjęcia. W tym także fotografie terenu pokrytego oparami, na wypadek, gdyby miało to jakie znaczenie. Nie mogłem zrozumieć pochodzenia tych oparów, sir, gdyż pozostałe powietrze było czyste.

Harrison wytrzasnął z koperty kilka lniących, czarno-białych odbitek.

- Czy to są zdjęcia, które pan wykonał? - Zaczął je przeglądać.

Hatry pochylił się.

- Tak, sir, to są oficjalne fotografie.

- Widzę, że sfotografował pan nieg, blokujący Szczelinę.

- Tak, zeszlimy zupełnie nisko, by móc to zrobić.

- Powiedział pan, że to fotografie oficjalne. Czy mam przez to rozumieć, że są jakie fotografie nieoficjalne?

Hatry poruszył się w krzele.

- Bardzo lubię filmować, a właśnie wtedy miałem przy sobie kamerę. To nic wielkiego, zaledwie osiem milimetrów. Ale widoczność była wyjątkowa, a góry tak piękne, że postanowiłem to utrwalić.

- I w trakcie kręcenia filmu zaczęła się obsuwać lawina, a panu udało się to sfilmować?

- Tylko fragmenty,, sir. - Hatry zamilkł na chwilę. - Obawiam się, że nie jest to najlepszy film.

- Ale kiedy go pan wywołał, uwiadomił pan sobie jego znaczenie i zaproponował go naszej komisji w charakterze dowodu, czy tak?

- Tak, sir.

- A więc dobrze. Myślę, że będzie on najbardziej wiarygodnym wiadectwem wydarzeń. Panie Reed, proszę kazać ustawić ekran.

Sala rozbrzmiała gwarem głosów, gdy woni ustawiali ekran i projektor. Zaciśnięto kotary w oknach. W półmroku rozległ się głos Harrisona:

- Może pan już zacząć.

Wszyscy usłyszeli trzask wyłącznika i szum projektora, a ekran rozświetliła seria szybko migających cyfr na mglistym, białym tle.

Nagle pojawiła się pierwsza rozpoznawalna scena - białe góry i niebieskie niebo. Po chwili kadr się zmienił.

- To jest dolina - wyjanił Hatry. - Można dostrzec mgłę. -

Umilkł speszony, jakby wiadom popełnienia gafy. - Przepraszam, sir.

- W porządku, panie Hatry. Prosimy o komentarz.

- Pierwsza część niewiele pokazuje - objanił Hatry. - Tylko góry. Parę niezłych widoków w kierunku Mount Cook.

Film robił wrażenie amatorskiej relacji z podróży, robionej w niezbyt statycznych warunkach. Ale napięcie w sali rosło w miarę jak upływały sekundy i zmieniały się kadry.

Niebawem Hatry uprzedził:

- To powinno być teraz. Akurat poprosiłem kapitana Storeya, by skierował się na północ, wzdłuż doliny Hukahoronui.

- Na jakiej lecielicie wysokości? - spytał Rolandson.

- Może ponad sześćset metrów od dna doliny.

- A więc zachodni stok rozciśgał się nad wami?

- Tak, sir. Potem dowiedziałem się, że ma on tysiśc osiemset metrów wysokości. O, włanie go widać.

Ujęcie pokazywało skrawek błękitnego nieba u góry ekranu, rozrzucone, sterczące skały i nieg tak biały, że niemal powodował ból oczu. W gruncie rzeczy była to okropna kompozycja, ale w tym wypadku nie miało to najmniejszego znaczenia.

Nagle obraz poruszył się i rozmazał, zaraz jednak wrócił do równowagi.

- To jest to - rzekł Hatry. - Wtedy się zaczęło.

Na ekranie pojawił się nikły, szary pióropusz - cień, rzucany przez unoszące się nieg, powiększające się w miarę przesuwania w dół stoku. Zniknął nagle, jakby kamerę skierowano w przeciwnym kierunku. Kolejne ujęcie pokazało odległe góry i niebo, wszystko lekko rozchwiane.

- Mielimy problemy z utrzymaniem położenia samolotu - odezwał się Hatry przepraszające. - Przypuszczam, że bylimy podekscytowani.

Następnie obraz przedstawiał skłębioną chmurę bieli, ocienioną szarociś, która leciała w dół zbocza, wciśz powiększając swój zasięg. Ballard oblizwał spierzchnięte wargi. Widział kiedy wielki pożar ropy i patrząc na tę rosnącą chmurę, sunącą w dół stoku, przypomniał sobie, widziane wówczas, skotłowane obłoki czarnego dy-

mu, oglądane teraz jakby w negatywie.

Obraz ponownie zniknął z ekranu, by po chwili powrócić, przyprawiającym o zawrót głowy, widokiem spiralnie wirującej ziemi.

- Poprosiłem wtedy kapitana Storeya by skrzył, ale zrobił to nieco zbyt szybko.

Kamera znowu ustabilizowała się i teraz było dokładnie widać, że cała górna część stoku poruszała się w zawrotnym tempie. Choć zamazany i rozchwiany, obraz robił przerażające wrażenie.

Nagle krajobraz zmienił się. Pędzące czoło lawiny znajdowało się już niemal nad samym dnem doliny i zbliżało do wznoszących się ponad nią oparów.

- Oddaliliśmy się za bardzo i musieliśmy wykonać szybki skręć, by powrócić.

Z oparami działo się co zaskakującego. Na długo przed tym, nim pędzący front niegu zbliżył się do nich, zostały odrzucone do tyłu, jakby skierowano na nie jakąś niewidzialną dyszę. Zniknęły niespodziewanie, ukazując zabudowania miasteczka. Po chwili wszystko pochłonęła lawina.

Ekran błysnął olepijącą bielą i dało się słyszeć trzask towarzyszący opadnięciu końcówki filmu na obracającą się szpulę projektora.

- Wtedy właśnie skończył mi się film - powiedział Hatry.

- Proszę rozsunić zasłony - odezwał się Harrison. Odczekał chwilę, aż umilkł szmer głosów. - A zatem nakręcił pan film. Co

zrobilibie póniej?

- Przekazalimy drogš radiowš to, co widzielimy.

- I jaki był rezultat?

- Spytano, czy możemy wylšdować. Porozumiałem się z kapita-
nem Storeyem. Odpowiedział, że to niewykonalne. Wcišž unosiły
się resztki oparów, ale nie o to chodziło. Nie mielimy pojęcia, gdzie
wylšdować, gdyż wszystko pokrył nieg. Otrzymalimy więc roz-
kaz powrotu do Christchurch.

- Dziękuję, panie Hatry. - Harrison spojrział w stronę McGilla. -

Czy chciałby pan może skomentować to, co przed chwilš oglšdali-
my, doktorze McGill? Proszę odpowiedzieć ze swojego miejsca.

- Z zawodowego punktu widzenia było to niezwykle interesu-
jšce. Jeli znamy liczbę klatek na sekundę, łatwo możemy obliczyć
szybkoć lawiny i to bardzo dokładnie i szczegółowo. Największa
jednak wartość tego filmu polega na tym, że pokazał on co, co
zawsze podejrzewalimy i w pewnym sensie wiedzielimy, lecz nie
mogliśmy udowodnić. Dzięki tym oparom zobaczyliśmy, że poru-
szajšcš się masę niegu poprzedziła fala uderzeniowa powietrza. Jej
szybkoć oceniłbym z grubsza na nieco ponad trzysta dwadziecia
kilometrów na godzinę. Poza rzeczywistš siłš uderzenia niegu,
taka fala mogłaby, sama w sobie, spowodować znaczne zniszczenia.
Uważam, że film powinien zostać zachowany i skopiowany. Nie
miałbym nic przeciwko posiadaniu jego kopii dla swoich badań.
- Dziękuję - Harrison spojrział na zegarek. - Nadszedł czas, by

odroczyć dochodzenie. Spotkamy się ponownie jutro rano, o godzinie dziesiątej.

Stuknął młotkiem w blat stołu.

XXIII

McGill przyłszył się do tłumu opuszczającego salę. Przed sobą ujrzął wysoką sylwetkę Stenninga, idącego obok Ballarda. Nie rozmawiali ze sobą, a kiedy wyszli na zewnątrz, udali się w przeciwną stronę. Umiechnął się i pomyślał, że żaden z nich nie dawał rodzinie Ballardów podstaw do podejrzeń.

- Doktorze McGill! - kto złapał go za łokieć. Odwrócił się i zobaczył braci Petersonów, najpierw Erica, a tuż za nim nieco cięższego Charliego. Eric odezwał się: - Cieszę się, że pan tak powiedział o Johnnym. Chciałbym podziękować.

- Nie trzeba - zbył go McGill. Ludzi należy doceniać, gdy na to zasłużyli.

- Tym niemniej - ciśgnął zakłopotany Eric - dobrze, że pan wspomniał o tym publicznie, szczególnie, że, jak można powiedzieć, znajduje się pan z drugiej strony barykady.

- Chwileczkę - rzucił ostro McGill. - Proszę zwrócić uwagę, że występuję tu jako neutralny rzeczoznawca i nie zajmuję niczyjej strony. A w ogóle, to nie wiedziałem, że są jakie strony. To jest dochodzenie, a nie bitwa w sądzie. Czy nie to właśnie wciągnął podkrela Harrison?

Charlie pozostał niewzruszony.

- Jeste tak samo neutralny, jak ja przypominam królową z bajki. Wszyscy wiesz, że ty i Ballard siedzicie sobie w kieszeniach.

- Zamknij się, Charlie - krzyknął Eric.

- A niby dlaczego? Harrison chce, żeby prawda wyszła na jaw, a czy tak się dzieje? Przypomnij sobie dzisiejsze zeznania. Jako wszyscy łatwo pogodzili się z faktem, że Ballard popełnił ciężki błąd. Dlaczego nie pogonił Lyalla, żeby dobrał się do niego?

- Och, Charlie, skończ już z tym. - Eric spojrzał na McGilla i znacząco wzruszył ramionami.

- Ani mi się ni - oznajmił Charlie. - Wiem tyle, że miałem trzech braci, a teraz mam jednego. Ten bydlak zabił mi tamtych. Co chcesz, żebym zrobił? Spokojnie czekał aż wymorduje wszystkich Petersonów?

- Na miłość boską, daj temu spokój! - powiedział Eric z rosnącym zniecierpliwieniem.

- Nic z tego! - Klepnął McGilla po ramieniu. - No więc, Doktorze Neutralny, chyba mi nie powiesz, że nie zobaczysz się dziś wieczorem z Ballardem?

- Spotkam się z nim - odparł spokojnie McGill.

- To wyjanij mu przy okazji, co o tym myślę. Eric proponował, by użyć kopalni jako schronu, ale Ballard odrzucił to, bo według niego kopalnia nie była bezpieczna. Jednak to właśnie on był odpowiedzialny za bezpieczeństwo kopalni, on nią kierował, no nie?

A kopalnia nie była bezpieczna. Dla mnie takie co jest zbrodniczym

zaniedbaniem i dopilnuję, żeby go za to przyskrzynili. Jeste jego przyjacielem, więc go uprzed. - Charlie coraz bardziej podnosił głos. - Powiedz mu, że jeli nie dostanę go za morderstwo, dostanę za zabójstwo.

Eric szarpnął go za ramię.

- Mów ciszej. Nie urządzaj tutaj jednej ze swoich przeklętych scen.

Charlie strzepnął jego rękę.

- Nie podpowiadaj mi, co mam robić. - Patrzył na McGilla rozgorączkowanymi oczami. - I powiedz temu swojemu przyjacielowi-mordercy, żeby mi nie wchodził w drogę, bo jeli się na niego natknę, to rozerwę go na strzępy.

McGill rozejrzał się. Poza nimi trzema sala już opustoszała.

- Takie groby są niezbyt rozsądne. Zastraszanie wiadka dochodzenia może cię wpędzić w kłopoty.

- Ma rację - przyznał Eric. - Na miłość boską, zamknij gębę. Jak zwykle za dużo gadasz.

- Zanim skończę, okaże się, że to co więcej niż zwykle gadanie - wskazujący palec Charliego wwiercił się w pier McGilla. - Uprzed Ballarda, że jeli choć raz spojrzy na Liz, to zabiję bydlaka.

- Zdejmij ze mnie tę przeklętą łapę - spokojnie powiedział McGill.

Eric odciśnął Charliego.

- Nie wszczynaj tu bójki, skończony idioto. - Ze znużeniem pokręcił głowę. - Przepraszam cię, McGill.

- Nie przepraszaaj za mnie - krzyknął Charlie. - Chryste, Eric, jeste takim samym tchórzem, jak cała reszta. Włazisz do dupy McGillowi, wielkiemu i potężnemu Doktorowi Wszystkowiedzścemu McGillowi i jeszcze uprzejmie dziękujesz za dobre słowo o Petersonach. Cóż to do cholery? Niech to szlag trafi! Wiesz, że razem z Ballardem montujš akcję osłaniajścš, przy której Watergate brzmi jak bajeczka. Co w ciebie, do diabła, wstšpiło?

Eric gęęboko odetchnął.

- Charlie, czasami mam wrażenie, że zwariowałe. A teraz, do licha, zamknij się wreszcie. Chod, napijemy się piwa i ochłoniemy. - Wził brata za ramię i skierował w stronę drzwi.

Charlie pozwolił się prowadzić, ale jeszcze wykręcił głowę i krzyknął do McGilla:

- Nie zapomnij powtórzyć wszystkiego Ballardowi. Ostrzeż sukinsyna, że wpakuję go do pudła na dziesięć lat.

Po powrocie do hotelu, Stenning udał się do swego pokoju, by się odwieżyć. Klimat był tu bardziej goršcy niż ten, do którego przywykł, czuł więc, że jest nieprzyjemnie lepki. Jego garnitur okazał się zbyt ciężki na nowozelandzkie lato i Stenning pomyłał, że powinien kupić co lżejszego, jako że dochodzenie miało potrwać jeszcze przez jaki czas.

Po kšpieli poczuł się dużo lepiej. Usiadł w szlafroku nad notatkami, rozwijajśc pospieszne gryzmoły, czynione w trakcie przesłuchań. Pokręcił głowš, czytając relacje z zeznań i pomyłał, że młody

Ballard nie znalazł się w zbyt korzystnej sytuacji. Znacznie obciążała go sprawa zaniedbania wymogów bezpieczeństwa w kopalni i gdyby kto chciał się tym energicznie zająć, mógłby mu narobić kłopotów. Po chwili namysłu zdecydował, że Rickman zostawił tę kwestię w spokoju, gdyż mogła przynieść ujmę także spółce. Sprawy nie podjął również Gunn, adwokat zwiżzków, chcąc oszczędzić Ballarda, wbijając jednocześnie nóż w firmę. Ale najbardziej zdziwił Stenninga brak zainteresowania ze strony adwokata Petersonów - Lyalla. Może czekał na sposobniejszą okazję?

Po jakim czasie Stenning ubrał się i wyszedł z hotelu. Zastał Ballarda przy stoliku, blisko basenu, w towarzystwie niezwykle pięknej, młodej kobiety. Kiedy podszedł, Ballard wstał na jego widok.

- Panno Peterson, to pan Stenning, nasz gość z Anglii.

Siwe brwi Stenninga uniosły się na dźwięk znanego nazwiska, ale powiedział jedynie:

- Dobry wieczór, panno Peterson.

- Może napije się pan czego zimnego - zaproponował Ballard.

Stenning usiadł.

- Z wielką chęcią. Poproszę gin z tonikiem.

- Zaraz przyniosę - Ballard oddalił się.

- Czy to pana widziałam na dochodzeniu dzisiaj, po południu? - spytała Liz.

- Tak. Jestem prawnikiem, panno Peterson. Bardzo interesuje mnie wasza interpretacja prawa administracyjnego. Doktor Harri-

son był tak uprzejmy, że zapewnił mi miejsce.

Pieszczotliwie pogłaskała uszy psa, warujšcego przy jej krzele.

- I jakie odniósł pan wrażenia?

Umiechnął się i z zawodowym umiarem odparł:

- Zbyt wczesne, by o tym mówić. Muszę zapoznać się z protokołami dotyczącymi poczętkowej fazy dochodzenia. Proszę mi zdradzić, czy jest pani może spokrewniona z rodzinš Petersonów, zaangażowanš w to ledztwo?

- Tak. Eric i Charlie sš moimi braćmi.

- Acha! - Stenning próbował doszukać się w tym sensu, ale dał za wygranš. Powtórzył więc tylko: - Acha!

Podniosła do ust szklanę Ćuba Libre, upiła łyk, przyglšdajšc mu się znad oprawki okularów.

- Od jak dawna zna pan Iana Balarda?

- Mieszkamy w tym samym hotelu - odpowiedział uprzejmie, omijajšc właciwy sens pytania. - A pani?

- Przez całe życie... z przerwami - wyjaniła. - Więcej ich nawet było, niż prawdziwej znajomoci. W rodku mielimy przerwę.

Zauważyła ostrożny charakter odpowiedzi Stenninga i zaintrygowało jš, kim on właciwie jest.

- Wtedy, gdy wyjechał do Anglii - dodała.

- W takim razie musiała go pani poznać jako chłopca, jeszcze w Hukahoronui.

- Nie wydaje mi się, żeby musiał pan czytać relacje z dochodze-

nia - powiedziała trochę cierpko. - Tego nie było w dzisiejszych zeznaniach.

- Nie - zgodził się. - Widocznie czytałem o tym w sprawozdaniu prasowym.

Wrócił Ballard i postawił przed Stenningiem szklankę zimnego napoju.

- Pan Stenning jest bardzo tajemniczy - oznajmiła Liz.

- O! A dlaczego?

- No włanie. Sama nie wiem.

Ballard spojrzał na Stenninga i uniósł brwi. Stenning odezwał się swobodnie:

- Panna Peterson jest bystrš, młodš damš, ale być może dostrzega tajemnice tam, gdzie ich wcale nie ma.

Liz skwitowała to umiechem.

- Ian, od jak dawna znasz pana Stenninga?

- Od dwudziestu lat, no, może trochę krócej.

- I jesteście po prostu dobrymi znajomymi - podjęła. - I oczywiście goćmi tego samego hotelu?

- Może rzeczywiście powiedziałem to zbyt wymijajšco, panno

Peterson - usprawiedliwił się Stenning - ale miałem swoje powody.

Teraz chciałem paniš poprosić, by nie wspominała pani nikomu o mojej znajomości z panem Ballardem.

- Dlaczego miałabym o tym rozpowiadać?

Stenning sięgnšł po drinka.

- To się zdarza. Przypadkowe rozmowy dotyczą nieraz najróżniejszych tematów.

Liz zwróciła się do Ballarda.

- Co to wszystko znaczy?

- Tylko tyle, że pana Stenninga i mnie łączy sprawy, z którymi nie chcielibyśmy się obecnie afiszować publicznie.

- Czy ma to co wspólnego z dochodzeniem?

- Nie - odparł stanowczo. Popatrzył na Stenninga. - Skoro już mowa o dochodzeniu, to dzisiaj rano, przed otwarciem, Rickman próbował mnie sprowokować. Podszedł do mnie i...

Umilkł na widok wzniesionej dłoni Stenninga, który spytał:

- Czy mam rozumieć, że nie masz nic przeciwko temu, aby panna Peterson usłyszała o tej sprawie?

- Niby dlaczego miałbym mieć? - spytał zaskoczony Ballard.

Stenning zmarszczył brwi.

- Ja tego z pewnością nie wiem - powiedział z zakłopotaniem.

- No więc w porządku. Rickman próbował mnie najpierw przekupić, a potem szantażować. - Ballard zrelacjonował rozmowę.

Stenning skrzywił się.

- Masz jakiego wiadka tej, jakże interesującej, rozmowy?

- Nie.

- Szkoda. Z rozkoszą pozbawiłbym tego człowieka uprawnień adwokackich.

Liz rozemiała się.

- Ian, masz wspaniałych przyjaciół, tacy mili ludzie.

- Nawet w połowie nie tak wspaniali jak Petersonowie. - Bal-

lard uniósł głowę. - Jest Mikę. Co cię zatrzymało?

McGill postawił na stole butelkę piwa i szklankę.

- Natknęłam się przypadkowo na czarujących braci Liz. Cześć,

Liz. Nie będę cię pytał: "Jak się miewa rodzina?", bo to akurat wiem.

Podobało się panu widowisko, panie Stenning? To był niezły film.

- Miał swoje dramatyczne momenty. - Stenning oparł się wy-

godnie i z zaciekawieniem obserwował Ballarda i Liz.

- Co z moimi braćmi? - spytała dziewczyna.

McGill nalał sobie piwa.

- Eric jest w porządku - odparł, pilnie przyglądając się podcho-

dźszej do góry pianie. - Ale czy zastanawiała się kiedy nad Char-

lim? Gdybym był psychiatrą, orzekłbym paranoję.

- Rozumiem, że odstawił kolejną wielką scenę?

- Jeszcze jak! - McGill spojrzał na Ballarda. - Groził Ianowi, że

rozerwie go na kawałki przy najbliższym spotkaniu.

- Gadanie! - pogardliwie rzuciła Liz. - To wszystko, co potrafi.

- Być może - zgodził się McGill. - Ian, jeśli masz zamiar nadal

przestawać z tą dziewczyną, to lepiej załóż opaskę na oczy. Powie-

dział, że cię zabije, jeżeli na nią spojrzysz.

- Czy kto to jeszcze słyszał? - wtrącił Stenning.

- Tylko ja i Eric.

- I na pewno użył słowa "zabiję"?

- Dokładnie tak.

Stenning pokręcił głową. Liz westchnęła:

- Muszę porozmawiać z "panem" Charlim. Powinien wreszcie wbić sobie do tępej pały, że sama decyduję o swoim życiu. Tym razem wsadzę mu na głowę nie tylko talerz spaghetti.

- Liz, bądź ostrożna - ostrzegł McGill. - Zaczynam sądzić, że on jest rzeczywiście niezbyt zrównoważony. Nawet Eric uważa, że klepki mu się poluzowały. Porządnie się natrudził, by go powstrzymać.

- To zwykły awanturnik - powiedziała. - Zrobię z nim porządek. Ale nie mówmy już o Petersonach, proszę was. Jak tam twój tenis, Ian?

- Nie najgorzej.

Sięgnęła po szklankę.

- Założę się o jeszcze jednego drinka, że mnie nie pokonasz.

- Przybite - zgodził się natychmiast.

- Chodmy - powiedziała wstając.

McGill patrzył za nimi, gdy odchodzili w stronę kortu, z Victorem drepczącym z tyłu, po czym odwrócił się i umiechnął do Stenninga.

- Czy nasza rozmowa co panu wyjaśniła?

- Była naprawdę interesująca. Podobnie jak panna Peterson.

- Typowo prawnicze niedomówienie. - McGill dolał sobie piwa.

- Proszę mi powiedzieć, jeli Ian polubi Liz, czy będzie się to

liczyło w pańskim Koncercie Trzepania Skóry Petersonom?

Stenning nie poruszył się, zerknął tylko na McGilla z ukosa.

- A więc wyjanił panu moją rolę. Trudno mi udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Wstąpię czy włąnie o to chodziło Benowi.

- Ale wszystko zależy od okoliczności.

Stenning odezwał się surowo:

- Ten truizm nie ma mocy prawnej.

Lawina

xxiv

Wysoko na zachodnim stoku i głęboko w pokrywie nieźnej procesy zniszczenia były daleko posunięte. Ustał już wprawdzie metamorfizm destrukcyjny, lecz wciąż jeszcze trwał konstrukcyjny.

Powietrze, lekko ogrzane od ziemi, uniosło się do góry, poprzez niego obciążony parą wodną, aż osiągnęło nieprzepuszczalną warstwę szronu, znajdującą się w połowie pokrywy nieźnej. Tutaj znowu ochłodziło się, parując i tworząc stożkowate kryształy kieliszkowe.

Teraz kryształy były już duże i ostatecznie uformowane. Niektóre miały długość prawie półtora centymetra.

Znaczne opady z ostatnich dwóch dni zwiększyły masę niegu, która grawitując pionowo w dół na kryształy kieliszkowe na stoku, doprowadziła do stanu wyczulenia na niestabilność. To tak, jakby wziść pestkę pomarańczy, przytrzymać delikatnie między palcem wskazującym a kciukiem i lekko nacisnąć, a zostanie jej nadana

znaczna szybkość. To samo działo się na zachodnim stoku. Ciężki sokół, który usiadłby na niegu, mógł dostarczyć tego niewielkiego, dodatkowego bodca i wprawić kryształ kieliszkowe w ruch. Co takiego zdarzyło się i spowodowało małe obsunięcie. Niezbyt wielkie i człowiek mógłby je ogarnąć rozłożonymi ramionami. wieży nieg powierzchniowy, bardzo zmrożony, suchy i puszysty, wznosił się nieco w wyniku nagłego ruchu i mały, biały pióropusz wzbijał się niczym obłok dymu. Ale jednocześnie w głębi powstał chaos. Pękła krucha płyta lodowa warstwy szronu, popychając kryształy, które zaczęły się toczyć. Delikatne wiązania łączące nieg zostały zerwane i zygzakowate pęknięcia natychmiast rozbiegły się szeroko od miejsca pierwotnego uszkodzenia. Nastąpiła reakcja łańcuchowa, jeden wypadek występował po drugim w błyskawicznym tempie i nagle cała, szeroka na piętnacie metrów warstwa niegu osunęła się do przodu, w dół, dodając własną wagę do ciężaru niegu leżącego na niższych partiach zbocza.

Znow zadziałała nieuchronna reguła akcji i reakcji. Zdarzenia następowały po sobie coraz szybciej i już cała górna część stoku o szerokości stu metrów, zjeżdżała w dół.

Jak dotąd nie był to zbyt szybki ruch. W pięć sekund od pierwszego obsunięcia, zwinny człowiek, zaskoczony na otwartej przestrzeni o dwieście metrów niżej, mógł uniknąć mierci, uciekając w bok. Lawina spadała z prędkościś niewiele większą niż szesnacie kilometrów na godzinę. Ale ruch i opór powietrza spowodo-

wały, że lekka i puszysta wierzchnia warstwa niegu uniosła się do góry.

Pył ten wzbił się w powietrze, by utworzyć zasadniczo nowe ciało - gaz, dziesięciokrotnie przewyższający swą gęstość powietrze. Gaz ten, ciśniony w dół stoku zgodnie z prawem grawitacji, nie był, w przeciwieństwie do niegu składającego się na główną lawinę, zbyt hamowany tarciem o podłoże. Chmura gazu nabrała szybkości i pędziła przed właściwą masą niegu. Dwadzieścia sekund po pierwszym obsunięciu, poruszała się już z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, uderzając gwałtownym podmuchem w nieg na stoku i druzgocząc delikatną równowagę sił, która utrzymywała go w miejscu.

Był to energetycznie samowystarczalny proces. Wir unosił coraz więcej niegu, powiększając chmurę gazu, i lawina - już nie tak niewinna, lecz wzrastająca pożądliwie - pożerała łapczywie nieg z niższych partii zbocza. Cały górny stok wrzał i kipiał na długości czterystu metrów, a chmury niegu wzbijały się jak zwiastuny burzy w gorący, letni dzień, tyle, że niewyobrażalnie szybciej.

Chmura lawinowa sunęła w dół stoku jeszcze prędzej. Przy szybkości stu piętnastu kilometrów na godzinę zaczęła wciśgać otaczające powietrze, zwiększając tym swą objętość. Spowodowało to kolejny wzrost prędkości. Przy stu sześćdziesięciu kilometrach na godzinę zaburzenia w jej wnętrzu wywoływały chwilowe podmuchy o szybkości dwukrotnie większej. Prędkość dwieście dziesięć

kilometrów na godzinę spowodowała na obrzeżach lawiny miniaturowe tornada, dochodzące do ponad czterystu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

W tym samym czasie lawina napotykała coraz większy opór powietrza. Posuwała się tak szybko, że powietrze nie nadążało usuwać się przed nią z drogi. Sprężało się więc, gwałtownie podwyższając swoją temperaturę. Pchane przez ciężką chmurę lawinową, tworzyło, przed błyskawicznie lecącym niegiem, gronę fali uderzeniowej, mogącej zniszczyć budynek równie efektywnie, jak bomba.

W pełni ukształtowana lawina huczała w swym wnętrzu jak napuszczony olbrzym. Milion ton niegu i setki tysięcy ton powietrza pędziły w dół, w stronę mgły zalegającej dno doliny. W chwili, gdy doszły do niej, poruszały się już z szybkością trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę, nie licząc dużo szybszych porywów wewnętrznych. Fala uderzeniowa rębnieła w warstwę oparów, zmiatając je na boki i odsłaniając - jedynie na moment - kilka budynków. Ułamek sekundy później główna część lawiny osiągnęła dno doliny.

Do Hukahoronui wtargnęła biała mierz.

Doktor Robert Scott przyglądał się Haroldowi Dobbsowi okiem specjalisty. Dobbs nie wyglądał najlepiej. Najwyraźniej nie golił się od kilku dni i teraz szczecina tworzyła sinawe plamy na jego policzkach i podbródku. Przekrwione i podkrążone oczy ponuro uciekały

przed wzrokiem Scotta. Gdy tak siedział w fotelu, z odwróconš twarzš, złożone na brzuchu palce zaciskały się nerwowo.

Scott zauważył niemal pustš butelkę ginu i szklanę, stojšce na stoliku obok fotela. Powiedział:

- To jedyny powód, dla którego tu jestem. Pan Ballard prosił mnie, bym zajrzał. Obawia się o ciebie.

- Nic mi nie jest - odparł Dobbs. Jego głos brzmiał tak cicho, że Scott musiał wyteżyć słuch, by rozróżnić słowa.

- Jeste pewien, że masz rację? Wiesz że jestem lekarzem. Może bym więc otworzył mojš czarnš walizeczkę i zbadał cię?

- Zostaw mnie w spokoju! - wybuchnšł Dobbs w chwilowym przyływie energii. Wysiłek ten zdawał się go wyczerpać i znów popadł w marazm. - Odejd! - wyszeptał.

Scott nie posłuchał go. Powiedział natomiast:

- Co musi być nie tak, Harry. Dlaczego od kilku dni przestałe pokazywać się w pracy?

- To moja sprawa - wymamrotał Dobbs. Sięgnšł po szklanę i napił się.

- Niezupełnie. Firmie należy się chyba jakie wyjanienie. Ostatecznie jeste menedżerem kopalni. Nie możesz abdykować bez słowa.

Dobbs spojrział na niego ponuro.

- O co ci właściwie chodzi?

Scott zastosował taktykę wstrzšsowš.

- Chcę, żeby mi powiedział, dlaczego tak cholernie bumelujesz i próbujesz wleć do tej butelki ginu. A swójś drogś, to ile ich już opróżniłe? - Dobbs uparcie milczał, więc Scott ciśgnął: - Wiesz co się dzieje tam, na zewnśtrz, prawda?

- Niech ten Przekłętý Ballard sam się z tym upora - warknął. -

Płacś mu za to.

- Gadasz nedorzeczności. Płacś mu tylko za jego pracę, a nie za twoją. - Scott skinął głowś w stronę okna. - Twoje miejsce jest tam, powiniene pomóc Ballardowi i Joemu Cameronowi. Majś teraz pełne ręce roboty.

Z ust Dobbsa trysnął jad.

- Zabrał mi pracę, no nie?

Scott zdumiał się.

- Nie rozumiem. On ci niczego nie zabrał. Tyle tylko, że siedzisz w domu przytulony do butelki.

Dobbs machnął rękś. Zachwiała się w nadgarstku bezwładnie, jakby nie miał nad niś żadnej władzy.

- Miałem na myli co innego. Nie chodzi mi o stanowisko menedżera. Przewodniczący obiecał mi tę posadę. Crowell powiedział, że wejdę do zarządzu i zostanę naczelnym dyrektorem po odejciu Fishera. Ale nie! Zjawia się jaki angielski niedorostek i dostaje posadę tylko z powodu swojego nazwiska. Jakby Ballardom brakowało pieniędzy i musieli zabierać moje.

Scott chciał co wyjanić, ale Dobbs nie dopucił go do głosu.

Z politowaniem patrzył na wygłaszającego oskarżającą mowę starego człowieka. Dobbs aż kipiał złości i dał jej pełny upust. Z kąsika warg pociekła mu łina.

- Wiesz, że nie ubywa mi lat. Nie udało mi się zaoszczędzić wystarczająco dużo, bo ci złodzieje z giełdy zabrali mi sporo forsy. Banda łobuzów! Miałem zostać dyrektorem naczelnym. Crowell mi obiecał. Odpowiadało mi to, bo wtedy miałbym z czym przejść na emeryturę. A później rodzina Ballardów zdecydowała inaczej. Nie tylko zabrali moją posiadłość, ale jeszcze spodziewaj się, że będę służył pod jednym z nich. Niech więc, do cholery, zastanowi się jeszcze raz.

Scott odezwał się łagodnie:

- Jeżeli nawet masz trochę racji, to nie usprawiedliwia to wycofania się bez słowa. W dodatku teraz, kiedy są kłopoty. Nikt ci za to nie podziękuje.

- Kłopoty! - Dobbs silnie zaakcentował słowo. - Co ten chłystek może wiedzieć o kłopotach? Prowadziłem kopalnię, kiedy jemu zmieniano pieluchy.

- Nie chodzi o kopalnię - odparł Scott. - Chodzi o miasto.

- Kupa przeklętych bzdur! Ten facet jest idiotą. Mówi o wydaniu milionów po to, by zatrzymać kilka płatków niegu spadających ze zbocza. Może mi powiesz, skąd wziąć te pieniądze? A teraz doprowadził wszystkich do tego, że latają w kółko jak kurczaki z poucinanymi łbami. I podobno zamknął kopalnię. Zaczekaj, aż

usłysz o tym w Auckland, nie wspomnę już o Londynie.

- Jeste niele poinformowany jak na kogo, kto od kilku dni nie wychodzi z domu.

- Mam przyjaciół. Odwiedził mnie Quentin, żeby zobaczyć co możemy zrobić, by powstrzymać tego głupca. - Dobbs znowu sięgnął po szklankę. - Quentin niele orientuje się w tej sprawie, ale nie może poradzić. Podobnie jak żaden z nas. Mówię ci, wszystko zostało z góry ukartowane.

Scott przymrużył oczy. Niewiele czasu zajęło mu dojdzie do wniosku, że Dobbs jest wyranie niezrównoważony. Uraza jąstrzyła go od rodka i co spowodowało jej wybuch. Nietrudno było odgadnąć, co to takiego. Scott wiadomie go sprowokował:

- Sżdzisz, że poradziłby sobie ze stanowiskiem naczelnego dyrektora?

Dobbs nie zdołał opanować wciekłoci.

- Oczywiście, że tak - krzyknął. - Jasne, że dałbym radę.

- No, nie ma to już większego znaczenia. Mylę, że lepiej zabierzemy cię w jakie bezpieczniejsze miejsce, niż to. Gdyby co się zdarzyło, ten dom zostanie zmieciony jako jeden z pierwszych.

- Bzdury! - zadrwił Dobbs. - Stek absurdalnych bzdur! Nie ruszę się stąd i nikt mnie do tego nie zmusi. - Umiechnął się złolowie. - Chyba, że przyjdzie tu młody Ballard i przeprosi za odebranie mi posady.

Scott wzruszył ramionami i sięgnął po torbę.

- Jak sobie życzysz.

- I nie zapomnij zamknąć drzwi - krzyknął w ład za nim

Dobbs. Oplótł ramionami swoje wstłe ciało. - Dałbym radę tej posiadzie - powiedział głono. - Dałbym.

Kiedy usłyszał warkot ruszajšcego samochodu Scotta, wziął szklankę i podszedł do okna. Patrzył za samochodem, nim ten nie zniknął mu z pola widzenia, a następnie przeniósł wzrok na zabudowania kopalni. Mgła znacznie ograniczyła widoczność, ale i tak dostrzegł zarysy biurowca. Potrzśsnął ze smutkiem głowš.

- Zamknięte! - wyszeptał. - Wszystko zamknięte!

Nagle opary zniknęły, jak gdyby za sprawš czarów, a Dobbs poczuł pod stopami dziwnš wibrację. Budynek biura, wyranie teraz widoczny, oderwał się od fundamentów i płynął w powietrzu w jego stronę. Patrzył ze zdumieniem, jak poszybował tuż nad jego domem. Zdšżył jeszcze zobaczyć, wypadajšce z niego, swoje biurko.

W tej samej chwili okno, przy którym stał, roztrzaskało się, a odłamek szkła przebił Dobbsowi gardło. Podmuch cisnął nim przez pokój, wszystko wokół eksplodowało, ale on oczywiście już tego nie zobaczył.

Harry Dobbs był pierwszš ofiarš lawiny w Hukahoronui.

Gdy doktor Scott opuścił dom Dobbsa, pogršżył się w rozmyślniach o sile i słabociach ludzkiego umysłu, głównie jednak o tych ostatnich. Zasadniczo słaby człowiek, Dobbs, pragnął posady dyrek-

tora naczelnego i rozmylnie tłumil w sobie wiadomoć, że nie byłby w stanie jej podolać, wiadomoć, która zżerała go od rodka, jak robak jabłko.

Biedak, pomyłał Scott, zapalajšc silnik. Ucieczka od rzeczywistoci.

Dojechał do rogu i skręcił w stronę miasta. Zdšżył przebyć jakie trzysta metrów, kiedy zorientował się, że co się dzieje z układem kierowniczym. Wóz nie reagował na ruchy kierownicy i Scott odniósł niesamowite wrażenie, że płynie.

Nagle, ku swemu zaskoczeniu, zobaczył, że samochód rzeczywiście płynie, z kołami zawieszonymi dobry metr ponad ziemiš.

Nawet nie zdšżył mrugnšć, gdy pojazd przekoziółkował, a on sam uderzył głowš o przedniš szybę i stracił przytomnoć.

Kiedy doszedł do siebie, okazało się, że wcišż tkwi za kierownicš, a wóz stoi na czterech kołach. Uniósł dłoń i syknšł, gdyż palce natrafiły na potężnego guza na głowie. Rozejrzał się, ale niczego nie dostrzegł. Wszystkie szyby pokryła gruba warstwa niegu, która nie przepuszczała wiatła.

Wysiadł z samochodu i bezmylnie popatrzył wokół. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest, a kiedy już się zorientował, jego umysł nie chciał tego przyjšć. Chwycił go nagły skurcz. Oparł się o samochód i zwymiotował.

Ponownie spojrział na to, co wydawało się niemożliwe. Mgła niemal rozpłynęła się i widać było Szczelinę, po drugiej stronie

rzeki. Po drugiej stronie. Obliział wargi.

- Zostałem przerzucony przez tę cholerną rzekę! - wyszeptał.

Popatrzył na drugą stronę, tam, gdzie powinny znajdować się zabudowania Hukahoronui. Nie dostrzegł niczego, oprócz rumowiska niegu.

Póniej zmierzył odległość, jakś przebył niesiony przez lawinę.

Jego samochód został przeniesiony niemal kilometr poziomo i uniesiony o prawie sto metrów, by wreszcie wylądować na czterech kołach na wschodnim stoku. Silnik zgasł, ale kiedy Scott przekręcił zapłon, zamruczał cicho, słodko, jak zawsze.

Lawina złapała wprawdzie doktora Roberta Scotta, ale dziwnym trafem udało mu się wyjść z tego cało. Miał szczęście.

Ralph W. Newman był amerykańskim turystą. "W" przed jego nazwiskiem oznaczało Wilberforce, fakt, którego starał się nie rozgłaszać. Do Hukahoronui przyjechał na narty, ulegając namowom poznanego w Christchurch człowieka, który stwierdził, że stoki są tam doskonałe. Może tak było, ale trzeba przecież czego więcej, niż niegu na zboczu, do stworzenia orodka sportów zimowych. Hukahoronui miało jednak do zaoferowania jedynie nieg. Brakowało nie tylko wyciągu krzeselkowego, organizacji, ale i tej niepowtarzalnej atmosfery towarzyskiej, w czasie wolnym od narciarskich wy-czynów. Dansing, urządzany w hotelu w sobotnie wieczory, stanowił marny substytut.

Facetem, który opowiedział mu w Christchurch o urokach Hu-

kahoronui, był Charlie Peterson. Newman myślał teraz o nim jak o naganiaczu.

Przyjechał więc do Hukahoronui na narty. Z pewnością nie mógł przewidzieć, że znajdzie się porodka dwudziestoosobowego szeregu, trzymając długą, aluminiową tyczkę, skłonię z anteny telewizyjnej i będzie ją metodycznie wpychać w niego tuż przed czubkami butów, w rytm chrapliwych komend kanadyjskiego naukowca.

Wszystko to było wysoce nieprawdopodobne.

Mężczyźni stojący obok szturchnęli go, wskazując na McGilla.

- Nadawałby się na kaprala.

- Masz rację - przyznał Newman. Poczł, jak sonda uderzyła o dno i wyciągnę ją,

- Mylisz, że on rzeczywiście zna się na lawinach?

- Chyba wie co robi. Spotkałem go na stoku, miał ze sobą jakiś sprzęt naukowy. Powiedział, że to do badania niego.

Rozmówca Newmana wsparł się na sondzie.

- Tutaj też, jak mi się wydaje, wie co robi. Nigdy bym nie wpadł na taki sposób poszukiwań. A zresztą nigdy nie musiałem się nad tym zastanawiać, dopiero teraz.

Szereg przesunął się pół kroku do przodu i Newman przyłożył czubki butów do naprężonego drutu, a kiedy ten luno opadł, znów wepchnął sondę w niego.

- Nazywam się Jack Haslam - usłyszał. - Pracuję w kopalni.

Jako przodowy.

Newmanowi niewiele to wyjaśniło, ograniczył się więc tylko do wymienienia swojego nazwiska.

- A gdzie twój przyjaciel?

- Miller? Nie mam pojęcia. Wyszedł wczynie rano. Kto to jest przodowy?

Hasłam umiechnął się.

- Facet na samym końcu kopalni. Jeden z elity. To ja wydobywam złoto.

Sondy znów poszły w ruch.

- Jeszcze trochę, a stanie się to męczące - mruknął Newman.

Zatrzymali się, nasłuchując dobiegającego z góry warkotu.

Wkrótce wszyscy z ich szeregu podnieli głowy, wpatrując się w zasnuć mgłę niebo.

- Dalej! - zawołał dowódca drużyny. - Nigdy nie słyszeliście samolotu?

Szereg przesunął się o pół kroku i dwadziecia sond zgodnie się uniosło.

Newman pracował metodycznie. Wepchnąć przy lewej... wyciągnąć... wepchnąć przy prawej... wyciągnąć... pół kroku do przodu... wepchnąć przy lewej... wyciągnąć... wepchnąć...

Zatrzymał go nagły krzyk McGilla.

- Kryć się! Macie niecałe trzydzieci sekund!

Newman rzucił się w stronę miejsca, które mu wyznaczono na wypadek katastrofy. nieg skrzypiał pod nogami, gdy biegł w kie-

runku grupy skał. Tuż za sobą słyszał Haslama. Kiedy dotarli do skał, wciąż jeszcze dochodziły ich ochryple krzyki McGilla.

Haslam chwycił Newmana za ramię.

- Tędy. - Poprowadził go do zagłębienia, mającego nie więcej niż sześćdziesiąt centymetrów szerokości i dziewięćdziesiąt centymetrów głębokości. - Tutaj.

Newman wpółznął do rodka i znalazł się w małej jaskini. Haslam ciężko dyszał i ledwie łapiąc oddech powiedział:

- Bawiłem się tu w dzieciństwie.

- Sądziłem, że wszyscy górnicy pochodzą spoza doliny - mruknął Newman i zdał sobie sprawę z tego, że nie jest to najlepszy czas, ani miejsce na prowadzenie zdawkowej rozmowy.

Przez wąski otwór wliźnęli się następni mężczyźni, aż w końcu w małej jaskini tłoczyło się ich siedmiu. Wśród nich znalazł się dowódca drużyny - Brewer.

- Cicho siedcie - polecił.

Dotarli do nich odległe, urwane nagle krzyki, a potem nikły, daleki, przeciągły odgłos, trudny do określenia i nie przypominający niczego, co kiedykolwiek słyszeli. Newman spojrzął na zegarek.

W jaskini panowały ciemności, ale fosforyzująca wskazówka sekundnika miarowo przesuwała się wokół tarczy.

- Musiało już minąć te trzydzieci sekund.

Raptem powietrze zadrżało, a daleki odgłos przybrał na sile.

Rozległo się potężne wycie i z jaskini zostało wysane powietrze.

Newman zakrztusił się, próbując gwałtownie złapać oddech. Na szczęście ssanie ustało równie szybko, jak się zaczęło.

Poculi silne drgania, a z góry dobiegły ogłuszające grzmoty.

Jaskinię wypełniły drobne cząsteczki niegu, osiadające na wszystkim. Po chwili nieg przysypał gmatwaninę stłoczonych ciał.

Hałas nasilił się tak znacznie, że Newman przestraszył się, iż popękają mu bębniaki w uszach.

Kto krzyczał. Nie mógł rozróżnić słów, ale gdy odgłos złagodniał, przekonał się, że to Brewer.

- Zatrzymajcie go na zewnątrz! Zatrzymajcie ten cholerny nieg.

Ci, którzy znajdowali się najbliżej wyjścia, odrzucali go rękami, ale nieg, wirując, wpadał coraz szybciej i szybciej, o wiele prędzej, niż mogli sobie z nim poradzić.

- Osłońcie usta - wrzasnął Brewer i Newman posłusznie, choć z trudem, ze względu na ograniczoną przestrzeń, uniósł ramię.

Czuł jak zimny, suchy nieg przysypuje go. W końcu nieg wypełnił każdą, najmniejszą nawet szparę w jaskini.

Ustał hałas.

Newman trwał nieruchomo, oddychając głęboko i regularnie.

Zastanawiał się, na jak długo wystarczy mu jeszcze powietrza. Nie wiedział czy zdoła ono przemknąć przez nieznane pokrywą. Niebawem poczuł, jak kto się poruszył, sam spróbował zrobić coś podobnego.

Udało mu się przesunąć ramię. Zorientował się, że może te-

raz nieco ugnieć nieg, zwiększając w ten sposób przestrzeń powietrzną.

Wydawało mu się, że z bardzo daleka dociera do niego czyj słaby głos, przestał się więc poruszać, by lepiej słyszeć.

- Czy kto mnie słyszy?

- Tak - krzyknął. - Kim jeste?

- Brewer.

Pomyślał, że to idiotyczne tak krzyczeć ze wszystkich sił do kogo, kto znajduje się raptem o kilka kroków dalej.

- Tu Newman - wrzasnął. Przypomniał sobie, że Brewer został najbliżej wejścia do jaskini. - Możesz wyjść?

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał inny głos:

- Tu Andersen.

Brewer zawołał:

- Nie ma szans. Na zewnątrz jest mnóstwo niegu.

Newman wciśz ubijał nieg wokół siebie. Odpychał go, przyklepując do skalnej ciany. Krzykiem przekazał Brewerowi swój pomysł, a ten polecił innym, by wzięli się do roboty i postąpili tak samo. Zwrócił się też o podanie nazwisk.

Newman czuł obok siebie bezwładne ciało Haslama. Haslam nie ruszał się, ani nie odzywał. Wyciągnął rękę w jego stronę, szukając twarzy i namacał wreszcie policzek. Haslam nie zareagował na dotyk, więc Newman uszczypnął go mocno. Haslam pozostał obojętny.

- Mam tu faceta o nazwisku Haslam - powiedział. - Nieprzytomny.

Teraz, kiedy przestrzeń została powiększona, nie musieli już do siebie krzyczeć. Brewer odezwał się:

- Zaczekaj chwilę. Spróbuję wyciągnąć z kieszeni latarkę. -

W ciemności rozległo się sapanie i szmery przesuwających się ciał.

Nagle wystrzelił snop wiatła.

Newman zmrużył oczy i odwrócił się do Haslama. Wskazał:

- Powieć tutaj. - Nachylił się nad ciałem, a Brewer podczołgał się bliżej. Chwycił Haslama za przegub, chcąc zbadać puls, ale nie mogąc niczego wyczuć, przyłożył ucho do jego piersi. Kiedy uniósł wreszcie głowę, zwrócił się w stronę wiatła: - Myle, że facet nie żyje.

- Jak to się mogło stać? - dopytywał się Brewer.

- Daj mi latarkę. - Newman oświetlił ołowianoszarą twarz Haslama. - Jedno jest pewne, że się nie udusił. Co takiego już kiedy widziałem i wyglądało to wtedy o wiele gorzej. Musiałby być purpurowy.

- Ma pełno niegu w ustach - zauważył Brewer.

- Tak. - Newman oddał mu latarkę i włożył palec do ust Haslama. - Ale nie aż tyle, by nie mógł oddychać. Możecie mi zrobić trochę miejsca? Spróbuję sztucznego oddychania.

Ludzie posunęli się z wielkim trudem. Kto zasugerował:

- Może umarł na skutek szoku?

Newman wdmuchiwał powietrze do ust Haslama, uciskając jednocześnie jego klatkę piersiową. Ciało było jednak coraz zimniejsze.

Po piętnastu minutach Newman zrezygnował.

- Nic z tego. Nie żyje. - Odwrócił się do Brewera: - Lepiej zgatalarkę, nie jest wieczna.

Zapanowała ciemność i cisza. Każdy pogrążył się we własnych myślach. Wreszcie odezwał się Newman:

- Brewer!

- Tak?

- W tej pieczarze nikt nas nie wymaca sondami. Ile może być tego niegu na zewnątrz?

- Trudno powiedzieć.

- Musimy się zorientować. Wygląda na to, że możemy liczyć tylko na siebie. - Newman pomacał wokół i znalazł kapelusz Haslama, którym nakrył twarz umarłego. Był to może bezużyteczny, ale ludzki gest. Przypomniawsobie ostatnie słowa Haslama: "Bawiłem się tu w dzieciństwie". Zaszokowała go ich ironiczna absurdalność.

W wskiej, skalnej rozpadlinie, zostało uwięzionych sześciu mężczyzn: Newman, Brewer, Anderson, Jenkins, Fowler i Castle.

I siódmy - trup Haslama.

Turi Buck radził sobie zupełnie niele z napływającymi dziećmi.

Dom pod wielką skałą Kamakamaru okazał się na szczęście przestronny, nawet za bardzo, biorąc pod uwagę to, że rodzina Turiego rozsypała się po wiecie. Z wielką więc radością powitał nieoczeki-

wanś wrzawę i krzżtaninę. Mniej podobało mu się lodowate spoj-
rzenie panny Frobisher, nauczycielki, towarzyszącej dzieciom. Na-
uczanie, w specyficznych, wyizolowanych społecznościach, ma
w sobie jaki czynnik kwaszący temperament kobiet, a panna Fro-
bisher miała wyjstkowo wysoki odczyn kwasowoci. Turi potulnie
wysłuchał jej uwag, ograniczonych do skrytykowania władz cywil-
nych, głupoty mężczyzn i kilku innych, pokrewnych spraw. Wysta-
wił jej ocenę i od tej chwili po prostu jś ignorował.

Synowa, która prowadziła mu dom, i wnuczka zajęły się rozkła-
daniem posłań i lokowaniem hordy młodego, hałaliwego drobiaz-
gu. To była kobieca praca i nie zniosłyby jakiegokolwiek wtrściana
się, więc Turi poszedł na tyły domu, przyjrzyć się montowaniu
zapasowego generatora.

Jock McLean, mechanik z kopalni, był Szkotem pochodzącym
z Clyde. Czubkiem buta stuknął w płaskš, betonowš powierzchnię,
na której, ze stalowych słupków, rozcišgały się linki do suszenia
bielizny.

- Jak to jest grube, panie Buck?

- Na imię mam Turi, a ten beton ma piętnacie centymetrów
gruboci. Sam go kładłem.

- Dobra. Wywiercimy więc cztery otwory na ruby fundamen-
towe i zamocujemy je rubami kotwicznymi. Lepiej, żeby nam się
to nie przesunęło.

- Jak macie zamiar wywiercić otwory? - spytał Turi. - Nie ma-

my pršdu.

McLean podniósł kciuk do góry.

- Przywielimy powietrznš sprężarkę z pneumatycznym widrem.

Turi spojrział w dół, na beton i pokręcił głowš.

- Nie tu. Wasze wiertło nie zrobi chyba otworu w skale?

- Z diamentowym wiertłem przebiję się nawet przez płytę pancernš.

- To ustawcie tę maszynę tam - wskazał Turi. - Przymocujcie jš do skały.

McLean popatrzył na starca z umiechem.

- Mylę, że te piętnacie centymetrów powinno jš utrzymać - rzekł pobłaźliwie.

- Był pan kiedy wiadkiem lawiny, panie McLean - spytał Turi łagodnie.

- Wszyscy mówiš do mnie Jock. - McLean potrząsnł głowš. -

Nie mieliśmy ich w Gorbals, przynajmniej nie wtedy, kiedy byłem chłopcem, czyli czterdzieci lat temu. Może w Aviemore.

- A ja przeżyłem lawinę. Wykopywałem ze niego ciała zabitych. - Turi pokazał na północ. - O, tam, jakie dwieście metrów stšd. Lepiej postawcie maszynę na skale.

McLean podrapał się po głowie.

- Czy to aż takie straszne?

- Jeli rzeczywiście spadnie lawina, będzie to gorsze niż wszyst-

ko, co dotąd poznałe.

- Wstąpię - odparł McLean. - Lśdowałem w Anzio.

- Ja też przeżyłem wojnę - powiedział Turi. - Może nawet cięższ niż twoja. W 1918 roku byłem we Flandrii. Kiedy jednak spadnie lawina, wierz mi, że będzie straszniejsza od tamtego.

- No dobra. - McLean rozejrzał się. - Będziemy musieli znaleźć płaski kawałek skały, a to nie będzie proste. - Odszedł, błśdząc wzrokiem dokoła, wreszcie tupnął nogą. - Tu jest dość płasko.

Wystarczy.

Turi podszedł i stanął w miejscu, które wyznaczył McLean. Spojrzał na Kamakamaru i potrząsnął głową.

- Nie, le wybrałe.

- Niby dlaczego?

- 1912 roku ojciec miał tutaj warsztat. Solidny, bo ojciec uznawał tylko takie budowle. Kiedy jednak zszedł tamtej zimy nieg, warsztat zniknął. Nigdy nie odnalelimy nawet cegły. Wydaje mi się, że kiedy przychodzi wiatr, poprzedzający pył, tworzą się tu powietrzne wiry. To miejsce nie jest bezpieczne.

- Wesołek z ciebie - westchnął McLean. - A co powiesz na to, tam, pod samą skałą?

- Całkiem niezłe - poważnie rzekł Turi. - W 1912 stała tam moja klatka z królikami. Wcale nie była taka solidna, bo to ja ją zrobiłem, a nie mój ojciec. No i królikom nic się nie stało.

- A niech mnie diabli! - z rezygnacją powiedział McLean. -

Chodmy zobaczyć, jakie jest tam podłoże.

Okazało się zadowolajšce.

- Tu nic się maszynie nie stanie - owiadczył Turi. Odszedł,

a McLean długo jeszcze patrzył za nim w rozterce.

Przyjechała ciężarówka, wyładowana konserwami i kilkoma beczkami oleju napędowego. Turi wskazał Lenowi Baxterowi i Dave'owi Scanlonowi, gdzie mająš złożyć olej, a potem dopilnował starszych dzieci, rozładowujących żywność. Gdy skończyły, wrócił na tyły domu, do Baxtera i Scanlona, pomagajšcych McLeanowi przy generatorze.

McLean wywiercił cztery otwory w skale i wpucił w nie ruby zabezpieczone kołkami rozporowymi. Turiego zdumiała szybkość, z jakš McLean wywiercił otwory w skale, najwyraniej miał on rację, ufajšc swemu diamentowemu wiertłu. Teraz rozstawił trójnóg i przy pomocy wycišgarki wielokršzkowej opuszczał generator, podczas gdy Scanlon i Baxter kierowali nim tak, by ruby trafiły do otworu w płycie podstawy.

W końcu uporano się z tym i McLean mruknšł z satysfakcjš:

- Dobra robota, chłopcy. - Wyjšł z kieszeni cztery metalowe nakrętki. - Teraz już sam sobie poradzę.

Dave Scanlon kiwnšł głowš.

- Muszę wracać. Chciałbym jeszcze porozmawiać z Maureen. -

Obaj mężczyźni odeszli i po chwili Turi usłyszał warkot ruszajšcej ciężarówki.

Z domu wyszła synowa Turiego, dwigając zastawioną tacę.

- Napije się pan herbaty, panie McLean? Przyniosłam też trochę domowego ciasta.

McLean wrzucił nakrętki do kieszeni.

- Z wielką chęcią. Dziękuję pani... panno... e...

- To Ruihi, moja synowa - wyjanił Turi?

Oczy McLeana rozbliły, gdy ugryzł kawałek ciasta.

- Wyborne - pochwalił niezbyt wybrane. - Taki stary wdowiec, jak ja, nie ma raczej okazji zajadać się domowymi wypiekami.

Ruihi umiechnęła się do niego i odeszła, zostawiając tacę, a Turi

i McLean pogrzeszyli się w pogawędce. Po pewnym czasie McLean

nalął sobie drugą filiżankę herbaty i machnął dłonią w stronę doliny:

- Ci zabici, o których wspomniała, ilu ich było?

- Siedem osób. Cała rodzina Baileyów. Tam stał ich dom. Został kompletnie zniszczony. - Opowiedział o tym, jak pomagał ojcu odkopywać zwłoki.

McLean pokręcił głową.

- Straszna historia. To nie robota dla dwunastoletniego chłopaka.

- Dopił herbatę i spojrzął na zegarek. - No, w taki sposób nie

zainstalujemy tego generatora. - Wyjął nakrętki z kieszeni i podniósł klucz.

- Zamocuję go.

Uwagę Turiego zwrócił niespodziewany odgłos. Przez moment

śsdził, że to warkot krząszącego nad nimi samolotu. Ale już po chwili

dobiegł go niesamowity, basowy pomruk i wysoki, wiszczyący

dwieć, którego nie słyszał od 1912 roku.

Chwycił ramię McLeana.

- Za póno. Do domu., szybko!

McLean oparł się.

- Co, do diabła? Muszę...

Turi pociśgnął go.

- nieg nadchodzi - krzyknął.

- McLean spojrział na wykrzywioną twarz starca i natychmiast

uwierzył. Obaj pobiegli do drzwi kuchennych, które Turi niezwłocz-

nie zatrzasnął, gdy tylko znaleli się wewnątrz. Zrobił krok do

przodu.

- Dzieci...

McLean widział poruszające się wargi Turiego, ale już nie usły-

szął końca zdania, gdy huk osiągnął ogłuszające natężenie.

Lawina uderzyła.

McLean słyszał kiedy przygotowanie artyleryjskie, rozpoczy-

nające bitwę pod El Alamein i był to, w jego opinii, maksymalny

hałas, przewyższający nawet ten z warsztatu kotlarskiego nad Cly-

de, gdzie terminował.

Zrozumiał teraz, że zyskał nową miarę krańcowości.

Wiodącym tonem był niskocyklowy bas, który cisnął mu żołą-

dek, jakby zdławiła go niewidzialna, gigantyczna ręka. Automa-

tycznie otworzył usta i powietrze zostało gwałtownie wysane

z płuc, aż uniesiona do góry przepona przyprawiła go o mdłoci.

Na ten niski ton nakładala się cała seria wysokich gwizdów, przesywających swą intensywność uszy. Przenikały się one, tworząc dziwne i niesamowite synkopy. Miał wrażenie, że dźwięki wwiercają się w mózg i ciskają go.

Stary dom zadrżał w posadach. wiatło nagle zgasło, jak przy zaćmieniu słońca i wszystko, co mógł dostrzec przez okno, zlewało się w brudnoszarą plamę. Budynek zachwiał się pod dwoma kolejnymi uderzeniami, a okienne szyby zostały z trzaskiem wgniecione do wewnątrz. McLean nie usłyszał nawet brzęku tłuczonego szkła.

Przez wyłamane framugi wpadł do pokoju mialki pył niezny, jakby tryskając z gigantycznego kranu. Uderzył o cianę obok McLeana i rozprysnął się na boki, a potem przestał płynąć tak samo nagle, jak zaczął. W zamian za to nastąpiła kontrakcja, na szczęście już nie tak silna. Powietrze zostało wyssane z pokoju, unosząc ze sobą nieco niegu.

McLeanowi wydawało się, że trwało to całe wieczność. W rzeczywistości lawina przemknęła obok skały Kamakamaru w niecałe dwadzieścia sekund. Kiedy już ucichło, stał wciąż nieruchomo jak posąg. Od stóp do głowy pokrywał go mialki, niezny pył, upodabniający go do ducha. Ciężko jeszcze dźwięczało mu w uszach, ale dotarły do niego odległe okrzyki, które zdawały się dochodzić aż z miasta.

Turi Buck poruszył się ostrożnie. Wolno uniół dłonie i przykrył nimi uszy, potrząsnął też głową, jakby chcąc się przekonać czy nie

odpadnie od tułowia.

- Już po wszystkim. - Własny głos wydał mu się nienaturalnie głony, zahuczał pod sklepieniem czaszki. Spojrzał na McLeana i powtórzył: - Już po wszystkim.

McLean nie poruszył się, więc Turi wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jego ramienia. Przez ciało McLeana przeszedł dreszcz. Oczy miał szkliste i nieobecne. Turi powiedział uspokajająco:

- Skończyło się, Jock.

McLean zorientował się, że Turi co do niego mówi, usłyszał głos, dochodzący jakby z bardzo daleka, zagłuszany uporczywym brzęczeniem w uszach. Z trudem zmarszczył brwi i w nieźnym pyłe, który pokrywał jego gładką twarz, ujawniły się głębokie pęknięcia, uwydatniające bruzdy, biegnące od nosa do kącików ust. Konwulsyjnie przełknął linę i zaczął trochę lepiej słyszeć. Odległe okrzyki stały się wyraniejsze, dotkliwe jak odgłos lawiny. To wrzeszczały wszystkie, zgromadzone w domu, dzieci.

- Dzieci - przypomniał Turi. - Musimy do nich zajrzeć.

- Tak - zgodził się chrapliwie McLean. Popatrzył na swoje ręce.

W lewej wciśniętą jeszcze trzymał stalowe nakrętki, a w prawej klucz.

Odetchnął głęboko i spojrzał na Turiego.

- Leci ci krew - zauważył.

Skóra na twarzy Turiego Bucka, przecięta odłamkiem szkła, była jedyną fizyczną raną, jaką ktokolwiek odniósł w tym domu. Okaleczenie psychiczne, to już co zupełnie innego.

Mieszkańcy pozostałych domów w dolinie nie mieli aż tyle szczęścia.

Matt Houghton był przekonany, że nie ma się czego obawiać ze strony niegu spadającego z zachodniego stoku. Jego dom stał na drugim brzegu rzeki, na sporej wysokości wschodniego zbocza, tak że rozpocierał się z niego imponujący widok na dolinę. Panorama z frontowej werandy stanowiła ródło wielkiej satysfakcji dla Matta Houghtona, który miał zwyczaj przesiadywać na niej w pogodne, letnie wieczory ze szklaneczką piwa. Houghton był nieco próżnym człowiekiem i od czasu wybrania go na burmistrza Hukahoronui lubił wyobrażać sobie, że spogląda na własne królestwo. W jego opinii ten widok podnosił wartość domu o co najmniej dwa tysiące dolarów.

Nie znaczy to jednak, że i tego niedzielnego ranka siedział na swoim tarasie. Po pierwsze, było na to zbyt zimno, a po drugie, werandę zawałały pospiesznie spakowane walizki, zniesione przez niespodziewanych gości. Żona Houghtona - Mamie - parzyła w kuchni litry herbaty i robiła stopy kanapek, a on sam odgrywał rolę wesołego gospodarza.

- Jak to miło z waszej strony, że przyjęcie nas do siebie - powiedziała drżącym głosem pani Jarvis. Była ona najstarszą mieszkanką Hukahoronui. Miała osiemdziesiąt dwa lata.

- Nie ma za co dziękować - Houghton rozemiał się jowialnie. -

Robię to tylko po to, żeby uzyskać pani głos w najbliższych wybo-

rach.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Czy sšdzi pan, że jesteśmy tu zupełnie bezpieczni?

- Oczywiście - zapewnił jš. - Ten dom stoi juŹ od dawna. W całej dolinie jest tylko jeden dom starszy od niego. Jeli więc nie został dotychczas zburzony przez lawiny, nie przypuszczam, by mogło się to stać teraz.

Sam Critchell, siedŹcy w wiklinowym fotelu, miał jednak wštpliwoci.

- Nigdy nie wiadomo. Lawiny lubiš płać różne psikusy.

- Co ty wiesz o lawinach, Sam? - W głosie Houghtona dwięczała pogarda.

Critchell, dalej spokojnie nabijał swš fajkę pokrytymi wštrobianymi plamami dłońmi.

- Widziałem kilka.

- Gdzie?

- Pod koniec wojny znalazłem się w górach za Triestem. Tamtej zimy spadło wiele lawin. Do akcji ratunkowych używano wojska. -

Zapalił fajkę. - Widziałem dosyć, by móc powiedzieć, że lawiny sprawiajš często diabelne niespodzianki.

- Ale przecież gdybym uważał, że ten dom nie jest bezpieczny, to nie siedziałbym tu, prawda? - retorycznie dopytywał się Houghton.

Z ust Critchella wyleciał podługny obłok dymu.

- Ani ja. Mówiłem tylko, że lawiny mogł płać psikusy.

Do Houghtona podeszła wysoka, żylasta kobieta, a on skwapliwie skorzystał z okazji, by wycofać się z jałowej dyskusji.

- No i jak się sprawy mają, pani Fawcett? - spytał serdecznie.

Pani Fawcett trzymała podkładkę stenograficzną. Była jedną z najbardziej dynamicznych i energicznych osób w ich społeczności. Żelazną ręką prowadziła kółka dramatyczne i dyskusyjne. Jej syn, Bobby, przewodził drużynie skautów. Houghton zawsze miał niemiłe uczucie, że w rzeczywistości odnosiła się do niego z pogardą. Spojrzała teraz na listę i oznajmiła:

- Wszyscy już przybyli, z wyjątkiem Jacka Baxtera.

- Ilu w sumie?

- Jack będzie dwudziesty piąty. Wliczając pańską rodzinę, zgromadzi się nas tu dwadzieścia dziewięć osób.

- Miejmy nadzieję, że wystarczy nam żywności - mruknął

Houghton.

Obdarzyła go specjalnym spojrzeniem, zarezerwowanym dla głupców.

- Starsi ludzie mają niewielki apetyt - odparła cierpko. - Zastanawiam się, co zatrzymało Jacka?

- Kto miał go przywieść?

- Jim Hatherley. - Przechyliła głowę na bok i zerknęła na sufit. -

Ten samolot znów tu jest.

- Czy ten durny pilot nie wie, że każdy dźwięk może spowodo-

wać lawinę? - oburzył się Houghton. Przeszedł na werandę, by spojrzeć w niebo. Niczego jednak nie dostrzegł.

Miał właśnie wracać do rodka, kiedy nadbiegł zdyszany Jim Hatherley.

- Panie Houghton, mam kłopot. Jack Baxter przy wysiadaniu z samochodu poliznął się na niego. Chyba rozwalił nogę.

- O, do diabła! Gdzie on jest?

- Leży przy samochodzie, tuż za rogiem.

- Lepiej zadzwoń po lekarza. Znajdziesz telefon w holu. Pójdę do Jacka. - Houghton zamilkł, przygryzając wargę. Nie lubił pani Fawcett, ale ona na pewno wiedziałaby, co zrobić ze złamaną nogą. - I niech pan poprosi tutaj panią Fawcett.

- Dobra. - Hatherley wszedł do domu i rozejrzał się za panią Fawcett. Nie zobaczył jej, ale natknął się na telefon, więc postanowił najpierw zadzwonić. Uniósł słuchawkę i połączył się z Maureen Scanlon w centrali.

- Jaki numer pan sobie życzył

- Maureen, tu Jim Hatherley, mówię z domu Houghtona. Stary Jack Baxter paskudnie upadł i sądzimy, że złamał nogę. Czy uda ci się znaleźć doktora Scotta?

Po chwili odpowiedziała:

- Spróbuję. - W słuchawce rozległ się trzask przerwanej rozmowy.

Hatherley czekał niecierpliwie na połączenie. Rozglądał się do-

koła i dostrzegł wreszcie paniś Fawcett, wchodząc włanie do holu. Przywołał ją machnięciem ręki i prędko wytłumaczył, co przytrafiło się Baxterowi.

- Och, biedak - westchnęła. - Już do niego idę.

Odwróciła się, zrobiła dwa kroki w stronę frontowych drzwi i zginęła.

Kiedy lawina uderzyła o dno doliny, gęsta chmura nieźnego pyłu i powietrza przestała wprawdzie nabierać prędkości, ale nie zatrzymała się od razu. Energia, którą zawierała, musiała zostać rozproszona na drodze tarcia o podłoże oraz przez otaczające powietrze, ale lawina w dalszym ciągu przecinała dość szybko dno doliny.

Dopiero, gdy dotarła na drugą stronę, zaczęła naprawdę zwalniać. Teraz, kiedy wspinała się na wschodni stok, grawitacja działała przeciw niej i w końcu zatrzymała się o sto metrów przed domem Houghtona i może o trzydzieci metrów poniżej, w odległości pionowej. Budynkowi nie groziło więc zasypanie niegiem.

Ale fala uderzeniowa nie wyhamowała. Zbliżała się w stronę domu z szybkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę.

Uderzyła pod okap i zdarła dach. Pozbawiło to ciany górnego wiśzania, więc kiedy fala huknęła w nie, dom eksplodował, niczym trafiony bombą. Wszyscy, którzy znajdowali się w nim, a było to dwadziecia osiem osób, zginęli. Jedni, trafieni odłamkami kamiennej podmurówki, inni - przywaleni szczątkami budynku. Dwie oso-

by zmarły na atak serca. Kilka osób zginęło natychmiast, niektórzy za zmarli w szpitalu, parę dni później.

Ale w tym domu zginęli wszyscy.

Matt Houghton wyszedł z domu, nie było też w nim Jacka Baxtera. W momencie, gdy budynek został rozwalony, Houghton pochylał się właśnie nad Baxterem i, jak sobie wyobrażał, spokojnym i fachowym głosem lekarza, pytał o obrażenia. Przed uderzeniem ochraniał go samochód, a ten z kolei, osłonięty był niewielkim pagórkiem, mającym jakiś metr wysokości i odgradzającym go od stoku. Kiedy podmuch powietrza z hukiem wdarł się na zbocze i uderzył w dom, samochód jedynie mocno zakołysał się na resorach.

Houghton spojrzał w górę, zaintrygowany, ale nawet nie zaniepokojony. Zajrzał pod samochód ale niczego nie znajdując wstał i obszedł go wokół. Odczuł wprawdzie smagnięcie wiatru, pokłosie fali uderzeniowej, ale nie było ono na tyle gwałtowne, by pobudzić jego ciekawość. Stojąc po drugiej stronie auta, widział dolinę. Rozdarta została zasłona oparów i Houghton usiłował dopasować teraz obraz, który się przed nim roztaczał do tego, który znał.

Potrzebował niedowierzająco głębszy i wspiął się na pagórek, chcąc mieć lepszy widok. Początkowo sądził, że patrzy w niewłaściwym kierunku, zmienił więc pozycję, ale nie zauważył różnicy. Jego kłopot polegał na tym, że nie mógł znaleźć miasta, którego był burmistrzem.

Z zakłopotaniem potarł kark, wreszcie nasunęło mu się zadowalajšce rozwiřzanie. Oczywiście, to było to! W ciřgu nocy musiało napadać sporo niegu, który przysypał miasto. Musiało go spać rzeczywiście bardzo duřo, jeli pokrył budynki tak, że przestały być widoczne. W połśczeniu z mgłš nie wydawało się to zupełnie niemożliwe.

Jęknęćie Baxtera przywołało go do rzeczywistości i Houghton pomyślał, że czas juř zawołać paniř Fawcett. Odwrócił się i zamarł. Domu nie było! Nie było frontowej werandy, ani wysokiego, kamiennego komina - niczego! Gdyby znajdował się nieco dalej, w górę stoku, zobaczyłby zrujnowane fundamenty i porozrzucane ciała, ale z miejsca, w którym stał, wyglšdało to tak, jakby dom z widokiem za dwa tyřšce dolarów nigdy nie istniał.

Wydobył z siebie zduszone westchnienie, a na jego ustach pojawiła się piana. Sztywno runł do przodu, nie czujřc juř nawet tego upadku.

Po pewnym czasie usłyszał gderliwy głos:

- Matt! Matt! Gdzie sř wszyscy?

Jack Baxter, ze złamanš nogš, lecz nie tknięty przez lawinę, wciř był pełen życia. Ani wtedy, ani nigdy potem nie zrozumiał, jakie miał szczęćie łamiřc nogę w tym włanie momencie.

Stacey Cameron wzięła samochód ojca i pojechała do domu doktora Scotta, bo tam włanie miał on swój gabinet. Poniewař została przeszkolona *w zakresie udzielania pierwszej pomocy, zgłosiła się

na ochotnika, na wypadek, gdyby taka pomoc okazała się konieczna. Na Scotcie, jako jedynym lekarzu w dolinie, siłš rzeczy koncentrowały się wszelkie zagadnienia medyczne. Stacey zatrzymała się za samochodem zaparkowanym przed budynkiem.

Siedziała w nim Liz Peterson.

- Czeć! - zawołała do niej Stacey. - Też się zgłosiła na pielęgniarkę?

- Raczej opiekunkę społecznš - powiedziała Liz. - Doktor Scott chce, żebymy zabrały zapas lekarstw. Musiał pojechać, bo Ballard wezwał go do Harriego Dobbsa.

- Harr/ego? - Stacey pokręciła głowš. - Nie ma go w biurze kopalni.

- Nie. W tym zdaje się leży problem.

Stacey poczęstowała Liz papierosem.

- Skoro już wspomniała o Ianie, to co właściwie zdarzyło się ubiegłej nocy?

- Zdarzył się mój brat idiota - odparła Liz. - Charlie staje się coraz bardziej irytujšcy. - Przyjęła podany jej ogień. - Powiedz mi, jak to wszystko wyglšda w Kalifornii?

Stacey zaintrygowało pytanie.

- Co rozumiesz przez to "wszystko"?

- Jakie sš warunki życia i pracy? Zamierzam stšd wyjechać.

- A to heca - rozemiała się Stacey. - A ja włanie chcę się tu sprowadzić.

- Może więc zrobimy sprawiedliwš zamianę posad, domów, no, wszystkiego.

- Nie mam domu. Wynajmuję mieszkanie.

- Co cię skłania do tego, by zagrzebać się w takiej dziurze, jak Huka?

- To ze względu na ojca. - Stacey zawahała się. - Ale sš też i inne powody.

- Jak ma na imię ten inny powód? - zakpiła Liz.

- Tańczyła z nim na ostatnim dansingu.

Liz uniosła brwi.

- I to na twoje zaproszenie. Wiesz, że nie jestem lepa, ani głupia. Rozmawiała najpierw ze mnš, potem z nim. Ian nie był wprawdzie pijany, ale dostatecznie podochocony, by powiedzieć:

"Zatańczę z Liz Peterson i niech diabli wezmš jej kłótliwych braci".

I to ty podsunęła mu ten pomysł. Masz raczej nietypowy sposób postępowania z tymi, którzy cię interesujš.

- Wolalabym nie sprawiać wrażenia zaborczej. Przynajmniej nie na tym etapie naszych stosunków.

- A jaki to etap?

Stacey umiechnęła się.

- Etap, na którym jeszcze nie zauważył, że w ogóle istnieję.

Westchnęła. - Ale mam jeszcze kilka dni.

- No, ma teraz sporo na głowie. Może trafi się jaka okazja w czasie lawiny. Mógłby cię na przykład uratować z opresji z nara-

żeniem swojego życia. Po czym takim będzie musiał się z tobš
ożenić. Według wszystkich filmów, które widziałam, to równie
pewny sposób, jak zajcie z nim w cišżę.

- Co o nim mylisz?

- Jest miły - przyznała chłodno Liz. - Ale bardziej podoba mi
się jego przyjaciel, Mikę McGill. - Pokręciła głowš. - No, nie ma się
czym ekscytować.

- Dlaczego?

- Mówi, że już go wczemiej pokšsano. Podobno przed trzema
laty żona się z nim rozwiodła. Stwierdziła, że nie może żyć z face-
tem, który wcišż tylko bada nieg i którego nigdy nie ma w domu.
Mikę nawet nie ma do niej o to pretensji. Która zresztš chciałaby
mieć męża przemieszczajšcego się od bieguna północnego do połu-
dniowego jak jo-jo?

Stacey pokiwała współczujšco głowš.

- A co to była za kłótnia między twoimi braćmi i Ianem?

- Zbyt stare sprawy, by o nich gadać - skwitowała zdawkowo.

Zdusiła papierosa. - Trudno powiedzieć, żebyśmy zajmowały się
gromadzeniem lekarstw. Bierzmy się lepiej do roboty.

Pojechały do apteki przy głównej ulicy. Liz wysiadła z samocho-
du i spróbowała otworzyć drzwi, ale okazały się zamknięte. Wie-
lokrotnie pukała, lecz nikt nie odpowiadał, dała więc w końcu
spokój.

- Ten przeklęty głupiec, Rawson, miał tu na nas czekać - parsk-

nęła gniewnie. - Gdzie on się, do diabła, podziewa?

- Może co go zatrzymało?

- Już ja mu pokażę, gdy go tylko znajdę - ponuro zagroziła Liz.

Dostrzegła przejeżdżając ciężarówkę i zatrzymała ją. Zawołała do

kierowcy: - Len, nie widziałe gdzie Rawsona?

Len Baxter pokręcił przecząco głową i odwrócił się, by spytać Scanlona.

- Dave mówi, że widział go pół godziny temu przed wejciem do hotelu.

- Dzięki. Jedziemy, Stacey. Oderwiemy go od piwa.

W każdym rodowisku zdarza się pewien procent głupców

i akurat w hotelu D'Archiac zgromadziła się ich pokana liczba.

Filozofia dyrekcji najwyraźniej wyrażała się słowami "Interes przede wszystkim", a tego dnia szedł on chyba lepiej niż normalnie.

Z baru dochodził gwar męskich głosów, a jadalnię przygotowywano do lunchu, jak gdyby ta niedziela nie różniła się niczym od innych.

Liz spostrzegła Erica, stojącego przy wejciu do baru i przywołała go.

- Co tu się dzieje? Czy ci ludzie o niczym nie wiedzą?

- Mówiłem im i tłumaczyłem - odparł Eric - ale nic do nich nie dociera. Jest tu sporo górników, podbuntowanych przez Billa Quentina. Zdaje się, że zorganizowali zebranie protestacyjne w związku z zamknięciem kopalni.

- Pierwszy raz o tym słyszę - wtręciła Stacey. - Ojciec mi nic nie powiedział.

- Bili Quentin twierdzi, że to pewne.

Liz spojrzała na kelnerkę, niosącą do jadalni tacę zastawioną drinkami.

- Powinno się zamknąć tę budę. Zrób co, Eric. Ostatecznie jesteśmy właścicielami połowy tego interesu.

Eric wzruszył ramionami.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że jesteśmy wraz z Johnem jedynie cichymi wspólnikami. Umówiliśmy się z Westonem, że nie będziemy się zbytnio wtręcać. Próbowałem z nim porozmawiać, ale nic to nie dało.

- Skończony dureń z niego.

- Dureń, który zarabia grube pieniądze. - Eric wskazał w stronę baru. - Popatrz na to.

- Do diabła z nimi! - ucięła Liz. - Jest tam Rawson?

- Tak, widziałem, jak rozmawiał z...

- Wyciśnij go. Musi otworzyć aptekę. Potrzebujemy leków.

- Dobra. - Eric poszedł do baru i zginął w nim na długo. Wreszcie wrócił z Rawsonem, wysokim, chudym mężczyzną w okularach o grubych szklach.

Liz zrobiła krok do przodu i powiedziała szorstko:

- Panie Rawson, obiecał pan być w sklepie pół godziny temu.

Rawson umiechnął się.

- Czy uważa pani, że sytuacja jest aż tak poważna, panno Peterson? - rzekł tonem rozbawionej pobłażliwości.

Liz odetchnęła głęboko i opanowała się.

- Poważna czy nie, faktem jest, że nie dotrzymał pan obietnicy.

Rawson rzucił tęskne spojrzenie w stronę baru.

- No, już dobrze - zgodził się niechętnie. - Chodmy zatem.

- Zostajesz tutaj? - spytała Erica.

Pokręcił głową.

- Wracam do Johnniego. Ten tłum i tak się nie ruszy.

- Nie zwlekaj - poradziła. - Idziemy, panie Rawson.

Kiedy opuścili hotel, Stacey obejrzała się i spostrzegła, że Quentin wyszedł z baru i dołączył do Erica. Zdawało jej się, że się o coś spierają.

Otwierając wreszcie aptekę, Rawson odezwał się zrzędlawie:

- Wcale nie jestem przekonany, czy nie łamię prawa.

- Farmaceuci mogą otwierać swoje sklepy w nagłych przypadkach nawet w niedzielę - zapewniła go Liz. - Wiem chyba na temat prawa więcej niż pan.

Rawson wszedł pierwszy i nacisnął wyłącznik. Kiedy światło nie zapaliło się, mruknął:

- Ach, zapomniałem. Ale to nic, mam na zapleczu kilka wiec.

- Jest wystarczająco widno - powstrzymała go Liz. - Bierzmy się do roboty.

Rawson stanął za ladą, przyjmując zawodową pozycję.

- Słucham was, panienki - odezwał się pogodnie. Czym mogę służyć? - Stacey z trudem zachowała powagę, myśląc, że pewnie za chwilę włoży jeszcze biały kitel.

- Tu jest lista - Liz podała mu kartkę.

Rawson przejrzał flegmatycznie spis, zastanawiając się, z doprowadzając do szału pedantyczności, nad każdym z podanych punktów.

- No, no! Jest tego sporo.

- Tak - cierpliwie zgodziła się Liz.

- Kto za to wszystko zapłaci?

Liz spojrzała na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu, po czym zerknęła na Stacey, która również była zaskoczona. Pochyliła się nad ladą.

- Wolałby pan otrzymać pieniądze przed, czy po dostarczeniu lekarstw?

Był zbyt ograniczony, by zauważyć grobą kryjąc się w jej tonie.

- No, podliczenie tego wszystkiego zajmie trochę czasu - zachochał. - Na szczęście kupiłem jeden z tych nowych, elektronicznych kalkulatorów. Wie pani, to strasznie ułatwia prowadzenie interesu.

Liz grzmotnęła pięciś w ladę.

- Bierz się do roboty, Rawson. Jeżeli martwisz się o pieniądze, to zapisz rachunek na konto Johnniego, a może uważasz jego kredyt

za nie doć dobry?

- Och, nie, tak będzie zupełnie w porządku - pośpiesznie zapewnił ją Rawson. Jeszcze raz spojrzął na listę. - No więc, zaczynamy. Bandaże: dziesięć tuzinów opakowań pięciocentymetrowych, dziesięć tuzinów omiocentymetrowych, tyle samo piętnaste... Musimy przejść po nie do magazynu.

- Chodmy. Gdzie to jest?

- Chwileczkę. Tu co się nie zgadza, panno Peterson. Cała ta morfina, tu, na trzeciej stronie. - Wyciągnął do niej listę. - Naprawdę, nie mam prawa wydać tego bez recepty. W dodatku takiej ilości! - Potrząsnął głową. - Mógłbym stracić licencję.

- Na ostatniej stronie jest podpis doktora Scotta.

- To nie wystarczy, panno Peterson. Po pierwsze brak jego podpisu na stronie trzeciej, a po drugie powinien wystawić formalną receptę. Ustawa o narkotykach bardzo wyraźnie to określa. Lista, którą mi pani pokazuje, jest zupełnie niezgodna z przepisami i dziwię się, jak doktor Scott mógł ją zatwierdzić.

- Na miłość boską! - wybuchnęła Liz, co wstrząsnęło Rawsonem i mocno go zaskoczyło. - Lada chwila może zostać pan zabity, a obchodzi pana brak podpisu na przeklętym kawałku papieru.

Proszę posłuchać, jeśli nie pośpieszy się pan i nie wyda wszystkiego z tej listy, to zwrócę się do Arthura Pye, żeby panu skonfiskował ten cholerny magazyn. A on się nie zawaha.

- Nie może mnie pani straszyć policją!

- Niech pan nie żartuje. Włanie to zrobiłam, prawda? Stacey,
skorzystaj z telefonu i znajd Arthura Pye.

Rawson podniósł ręce do góry.

- No więc dobrze, ale pod warunkiem, że wszystkie niebezpieczne
lekarstwa z listy osobicie dostarczę doktorowi Scottowi.

- Zgoda - powiedziała Liz. - Przynajmniej się pan do czego
przyda. Gdzie ten magazyn?

- Te drzwi z tyłu - wskazał Rawson. Gdy Liz ruszyła szybko
w ich stronę, uprzedził: - Ale sš zamknięte. Z tymi rzeczami nigdy
za wiele ostrożności. - Dołączył do niej i wyjšł z kieszeni łańcuszek,
na końcu którego zwisał pęk kluczy. Otworzył drzwi. - Wszystkie
bandaże sš na tych półkach po prawej. Zajmijcie się nimi, a ja
przygotuję lekarstwa w aptece.

Dziewczyny wyminęły go, a on odwrócił się, kręcšc głowš nad
impulsywnošiš współczesnej młodzieży. Kto by pomyślał, że taka
dobrze wychowana panienska, jak Liz Peterson, jest zdolna posługi-
wać się językiem, kojarzšcym mu się jedynie z barami?

Wrócił do apteki i otworzył szafkę, w której przechowywał re-
jestrowane narkotyki. Wzišł pudełko i zaczął układać w nim am-
pułki, liczšc je dokładnie i notujšc w rejestrze trucizn. Oczywiście
wymagało to czasu. Był niezwykle skrupulatnym człowiekiem.

Nie mógł tego przewidzieć, ale włanie kombinacja zwłoki wy-
nikłej z niedotrzymania obietnicy i tej skrupulatności sprawiła, że
zginšł. Gdyby zjawił się w aptece na czas, nie musiano by stracić

kilkunastu minut na wyciśnięcie go z baru. A gdyby później mniej pedantycznie dbał o swój rejestr trucizn, zdążyłby wyjść z apteki, zanim spadła lawina.

Kiedy został wgnieciony fronton sklepu, siła uderzenia przeniesiona przez fundamenty, spowodowała, że dwulitrowa butla obsuwała się z półki i roztrzaskała na stole tuż przed Rawsonem. Wypełniał ją kwas solny, który chlusnął mu na twarz i przednią część ciała.

Liz Peterson ocalało co, co zostało zapoczątkowane pięć lat wcześniej. Tamtej zimy, która była równie mroźna, w mikroskopijnym pęknięciu betonu, tworzącego podstawę tylnej ciany magazynu, zamarzała kropla wody. Zmieniając się w lód, zwiększyła swoją objętość i poszerzyła pęknięcie. Następnego roku zdarzyło się to samo, lecz tym razem wody było nieco więcej i rok po roku szczelinka poszerzała się, aż doszło do tego, że obecnie poważnie zagrażała stabilności ciany.

Gdyby Rawson o tym wiedział, to biorąc pod uwagę jego skrupulatność, niezwłocznie kazałby naprawić uszkodzenie. Ale ktoś miał wiedzieć, jeśli znajdowało się ono pod ziemią. W konsekwencji, kiedy lawina uderzyła, słabsza, tylna ciana łatwo pocięła, nie stawiając żadnego oporu.

Liz runęła do przodu, na stertę pudeł z bandażami, które zamortyzowały upadek. Jedynie krawędź półki złamała jej dwa żebra.

Cała ta masa: półki, opakowania i ciała obu dziewczyn, została wepchnięta na tylną cianę, która natychmiast poddała się. Liz wy-

padła na zewnątrz, opleciona gmatwaninš rozwijajšcych się banda-
ży. Runęła na niego. Po chwili była już zasypana. Nieg unierucho-
mił ją, ciskając ramiona i nogi. Zachowała jednak przytomność
i trzewo oceniała swoje szansę. Nie wiedziała, że Stacey Cameron
znajdowała się niemal w identycznej sytuacji trzy metry dalej. Obie
dziewczyny straciły przytomność mniej więcej w tym samym cza-
sie, półtorej godziny po zasypaniu.

Dwadziecia metrów dalej, także przysypany niegiem, umierał
Rawson. Cierpiał straszliwie, gdyż kwas palił jego ciało. Na szczę-
cie, kiedy otworzył usta, by krzyknąć, zachłystał się sypkim nie-
giem.

Hotel D'Archiac, siedlisko głupców, szybko został zdemolowany.

Jeff Weston, jego właściciel, zarabiający grube pieniądze na głupocie
blinich, pozbawiony został czego więcej, niż tylko majątku. Interes
szedł tak, że musiał sam stanąć za ladą, by pomóc barmanowi,
który nie bardzo dawał sobie radę z tłumem gości. W chwili, gdy
lawina sięgnęła budynku, został trafiony w głowę butelką whisky,
która wyleciała z półki niczym wystrzelony pocisk.

Większość pijących w barze mężczyzn zabiły właśnie latające
butelki. Potem zawaliła się ciana, a jeszcze później wszystko przy-
krył nieg. Zginęli, bo byli głupcami, chociaż jaki cynik mógłby
powiedzieć, że padli ofiarą alkoholu. Ale tego niedzielnego poranka
w Hukahoronui nie było cyników.

Goście, znajdujący się w sali jadalnej zginęli, kiedy zawalił się

dach. Alice Harper, kelnerkę, która poprzedniego wieczoru podawała McGillowi kolonialną gę, zabiła ciężką walizą, spadając z sypialni na górze. Waliza należała do Amerykanina Newmana, ale on w tym czasie miał własne kłopoty.

Ssładując się ze sobą pokoje Newmana i jego przyjaciela Millera przestały właściwie istnieć. Miller miał to szczęście, że był nieobecny.

Równie wielkie szczęście dopisało Billowi Quentinowi, który opuścił hotel wraz z Erikiem Petersonem chwilę przed jego zniszczeniem. Wyszedł z baru do holu i znalazł Erica.

- Słuchaj, czy rada wie, co się dzieje?

- Z czym?

- Chodzi mi o zamknięcie kopalni.

- Tak. Ballard zamknął ją dzisiaj rano.

- Nie o tym mówię. Miałem na myśli zamknięcie jej na stałe.

Eric ze znużeniem pokręcił głową.

- Jak dotąd nikt nam o tym nie powiedział.

- I co, nie masz zamiaru zrobić czegoś w tej sprawie?

- Czego, u diabła, od nas oczekujesz, skoro nie zostaliśmy oficjalnie poinformowani? Poza tym nie wierzę w to.

Quentin parsknął.

- Ballard twierdzi, że to nieodwołalne. Oznajmił to wczoraj na zebraniu. Powiedział, że spółka nie mogłaby sobie pozwolić na sfinansowanie zabezpieczeń przeciwlawinowych. Według mnie to

całe straszenie lawinš jest nonsensem. Uważam, że spółka próbuje się wymigać.

- Wymigać, z czego? Nic nie rozumiem. - Eric ruszył w kierunku drzwi.

- Wiesz, jakie sš te wielkie towarzystwa - Quentin przyspieszył, by nadšżyć za nim. - Słyszałem, że Ballard Jest spokrewniony z głównym szefem z Londynu. Wiesz co o tym?

- Tak. To prawda. - Eric przyspieszył kroku.

- Założę się, że przysłali go tu, by odwalił brudnš robotę. Hej, dokšd idziesz?

- Mam się spotkać z Johnem w domu starego Fishera.

- Chyba pójdę z tobš - zaproponował Quentin. - Mylę, że rada powinna się o tym dowiedzieć. Gdzie jest Matt Houghton?

- W domu.

Zeszli włanie z chodnika, gdy Quentin się odezwał:

- On jest chyba jedynym rozsšdnym człowiekiem w okolicy.

Cała reszta kryje się po kštach.

Eric spojrzał na niego.

- Tak jak ja?

- Nie udawaj, że wierzysz w Dzień Sšdu Ostatecznego.

Eric przystanšł na chodniku po przeciwnej stronie hotelu. Stał odwrócony plecami do domu Fishera i nie zauważył brata, przebiegajšcego przez ulicę do centrali telefonicznej.

- Johnnie nie jest głupcem, a wierzy w to - odparł spokojnie. -

Ja też zaczynam.

Podjął marsz szybszym krokiem, tak że dużo niższy od niego

Quentin musiał prawie biec, by za nim nadżyć. Weszli do domu

Eric zajrzał do pokoju przy holu. Był pusty.

- Chyba jest w piwnicy.

Obaj mężczyźni właśnie schodzili po schodach, gdy lawina ude-

żyła w dom. Eric stoczył się w dół i upadł na młodszą Mary Rees,

łamiąc jej nogę. Bili Quentin, który upadł na niego, złamał mu

ramię. Jemu samemu nic się nie stało. Spadający gruz, walącego się

domu, nawet go nie zadrasnął.

Po ostrzegawczym krzyku McGill wpadł do wybranego schronu,

mocno popchnięty przez Ballarda. Chwycił telefon, zainstalowany

przez elektryka z kopalni i zadzwonił na centralę. Była zajęta.

- Na miłość boską, dalej! - wymamrotał.

Czekał dziesięć sekund, które wydały mu się minutami, zanim

zgłosiła się telefonistka, Maureen Scanlon. Rzucił szybko:

- Pani Scanlon, proszę mnie połączyć z Johnem Petersonem i na-

tychmiast wynosić się stamtąd do wszystkich diabłów.

- Rozumiem. - Dobiegł go dźwięk dzwonka.

- John Peterson, słucham.

- McGill. Ukryj swoich ludzi! Spada!

- Co z Maureen Scanlon?

- Powiedziałem, żeby uciekała. Od ciebie widać centralę. Miej ją

na oku.

- Dobra. - Peterson odłożył z trzaskiem słuchawkę i krzyknął do Bobby'ego Fawcetta: - Wszyscy na dół. Ruszaj się, Bobby. Fawcett biegiem opuścił pokój, a Peterson spojrzął przez okno na centralę telefoniczną. Ulica była opustoszała, bez ladu ruchu. Stukał nerwowo w stół, zastanawiając się co robić.

Gdy tylko pani Scanlon połączyła rozmowę z Petersonem, zdjęła słuchawki, wstała i zabrała z wieszaka płaszcz. Wiedziała dokładnie, co powinna zrobić, gdyż Peterson ją poinstruował. Miała dojechać do niego w domu starego Fishera, jednym z niewielu domów w miasteczku, posiadających piwnicę. Nie traciła czasu na ubieranie się, ale kiedy uczyniła krok w kierunku drzwi, zabrzączał dzwonek. Odwróciła się, wepchnęła wtyczkę i uniosła słuchawki.

- Jaki numer mam połączyć?

- Maureen, tu Jim Hatherley z domu Matta Houghtona. Stary Jack Baxter upadł paskudnie i sędzimy, że złamał nogę. Czy nie udałoby się znaleźć doktora Scotta?

Przygryzła wargi.

- Spróbuję. - Wepchnęła wtyczkę i zadzwoniła do domu Scotta.

Wyglądający przez okno Peterson podjął decyzję. Wybiegł do holu. W drzwiach zobaczył piegowatą, czternastoletnią dziewczynę.

- Mary, do piwnicy. Prędko - zawołał do niej.

Stanowczość polecenia spowodowała, że wykonała je bez namysłu. Spytała tylko:

- Dokąd pan idzie?

- Po paniš Scanlon. - Wybiegł na ulicę, a Mary Rees zeszła do piwnicy, by dołšczyć do pozostałych.

Peterson biegł pustš ulicš w stronę centrali telefonicznej. Dotarł do rogu, gdzie droga skręcała w lewo, w kierunku kopalni, pospiesznie rzucił na niš wzrokiem i gwałtownie zatrzymał się. To, co zobaczył, było niesamowite. Opary zniknęły, odsłaniając kopalnię, lecz nie to przykuło jego uwagę. Wprost na niego leciał rozpadający się budynek, w którym rozpoznał szczłtki biurowca.

Skoczył do tyłu i skrył się za betonowš cianš. Upadł, ale przekręcił się, aby widzieć co się dzieje. W twarz uderzył go gwałtowny podmuch wiatru. Gruzy biurowca runęły wprost na centralę, miażdżąc ją.

Wicher ponownie go smagnł i Peterson poczuł dławiący ból w piersiach. Atak serca - pomyłał mglicie. - Mam atak serca! - Walczył chwilę z bólem, aż stracił przytomność i w chwilę później zmarł.

W piwnicy domu Fishera, Mary Rees krzyczała razem z innymi, kiedy zawalił się budynek nad ich głowami i co lub kto spadł na niš. Ocaleli tam wszyscy, ale nie obyło się bez kilku poważnych obrażeń, w tym złamanej nogi Mary.

Phil Warrick rozejrzał się po supermarkecie i oznajmił z satysfakcją:

- Prawie sprzštnięte. - Uniósł pokrywę pieca i dorzucił kilka drewnianych szczap.

Wielebny Howard Davis, pastor kocioła anglikańskiego pod

wezwaniem w. Michała, zgodził się z nim.

- Prawie. To będzie ostatnia partia. - Przetoczył wózek do regału z herbatnikami i zaczął układać w nim paczki.

Warrick obserwował go z umiechem.

- McGill mówił, żeby nie brać herbatników w czekoladzie.

- Nie wiem, co doktor McGill sędzi na temat odżywiania, ale z pewnością niewiele się zna na dzieciach - odparł Davis. - Żeby je utrzymać w ryzach, bardziej przydadź się ciastka, niż gotowana fasola.

Warrick kiwnął głową.

- Mam nadzieję, że wie, co robi, jeli chodzi o tę lawinę. Przysięgam, że ręce wydłużyły mi się o pięć centymetrów od taszczenia tych wszystkich skrzynek z konserwami. - Zakrył piec pokrywą.

Davis spojrzał na niego z rozbawieniem.

- Chce pan przez to powiedzieć, że czułby się pan zawiedziony kdyby lawina nie spadła?

- E tam, wiesz, że nie chcę lawiny, ale szkoda, żeby ta cała krowa miała pójść na marne.

- Ja też nie marzę o lawinie, lecz nie zaszkodzi się przygotować,

- Jeżeli John Peterson zgodził się, by aż tak oczyszczono mu sklep, to chyba wierzy McGillowi. John jest przecież trzewo myślącym człowiekiem.

Na zewnątrz zatrzymała się ciężarówka. Wysiedli z niej dwaj mężczyźni i weszli do supermarketu. Warrick przywitał ich.

- Cześć, Len... Dave.

- Ten samolot wrócił - oznajmił Len Baxter. - Wciśz kršży nad nami. Zastanawiam się, czego chce.

- Nie wylšduje - zgasił go Warrick. - Mgła jest zbyt gęsta.

Davis postawił na piecu dzbanek z kawš.

- Przyda się wam co na rozgrzewkę.

Dave Scanlon wycišgnł dłonie w stronę pieca. Wyglšdał na zmartwionego.

- Chętnie się napiję. Słowo daję, że robi się coraz zimniej. -

Zerknął na Davisa. - Martwię się o Maureen. Kto mi mówił, że centrala jest zupełnie odsłonięta.

- John Peterson obiecał, że się niš zajmie - uspokoił go Davis. -

Jestem pewny, że nic jej się nie stanie. - Dotknł dzbanka, sprawdzając temperaturę kawy. - Zaraz będzie dobra.

- Macie jeszcze jaki olej? - spytał Len.

- Dwie stu pięćdziesięciolitrowe beczki - rzekł Warrick. - To już ostatnie. Ale wzięliśmy ponad dwie tony ze zbiornika.

- Rozmawiałem u Turiego Bucka z jednym z techników z kopalni - powiedział Len. - Ustawia tam generator. Mówił, że silnik Diesla może pracować w najgorszym wypadku na oleju opałowym. Nie wiedziałem o tym.

- Wypiję kawę i pojedę zobaczyć co z Maureen - zdecydował Dave.

Gdy Davis uniósł kubek, Len Baxter przypomniał sobie:

- A włanie, może który z was wie, gdzie jest mój ojciec? Byłem przez cały ranek zbyt zajęty i straciłem z nim kontakt.

- Pojechał na górę, do domu Matta Houghtona. McGill uważa, że to jedno z najbezpieczniejszych miejsc w dolinie.

Warrick skinął głową.

- Dyskutowaliśmy o tym na spotkaniu z radcą. Domy Matta Houghtona i Turiego Bucka są najstarszymi w dolinie. Dzieci skierowano do Bucka, a starszych ludzi do Matta.

- Nie wszystkie dzieci - przerwał Dave. Wziął kubek od Davisa. - Włanie widziałem Mary Rees.

Warrick zmarszczył brwi.

- Gdzie?

- Tutaj, w mieście. Stała w drzwiach domu starego Fishera.

- A, to w porządku - uspokoił go Davis. - Tam jest piwnica.

Maureen też ma tam pójść. John Peterson wszystko zorganizował.

- Gdzie ty się ukryjesz? - spytał Len.

- Będę w kocie - zdecydowanie odpowiedział Davis. Ton jego głosu wykluczał jakkolwiek sugestię, że mógłby się skryć gdzie indziej.

Len rozważył to.

- Niele - skomentował. - Kociół jest tu chyba najmocniejszym budynkiem. W każdym razie jedynym zbudowanym z kamienia.

Dave Scanlon dopił kawę.

- Skoczę tylko do Maureen i wrócę pomóc wam w załadunku. -

Skinął rękę. - Nigdy nie widziałem tak opustoszałego miasta, nawet w niedzielę.

Odwrócił się w stronę drzwi i zastygł w pół kroku.

- Opary idź...

Trzytonowa ciężarówka, zaparkowana przed supermarketem została uniesiona i cinięta przez witrynę do rodka, niczym monstrualny pocisk. W chwili, kiedy nadlatywała, budynek wokół nich już się walił. Nie zbudowano go zbyt solidnie i uderzona gigantyczną pięciś lawiny sztuczna fasada runęła i wpadła przez dach.

Wielebny Davis zaczął nieoczekiwanie grzęznąć w niegu. Był oszołomiony, a kiedy dotknął głowy, poczuł krew. Zagrzebany już do pasa, zorientował się nagle, że wciśz trzyma dzbanek z kawš. Otworzył go, zajrzał do rodka i zobaczył, że do połowy wypełnia go parujący płyn. Miał zawroty głowy i odczuwał ból przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Przed oczami wirowały mu ciemne plamy i wszystko stało się zamazane na chwilę wczemniej nim stracił przytomność. Dzbanek wypadł mu z ręki, i przewrócił się, plamiśc nieg kawš.

Dave Scanlon zginął natychmiast. Uderzyła go ciężarówka, rozgniatając na krwawš miazgę. Lena Baxtera trafiła w głowę cegła z fasady, która przebiła dach. Jego ciało szybko pokrył gruz, a póniej nieg. Żył jeszcze wtedy, ale zmarł po kilku minutach.

Piec żeliwny został wyrwany z betonowej podstawy, do której przymocowano go czterema półcalowymi rubami. Przebił tylną cianę sklepu i uderzył w zbiornik oleju opałowego, rozwalając go.

Phil Warrick poleciał w ład za nim i spadł na piec. Wczeniej, przez cały ranek, wciśz do niego dokładał, tak że teraz rozpalony był do czerwonoci. Pokrywa odskoczyła i wystrzelił strumień rozżarzonych węgli, które zapaliły olej wyciekajšcy ze zbiornika. Płomienie rozbiegły się we wszystkie strony. Chmura czarnego dymu uniosła się i natychmiast została rozerwana na strzępy przez huraganowy wiatr.

Ogień nie miał szans, gdyż nieg przysypywał wszystko, ale palił się wystarczajšco długo, by zabić Phila Warricka. Przytulony do żeliwnego pieca, spłonšł żywcem pod dwoma metrami niegu.

Joego Camerona, który odstawił ciężarówkę do kopalni po dostarczeniu ładunku sond nieżnych, lawina złapała na otwartej przestrzeni. Nie doznał równie niesamowitych wrażeń, jak doktor Scott, któremu przyszło kierować plynšcym samochodem. Fala uderzenia grzmotnęła ciężarówkę z boku i mocno niš zakołysała. Lewe koła uniosły się nad ziemię i samochód, przemierzajšc kilka metrów tylko na prawych kołach, o mały włos nie przewrócił się. Potem opadł na lewy bok, a Cameron ze wszystkich sił starał się zapanować nad wozem.

W ład za podmuchem powietrza nadeszła chmura niegowa, posiadajšca znacznie większ gęstoć. Uderzyła samochód duzo silniej i przewróciła go na bok. Nie skończyło się na tym. Ciężarówka, popychana przez nieg, zaczęła się toczyć coraz szybciej i szybciej.

Uwięziony w kabinie Cameron przeżywał męki. Prawa stopa ugrzęzła mu pomiędzy pedałem gazu a hamulcem. Za każdym razem, kiedy ciężarówka przetaczała się, dwignia biegów wbijała mu się w żołądek, a ciało przewalało się bezwładnie. W pewnym momencie jego ramię dostało się w rodek kierownicy. Uderzenie w przednie osie spowodowało jej obrót, i ramię złamało się z suchym trzaskiem, którego Cameron już nie usłyszał.

Gdy w końcu ciężarówka zatrzymała się, leżała z kołami skierowanymi w górę, pod pięcioma metrami niegu. Cameron znajdował się w tej samej pozycji - z głową opartą o dach kabiny i uwięzioną stopą. Przez wybitą przednią szybę, do kabiny nasypało się sporo niegu, ale wciąż pozostawała wystarczająca przestrzeń powietrzna, by na dłuższy czas zapewnić mu życiodajny oddech. Z rozciętego policzka Camerona płynęła krew, plamiąc nieg jasną czerwienią. Cameron początkowo stracił przytomność, ale po jakim czasie poruszył się i jęknął. Kiedy doszedł do siebie, miał wrażenie, jakby przepuszczono go przez kruszarkę, a później rozciągnięto na wieszaku. Bolał go każdy skrawek ciała. Spróbował poruszyć ramieniem, ale poczuł jak krawędzie koci ocierają się o siebie, a jednocześnie jaki rozpalony nóż wbija się w łopatkę. Poniechał więc dalszych prób.

Niebezpieczeństwo mierci w niegu było bardzo realne, lecz Cameron nie wiedział, że o wiele bardziej zagraża mu utonięcie. Najpierw przeszła fala uderzeniowa, a później druzgocząca pięć

nieznej chmury. W ład za nimi zelizgiwał się nieg powierzch-
niowy. Poruszajśc się z mniejszš prędkociš niż jego poprzednicy,
płynšł niewzruszonš falš przez Hukahoronui. Obmył kociól, aż
zadrżała wieża, starł szczštki hotelu D'Archiac i przetoczył się
przez zgliszcza sklepu Rawsona. Doszedł do supermarketu i pokrył
zwęglone ciało Phila Warricka, wspił się na urwisko, przewalił
przez jego krawęd i spadł do rzeki, wypełniajśc jej koryto.

Za rzekš energia nieznej fali wyczerpała się, zwolniła do prę-
doci szybko biegnšcego mężczyzny. Nieco póniej, kiedy napotkała
wznoszczy się teren wschodniego stoku, zatrzymała się całkowicie
pokrywajśc obszar zniszczeń nieskalanš bielš.

Lawina skończyła się.

Katastrofa - nie.

McGill, wspił się na niewielki kopiec niegu, aby mieć lepszy
widok. Spojrzał w dół, na dolinę i cicho westchnł:

- O, mój Boże!

Większa część miasta zniknęła. Jedywym widocznym budynkiem
był kociól, który wyglšdał, jakby wybielono go wapnem. W ka-
mienne ciany wbił się drobny, niezny pył i kociól przypominał
własne widmo. Całš resztę stanowiły niezne pagórki.

Wrócił do Ballarda i pochylił się nad nim.

- Chod, Ian. To już się skończyło i mamy teraz sporo roboty.

Ballard ciężko uniósł głowę. Jego oczy wydawały się chmur-
nymi plamami na białym tle twarzy i brak w nich było zrozumie-

nia. Przez chwilę poruszał wargami, zanim udało mu się wymamrotać:

- Co?

McGill współczuł mu, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się z nim stało. Zmysły Ballarda zostały zaatakowane w nie spodziewany sposób i był teraz otępiały jak żołnierz, który doznał urazu psychicznego w następstwie artyleryjskiego ognia zaporowego. McGill też nie czuł się najlepiej, ale jego wiedza i dowiadczenie, przygotowały go do zaistniałych wypadków. Uzbrojony w nie, mógł poradzić sobie z najgorszymi skutkami lawiny.

Ballard doznał szoku katastroficznego.

McGill wolno pokręcił głowę. Na litowanie się nad sobą nie mieli teraz czasu. Wielu ludzi musiało zginąć i jeśli reszta ocalałych przypominała Ballarda, to z braku pomocy zginie jeszcze więcej. Zamachnął się i uderzył silnie Ballarda w twarz.

- Wstawaj, Ian - powiedział szorstko. - Dalej!

Ballard wolno sięgnął ręką do zaczerwienionego policzka. Zamrugał gwałtownie, łzy napłynęły mu do oczu, ale jako wystękał:

- Czemu to zrobiłeś?

- Dostaniesz jeszcze mocniej, jeżeli zaraz nie wstaniesz. - McGill wiadomie nadał swemu głosowi bezwzględne brzmienie. - Wstawaj, człowieku!

Ballard uniósł się i oparty na McGillu dał się poprowadzić na pagórek.

- Zobacz.

Ian spojrział na dolinę z niedowierzaniem.

- Chryste - szepnął. - Nic nie zostało.

- Zostało całe mnóstwo - zaprzeczył McGill. - Tylko musimy to znaleźć.

- Ale co możemy zrobić? - z rozpaczą spytał Ballard.

- Na początek mógłby się obudzić - brutalnie powiedział

McGill. - A potem rozejrzemy się za tymi, którzy byli w pobliżu, otrzewimy ich i spróbujemy się zorganizować.

Ballard jeszcze raz rzucił okiem na pustkowie i zszedł z kopca.

Potał piekścby policzek.

- Dziękuję, Mikę.

- Dobra - machnął ręką McGill. - Id tam i sprawd czy kogo

nie ma. - Odwrócił się plecami i odszedł. Ballard powlókł się ciężko we wskazanym kierunku. Wciřz czuł się jak znokautowany.

Piętnacie minut póniej było ich już dwudziestu. Jednego po

drugim, oszołomionych, bezlitonie wyciřgano z dziur, w których

się skryli, a McGill nie silił się na miłosierdzie w sposobie ich trak-

towania. Wszyscy, choć w różnym stopniu, znajdowali się pod

wpływem szoku i wyranie mieli awersję do spoglřdania na wi-

doczny teraz stok, z którego nadeszła katastrofa. Stali apatycznie,

tyłem do zachodu.

McGill wybrał najbystrzejszych i wysłał ich na poszukiwania.

Wkrótce też ukazali się kolejni ocalali. Pół godziny póniej zaczął

wierzyć, że mają jednak szansę. Jednemu z mężczyzn podał notes i długopis i zlecił mu zapisywanie nazwisk tych, których odnaleziono.

- Pytaj zawsze, kto stał w pobliżu, zanim pobiegli się ukryć.

Musimy ustalić, kogo brakuje.

Ballardowi wyznaczył inne zadanie. *

- We trzech ludzi i id do domu Turiego Bucka. Zorientuj się, jak wygląda. - Innych wysłał do Matta Houghtona, a sam ruszył do miasta. Jego ostatnie polecenie brzmiało: - Jeli kto znajdzie doktora Scotta, niech mu powie, żeby natychmiast zameldował się u mnie.

Tak się złożyło, że doktor Scott również zdążył do miasta. Musiał przebyć rzekę i choć most został zerwany, było to możliwe. Koryto wypełnił puszysty nieg. Grzęznięc w nim po kolana, można było tamtędy przejść.

Scott przekroczył rzekę koło skarpy, na której kiedy znajdował się supermarket. Wciż nie potrafił objść ogromu katastrofy. Nie wydawało mu się realne, ani możliwe, by supermarket mógł tak po prostu zniknąć.

Z trudem przedzierał się przez blokujący drogę nieg, niosąc ostrożnie torbę, której zawartość była tak cenna. W oddali zobaczył ciemny kształt, odcinający się od otaczającej bieli. Gdy podszedł bliżej, okazało się, że jest to, zagrzebany po pas, człowiek. Obok niego leżał przewrócony dzbanek do kawy.

Scott pochylił się, odwrócił głowę mężczyzny i rozpoznał pastora Davisa. Żył, ale jego puls był słaby i nierówny. Scott rozgarnął go. Nie był zbity i kopanie okazało się stosunkowo łatwe. W ciągu dziesięciu minut Davis leżał już na powierzchni.

W chwili, gdy Scott sięgał do torby usłyszał jakie głosy, wstał więc i dostrzegł grupę ludzi, ostrożnie chodzących po niegu tam, gdzie niegdy było miasto. Krzyknął, pomachał ręką i podeszli do niego. Prowadził ich Kanadyjczyk - McGill.

- Cieszę się, że pan ocalał, doktorze - zawołał. - Potrzebujemy pana. Jak on się czuje?

- Żyje - odparł Scott. - Trzeba go przenieść w jakie ciepłe miejsce. Dobrze mu zrobi gorąca zupa.

- Dostanie ją, jeśli dom Turiego Bucka wytrzymał. Kociół wciśnięty stoi, więc założymy w nim bazę. Lepiej go tam zabrać. - McGill spojrzał na Davisa i zauważył koloratkę. - Wydaje się to nawet stosowne. Jeśli chodzi o ciepło, zapewnimy je, choćbyśmy mieli spalić wszystkie ławki.

Scott rozejrzał się dookoła.

- Co za piekielny rozgardiasz.

McGill zwrócił się do MacAllistera, pracownika elektrowni:

- Mac, we kilku ludzi i id do Szczeliny. Gdyby kto przeszedł przez nią, przekaż, że bardzo potrzebujemy pomocy. Ale pro o fachowców, o ludzi, którzy wiedzą co o ratownictwie w tych warunkach. Nie chcemy szwendających się bezcelowo amatorów.

MacAllister kiwnął głowę i zawrócił. McGill zawołał za nim:

- I, Mac, jeśli w Nowej Zelandii są tresowane psy nieżne, to też niech je tu przylś.

- Dobra - odchrząknął MacAllister i wybrał kilku mężczyzn.

Inni dwignęli Davisa i udali się za McGillem do kocioła.

Turi Buck zostawił McLeana, kiedy mechanik znajdował się jeszcze w szoku. Udał się w kierunku, z którego dobiegały krzyki, zabierając ze sobą, znaleziony w kuchni, słoik cukierków. Dużo czasu zajęło mu uspokojenie przerażonych dzieci, ale po chwili pomogła mu w tym Ruihi.

Cukierki są dobre - oznajmiła - ale gorńce, słodkie kakao byłoby jeszcze lepsze. - Poszła do kuchni, gdzie musiała na nowo rozpałić ogień, ugaszony przez podmuch. Gdy wreszcie jej się to udało, kuchnię wypełnił dym, nieg zapchał bowiem przewód kominowy.

Panna Frobisher okazała się zupełnie nieużyteczna. Zwinęła się w embrionalny kłębek, łkając od czasu do czasu. Turi nie zwracał na nią uwagi i skoncentrował się całkowicie na dzieciach,

McLean spojrział na trzymany w dłoni klucz i zmarszczył brwi.

Jego umysł zaczynał znowu funkcjonować. Dlaczego trzymam ten klucz? - zapytał siebie, by po chwili odpowiedzieć z trudem: -

Generator!

Sztywno ruszył w stronę drzwi i otworzył je. Do pokoju wpadł lekki powiew, wzniesając chmurę, zalegającą podłogę, nieżnego

pyłu. Wyszedł na dwór, popatrzył w stronę skały Kamakamaru i zamrugał niedowierzająco oczami. Generator stał tam, gdzie go postawił, chociaż wcale nie był przyrubowany. Dzięki bogu! - pomyślał. Co było dobre dla królików, okazało się dobre i dla generatora.

Ale zniknęła przenona sprężarka powietrza, której używał do napędzania widra, a pamiętał przecież, że ją zostawił na skale, tam, gdzie pierwotnie zamierzał ustawić generator.

Poszedł przed siebie, mijając drzewo, cięte na wysokości trzech metrów. Zatrzymał się nagle, wydając zduszony okrzyk zdziwienia.

Zobaczył wider. Przewód, który łączył go ze sprężarką urwał się i kołysał się na wietrze. Sam wider tkwił głęboko wbity w pień drzewa, jak gdyby kto rzucił gigantyczną strzałką do tarczy.

Kiedy Ballard ze swoją ekipą przybył do domu Turiego Bucka, odczuł wdzięczność słysząc głosy, a nawet śmiech. Dzieci posiadają wielką siłę, więc kiedy minął szok, stały się podniecone, może nawet nadmiernie. Ballard wszedł do domu. Turi siedział w dużym fotelu, otoczony gromadką dzieci i wyglądał jak biblijny patriarcha.

- Dzięki Bogu! Nic wam się nie stało, Turi?

- Wszystko w porządku - Turi wskazał głową drugi pokój,

w którym Ruihi pomagała pannie Frobisher i podawała jej herbatę.

- Tylko ona jeszcze nie doszła do siebie.

Za domu dobiegł jęśliwy odgłos, przechodzący w jednostajny

warkot. Ballard spytał z niepokojem:

- Co to takiego?

- Ssdzę, że Jock McLean wypróbowuje generator. - Turi podniósł się. - Napijesz się herbaty? - zaproponował uprzejmie, jak gdyby to zwykli goście odwiedzili jego dom.

Ballard kiwnął w milczeniu głową. Turi wysłał do kuchni jedno ze starszych dzieci, polecając mu przynieść herbatę i kanapki.

- Co się stało z miastem? - zainteresował się.

- Turi, miasta już nie ma.

- Zniszczone?

- Nie widziałem niczego, poza kociołem.

- A ludzie?

Ballard wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Teraz jest tam Mikę.

- Jak się posilicie, pójdę mu pomóc szukać - zdecydował Turi.

Niebawem pojawiła się herbata i kanapki, i Ballard rzucił się na nie tak łapczywie, jakby od tygodnia niczego nie jadł. Równie chętnie sięgnął po herbatę, tym bardziej, że Turi hojnie dolał do niej brandy.

Kiedy skończył, leniwie uniósł słuchawkę telefonu. Nie usłyszał jednak żadnego sygnału, telefon milczał. Odłożył słuchawkę na widełki, mówiąc:

Będzie nam potrzebna łączność. Turi, mieli ci tu dostarczyć trochę żywności.

- Dostarczyli. Mamy tego mnóstwo.

- Częć zabierzemy z powrotem do miasta. Będzie nam niezbyt

wygodnie, ale jako musimy sobie poradzić.

- W garażu jest samochód - powiedziała Ruihi.

Ballard wyprostował się.

- Macie samochód?

- Kiepski - uprzedził Turi. - Ale jedzie.

Ballard przypomniał sobie o sypkim niegu, który pokrył Hukahoronui i doszedł do wniosku, że samochód nie jest najlepszym pomysłem, wyszedł jednak, by mu się przyjrzeć. Okazało się, że to stary australijski Holden kombi i Ballard zignorował go bez wahania, zobaczywszy obok traktor Massey-Ferguson, który teraz był dla niego na wagę złota. Kwadrans póniej, załadowany konserwami traktor zdšżał do miasta, cišgnšc sklecone na poczekaniu sanie.

Kiedy Ballard dotarł do kocioła, zastał w nim więcej ludzi, niż się spodziewał. Obok ołtarza, za prowizorycznym biurkiem, siedział McGill, niczym symbol rozbudowujšcej się organizacji. Miejsce w rogu zajął Scott, wspomagany przez trzy kobiety. Większoć pacjentów miała złamane koci i dwóch mężczyzn ršbało ławki, przygotowujšc łubki. Ballard dostrzegł Erica Petersona, czekajšcego na opatrunek, podszedł więc do niego.

- Czy z Liz wszystko w porzšdku?

Eric odwrócił bladš, umęczonš twarz.

- Nie wiem. Mylę, że kiedy spadła lawina, była razem z tš

amerykańskš dziewczynš w sklepie Rawsona. - W jego oczach

widniał smutek. - Sklep zniknął, w ogóle go już nie ma - oznajmił histerycznie.

- Niech ci opatrzę ramię - powiedział Ballard. - Zaraz to sprawdzę.

Podszedł do McGilla.

- U Turiego nic się nie stało. Wszyscy cali i zdrowi. Maję generator na chodzie. Przywiozłem traktorem ładunek żywności. Z opiekuj się tym.

McGill westchnął przeciągłe.

- Dzięki Bogu, że dzieci są bezpieczne. Dobra robota, Ian. Ten traktor też nam się przyda. Dokąd idziesz? - spytał odchodzącego Ballarda.

- Poszukać Liz i Stacey. Były w aptece.

- Ani mi się waż - uciś McGill. - Nikt nie ma prawa działać na własną rękę.

- Ale...

- Żadne ale. Jeli zaczniesz tam łazić, zniszczysz trop dla psa, a pies, w tym przypadku, jest lepszy niż setka ludzi. Dlatego właśnie trzymam wszystkich w kociole, przynajmniej na razie. Jeżeli wiesz, gdzie znajdowali się jacy ludzie w chwili uderzenia, przekaż te informacje Arthurowi Pye. Jest naszym Biurem Osób Zaginionych.

Ballard zamierzał co ostro odpowiedzieć, ale kto przepchnął się koło niego. Rozpoznał Dickinsona, pracownika kopalni. Dickinson

wyrzucił z siebie gwałtownie:

- Włanie wracam z domu Houghtona. Wygląda tam jak w jacie. Może jednak kilka osób jeszcze żyje. Wydaje mi się, że powinien tam pójść doktor Scott.

McGill zawołał:

- Doktorze, mógłby pan podejść?

Scott skończył zawiązywać prowizoryczny opatrunek i bez zwłoki zbliżył się. McGill polecił Dickinsonowi:

- Mów dalej.

- Dom wygląda, jakby go rozsadziło. Znalazłem Jacka Baxtera i Matta Houghtona poza domem. Jack jest żwawy jak wierszczyk ma jedynie złamaną nogę. Co dziwnego stało się natomiast z Mattem. Ledwie może mówić i ma sparalizowaną jedną stronę.

- To mógł być wylew - zaopiniował Scott.

- Wsadziłem ich obu do samochodu i zwiozłem w dół tak daleko, jak mogłem. Nie odważyłem się przejechać rzeki po tym grzaskim niegu, więc zostawiłem ich na drugim brzegu.

- A dom?

- Strasznie tam jest. Nie zatrzymywałem się, by policzyć ciała, ale były ich chyba setki. Niektórzy jeszcze żyją, tego jestem pewny.

- Jakie odnieśli obrażenia? - spytał Scott. - Muszę wiedzieć co zabrać.

McGill skrzywił się.

- I tak nie ma pan tego zbyt wiele. Lepiej wszystko zabrać.

- Turi przyniósł swoją apteczkę z domu - powiedział Ballard.

- Na pewno się przyda - rzekł Scott.

Nie zwrócili wcześniej uwagi na odległą wibrację powietrza, lecz teraz buchnęła na nich z rykiem. Ballard gwałtownie odwrócił się i schylił głowę, myśląc, że schodzi kolejna lawina, ale McGill spoj-
rzał w górę i uspokoił go.

- Samolot i to cholernie duży!

Wstał i podbiegł do drzwi kocioła, a za nim ruszyli inni.

Samolot odleciał w dół doliny, a teraz przechylił się na skrzydło, żeby zawrócić. Kiedy zbliżył się, wszyscy zobaczyli, że to duży transportowiec, oznaczony symbolami Marynarki Stanów Zjed-
noczonych.

Ze wszystkich stron słychać było okrzyki radości, a na twarzy

McGilla ukazał się szczęśliwy uśmiech. .

- Hercules marynarki z Harewood - powiedział. - Marines
przybyli w samą porę.

Hercules zakręcił i wyrównał na niższej wysokości, zgodnie
z biegiem doliny. Z jego ogona oderwały się czarne punkciki i po
chwili otwarte spadochrony rozkwitły jak różnokolorowe kwiaty.

McGill liczył:

- ... siedem... osiem... dziewięć... dziesięć. To są właśnie ci fa-
chowcy, których potrzebujemy.

Przesłuchanie

dzień ósmy

John Reed, sekretarz komisji, wyczekująco trzymał pióro w powietrzu.

- Jak brzmi pańskie pełne nazwisko?

- Jesse Willard Rusch. - Wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, ze zdecydowanie niemodną, krótko przyciętą czupryną, miał wyrany, amerykański akcent.

- Czym się pan zajmuje zawodowo, panie Rusch?

- Jestem komandorem-porucznikiem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Obecnie pełnię funkcję oficera zaopatrzeniowego w Szóstym Badawczym Dywizjonie Antarktydy. Jest to organizacja, która dokonuje wszystkich lotów na Antarktydę w ramach operacji Deep Freeze.

- Dziękuję - powiedział Reed.

Harrison z zainteresowaniem przyjrzał się Amerykaninowi.

- O ile dobrze zrozumiałem, był pan pierwszym, przeszkolonym w ratownictwie nieżnym człowiekiem, który przybył do Hukahoronui po lawinie.

- Zdaję sobie z tego sprawę, sir. Ale było nas pięciu. To przypadek, że jako pierwszy dotknęłam stopami ziemi.

- Ale to pan nimi dowodził?

- Tak, sir.

- Czy może nam pan wyjanić okolicznoci, które tam pana zaprowadziły?

- Tak, sir. O ile wiem, ludzie z waszej Obrony Cywilnej zwrócili się z prośbą do komandora Lindseya, oficera dowodzącego naszą bazą tu, w Christchurch. Ponieważ problem dotyczył ratownictwa niebezpiecznego, a ja jestem oficerem zaopatrzeniowym dla VXE-6, właśnie zważyłem na głowę tę robotę.

Harrison popatrzył na sufit i przyszło mu na myśl, że Amerykanie są jednak dziwnymi ludźmi.

- Niezupełnie rozumiem zwłózek - przyznał. - Co ma wspólnego ratownictwo niebezpieczne z funkcją oficera zaopatrzeniowego? Wydaje mi się, że taki oficer jest kimś w rodzaju kwatermistrza.

- W pewnym sensie - zgodził się Rusch, - Zaraz to wyjańię.

Otóż na Antarktydzie jest zawsze dużo do zrobienia, zazwyczaj też jest tam więcej posad niż ludzi, staje się więc normalne, że niektórzy pełnią po dwie funkcje. Stało się tradycją, bardzo cenioną tradycją, że oficer zaopatrzeniowy VXE-6 obsługuje także ratownictwo i automatycznie dowodzi każdą akcją ratunkową w terenie, szczególnie, gdy wiąże się ona z transportem lotniczym.

- Rozumiem. To wyjańia sprawę.

- Powinienem dodać, że wszyscy jesteśmy przeszkolonymi spadochroniarzami. Trenujemy w Lakehurst, w New Jersey, a w zakresie ratownictwa terenowego odbywamy ćwiczenia w okolicach Mount Erebus na Antarktydzie. Nasze treningi prowadzi dowódcy instruktorzy, ciściąnięci z nowozelandzkiego klubu wysokogórskiego. - Rusch zamilkł na chwilę. - Kiedy więc Nowozeland-

czycy mają do nas jakiś problem, spełniamy je bez namysłu.

- Wyraził się pan bardzo jasno.

- Dziękuję, sir. W czasie, gdy zlecono nam tę robotę, to znaczy w połowie zimy, personel naszej bazy był niekompletny. Loty na Antarktydę o tej porze roku nie zdarzają się często i jeśli w ogóle się odbywają, to jedynie w nagłych przypadkach lub w celu prowadzenia dowiadczeń. Zazwyczaj w akcjach ratowniczych wykorzystujemy dwunastu ludzi, samych ochotników, co warto zauważyć. Ale wtedy oprócz mnie do dyspozycji pozostało tylko czterech.

Harrison zanotował co.

- Czy kiedy zabrakło wam ochotników?

Rusch pokręcił głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Interesujące. Proszę kontynuować.

- Zostaliśmy, razem z załogą, poinformowani, że nasz samolot, który jest zawsze odpowiednio wyposażony, przygotowano do natychmiastowego startu. Normalna procedura wygląda w ten sposób, że czteroosobowa drużyna skacze z jednymi zapakowanymi saniami. Jednak, mając na uwadze to, co powiedziano nam na odprawie i warunki, w jakich mogliśmy się znaleźć na miejscu przeznaczenia, załadowałem dodatkowe sanie. Skoczyliśmy w pięciu, z pięcioma saniami i wylądowaliśmy w Hukahoronui o 12.56.

Z tego, co mi wiadomo, było to pięćdziesiąt pięć minut po katastrofie. - Rusch umięknął się. - Proszę sobie wyobrazić moje zdumie-

nie, gdy pierwszym człowiekiem, który mnie pozdrowił, okazał się znajomy z Antarktydy, doktor McGill.

Rusch zdusił swój spadochron i wcisnął przycisk zwalniający.

Zdjął maskę ochronną i sprawdził, jak ludzie koledzy, a następnie odwrócił się w stronę grupy ludzi, którzy, potykając się, spieszyli w jego kierunku. Podparłszy się pod boki, z niedowierzaniem wpatrywał się w człowieka idącego na ich czele.

- A niech mnie drzwi cisną! - zawołał i zrobił krok do przodu. - Doktor McGill, jak sądzę.

- Dzień dobry, poruczniku. - McGill przetarł zmęczone oczy. -

A może to już popołudnie?

- Zgadza się, popołudnie, ale nie wydaje mi się zbyt dobre.

Gdzie miasto?

- Tutaj.

Rusch rozejrzał się dokoła i cicho gwizdnął.

- Wziłeś sobie niezły pasztet na głowę, Mikę. Dowodzisz tu?

- Raczej tak.

- Nie! - Ballard podszedł, ciskając zdrowe ramię Erica Petersona. - To pan Eric Peterson, radny miejski, jedyny osiągalny. On reprezentuje władze cywilne.

Rusch posłał McGillowi pytające spojrzenie i nieco zakłopotany potrząsnął dłońmi Petersona.

- Moglimy się spotkać w lepszych okolicznościach, panie Peterson.

Eric wydawał się zaskoczony.

- Ja! - popatrzył niepewnie na Ballarda. - A co z Mattem Houghtonem?

- Podobno miał wylew.

Twarz Petersona skurczyła się.

- No więc - zaczął niewyranie i wskazał na swe prawe ramię. - Ze złamanym skrzydłem nie mogę zbyt szybko latać. Musisz mi pomóc Ian. Ty i McGill.

- Dobra - Ballard zwrócił się do Ruscha. - Potrzebujemy lekarstw i opatrunków.

- Wszystko mamy. Hej, szefie, daj tu szybko sanie medyczne.

Ballard zadysponował:

- Niech pan się tym zajmie, doktorze Scott i poczyni wszelkie niezbędne przygotowania. A co z łączności, poruczniku...?

- Rusch. Komandor-porucznik Rusch. Mamy pięć walkie-talkie, możemy więc stworzyć sieć. Na jednych z sań znajduje się większy nadajnik do komunikowania się na większe odległości. Powinnimy złapać Chi-chi... to znaczy Christchurch.

- Lepiej przeniemy go do kocioła - zdecydował Ballard. - To nasza kwatera główna. Jak najszybciej chciałbym pomówić z kim z Obrony Cywilnej - zamilkł na chwilę. - A tak przy okazji, to nazywam się Ian Ballard. Bierzmy się do roboty.

W drodze do kocioła McGill zrównał się z Ballardem.

- Czym was tam Turi nakarmił? Surowym mięsem?

- Kto musi się przecież zająć administracją, a ciebie szkoda do tej roboty. Znasz się na ratownictwie, więc się tym zajmuj. Ale zanim odejdziesz, zrób mi jeszcze listę tego, co ci jest potrzebne, żebym mógł z tym z Christchurch rozmawiać o konkretach.

- Zgoda. - Przeszli parę kroków. - Co ci wpadło do głowy, żeby tak wpychać Petersona? Przyda nam się jak pište koło.

- Strategia. I tak abdykował, nie słyszałe? Wiedziałem, że tak zrobi, Zrozum, Mikę, znam się na administracji i marnowałbym się, robiąc co innego. Ty jeste specem od niego i najbardziej przydasz się w tych sprawach. No, trzeba było ustalić jaki porzšdek.

- Ma to sens - McGill umiechnšł się. - I wszystko legalnie.

Obaj awansowalimy na radnych miejskich.

Weszli do kocioła. Rusch zatrzymał się tuż za progiem, oszołomiony widokiem.

- Gorzej niż wojna.

Na ławkach kłębił się tłum ludzi o pobladłych twarzach i zmatowiałych oczach. Siedzieli lub leżeli bezwładnie, nieruchomi i nie-
mi, z przerażeniem rozpamiętując moment nadchodzącej mierci.

Tylko kilka osób chodziło, a spośród nich jedynie szeć próbowało pomagać innym.

- Nie spodziewaj się po nich zbyt wielkiej pomocy - ostrzegł McGill. - Wcišż sš zszokowani.

- Koce - przypomniał sobie Ballard. - Potrzebujemy koców.

Chod do biura. - Zaprowadził go do biurka, które ustawił McGill

i usiadł. - Dobra, Mikę. Czego jeszcze potrzebujemy?

- Przeszkolonych ratowników i to w dużej ilości. Mogł przylecieć tu helikopterem, albo lekkimi samolotami, wyposażonymi w płozy. A wracając, mogliby zabrać tych ludzi.

- Mamy parę helikopterów w Harewood - wtrcił Rusch. - Rozmontowaliśmy je do zimowej konserwacji, ale cztery są wciąż sprawne.

- Potrzebujemy też psów ratowniczych.

- Z tym będzie trudniej - odparł Rusch. - Chyba nie ma ich jeszcze w tym kraju. Zresztą może nie mam racji. Spróbujcie zapytać w Mount Cook i Coronet Peak.

Ballard kiwnął głową. Były to popularne tereny narciarskie i wspinaczkowe. Tam też powinni mieć przeszkolonych ludzi.

- Wasz lekarz udał się do tego domu po drugiej stronie doliny - rzekł Rusch. - Jeden z moich ludzi poszedł z nim. Zostawię tu jeszcze jednego do obsługi radiostacji, a później może pomóc przy rannych. Niezupełnie jesteśmy medykami, ale potrafimy nastawiać koci. Reszta rozejrzy się w ogólnej sytuacji i ustali jakiś plan działania.

Ballard zawołał:

- Arthur, pozwól tu na moment.

Arthur Pye, który właśnie bez większych rezultatów wypytywał jednego z ocalałych, podniósł się i skierował do biurka. Jego twarz była zmizerowana, ruchy sztywne, ale wciąż miał w sobie tę iskrę

energii i zrozumienia, której brakowało większości pozostałych.

- Co ustaliło, Arthur? - spytał Ballard. - Ilu jest zaginionych?

- Boże, nie wiem. - Pye przetarł czoło duższ dłoniš. - Skšd kto mógłby wiedzieć?

- Spróbuj zgadnić. Muszę przekazać co konkretnego do Christchurch.

- Cholernie ciężko wycišgnć od ludzi jakie informacje. - Pye zawahał się. - No, dobra. Powiedzmy trzysta pięćdziesišt.

Rusch zeszywniał.

- Aż tyle?

Pye machnšł rękš.

- Widzielicie miasto, a właciwie to, co z niego zostało. Ludzie wcišz tu napływajš pojedynczo albo parami. Sšdzę, że końcowa liczba okaże się znacznie niższa.

- Ci, którzy przychodzš teraz, to szczęciarze - westchnšł

McGill. - Będš jeszcze inni, zagrzebani w niegu.

- Chod, Mike - powiedział Rusch. Zaczniemy szukać. Nasz radiotelegrafista przygotowuje nadajnik, panie Ballard. Jeli będzie chciał się pan ze mnš skontaktować, proszę użyć walkie-talkie.

Rusch i McGill opucili kociól, a Ballard zwrócił się do Pye'a:

- Jeste pewien tej liczby?

Jeden z Amerykanów przeszedł wzdłuż głównej nawy, rozwija-jšc przewód z bębna. Zatrzymał się przed biurkiem i zameldował:

- Podoficer dowodzšcy Laird, sir. Ustawiłem radio na zewnštrz,

lepiej tam ze względu na anteny. Ale mam jeszcze przenośny mikrotelefon, z którego może pan tutaj korzystać. Jest dwukrotny, można go używać jak zwykłego telefonu. - Postawił aparat na biurku i podłączył go.

Ballard spojrzął na mikrotelefon.

- Z kim będę mówił?

- Centrum komunikacyjne, operacja Deep Freeze. Właśnie z nimi rozmawiałem.

Ballard odetchnął głęboko i wyciągnął rękę.

- Halo, mówi Ballard z Hukahoronui. Czy możecie mnie połączyć ze sztabem Obrony Cywilnej? To w budynku Reserve Bank, ulica Hareford...

Przerwał mu spokojny głos.

- To niepotrzebne, panie Ballard. Już sę na linii.

XXVI

Rusch, McGill i dwóch amerykańskich wojskowych szli po skrzypiścym niegu przez pustkowia, które było niedawno miastem. McGill cięgnął rękawicę i pochylił się, by zbadać teksturę niegu.

- Twardnieje - stwierdził, prostując się. - Tuż przed zejściem lawiny ćwiczyłem z paroma facetami. Powiedziałem, że nie przydadzą się do niczego i miałem rację. Wiesz, co mnie w tej chwili martwi?

- Co? - spytał Rusch.

- Jeli Ballard zrobi swoje, to przyleci tu sporo ludzi, może kilkuset. - McGill wskazał zachodni stok. - Obawiam się, że ona znowu spadnie. To by dopiero powiększyło rozmiary katastrofy.

- Czy to prawdopodobne?

- Na górze wciśz zalega mnóstwo niegu i myślę, że obsunęła się tylko połowa, zlizgując się po powierzchni szronu. Chciałbym rzucić na to okiem.

Człowiek idący za Ruschem dotknął jego ramienia.

- Sir.

- O co chodzi, Cotton?

- Proszę spojrzeć na tego psa, sir. Węszy za czym w niegu

Popatrzyli w miejsce, które wskazał Cotton i zobaczyli skomlącego alzackczyka, rozgrzebującego nieg.

- Może nie jest tresowany - powiedział McGill - ale to jedyny, jakim dysponujemy.

Kiedy podeszli bliżej, pies podniósł na nich wzrok i zachęcająco machnął ogonem, a następnie poskrobał nieg przednią łapą.

- Dobry pies - pochwalił go Rusch. - Cotton, bierz się za łopatę.

Cotton znalazł ciało na głębokoci jednego metra. Rusch sprawdził puls.

- Już nie żyje. Wyciśnijmy go.

Wydobyli ciało ze niegu, a Rusch aż westchnął.

- Co, na Boga, stało się z jego twarzą? Znasz go Mike?

- Własna żona by go nie poznała - ponuro odparł poblady

McGill.

Uszczęliwiony pies zamerdał ogonem i odbiegł dalej, po chwili znów się zatrzymał, drapiąc i węsząc.

- Cotton, obserwuj tego psa - polecił Rusch. - Harris, zbierz kilku krzepkich facetów i kopcie tam, gdzie wskaże ten owczarek.

McGill rozpoznał znajomy odgłos nart sunących po niegu i odwróciwszy się, zobaczył zbliżających się mężczyzn. Zatrzymali się, a ten, który prowadził, uniósł gogle.

- W czym mogę pomóc? - spytał Charlie Peterson.

McGill spojrział na stopy Charliego.

- Na początek pożycz mi swoich nart. Muszę się dostać na tę górę.

Zza Charliego wysunął się Miller i z niedowierzaniem popatrzył na ciało.

- Chryste! Co mu się stało? - Ledwie to powiedział, chwyciły go torsje.

Trup zdawał się niewiele obchodzić Charliego.

- To Rawson - stwierdził beznamiętnie. - Ale go urzędziło.

- Jak go rozpoznałeś? - spytał Rusch. - Przecież ten facet nie ma twarzy.

- Stracił kiedyś kawałek małego palca u lewej ręki - wyjanił

Charlie i spojrział na McGilla. - We narty od Millera. Pojadę z tobą.

- Charlie, ten stok nie jest najbezpieczniejszym miejscem na wiecie.

Peterson umiechnął się krzywo.

- Można zginąć przechodząc przez jezdnię. Już ci to kiedy mówiłem, prawda?

McGill spojrzał Charliemu prosto w oczy i zdecydował:

- No, dobrze. Pomóż mi je zdjąć. On nie jest teraz w stanie zrobić tego sam.

Pięć minut później Rusch patrzył w lad za nimi. Przeniósł wzrok na zbocze i nachmurzył się. Taka wycieczka nie sprawiłaby mu przyjemności.

- Sir! - zawołał nagłym głosem Cotton. - Mamy jakąś kobietę. Żyje.

Rusch podszedł szybko.

- Ostrożnie z tą łopatą, Harris. Cotton, przyciśnij tu puste sianie.

Bezwładne ciało Liz Peterson zostało przeniesione na sanki i otulone kocem. Rusch spojrzał na nią.

- liczna dziewczyna - zauważył. - Odwiecie ją do kocioła.

No, chłopcy, wreszcie zaczęliśmy na siebie zarabiać.

Zeznaniom, składanym w Izbie Rejonowej Canterbury przez komandora-porucznika Ruscha, towarzyszyła skupiona cisza. Niespokojne szepty rozległy się jedynie w chwili, gdy opisywał okoliczności odnalezienia ciała Rawsona.

- W ciągu pierwszej godziny, sir, pies bardzo nam pomógł. Dzięki niemu odnaleliśmy trzy ofiary, z których dwie jeszcze żyły.

Póniej jednak stracił zainteresowanie. Chyba się zmęczył, nieg był przecież bardzo głęboki i twardy, może zresztś węch zaczął go zawodzić. Ostatecznie, pies nie był specjalnie tresowany.

- Czy dowiedział się pan, do kogo należał? - zaciekawił się Harrison.

- Nazywał się Victor i należał do rodziny Scanlonów, z której nikt nie ocalał.

- Mam nadzieję, że Victor znalazł nowego pana.

- Tak, sir. Opiekuje się nim panna Peterson.

Harrison spojrział w stronę stolika Petersonów. Umiechnął się do Liz Peterson i skinął jej głowś.

- Bardzo to stosowne - stwierdził i zerknął na zegarek. - Kolejne zeznania mająś dotyczyć działań władz Obrony Cywilnej. Zrobiło się już jednak póne popołudnie, odraczam więc przesłuchanie do godziny dziesištej rano. Zwrócił się do Ruscha: - Dziękuję, komandorze-poruczniku. Pozostaje mi tylko podziękować panu i pańskim kolegom za dobrze wykonanś pracę.

Policzki Ruscha pokryły się rumieńcem.

XXVII

- Gdy słuchałem tych zeznań, znów przechodziły mnie ciarki - powiedział McGill. - Wówczas byłem zbyt zajęty, by o tym myleć, ale gdy masz to wszystko wyłożone, dopiero cię trafia.

- Straszne przeżycie - przyznał Stenning.

Stali przy kontuarze recepcji, czekajśc aż recepcjonistka skończy

rozmowę telefoniczną.

- Gdzie jest Ian? - spytał Stenning.

- Wybrał się gdzieś z Liz - umiechnął się McGill. - Czy znalazł pan odpowiedź na pytanie, które zadałem? Co się stanie, jeśli Ian już polubi?

Stenning pokręcił głową.

- To wymaga głębszego namysłu.

Recepcjonistka odłożyła wreszcie słuchawkę i zdjęła klucze z tablicy.

- Pan Stenning. Doktor McGill. Mam dla pana list, doktorze.

- Dziękuję - McGill lekko podrzucił list. Napije się pan ze mną drinka?

- Raczej nie - odparł Stenning. - Chyba utnę sobie krótką drzemkę.

Stenning udał się do swego pokoju, a McGill do baru. Zamówił drinka i rozerwał kopertę. Kiedy wyciągnął kartki, wypadł pomiędzy nimi czek i sfrunął na ladę baru. McGill podniósł go i otworzył szeroko oczy, gdy zobaczył sumę, na jaką został wystawiony. Odłożył czek i nachmurzył się, przeczytawszy pierwszą stronę listu.

Przewrócił kartkę i pogrzążył się w lekturze, zapominając o stojącym obok alkoholu. Doszedł do ostatniej strony, po czym odwrócił kartki i zaczął czytać od nowa. Gdy skończył, długo siedział na barowym stołku, w zamyśleniu spoglądając przed siebie, aż zwróciło to uwagę barmana, który przypadkiem znalazł się przed jego niewidzący-

mi oczami.

- Czy co nie w porzřdku z drinkiem, sir?

- Co? - obudził się McGill. - Nie, proszę o jeszcze jednego, najlepiej niech będzie podwójny. - Podniósł szklanę i jednym haustem wypił czystš szkockš.

Kiedy pokazał się Ballard, McGill cišgnšł go do baru. Kiwnšł palcem na barmana.

- Jeszcze dwie podwójne. więtuujemy, Ian.

- Co mamy więtować?

- Zgadnij, co mam w kieszeni?

- Skšd mógłbym wiedzieć? - Ballard przyjrzał się uważnie przyjacielowi. - Mike, upiłe się? Wyglšdasz, jak urznięta sowa.

- W kieszeni - poważnie oznajmił McGill - w kieszeni mam walec parowy. Przyleciał pocztš lotniczš z Los Angeles. - Wycišgnšł list z kieszeni na piersi i pomachał nim przed nosem Ballarda. - Przeczytaj to, przyjacielu. Przeczytaj i załkaj. Jako nie mam ochoty cieszyć się, chociaż jest w tym twoje ocalenie.

- Ty naprawdę jeste pijany. Ballard wzišł kopertę i otworzył jš. Zobaczył czek. - Cóż to, do diabła? Przekupstwo?

- Czytaj - ponaglił McGill.

Ballard zaczął czytać pierwszš stronę, po czym, marszczšc brwi, szybko zerknšł na dół ostatniej. List podpisany był przez Amerykankę - Millera. Jego treć była przerażajšca.

Drogi Doktorze McGill,

Od dawna nosiłem się z zamiarem napisania tego listu, ale odwlekałem to, gdyż, jak sądzę, brakowało mi odwagi. To, co się wydarzyło, ciężało na moim sumieniu od dawna, kiedy ta lawina stała się powodem tylu śmierci, w tym mojego dobrego przyjaciela, Ralpa Newmana. Znajomy przysłał mi wycinki z gazet, dotyczące dochodzenia w sprawie katastrofy w Hukahoronui. Czytając je, przeżyłem na nowo tamten koszmar i zrozumiałem, że muszę o wszystkim powiedzieć głośno. Powiadczam list notarialnie, by mógł zostać użyty jako dowód, jeśli uzna pan to za niezbędne, ale - jednocześnie - wysyłając go na pański adres, ufam, że może dać się tego uniknąć. Decyzję pozostawiam panu.

Wczesnym rankiem, tamtej tragicznej niedzieli, wybrałem się na narty z Charlim Petersonem. W dolinie zalegała mgła, ale Charlie przypuszczał, że na wyższych stokach powinno widać słońce. Byłem trochę zdenerwowany, gdyż w hotelu słyszałem rozmowę na temat lawin, lecz Charlie wymiał mnie i powiedział, że kto mnie nabrał. Weszliśmy na zbocze w górze doliny, i trochę pojeźdzaliśmy, ale stoki nie były tam zbyt dobre i mój kompan zasugerował, bymy przenieśli się bliżej Hukahoronui. Tak też zrobiliśmy.

W końcu przybyliśmy na szczyt zachodniego stoku nad

miastem i zobaczyliśmy znak, zabraniający jazdy na nartach. Chciałem zawrócić i pójść inną drogą, ale Charlie zapewnił, że ten teren należy do Petersonów i nikt nie zabroni mu robić tego co chce na własnej ziemi. Twierdził, że cała gadanina o lawinie jest kompletną bzdurą, bo w Hukahoronui żadna lawina dotąd nie spadła. miał się, że znak ustawili pewnie skauci, bo to właśnie zagrywka na ich poziomie.

Tam, na górze, doszło między nami do poważnej sprzeczki. Uważałem, że kto musiał zlecić skautom ustawienie znaku i wydawało mi się, że takie polecenie wyszło od pana. Powiedziałem, że może ma pan rację, mówiąc o zagrożeniu lawinowym. Charlie miał się ze mnie i muszę przyznać, że było w nim coś niesamowitego. Mówił, że taka lawina mogłaby mu się nawet przydać, bo nic, co załatwi pana Ballarda, nie może być złe.

Przez dłuższy czas wygadywał na Ballarda różne bzdury. Oskarżał go o zabicie swego brata i okradzenie ojca z praw do kopalni. Powiedział, że czas, by kto go powstrzymał, zanim ukradnie całe Hukahoronui. Bredził tak może z pięć minut, aż wreszcie orzekł, że Ballard nie miałby z kopalni wielkiego pożytku, gdyby została zniszczona.

Odparłem, że opowiada idiotyzmy i zapytałem, w jaki sposób mógłby spowodować zniszczenie całej kopalni złota. Nagle zawołał "Pokażę ci!" i ruszył w dół zbocza. Nie jechał zbyt szybko, ale mocno naskakiwał raz na jedną, raz na drugą nartę. Pojechałem za nim, chcąc go zatrzymać, lecz nagle usłyszałem dziwny odgłos, niczym skwierczenie frytki i okrzyk Charliego. Zatrzymałem się i zobaczyłem, jak uskakuje on na bok, w górę stoku.

Początkowo sądziłem, że nic się nie stało, ale zaraz zobaczyłem, jak nieg pęka tam/ gdzie przed chwilą znajdował się Charlie. Mnóstwo pęknięć posuwało się zygżakiem bardzo szybko, a w powietrze wyleciał kawał niegu. Wtedy też nieg zaczął się obsuwać. Byliśmy z Charliem bezpieczni, gdyż znajdowaliśmy się wyżej. Po prostu staliśmy, obserwując to, co się działo i proszę mi wierzyć, że nigdy nie widziałem równie straszego widoku.

Patrzyliśmy, jak lawina wbija się w mgłę ponad miastem i zacząłem płakać. Nie wstydzę się tego. Charlie potrząsnął mną, mówiąc, że jestem mazgajem. Kazał mi trzymać głowę na kłódkę. Groził, że jeśli wyjawię komu prawdę, zabije mnie. Uwierzyłem, był wystarczająco szalony, by to zrobić.

Zapytałem, co dalej, a on odparł, żeby zjechać do miasta i zobaczyć, co się stało. Mówił, że to spadł puch, który zapewne napędził tylko ludziom strachu. Miał jednak nadzieję, że zasypało kopalnię. miał się. Póniej groził mi. Ostrzegał, że jeżeli choć mrugnę okiem w jego stronę, wiat stanie się dla mnie za ciasny i gdzie bym się nie ukrył, wszędzie mnie dopadnie. Bóg mi wiadkiem, że napisałem tu prawdę o zdarzeniach tamtego niedzielnego poranka. Głęboko wstydzę się swego milczenia i mam nadzieję, że ten list przyczyni się do naprawienia szkód moralnych, spowodowanych moim milczeniem. Przypuszczam, że zostanie utworzony fundusz publiczny dla rodzin ofiar, gdyż tak się zazwyczaj dzieje. Dołączam czek na 10.000 dolarów. To niemal wszystkie moje oszczędności i nie stać mnie na więcej.

Ballard uniósł wzrok.

- Na miłość boską!

- To tak, jak trzymanie niewypału, no nie?

- Ale nie możemy tego użyć.

- Niby dlaczego? Stenning nosiłby cię na rękach.

- Do diabła ze Stenningiem. Nikomu bym tego nie zrobił. Poza tym...

Umilkł, a McGill dokończył z ironią:

- Aleja Zakochanych musi być prosta i pozbawiona wybojów,

Ian, Ballard Trust jest twój!

Ballard wpatrywał się w stojącą przed nim szklankę. Wyciągnął rękę tylko po to, by odepchnąć ją zdecydowanym ruchem. Odwrócił się do McGilla.

- Mike, powiedz mi co, ale szczerze. Przygotowaliśmy się na wypadek lawiny, jak tylko mogliśmy najlepiej. Spodziewaliśmy się lawiny, prawda? Czy to co zmienia? - Otworzył dłoń i uderzył w kontuar baru, a kiedy podbiegł barman, odmownie pokręcił głową. _ Oczywiście z zarzutów tego pilota, mówisz, że nieg i tak mógł spać w każdej chwili. Czy wciś w to wierzysz?

McGill westchnął.

- Tak, wciś w to wierzę.

- W takim razie nie wykorzystujemy tego listu.

- Ian, jeste zbyt dżentelmeński i dobrze na tym nie wyjdiesz.

wiat jest brutalny.

- Nie chciałbym żyć w wiecie, w którym posłużyłbym się tym listem.

- To nie chwyci - stanowczo powiedział McGill. - Wiem, o co ci chodzi. Jeżeli ten list zostanie przedstawiony, możesz pożegnać się z Liz. Ale zrozum, to żaden powód. Ten sukinsyn zabił pięćdziesiąt cztery osoby. Gdyby Miller twierdził, że stało się to przypadkowo, mógłbym na to pójść. Ale on nie ma wstpliwoci. Charlie zrobił to umylnie. Tego nie można przemilczeć.

- Co mam więc poczuć, Mike?

- Nie masz nic do roboty. Odpowiedzialność spada na mnie. Na kopercie widnieje mój adres. - Wyjął list z ręki Ballarda i wraz z kopertą schował go do kieszeni.

- Liz nigdy nie uwierzy, że nie brałem w tym udziału - rzekł przygnębiony Ballard.

McGill wzruszył ramionami.

- Pewnie masz rację. - Sięgnął po szklankę. Prawdę mówiąc, zawiódłbym się na tobie, gdyby ochoczo złapał się tej szansy dowolenia Petersonom. Jeste głupim durniem, ale wciąż cię kocham. -

Wzniósł toast. - Za rycerskość, wciąż żywś w Christchurch!

- W dalszym ciągu uważam, że jeste pijany.

- Zgadza się i schlam się bardziej, choćby po to, żeby zapomnieć, ile gównien jest na tym wiecie. - Opróżnił szklankę i odstawił ją z trzaskiem.

- Kiedy dasz list Harrisonowi?

- Oczywiście, że jutro.

- Wstrzymaj się trochę - poprosił Ballard. - Chciałbym uprzedzić Liz. Wolałbym, żeby nie zważyło się to na niś nieoczekiwanie w czasie dochodzenia.

McGill zastanowił się.

- Dobra, poczekam dwadzieścia cztery godziny.

- Dzięki. - Ballard pchnął swego nietkniętego drinka w stronę

McGilla. - Jeli wciąż jeszcze masz zamiar się upić, to proponuję

swój wkład.

McGill wykręcił się na stołku, patrząc za wychodzącym Ballardem i po chwili zawołał na barmana:

- Jeszcze dwie podwójne.

- Więc ten dżentelmen jeszcze wróci?

- Nie, nie wróci - z roztargnieniem odparł McGill. - Ale masz rację. To rzeczywiście dżentelmen, choć zostało ich już tak niewielu.

Tego samego wieczoru Ballard i Stenning jedli razem kolację.

Ballard był roztargniony i nie miał nastroju na towarzyskie pogawędkę. Stenning zauważył to i przemilczał, ale przy kawie spytał:

- Ian, jaki jest twój związek z panną Peterson?

Ballard gwałtownie uniósł głowę, zaskoczony otwartością pytania.

- Nie sądzę, aby to był pański interes.

- Doprawdy? - Stenning zamieszał kawę. - Zapominasz o sprawie Ballard Trust. Ja wciąż o tym myślę.

- Nie pojmuję, co Liz może mieć z tym wspólnego - wydmusił wargi. - Proszę mi tylko nie mówić, że chce pan, bym i ja zdeptał.

- Nie chcę zmuszać cię do niczego, na co nie masz ochoty.

- Nawet niech pan nie próbuje.

- A jednak muszę respektować życzenie Bena, choć jest to o wiele trudniejsze, niż sądziłem. Ben nie przewidział Liz Peterson.

- Staruszek nie miał najlepszego zdania na temat kobiet - za-

uważał Ballard. - Żył interesami, a że dla kobiet nie było w nich

miejsca, więc siłš rzeczy nie istniały. Nie wspomniał panu o Liz, gdyż dla niego była zerem.

- Rozumiesz Bena lepiej, niż przypuszczałem. - Stenning delikatnie odstawił filiżankę kawy. - Tak, niewštpliwie trzeba będzie wzišć to pod uwagę.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Chodzi o twój ewentualny zwišzek z pannš Peterson. Juž McGill pytał mnie, czy gdyby jš polubił, miałoby to wpływ na "Program Grzmocenia Petersonów", jak to okrelił.

- I jakš dał mu pan odpowiedź?

- Mglisť - przyznał Stenning. - Powiedziałem, że muszę to przemyśleć.

Ballard pochylił się w jego stronę.

- Chcę panu co powiedzieć - zaczął niskim, lecz mocnym głosem. - Ben uważał się za Boga. Manipulował mnš i poprzez trust manipulował rodzinš. Wszystko w porzřdku, gdyby dotyczyło to tylko interesów, ale jeli ten stary drań ma zamiar kontrolować moje prywatne życie nawet zza grobu, to juž zupełnie inna sprawa.

Stenning kiwnšł głowš.

- Twoja analiza stosunku Bena do kobiet okazała się bardzo pouczajřca. Mylę, że masz całkowiť rację, mówiřc, że nie wspomniał o pannie Peterson, gdyż zupełnie nie brał jej pod uwagę. Dlatego teŹ ma to znaczny wpływ na sposób, w jaki zamierzam interpretować jego wolę. Doszedłem do następujřcej konkluzji: moŹesz

się żenić lub nie, możesz nawet polubić pannę Peterson. Cokolwiek zrobisz, nie będzie to miało wpływu na moją decyzję o twojej przydatności jako członka zarządu. Jeżeli Ben nie brał pod uwagę panny Peterson, ja również tego nie uczynię.

- Dziękuję - powiedział Ballard z przekśsem.

- Oczywiście problem jest nadal aktualny w stosunku do jej braci.

- Ponownie dziękuję. To wszystko na nic. Czy pan naprawdę wierzy, że jeśli zdepczę Petersonów, jak pan to delikatnie ujśł, będę miał jeszcze szansę u Liz? Bóg wiadkiem, że nie zgadzała się ona z braćmi, ale nie byłaby kobietś, za jakś jś uważam, kobietś, którą zamierzam polubić, gdyby nie poczuwała się do odrobiny rodzinnej lojalności.

- Tak, masz zdaje się poważny problem.

Ballard wstał.

- W takim razie id pan do diabła, panie Stenning - rzucił serwetkę. - Do diabła, razem z Ballard Trust.

Stenning, z twarż pozbawionś wyrazu, patrzył za nim, gdy odchodził. Uniósł filiżankę, ale okazało się, że kawa już wystygła, zamówił więc następń.

Przesłuchanie

dzień dwunasty

XXVIII

Przed Harrisonem i jego doradcami przesuwali się kolejni wiad-

kowie. Ich działania skrupulatnie sprawdzano, a wypowiedzi analizowano. Przewinęła się długa procesja mieszkańców miasta, policjantów, strażników górskiego parku narodowego, lekarzy, mechaników, naukowców, żołnierzy i pracowników Obrony Cywilnej. Na galerii prasowej zmęczony Dan Edwards zwrócił się do Dalwooda:

- Mylę, że ten stary drań szykuje się do objęcia nowej posady po mierci. Uczy się pilnie, chcąc zdublować Anioła Rejestratora.

W dolinie panował ruch. Na poczštku była zaledwie garstka ratowników, ale ich liczba wzrastała z godziny na godzinę, powiększając się o dowożonych helikopterami i samolotami na płozach.

Przybyli strażnicy z górskiego parku narodowego Mount Cook, z Coronet Peak, z Mount Egmont, z Tongariro - ludzie przeszkoleni i dobrze znajšcy zasady ratownictwa nieźnego. Helikoptery Air Force i Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych przywiozły lekarzy, a zabrały z doliny dzieci i ciężko rannych.

Z zawziętości zaatakowano masę niegu, blokującš Szczelinę.

Wycięto stopnie i przecišgnięto liny, tak że w godzinę przeciętnie sprawna osoba mogła zejć do doliny lub jš opuć. Skorzystali z tej drogi ochotnicy z klubów górskich, którzy przybyli gromadnie na wieć o katastrofie, nawet z Wyspy Północnej.

Ludzie ci wiedzieli co robić i kiedy znaleli się w dolinie, utworzyli druźyny do sondowania niegu. Poczštково kierował nimi Jesse Rusch. Wspomagały ich grupy policjantów, a także większe oddziały wojska. Lecz nawet to nie wystarczyło. Obszar, który

musieli cierpliwie przesondować centymetr po centymetrze, wynosił ponad sto sześćdziesiąt hektarów.

Początkowo Ballard pełnił funkcję koordynatora, ale ku jego zadowoleniu wkrótce zastąpił go zawodowiec z Obrony Cywilnej, który przyleciał z Christchurch. Zaczął więc pomagać Arthurowi Pye. Identyfikowanie ocalałych i zabitych oraz sporządzanie listy zaginionych było pracą, w której niezbędna okazała się znajomość miejscowości. Wstrząsem dla Ballarda było znalezienie na liście ofiar nazwiska Stacey Cameron.

- Czy są jakie wiadomości o Joe Cameronie? - spytał.

Pye pokręcił głową.

- Nie natrafiliśmy na żaden ład. Pewnie został gdzie zasypany.

Znaleziono natomiast ciało Dobbsa. Dziwna sprawa: facet, który go odkopał, powiedział, że Dobbs poderżnął sobie gardło. Podobno zupełnie się wykrwawił. - Przetarł oczy. - Boże, ale jestem zmęczony.

- Zrób sobie przerwę, Arthur - doradził Ballard. - Zjedz co

i zdrzemnij się trochę. Poprowadzę to dalej.

- Gdybym teraz poszedł spać, to mam wrażenie, że chyba nigdy

bym się już nie obudził. - Pye wstał z krzesła i przeciągnął się. -

Przejdę się po dworze. wieże powietrze powinno mnie orzeźwić.

Ballard, wykorzystując wolną chwilę, podszedł do ławki, na

której leżała zawinięta w koce Liz Peterson. Miała miernie bladą

twarz i widać było, że jest wciąż oszołomiona. Ukłonił przy niej

i zapytał:

- Liz, jak się czujesz?

- Już trochę lepiej.

- Zjadła zupę?

Kiwnęła głowę i zwilżyła językiem wargi.

- Znaleście już Johnniego?

Zawahał się, nie wiedząc czy jej powiedzieć. Ale doszedł do wniosku, że i tak dowie się prędzej czy później. Odparł więc łagodnie:

- Liz, on nie żyje.

Zamknęła oczy i westchnęła.

- Zginął piękny młodziś. Młoda Mary Rees mówi, że próbował wydostać paniś Scanlon z centrali, kiedy to się stało.

Liz otworzyła oczy.

- A Stacey?

Ballard pokręcił głowę.

- Ale przecież ona była ze mną, stała tuż obok. Jak może nie żyć, skoro ja ocalałam?

- Miała szczęście. Znalaziono cię prawie od razu. Stacey leżała zaledwie parę metrów dalej, tylko nikt o tym nie wiedział. Kiedy przybyło więcej ludzi i mogliśmy zorganizować właściwą akcję, dla Stacey było już za późno. Ciśgle też szukamy jeszcze jej ojca.

- Biedna Stacey. Przyjechała tu na wakacje.

- Wiem.

- Ona bardzo cię ceniła, Ian.

- Naprawdę?

- Bardziej, niż sądzisz. - Liz uniosła się na łokciu. - Widziałam

Erica, ale gdzie jest Charlie?

- Nic mu się nie stało. Uspokój się Liz. Zgłosił się na ochotnika, by pójść z Mikiem na górę. Mikę obawia się kolejnej lawiny, więc poszedł sprawdzić.

- O mój Boże! - westchnęła Liz. - Okropność, gdyby to wszystko miało się powtórzyć. - Zaczęła drzeć.

- Nie martw się. Gdyby Mikę uważał, że to takie niebezpieczne, nie wybrałby się na tę górę. Jest po prostu ostrożny i tyle. - Położył jej ręce na ramionach, ułożył ją i otulił kocami. - Mylę, że zabierzesz się następnym migłowcem. Spojrzał w kierunku swojego biurka. - Muszę iść, ale zobaczymy się jeszcze przed twoim odlotem.

Wrócił do biurka, przy którym stał Bili Quentin.

- Mam nadzieję, że masz dobre wiadomości, Bili.

Quentin przytaknął.

- Włanie znaleli paniś Halsam. Żyje, ale jest w kiepskim stanie. Doktor powiedział, że wyjdzie z tego.

Ballard wykreślił jej nazwisko z jednej listy i dopisał do innej.

- Wiadomo już co o jej mężu?

- Nic. - Quentin zawahał się. - Przed lawiną zrobiłem z siebie głupca, panie Ballard. Przepraszam.

Ballard spojrzał na niego.

- Nie przejmuj się, Bili. Też popełniłem wiele błędów. A skoro już przy tym jesteśmy, mam na imię Ian. Przeszliśmy przez to razem i powinniśmy mówić sobie po imieniu.

Quentin przełknął.

- Dziękuję. Wracam do roboty.

- Przynie dobre wieści.

Pojawił się Miller. Snuł się trupio blady, z zapadniętymi oczami.

- Wiadomo już co o Ralphie Newmanie?

- Przykro mi, panie Miller. Jeszcze nic.

Odszedł, mrużąc co do siebie. Zadawał to samo pytanie co dziesięć minut.

Ballard przyjrzał się swoim listom. Miały pozaginane rogi, wiele niestarannych dopisków i gwałtownych skreleń. Wziął czysty papier i zaczął je przepisywać w porządku alfabetycznym. Żmudna, ale konieczna praca.

Brewer, Andersen, Jenkins, Newman, Castle, Fowler i Haslam - siedmiu mężczyzn, w tym jeden trup, zamkniętych w jaskini przez zwały niegu i lodu. Nie mieli klucza.

- Jest tak zimno, że zamroziłoby jaja nawet małpie odezwał się Anderson.

Newman nie odpowiedział. Anderson już po raz ósmy wygłaszał tę konwersacyjną perełkę, ale niewiele zyskiwała ona przez powtarzanie. Otulił się szczelnie anorakiem, próbując kontrolować napady dreszczy.

- Ile minęło czasu? - zapytał Brewer.

Newman spojrział na zegarek.

- Prawie sześć godzin.

Jenkins zakasłał spazmatycznie. Przez chwilę parskał, nim doszedł do siebie, wreszcie wysapał:

- Gdzie oni sš? Gdzie oni, do diabła, sš?

- Brewer? - powiedział Newman w ciemność.

- Co?

- Może by jeszcze raz spróbować?

- Na diabła się to zda. Wkopujesz się w niego, a on z góry obsypuje się do rodka, W ten sposób możesz wpać w potrzask.

- Czy to wiatelko jeszcze działa? - W odpowiedzi Brewer włszył latarkę, która rozżarzyła się nikłym blaskiem. - Może bym jednak spróbował?

- To piekielnie niebezpieczne.

Newman zadrżał gwałtownie.

- Mimo wszystko spróbuję.

- W pieczarze jesteście bezpieczniejszy. Wkrótce kto nas znajdzie.

- Jeli w ogóle kto tam na górze ocalał. Zakładasz się, Brewer?

- Nie jestem bogatym jankesem - odparł Brewer. - Nie mam pieniędzy na zakłady.

- Masz jeszcze życie. Jeli tu zostaniemy, to zginiemy wszyscy.

- Zamknij się - krzyknął Jenkins. - Zamknij się, do cholery!

- On ma rację - powiedział Brewer. - Takie gadanie nic nam nie

da. - Zamilkł na chwilę. - Lepiej znów popiewajmy.

- piewanie też nas stąd nie wyciągnie - zaproponował New-

man. - Musimy na to zapracować. Nie możemy zdać się tylko na pomoc z zewnątrz. Skąd kto miałby wiedzieć, gdzie nas szukać?

- Jenkins ma rację - ostro powiedział Brewer. - Jeli nie potrafisz dodać nam otuchy, sied lepiej cicho.

Newman westchnął. Jaki to ma sens? pomyślał. Nagle co mu się przypomniało.

- Odezwijcie się!

- O co chodzi?

- Powtórzmy nasze nazwiska. Od dłuższego czasu nie słyszałem już Fowlera i Castle'a.

Castle odezwał się:

- Fowler pi.

- To lepiej go obud, zanim zanie na wieki. - Frustracja spowodowała, że Newman dosłownie kipiał. - Brewer, ile może być niegu nad nami?

- Za dużo.

- To mogł być tylko trzy metry, może mniej. Niewiele.

- Po raz ostatni ci radzę, zamknij gębę.

Newman poruszył się i niechcący dotknął twarzy Haslama, zrzucając z niej kapelusz. Była lodowato zimna.

Newman mylił się.

Jaskinia znajdowała się w gmatwaninie dużych skał, zwietrza-

łych po dawno minionym zlodowaceniu. Skała, wznosząca się bez-
porednio nad jaskinią, miała ponad osiemnacie metrów wysoko-
ci, z tego też powodu właśnie to miejsce wybrano na schronienie
przed lawiną. Uważano, że kiedy przyjdzie nieg, przeleje się nad
szczytem skały, a wszystko pod nią będzie względnie osłonięte.

I tak też się stało. Ale wgłębienie przed skałą wypełniło się
niegami, niczym kubek, którym gospodyni czerpie mleko. nieg
zrównał się z wierzchołkiem skały. Newman popełnił więc błąd.
Głębokość nieg nad wejściem do jaskini nie wynosiła ani trzech
metrów, ani - tym bardziej - mniej.

To było osiemnacie metrów.

Cameron krzyknął.

Krzyczał już od dłuższego czasu, ale wszystko, co osiągnął, to
chrzypa i ból gardła. Ciężarówka spoczywała kołami do góry, a on
sam wciąż był uwięziony z nogami zaklinowanymi między pedałami.

Próbował się uwolnić, ale ból, towarzyszący wszelkim ruchom spra-
wił, że zrezygnował. W konsekwencji Cameron, jak i cała ciężarów-
ka, tkwił do góry nogami, mając dziwne wrażenie, że ciśnienie krwi
rozsadza mu głowę.

Intensywny ból głowy przyprawiał go niemal o mdłoci.

Znowu krzyknął. Nawet dla niego zabrzmiało to słabo. Spojrzał
przez roztrzaskane szyby - nieg, nagle owietlony wyczerpującymi
się lampkami w kabinie, tłumiał każdy dźwięk niczym watą. Chyba
po raz dziesiąty postanowił zaniechać nawoływania, pragnąc zachować

wać siły. Wiedział jednak, że znowu złamie tę danś sobie obietnicę.

Myl, że kto może znajdować się w pobliżu i nic o nim nie wie-
dzieć, była przerażająca. Ale na jaki czas umilkł.

Zastanawiał się, ile niegu mogło go przysypać. Metr? Dwa
metry? Trzy? Nie mógł tego wiedzieć. W pewnym momencie prze-
straszył go lekki zaduch, wyczuwalny w kabinie. Oznaczało to
piekło - powolne konanie z powodu braku tlenu. Wykorzystując
swą wiedzę techniczną, zaczął sporządzać kalkulacje prawdopo-
dobnej przenikalności powietrza przez niego, ale nie mógł się na
tym skoncentrować, a w dodatku zbyt mało wiedział o wartościach
zmiennych. McGill by wiedział - pomyślał mglicie.

Było jeszcze co, z czego - na swoje szczęście - Cameron nie
zdawał sobie sprawy. Wywrócona ciężarówka tkwiła w korycie rze-
ki i woda zaczęła już drżyc go, który zahamował jej nurt. Wol-
no, lecz nieubłagane, rzeka zbliżała się do Camerona.

Wysoko, na zachodnim stoku, McGill przystanął, by złapać od-
dech. Oparł się na kijkach.

- Wystarczy - zdecydował. - Zbadamy go tutaj.

Charlie Peterson spojrział w dół zbocza.

- Spory ruch w dolinie.

McGill obserwował lądowanie kolejnego helikoptera.

- Tak, coraz szybciej przybywają. - Zerknął na Charliego. - Tyl-
ko nie szamocz się tu. Spróbuj sobie wyobrazić, że idziesz po
budyniu i nie chcesz naruszyć jego powierzchni.

- Mogę chodzić na paluszkach - rozemiał się Charlie. - Nigdy nie przypuszczałem, że przyjdzie mi odgrywać jakiego cholernego baletmistrza.

McGill chrząknął i powiódł wzrokiem wzdłuż stoku.

- Twój brat mówił, że miał tu pokos siana. Wypasalicie tu bydło?

- Diabła tam. Jest zbyt stromo. Trzeba by najpierw wyhodować krowy z krótkimi nogami z jednej i z długimi z drugiej strony.

- To się zgadza - powiedział McGill. - Profesor Roget miał rację ze swoim krowim testem. -

- Co to za test?

- To było w początkach narciarstwa w Szwajcarii. Kto zapytał Rogeta, jak stwierdzić czy stok jest bezpieczny dla narciarzy. Odpowiedział, że powiniene myśleć jak krowa i jeli dojdiesz do wniosku, że niewygodnie ci się gdzie pać, to znaczy, że stok nie jest bezpieczny.

- Wydaje mi się, że straciliśmy sporo bydła. - Charlie wskazał w górę doliny. - Zalało farmę.

- Rzeka jest zablokowana, ale wkrótce się oczyci. - McGill odwrócił swój kijek. - Czeka nas badanie wzrokowe - zauważył kwan. - Zgubiłem przyrzędy. - Wepchnął kijek w niego, utrzymując stały nacisk. Kiedy doszedł do dna, zaznaczył kciukiem głębokość i wyciągnął kijek. - Mniej niż dziewięćdziesiąt centymetrów, wcale nie. - Spojrzał na wydrżony otwór. - Cholernie chciałbym wie-

dzieć, co było tam na dole.

- Możemy przecież rozkopać i zobaczyć.

- Tak właśnie mam zamiar zrobić. Charlie, przesuń się do góry, jakie dziesięć metrów ode mnie. Miej mnie na oku. Jeżeli co się obsunie, zaznacz miejsce, gdzie mnie widziało ostatnio.

- Hej, chyba nie mylisz...?

- To zwykła ostrożność - uspokoił go McGill. Skinął kciukiem w stronę doliny. - Gdybym sądził, że to, co robię, może spowodować jeszcze jakie zniszczenia, to przecież niczego bym nie ruszał.

Charlie wspiął się nieco wyżej i odwrócił, by obserwować, jak McGill kopie dziurę. Jego ruchy były delikatne, lecz szybkie.

W końcu zanurzył głęboko ramię i wyciągnął je, trzymając kilka brunatnych pasm.

- Długa trawa. To niezbyt dobrze.

Wyprostował się.

- Pójdziemy ukonie do góry, kopiąc co sto metrów - osłonił oczy przed słońcem i wskazał: - Przypuszczam, że lawina zaczęła się tam, wysoko, przy tych wystających skałkach. Chciałbym zobaczyć to miejsce.

Wzrok Charliego podsztył za wyciągniętych ręk McGilla.

- Czy to konieczne?

- Nie, ale jednak chciałbym to obejrzeć. - Umiechnął się szeroko. - To o jakie sześć dziur stąd. Dalej, Charlie.

Ruszyli na ukos w górę stoku. Po przejściu stu metrów McGill

zatrzymał się i wykopał następny otwór. Poszli dalej. Po raz pierwszy Charlie okazał zdenerwowanie.

- Naprawdę uważasz, że to zupełnie bezpieczne?

- Równie bezpieczne, jak przejście przez ulicę - ironicznie odparł McGill.

- Mój kumpel w Auckland zginął właśnie na przejściu.

McGill drżący już kolejną dziurę. Charlie spytał:

- No i co nowego?

- To samo. Niezbyt wiele niegu, ale liskie podłoże. Gdyby to nawet zleciało, nie wyrzdziłoby większych szkód, mam jednak nadzieję, że nie sypnie niegiem, zanim nie skończy się akcja w dolinie.

Z trudem wspinali się coraz wyżej. Charlie obserwował pracującego McGilla, a później przeniósł wzrok na skałki, od których, zdaniem McGilla, rozpoczęła się lawina. Znajdowali się dwieście metrów od nich. Znowu spojrzął na Mike'a i zawołał:

- Dlaczego właściwie jest tak lisko?

- Przez trawę.

- Chyba powinniśmy się już stąd wynieść.

- Włanie to robimy - powiedział spokojnie McGill. - Już nie daleko. Tylko do tych skał. - Wyprostował się. - Nie będę już kopał.

Chodmy prosto na górę.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. - W głosie Charliego brzmiało napięcie.

- Co się z tobš dzieje? Co się zrobił taki nerwowy?

- Nie podoba mi się stanie tutaj. Widziałem, co działo się przedtem.

Nisko nad ich głowami przeleciał samolot. McGill spojrział w górę i zobaczył za szybš zamazanš biel twarzy. Ten kto robił zdjęcia.

Pokręcił głowš i zwrócił się do Charliego:

- Nic nam nie grozi. Możesz mi wierzyć na słowo. ,

Za jego plecami, od strony doliny, dobiegł huk.

- Co to było?

Charlie natężył wzrok.

- Nie wiem. Za daleko, by co zobaczyć.

Na białym dnie doliny, czarne kropki, które były ludmi, zaczęły dšżyć do jednego punktu, jak mrówki, majšce zamiar rozszarpać martwego chrabšszcza. McGill nie mógł dostrzec, co znajdowało się w centrum zainteresowania.

- Chyba stało się co niezwykłego. Charlie, może ty lepiej widzisz? Dokšd oni tak biegnš?

Charlie osłonił oczy.

- Nie mam pojęcia.

Obserwowali jeszcze przez pewien czas, ale nie potrafili rozpoznać przyczyny nagłego ożywienia. W końcu McGill zdecydował:

- No, chodmy dalej. - Charlie nie ruszył się. Stał znieruchomiały, wpatrując się w dolinę. - Charlie, daj już temu spokój.

- Chryste! - powiedział Peterson. - Patrz!

McGill odwrócił się. W dolinie wykwił czerwony płomień, który błyskawicznie rozprzestrzenił się i spirala oleistego, czarnego dymu uniosła się do góry jak gigantyczne drzewo, tworząc w powietrzu złowieszczą chmurę.

McGill odetchnął ze wstępnym.

- Co to, do diabła, było? - spytał akurat w tym momencie, gdy dobiegł ich odgłos eksplozji. - Jedziemy tam.

- Jasne - przytaknął Charlie.

XXIX

Jesse Rusch szedł właśnie w stronę kocioła, ale gwałtownie odwrócił się, gdy ktoś krzyknął.

- Znalazłem kogo!

Podbiegł do grupy mężczyzn, którzy złamali linię, odłożyli sondy i chwycili za łopaty. Stał z boku i obserwował, jak ostrożnie kopali. Umiechnął się, kiedy jeden z nich zaklął:

- To jaka przeklęta krowa.

Przeklęta jednak nie była. Który z mężczyzn pociągnął za ramię i przekonał się, że stercząca noga była sztywna, jak pręt. Rusch podszedł bliżej.

- Mimo wszystko wykopcie ją.

Mężczyźni odwrócili się.

- Po co? Szkoda czasu.

- Kto może być pod krową - cierpliwie wyjął Rusch. - Rozumiecie? - Istniała wprawdzie taka ewentualność, ale prywatnie

uważał/jś za niezbyt prawdopodobnś, zdecydował więc: - Trzech ludzi do krowy, a reszta do sondowania.

Wszyscy rzucili łopaty i skwapliwie podnieśli sondy, pozostawiając przy krowie tylko tego, który kwestionował celowość jej odkopywania. Spojrzał z niesmakiem na kolegów i rzekł:

- Hej, ten goć mówił o trzech.

Odwrócił się i dostrzegł grupę mężczyzn, stojących dwadzieścia metrów dalej, z rękami w kieszeniach.

- Hej, wy! - zawołał. - Chodcie mi pomóc.

Patrzyli na niego obojętnie, a po chwili odwrócili się i wolno odeszli, powłócząc nogami. Mężczyzna rzucił łopatę.

- Boże Wszechmogący! - powiedział z pasją. - Przeleciałem sześćset pięćdziesiąt kilometrów, żeby ratować tych bydlaków, a ci przekłęci markieranci nie chcś nawet pomóc sami sobie.

- Zostaw ich w spokoju - szepnął Rusch. - Oni mają już doć.

Możesz ich uważać za nieżywych. A teraz bierz łopatę i kop. Jeli chcesz pomocy, zwróć się do dowódcy drużyny.

Mężczyzna wyduł policzki, dając upust swym uczuciom, podniósł łopatę i ze złości wbil ją w niego. Rusch obserwował go przez dziesięć sekund, po czym odszedł w swoją stronę.

Tuż przed kociołem natknął się na pilota helikoptera z Szóstego Badawczego Dywizjonu Antarktydy, Harry'ego Bakera i od razu spostrzegł, że jest wciekły - tak rozpalony złości, że mógłby roztopić niego wokół siebie w promieniu kilku metrów. Uprzedził

go, mówiąc:

- Oszczędź mnie, jeżeli chcesz gadać o swych kłopotach.

Baker wskazał kciukiem niebo.

- Jaki przeklęty maniak bzyknął mi tam w górze koło ucha, kiedy schodziłem do lądowania. Robił zdjęcia. - Gniew dławiał mu głos.

Rusch ze stoicyzmem wzruszył ramionami.

- Pewnie to chłopcy z prasy. Będą wynajmować samoloty i zlatywać się zewsząd jak szarańcza.

- Jesse, tam na górze już zaczyna się robić tłoczniej, niż na Times Square - odparł Baker poważnie. - Będą problemy, jeżeli się choć trochę pogorszy.

Rusch kiwnął głową.

- W porządku, Harry. Porozmawiam z ludźmi z Obrony Cywilnej i zobaczymy, czy da się jakoś zaciąć kontrolę powietrzną.

Jeżeli okaże się to konieczne, będę nalegał na wstrzymanie wszelkich zbędnych lotów. A na razie zachowaj spokój.

Dobrze wreszcie do kocioła, pozdrowił kiwnięciem głowy Ballard, rozmawiającego z jakimś leżącym na ławce kobietą, i podszedł do ołtarza, by porozmawiać z lokalnym koordynatorem Obrony Cywilnej.

Ballard usprawiedliwiał się:

- Tak mi przykro, Liz. Obiecałem, że cię stąd niedługo zabiorę, ale są ludzie w gorszym stanie, niż ty. Na przykład pani Haslam,

którsz trzeba koniecznie zawieć do szpitala. Zostało też jeszcze kilkoro dzieci.

- Nie przejmuj się. Czuję się teraz znacznie lepiej. Czy Charlie i Mikę sš wcišz na górze?

- Tak.

Wyglšdała na zmartwionsz.

- Mam nadzieję, że nic im nie grozi. Wolałabym, żeby juž wrócili.

- Mikę wie, co robi - uspokoił jš Ballard.

Arthur Pye i Bili Quentin załadowali do helikoptera nosze z paniš Haslam. Jęknęła i spytała cicho:

- Gdzie jest Jack? Chcę do Jacka.

Nie wiedząc nawet czy kłamię, Pye obiecał:

- Wkrótce go pani zobaczy.

Harry Baker poprawił kask i poprosił naziemnego kontrolera ruchu:

- Niech ten tłum się rozsunie, gdy będę startował. Ostatnio pchali się jak diabli. Wystarczy, że w górze jest tłok.

Kontroler kiwnš głowš.

- Przepłoszę ich. - Spojrzał w stronę helikoptera i zobaczył odchodzących Pye'a i Quentina, a za nimi zarządzającego załadunkiem, zamykającego rozsuwane drzwi, który następnie pomachał rękš; więc zawołał: - To juž ostatni. Możesz startować. - Baker wspił się do kabiny, słysząc ostatnie nawoływania kontrolera: - Dobra, niech się wszyscy odsunš. Jeszcze trochę. No, dalej.

Baker zwrócił się do drugiego pilota:

- Zabierajmy się stąd. Do zmierzchu mamy jeszcze czas na trzy kursy.

Pye i Quentin odeszli z grupę prowadzoną przez kontrolera.

Warknął silnik migłowca i wirniki zaczęły się obracać. Helikopter wzniósł się niezdarnie, nabierając szybkości pionowej. Quentin przegapił moment wypadku, ale Pye to widział. Helikopter przeciął tor nisko lecącego samolotu, który pojawił się niewiadomo skąd i uderzył go w tył. Rozległ się rozdzierający trzask i obie maszyny, szczepione razem, runęły w niego.

Wszyscy zaczęli biec, ale Pye i Quentin byli na czele. Pye naparł na rozsuwane drzwi helikoptera. Wygięły się, lecz nawet nie drgnęły.

- Pomóż mi, Bili - wydyszał i Quentin dołączył do niego. Drzwi ze zgrzytem otworzyły się do połowy i zaklinowały.

Tuż za nimi leżał zarządzający załadunkiem, którego kask uchronił przed zupełną utratą przytomności. Potrzebował głową jak pijany, kiedy Pye chwycił go za ramię i wyciągnął na zewnątrz. Po chwili Pye i Quentin wspięli się do rodka.

Z siedzeń zwisały bezwładnie ciała dwojga dzieci, utrzymując się jedynie dzięki pasom zabezpieczającym. Pye nie miał czasu sprawdzić, czy jeszcze żyją, szarpnął tylko pasy. Uwolnił pierwsze dziecko i podał je Quentinowi, a następnie energicznie zabrał się do drugiego chłopca. Z daleka usłyszał krzyk kontrolera:

- Ej, wy w rodku, pospieszcie się. On może eksplodować.

Wypłstał chłopca z pasów, przekazał go w czyje wyciągnięte ręce i powiedział do Quentina:

- Muszę przejść do tyłu, żeby dostać się za nosze. Ty bierz ten koniec. Stało tam dwoje noszy i kiedy Pye spojrział na jedno, zrozumiał, że nie ma sensu ich zabierać. Leżący na nich mężczyzna miał głowę wykrzywioną pod zupełnie nieprawdopodobnym kątem i, jak Pye ocenił, skręcony kark. Z drugiej noszy doszedł szept pani

Haslam:

- Czy to ty, Jack? - Jej szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niego.

- Tak. Przyszedłem zabrać cię do domu. - Rozkrwawił palce, szarpiąc wciękłe pasy zabezpieczające. Udało mu się odczepić jeden z nich. Odwrócił się i zobaczył, że Quentin odczepił drugi. -

Dobra. Bierz już delikatnie. - Pochylił się i powiedział uspokajająco: - Zaraz paniś stąd wyciągniemy.

W tej samej chwili zapaliła się benzyna. Zobaczył jeszcze biały błysk, poczuł palący żar i kiedy zaczerpnął następny oddech, wciągnął do płuc płonące opary. Nie poczuł bólu i zginął, nawet o tym nie wiedząc, tak samo, jak Bili Quentin, pani Haslam, Harry Baker i drugi pilot, którego w Hukahoronui nikt nie widział.

W sali dochodzeniowej nie słychać było żadnego dźwięku, poza skrzypieniem starej podłogi. W napiętej ciszy rozległ się głos Harrisona:

- Odbędzie się już publiczne dochodzenie, przeprowadzone w ce-

lu wyjanienia przyczyn tego wypadku. Kierował nim z urzędu inspektor do spraw katastrof lotniczych. Wyniki jego badań zostaną włączone do akt tego dochodzenia. Proponuję jednak, by powiedzieć teraz kilka słów na ten temat.

Harrison mówił spokojnie, zachowując powagę.

- Komandor-porucznik Rusch zeznał już, że nieżyjący pilot helikoptera skarżył się na niebezpieczne warunki lotu i na przyczyny tego stanu rzeczy. Nawet w chwili katastrofy komandor-porucznik Rusch rozmawiał z władzami lotniska Harewood i słyszeliśmy z zeznań jego i innych osób, że w sposób energiczny i agresywny poparł krytyczną ocenę sytuacji, wyrażoną przez swych oficerów. Kiedy doszło do zderzenia przypuszczano, że samolot, który spowodował wypadek, został wynajęty przez dziennikarza. W rzeczywistości okazało się, iż był to oficjalny lot, przeprowadzony przez wiceministra rządu, który koniecznie chciał zorientować się w rozmiarach katastrofy w Hukahoronui. Bez względu na to, czy lot ten był oficjalny, czy nie, jest jasne, że zawiódł przekaz informacji między Ministerstwem Obrony Cywilnej, a cywilnymi i wojskowymi władzami lotniczymi, doprowadzając do, jak można by to zinterpretować, karygodnego niedbalstwa.

Skierował zimne spojrzenie w stronę galerii prasowej, a Dan Edwards niespokojnie poruszył się na krzele.

- Powinienem dodać, że przedstawiciele prasy zachowali się bardzo nieodpowiedzialnie w swoich lotach nad obszarem katastrofy. Reporter na ogół uważa, że ma obowiązek dotarcia do faktów,

jednak bardziej powinien czuć się odpowiedzialny wobec społeczeństwa, niż wobec gazety, która go zatrudnia. Rozumiem, że pewnym pilotom cywilnym udzielono nagany i należycie ukarano cofnięciem licencji, ale żałuję, że nie ma podstaw prawnych do wymierzenia podobnej kary tym, którzy tak beztrosko wynajęli samoloty i wydali polecenia.

Przeniósł wzrok na Smithersa.

- Mam też nadzieję, że Ministerstwo Obrony Cywilnej zrewiduje niezwłocznie swój sposób postępowania, nie czekając na opublikowanie wyników badań tej komisji. Podobna katastrofa może zdarzyć się nawet jutro, panie Smithers.

Nie czekając na odpowiedź, stuknął młotkiem.

- Odraczam posiedzenie do jutra, do godziny dziesiątej rano.

XXX

Gdy Ballard opuścił salę, zobaczył McGilla, rozmawiającego z mężczyzną w rednim wieku, w okularach, którego wcześniej zauważył w pierwszym rzędzie galerii prasowej. Kiedy podszedł bliżej, usłyszał głos McGilla:

- Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby mógł je pan dla mnie zdobyć.

Dan Edwards poskrobał się po brodzie.

- Co za co - uprzedził. - Jeli okaże się to materiałem na artykuł, to chcę mieć wyłączność. - Umiechnął się. - Stary Harrison może mieć rację, ale ja wciąż jeszcze jestem dziennikarzem.

- Jeli to będzie interesujący materiał, pan pierwszy go otrzyma - obiecał McGill. - Nawet Harrison zgodziłby się, że leży to w publicznym interesie.

- Na kiedy pan je chce?

- Na wczoraj, ale na dzi musi wystarczyć. Czy możemy się spotkać w pańskim biurze za pół godziny?

Edwards skrzywił się.

- Miałem zamiar ić na piwo, ale przypuszczam, że to musi poczekać.

- Jeżeli znajdę to, czego szukam, kupię panu skrzynkę piwa.

- Trzymam pana za słowo - powiedział Edwards i odszedł.

- Mikę, o co tu chodzi? - spytał Ballard.

- Sprawy zawodowe, muszę co sprawdzić. Widziało się już z Liz?

- Nie, spotkamy się później.

- Nie marnuj czasu - doradził McGill. - Jutro bomba pójdzie w górę. Gdyby Harrison wiedział, że przetrzymuję ten list, to dałby mi popalić. - Spojrzał na Ballarda. - O, jest facet, z którym muszę pogadać. - Odszedł z pilotem, mówiąc co szybko i żywo gestykując. Ballard popatrzył za nim z zaciekawieniem, wreszcie wznosił ramionami i skierował się w stronę swego samochodu.

Nie zobaczył się z Liz w czasie lunchu, wyszła szybko z Erikiem i Charlim i nie wróciła na popołudniową sesję. W trakcie przerwy zadzwonił do niej do hotelu i poprosił o spotkanie.

- Lepiej tu nie przyjeżdżaj - powiedziała. - Charlie nie byłby tym zachwycony. Wpadnę do ciebie po kolacji. Pasuje ci o dziewiśtej?

W hotelu zamknął się w swoim pokoju, chcąc uniknąć Stenninga.

W wietle wydarzeń poprzedniej nocy, nie miał ochoty na dalszą z nim rozmowę. Nie mając nic lepszego do roboty, sięgnął po powieć, która go szybko znudziła. Bez powodzenia usiłował skoncentrować się na jej akcji.

Zastanawiał się, co porabia McGill. Rozmyślał też, w jaki sposób przekazać Liz najnowsze wieści, było to ogromnie trudne zadanie.

Jak miał powiedzieć kobiecie, którą kochał, że jej brat jest - praktycznie biorąc - wielokrotnym mordercą.

Kolację zamówił do pokoju. Kwadrans po dziewiśtej krzątał po nim niespokojnie, o wpół do dziesiątej, kiedy Liz wciśnięta się nie zjawiała, chciał do niej dzwonić/ale dziesięć minut później rozległ się dzwonek telefonu. Rzucił się do aparatu.

- Ballard.

- Gość do pana, panie Ballard.

- Zaraz schodzę.

Podszedł do kontuaru, a recepcjonista powiedział:

- W holu, panie Ballard.

Rozejrzał się uważnie. W rogu zobaczył Stenninga, czytającego gazetę, lecz nie było nawet ladu Liz. Nagle za plecami usłyszał:

- Założę się, Ballard, że nie mnie się spodziewała?

Odwrócił się i ujrzał Charliego Petersona.

- Gdzie jest Liz?

Charlie lekko chwiał się na nogach. Miał zaczerwienioną i spoconą twarz, a mięsień pod lewym okiem drgał mu konwulsyjnie nerwowym tikiem.

- Nie przyjdzie. Mam stuprocentową pewność. Ostrzegałem cię już, bydlaku, żeby trzymał się od niej z daleka.

- Co z nią zrobiłeś?

- Nie powinno cię to obchodzić, ani teraz, ani nigdy więcej.

Chyba jeste głupi, albo głuchy. McGill niczego ci nie powtórzył?

- Powtórzył. - Przez dłuższą chwilę Ballard przyglądał się Charlieemu z namysłem. - Prosiłem Liz, żeby tu przyjechała, bo miałem jej coś ważnego do powiedzenia. Ale skoro przyszedłem sam, powiem ci.

- Nie obchodzi mnie twoje rewelacje. - Charlie rozejrzał się po holu. - Gdybyśmy byli gdzie indziej, chętnie skrzyłbym ci twój parszywy kark. Zawsze dbałem o to, by nie spotkać się z tobą w cztery oczy, no nie?

- Lepiej posłuchaj, Charlie, dla twojego własnego dobra. I najpierw usiądź, bo jeszcze się przewrócisz z wrażenia.

Co w tonie Ballarda zwróciło wreszcie uwagę Charliego. Zmrużył oczy.

- Dobra, odwal swoją mowę. - Opadł ciężko na kanapę.

Kiedy Ballard usiadł, zobaczył Stenninga, przyglądającego się im

ze zdumieniem. Zignorował go i powiedział do Charliego:

- Masz kłopoty, poważne kłopoty.

Charlie umiechnął się cynicznie.

- Ja mam kłopoty! Poczekaj, aż usłyszysz, co ciebie czeka.

- Wiemy, co zdarzyło się przed lawiną na zachodnim stoku.

Wiemy, Charlie, co zrobiła.

Z twarzy Petersona zniknął uśmiech.

- Wcale mnie tam nie było i nikt mi nie udowodni, że było

inaczej. Kto tak mówi?

- Miller - cicho odparł Ballard. - Dostaliśmy list.

- To kłamca - wciekle rzucił Charlie.

Ballard wzruszył ramionami.

- Z jakiego powodu miałby kłamać? Jaki ma powód, by przysłać
dziesięć tysięcy dolarów na Fundusz Ofiar Katastrofy? Może mi to
wyjaśnisz.

- Gdzie ten list? Chcę go zobaczyć.

- Zobaczysz go jutro. Rano damy go Harrisonowi.

Charlie przełknął głośno linę.

- A cóż ja, do diabła, właściwie zrobiłem? Może mi powiesz, bo
nie wiem.

- Miller twierdzi, że umylnie spowodowała lawinę.

Charlie wykrzywił się.

- Kłamstwo! - krzyknął. - Przeklęty łgarz!

- Mów ciszej - upomniał go Ballard.

- Mam mówić ciszej! - powiedział Charlie z tłumionš furiš. -

Oskarża się mnie o morderstwo, a ja mam siedzieć cicho. - Zniżył jednak głos i szybko rozejrzał się po holu.

- A teraz posłuchaj mnie. Poprosiłem tutaj Liz, żeby jš jako uprzedzić, przygotować na to, co usłyszysz jutro w sšdzie. Nie wiem, jak udało ci się jš zatrzymać, ale w takiej sytuacji zdecydowałem się powiedzieć o tym tobie. Daję ci, Charlie, szansę.

- Jakš szansę? - spytał držšco.

- Miller kłamie, albo nie. W każdym razie, daję ci szansę, by jutro, kiedy tylko rozpocznie się posiedzenie, stanšł na zadnich łapach i przedstawił Harrisonowi własnš wersję, zanim zostanie okazyany list. I nie myl, że robię to dla ciebie. Podjšłem takš decyzję jedynie ze względu na Liz.

- Ale mi szansa - zadrwił Charlie. - Wszystko ukartowalicie z McGillem.

- Wiem, jak jest naprawdę - cicho powiedział Ballard - i ty także to wiesz. I jeszcze jedno, nie mam pojęcia, jak powstrzymać Liz od przyjcia tutaj, ale jeżeli zrobiła jej krzywdę, odpowiesz za to.

Charlie wstał gwałtownie.

- Ty przekłęty draniu, nikt poza mnš nie odpowiada za Liz

Peterson i żaden angielski sukinsyn nie zbliży się do niej, a już na pewno nikt o nazwisku Ballard. - Rozejrzał się po zatłoczonym

holu i wycelował palec w Ballarda. - Mówię ci, jak cię gdzie dor-

wę, to pożałujesz, że kiedykolwiek słyszała o rodzinie Petersonów. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł z holu.

- Już teraz niemal tego pragnę - szepnął Ballard. Odwrócił głowę i spojrzał na Stenninga, który popatrzył na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu.

Tej nocy McGill pracował do późna, głównie w ciemni fotograficznej sztabu operacji Deep Freeze. Była to skrupulatna i wymagająca wysiłku robota, polegająca na precyzyjnym dozowaniu odczynników, ale dużo pomógł mu fotograf Marynarki Stanów Zjednoczonych. Mimo to skończył grubo po północy, a wszystko, czego dokonał, zmieściło się w jednej kopercie. Zawierała kilka odbitek o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów i parę przezroczy.

McGill wrócił do hotelu i zaparkował samochód na wyznaczonym miejscu, obok wozu Ballarda. Wsiadł, zabierając ze sobą kopertę.

Chciał już wejść do hotelu, jednak zawahał się i spojrzał uważnie na samochód Ballarda. Był pusty i miał zamknięte drzwi. Wzruszył ramionami i właśnie miał odejść, kiedy usłyszał cichy dźwięk, tak słaby, że zostałby zagłuszony, gdyby postawił stopę na żwirze. Zatrzymał się bez ruchu, wytężając słuch, ale niczego więcej nie usłyszał.

Przeszedł na drugą stronę samochodu i nadepnął na miękki, ledwie rysujący się w ciemnościach, kształt. Cofnął się, zapalił za-

palniczkę i uważnie spojrział w dół. Gwałtownie zaczerpnął powietrza i odwracając się na pięcie pobiegł, jak mógł najszybciej, do hotelu.

Nocny portier uniósł zaniepokojony wzrok, gdy McGill wpadł do foyer i zatrzymał się z polizgiem.

- Dzwonź po lekarza i karetkę - bez tchu wysapał McGill. - Na parkingu leży ciężko ranny człowiek. - Zaskoczony i rozespany portier nawet nie zareagował, więc McGill wrzasnął: - Szybciej!

Portier drgnął i sięgnął po telefon. Minutę później McGill łomotał już do drzwi Stenninga.

- Kto tam? - Głos Stenninga był przytłumiony i senny.

- McGill. Proszę otworzyć.

Po chwili drzwi otworzyły się. Stenning miał zmierzwiene, siwe włosy, niezbyt przytomne oczy i wiślał włanie pasek pidżamy.

- Co się stało?

McGill był szorstki.

- Proszę pójć ze mną i zobaczyć do czego pan doprowadził swym wtrścaniem się.

- Jak mam to rozumieć? - Stenning szybko dochodził do siebie.

- Zaraz się pan przekona. Chodmy. To niedaleko, więc nie musi się pan ubierać.

- Tylko założę pantofle. - Cofnął się do pokoju na kilka sekund.

Kiedy przechodzili przez foyer, McGill zawołał:

- Co z tym lekarzem?

- Już jedzie karetka - odrzekł portier.

- Może pan włączyć oświetlenie na parkingu?

- Tak, sir. - Portier otworzył drzwi za sobą i wcisnął przełączniki. - Wypadek samochodowy?

McGill nie odpowiedział.

- Lepiej obud kierownika. Chodmy, Stenning.

Przeszli szybko przez jasno oświetlony parking. Stenning zapytał:

- Kto został ranny?

- Ian i to ciężko. Tam.

Na widok zakrwawionego ciała, Stenningowi wyrwał się okrzyk strachu.

- O mój Boże! Co się stało?

- Na pewno nie był to wypadek samochodowy. - Nie zważając na krew, McGill ujął przegub dłoni Ballarda. - Sądzę, że jeszcze żyje, ale wcale nie jestem tego pewny. Gdzie ten cholerny lekarz?

- Co pan miał na myśli mówiąc, że to nie był wypadek samochodowy? Przecież jego wygląd właśnie na to wskazuje.

- Jak, do diabła, miałby tu wpaść pod samochód? - McGill wskazał ręką. - Odległość między tymi wozami wynosi zaledwie metr.

- Może się tu doczołgał?

- Gdzie, w takim razie, lady krwi, które musiałby! zostawić? -

McGill wstał. - Stenning, człowiek, na którego patrzysz, został pobity niemal na śmierć i wcale nie jestem pewien tego "niemal". Oto, co się dzieje, gdy ktoś zostanie zgnieciony. - W jego szorstkim głosie brzmiał wyrzut.

Stenning pobladł. McGill nie ustawał w oskarżeniach:

- Siedzicie w swoich przytulnych biurach londyńskiego City i manipulujecie ludmi. Urządzacie jakie eksperymenty, na miłość boską i pan mówi o zgniataniu ludzi! - Wskazał ciało Ballard. - To jest rzeczywistość, Stenning. Przypatrz się i niech cię diabli wezmą!

Stenning przełknął, jego grdyka podskoczyła na chudej szyi.

- Nie było intencji...

- Morderstwo? - McGill rozemiał się i w ciszy nocnej zabrzmiało to jak groba. - A czego, do diabła, mogłem się spodziewać, mając do czynienia z takim maniakiem, jak Charlie Peterson?

Stenning był prawnikiem i jego umysł funkcjonował precyzyjnie, niczym silnik lokomotywy.

- Dzi wieczorem widziałem ich razem w hotelu. Odbyli długą rozmowę i to niezbyt przyjazną. Ale to jeszcze niczego nie dowodzi. - Spojrzał na McGilla. - Czy pan wie, że to zrobił Peterson?

- Tak - bez wahania przytaknął McGill.

- Skąd- , -

McGill umilkł. Nagle uwiadomił sobie, że wciąż trzyma kopertę

ze zdjęciami. Przez chwilę wpatrywał się w niś, intensywnie rozważajśc odpowied.

- Wiem - odparł wreszcie, kłamiśc z rozmysłem. - Wiem, bo ian zdżżył mi to powiedzieć, nim stracił przytomnoć.

Z oddali dobiegło ich wycie nadjeżdżajšcej karetki.

Przesłuchanie

dzień ostatni

XXXI

O godzinie dziesištej Harrison wszedł do sali, usiadł za stołem, między Rolandsonem i Frenchem. Zaczekał, aż ucichła krzštanina, po czym powiedział:

- Muszę zakomunikować, że dzisiaj, we wczesnych godzinach rannych, pan Ian Ballard został poważnie poszkodowany w wypadku samochodowym. Przebywa obecnie w Szpitalu Księżniczki Małgorzaty. Jest nieprzytomny i ze zrozumiałych względów czuwa przy nim doktor McGill.

Zawrzało. Na galerii prasowej Dan Edwards zmarszczył brwi.

- A niech to diabli wezmś! Zastanawiam się, czy to będzie miało wpływ na artykuł?

- Jaki artykuł? - spytał Dalwood.

- E, nic takiego. Po prostu miałem otrzymać poufnś wiadomoć. - Tršcił Dalwooda. - Popatrz na Charliego Petersona. mieje się do rozpuku.

Harrison przywołał publicznoć do porzšdku, stukajśc młotkiem.

- Weszlimy obecnie w takš fazę dochodzenia, w której zezna-
nia pana Ballarda i doktora McGill nie będą absolutnie konieczne,
nie mamy więc potrzeby odraczać posiedzenia. Panie Reed, proszę
wezwać pierwszego wiadka.

Dwadziecia cztery godziny po lawinie liczba osób zaginionych
zmniejszyła się do dwudziestu jeden. Wszyscy pozostali - żywi
i martwi - zostali już odnalezieni. Ballard westchnął posepnie:

- Wcišż ani ladu Joego Camerona.

- To twój przyjaciel? - spytał Jesse Rusch.

- Tak sšdzę. Nie znałem go zbyt długo. Chyba nie ma już dla
niego wielkiej nadziei. Może to lepiej, bo i tak stracił córkę.

- Zginęło w ogóle zbyt wielu ludzi - powiedział Rusch, myśląc
o Bakerze. - Kilkoro w zupełnie bezsensowny sposób.

- Nikt nie zginął z sensem - odparł posepnie Ballard.

Podszedł do nich Turi Buck i w milczeniu wręczył kartkę. Bal-
lard wziął ją i po chwili uniósł wzrok.

- Rodzina Marshallów, wszyscy czworo?

- Włanie odnalelimy ich dom, a właściwie to, co z niego
zostało.

- Nie żyjś? Wszyscy?

- Tak. - Turi odszedł przygarbiony.

Ballard gwałtownym ruchem skreślił cztery nazwiska z leższej
przed nim listy.

- Jeszcze siedemnacie.

- Po południu będziemy mogli wprowadzić buldożery - powiedział Rusch. - To przyspieszy tempo.

- Może się jednak okazać niebezpieczne. Lemiesz buldożera z łatwości przetnie człowieka na pół.

- Zachowamy ostrożność. Naprawdę. Ale sam wiesz, że musimy się spieszyć. Jeli kto jeszcze żyje pod niegiem, to długo już nie wytrzyma. - Ton jego głosu wskazywał, że wstąpił, by kto mógł jeszcze żyć.

Cameron był niemal zupełnie wyczerpany. Przedtem spał, a może stracił przytomność, zresztś to nie miało znaczenia, ale teraz znów czuwał. Ból szarpał całe jego ciało/najbardziej jednak dokuczała mu głowa. W nocy chwyciły go torsje, prawie udusił się własnymi wymiotami, na szczęście udało mu się przekręcić głowę, co ocaliło go przed ohydńś mierciś. O mdłoci przyprawił go fetor odchodów, które oddał niewiadomie.

Dobiegł go jaki dźwięk. Poczśtkowo ucieszył się, sśdzśc, że to ludzie. Odgłōsy przypominały cichy chichot. Cameron zawołał z wysiłkiem, a potem wsłuchał się w trwajścy, odległy miech. Pomyłał, że traci pewnie zmysły, bo kto mógłby mieć się wewnśtrz zasy?

Zakręciło mu się w głowie i na kilka chwil stracił przytomność.

Kiedy jś odzyskał, znowu dobiegł go ten sam dźwięk, tyle że nieco zmieniony. Teraz bardziej przypominał bulgotanie, niż miech lub chichot. Dźwięk taki mógłby wydawać zadowolony niemowlak

w łóżeczku. Po dłuższym nasłuchiwaniu zorientował się, co to jest i znów zaczął ogarniać go strach. To, czego słuchał, było odgłosem wydawanym przez wodę.

Po jakim czasie poczuł, że ma mokrą głowę. Do kabiny przedostała się strużka wody i utworzyła wokół jego włosów niewielką kałużę, gdyż ciśniecie przecieży zwiślał nogami do góry. Zrozumiał, że się utopi. Już tylko niewiele wody brakowało, by zalać mu usta i nos, nie więcej niż piętnacie centymetrów.

W tym samym czasie, na powierzchni, dwóch młodych ludzi prowadziło buldożer przez pagórkowaty nieg nad brzegiem rzeki. Kierował nim John Skinner, robotnik budowlany z Auckland, członek Klubu Alpinistów. Jego towarzysz, Roger Halliwell, był wykładowcą akademickim i członkiem Klubu Narciarskiego Uniwersytetu Canterbury. Skinner zatrzymał buldożer nad rzeką i powiedział.

- Powód w górze rzeki skończy się, gdy tylko woda roztopi ten nieg.

- Słyszałem, że potopiło się sporo bydła - rzekł Halliwell.

- Dobrze, że nie ludzi. Ta przeklęta lawina i tak już narobiła przeraliwych spustoszeń. - Skinner rozejrzył się. - Gdzie ten jankes kazał nam kopać?

W korycie rzeki zapadła się, podmyta przez wodę, łacha niegu i Halliwell spojrzał mimowolnie w tym kierunku. Po chwili odezwał się.

- Chyba co tam jest pod spodem.

- Co?

- Nie wiem. Co ciemnego. To chyba jest okrągłe.

- Może jaki głaz.

- Może. - Halliwell zmarszczył brwi. - Przyjrzę się temu.

Zeskoczył z buldożera, podszedł na brzeg i delikatnie stanął na nim. Był miękki, ale utrzymał jego ciężar, tak że nie grzął zbyt głęboko. Ostrożnie ruszył dalej, wysoko unosząc nogi. W miarę jak posuwał się naprzód, nieg stawał się coraz bardziej grząski, gdyż był przesiąknięty wodą i nagle Halliwell zapadł się po pas. Odniósł koszmarne wrażenie spadania na dno, ale zorientował się, że na czym stoi.

Zanurzył rękę w nieg i natknął się na jakiś kształt, który rozpoznał dotykiem. Było to koło z oponą.

- Tu jest samochód - krzyknął.

Skinner zeskoczył i odpiął stalową linę z tyłu buldożera. Na obu jej końcach znajdowały się karabińczyki. Przypiął jeden do grubego pręta na buldożerze.

- Złapiesz to? - Zakręcił nad głową drugim końcem liny.

Za pierwszym rzutem nie trafił, ale za drugim Halliwell złapał linę. Miał trochę kłopotów ze znalezieniem czegoś do zamocowania karabińczyka. Wiedział, że musi to być jakaś integralna część podwozia zasypanego pojazdu i przez jakiś czas bezskutecznie grzebał na olep w niegu.

Uwięziony w kabinie Cameron niemal tonął. Woda zalewała mu nos, chociaż wciśgnął głowę w ramiona niczym żółw, usiłujący schować się w skorupie. Jeszcze tylko centymetr, a miałby zakryte usta. Zaczerpnął głęboki oddech.

Cieżarówka przechyliła się i woda przelała się nad głowę Camerona. Ten ruch spowodował, że zalało mu całą twarz i walczył teraz o zachowanie oddechu. Samochód znów drgnął, tym razem do góry i Cameron krzyknął z bólu, myślał, że chyba złamał kręgosłup.

Buldożer wyszarpnął ciężarówkę z koryta rzeki i, przewrócił na bok, wyciągnął na brzeg.

Halliwell podbiegł do niej.

- Tam kto jest - zawołał ze zdumieniem. - I, na Boga, on żyje!

Nim minęła godzina Cameron leciał już helikopterem do Christchurch. Ale doznane przeżycia złamały go nie tylko fizycznie.

Newman nie miał szczęścia.

Całą noc przekopywał się do góry w całkowitych ciemnościach.

Musiał wygrzebywać dziurę o rednicy przynajmniej sześćdziesięciu centymetrów, by pomieściła ramiona barczystego mężczyzny.

Musiał też pamiętać o stopniach, na których mógłby stać. Do kopania używał wszystkiego, co mu wpadło w ręce. Najbardziej użyteczny okazał się długopis, którym dgał nieg nad sobą, wyłamywał go po kawałku. Często nieg zasypywał mu oczy, ale nie miało to znaczenia, gdyż i tak panowały ciemności. Dwukrotnie upuścił długopis i to już było istotne, bo musiał schodzić w dół i szukać go

po omacku. Tracił przez to czas.

Pod jednym względem miał szczęście. Nie wiedział, jak daleko musi kopać. Gdyby zdawał sobie sprawę, że to aż osiemnacie metrów, wstąpiłby, czy w ogóle wziąłby się do tej roboty. W czasie, kiedy przebywał na dole, nieg zaczął osiadać i zbijać się, w miarę jak wyciskane było z niego powietrze. Chociaż przez taki materiał znacznie trudniej się przebić, to tym samym zmniejszyła się do piętnastu metrów odległość, która została do pokonania.

Kopał sam, gdyż reszta uwięzionych w jaskini mężczyzn popadła w całkowitą apatię.

Minęły już pięćdziesiąt dwie godziny od zejścia lawiny, niebo ciemniało i Sam Foster, strażnik leny z Tongariro, zastanawiał się, czy warto jeszcze kontynuować poszukiwania. W dalszym ciągu nie odnaleziono kilku osób, lecz było nieprawdopodobieństwem, by kto mógł jeszcze żyć, nawet gdyby został odkopany. Może lepiej byłoby odłożyć te poszukiwania do następnego dnia.

Wszedł do niecki o łagodnie obniżających się cianach i znalazł się już na jej rodku, kiedy nieg zapadł się pod nim. Newman miał jeszcze tylko trzydzieci centymetrów do powierzchni i kiedy Foster swoim ciężarem zawalił tę warstwę, jeden z jego butów walnął Newmana w głowę. Ten wpadł w dziurę, którą sam wykopał. Nie spadał długo, gdyż dno podwyższał odrzucony nieg. Wystarczyło to jednak, by skrócić kark.

Pozostałych mężczyzn oczywiście uratowano, z wyjątkiem Has-

lama, który nie żył już od dawna. Newman był ostatnim, który zginął w dolinie. Natomiast ostatniś w ogóle ofiarś katastrofy w Hukahoronui była pani Jarvis, najstarsza mieszkanka, zmarła w szpitalu po tygodniu.

Tego roku, z zachodniego zbocza, zeszła druga lawina, ale stało się to w czasie letnich roztopów. Jednak w dolinie nie było już nikogo, kogo mogłaby zabić.

XXXII

Tego popołudnia, o piętnastej trzydziści, McGill zaparkował samochód i szybko przeszedł przez Durham Street w stronę lokalnych budynków rzśdowych. Lecz zamiast do sali, gdzie odbywały się przesłuchania, skierował się na górę, do wejcia na galerię prasowś i zamienił kilka słów z wonym. Po chwili zjawił się Dan Edwards.

- Dotrzymuję obietnicy, masz pan swój artykuł - podał Edwardsowi kopertę. - Znajdzie pan tu kserokopię listu, jest on wyjaniem sam w sobie, i kilka fotografii, których znaczenie wytłumaczę przewodniczścemu. Co się tam dzieje na dole?

- Harrison zamyka interes. Włanie patolog składa owiadczenie lekarskie. - Edwards zamilkł, wstrzymujśc się z rozdarciem koperty. - A skoro o tym mowa, jak się miewa Ballard?

- Kiepsko.

- Ci przekłęci piraci drogowi - dostrzegł zaskoczone spojrzenie McGilla i wyjanił: - Jeden z chłopców sprawdził w hotelu. Nie ma

chyba wstąpił, że chodzi o potrącenie i ucieczkę z miejsca wypadku? - Uważnie przyjrzał się McGillowi. - A może co przegapiłem?

McGill wskazał kopertę.

- Myśl lepiej o tym, że przegapiasz swój artykuł.

Edwards wyciągnął kopię listu i przeczytał go pobieżnie. Wydłużała mu się twarz.

- Jezu! Czy to pewne?

- Za pięć minut oddam Harrisonowi oryginał.

- Dzięki, McGill. To raczej ja tobie postawię skrzynkę piwa. -

Wrócił na galerię i przywołał młodego reportera.

- Zanieś to do redakcji. Oddaj naczelnemu, ale nikomu tego nie pokazuj, rozumiesz? Ruszaj.

Zajął swe miejsce, a Dalwood spytał ciekawie:

- Dzieje się coś?

Edwards uśmiechnął się szeroko i skinął głową w kierunku sali.

- Lada chwila wybuchną fajerwerki.

McGill minął westybul, dwóch policjantów stojących przed wejściem na salę i wszedł do rodka. Harrison zauważył go i rzekł do wiadka:

- Przepraszam, doktorze Cross. Dzień dobry, doktorze McGill.

Jak się czuje pan Ballard?

- Jest wciąż nieprzytomny.

- Tak mi przykro. To dobrze, że pan wrócił, ale nie jest to

doprawdy konieczne w tych okolicznościach.

- Mylę jednak, że mój powrót okaże się absolutnie niezbędny

panie przewodniczący. Przyszedłem przedstawić nowy dowód.

- Doprawdy? Proszę więc podejść, doktorze McGill. Jest pan na razie wolny, doktorze Cross.

Patolog oddalił się, a McGill stanął przed stołem sędziowskim.

Wyjął z kieszeni kopertę.

- Otrzymałem ten list i przedyskutowałem jego treść z panem

Ballardem. Obaj doszliśmy do wniosku, że jest zbyt ważny, by go przemilczeć, nawet gdyby łączyło się to ze zniszczeniem czyjej reputacji.

Wręczył list Harrisonowi, który rozłożył kartki i zagłębił się w lekturze. Zajęło mu to sporo czasu. Jego twarz zmieniła się w trakcie czytania. Wreszcie uniósł głowę i powiedział:

- Rozumiem. Przyznaję, że zatrzymanie tego listu byłoby błę-

dem. - Spojrzał na rozłożone kartki. - Jak widzę, każda strona została podpisana, kontrasygnowana i powiadczona notarialnie.

Czy notariusz stanowi odpowiednik naszego zaprzysiężonego adwokata?

- Niemal dokładnie, panie przewodniczący.

Harrison powiódł wzrokiem po sali.

- Panie Lyall, czy zechciałby pan podejść?

Lyalla zaskoczyła propozycja, ale odparł:

- Ależ oczywiście, panie przewodniczący. - Zbliżył się i stanął

obok McGilla.

Harrison powiedział cicho:

- To dotyczy jednego z pańskich klientów. Mylę więc, że powinien pan to przeczytać. - Podał mu list.

Kilka minut później Lyall rzekł nerwowo:

- Doprawdy, panie przewodniczący, nie wiem jak zareagować.

Jestem skłonny wycofać się z tej sprawy.

- Ach tak? - głos Harrisona brzmiał ponuro. - To nie jest sprawa, panie Lyall, to dochodzenie przed komisją. Poza tym, wstąpię, by poważano adwokata, który opuścił swego klienta, gdy sytuacja stała się trudna.

Na policzkach Lyalla wystąpiły czerwone plamy.

- A więc dobrze - rzucił szorstko. - Czy jest to jednak dowód prawny?

- O tym zadecyduję wspólnie ze swymi doradcami - odparł ze znużeniem Harrison. Odebrał list od Lyalla i podał go Rolandsonowi.

McGill wtrącił:

- Mam jeszcze inne, pomocnicze dowody.

- Żaden dowód nie może zostać przedstawiony dla poparcia tego listu, zanim on sam nie zostanie zatwierdzony jako dowód prawny - zastrzegł Lyall. - A jeżeli dopuci pan ten list, to z pewnością znajdzie się podstawy do apelacji.

- Nie będzie żadnej apelacji - powiedział McGill. - I pan wie o tym.

- Nie występuje pan tutaj, doktorze McGill, by spierać się o formalności prawne - zganił go lodowatym tonem Harrison. Zwrócił się do Rolandsona: - Co pan sądzi?

- Według mnie to przerażające.

- Pytałem, czy możemy to potraktować jako dowód?

- Proszę pozwolić mi przeczytać całość. - Po chwili Rolandson odparł: - Wszystko zostało notarialnie powiadeczone. Jest więc wiarygodne.

Harrison przekazał list Frenchowi, który po chwili lektury zaczął wyglądać tak, jakby poczuł nagle jakiś przykry zapach. Odrzucił list.

- Z całą pewnością jest to dowód prawny.

- Ja też tak uważam. Przykro mi, panie Lyall. - Harrison podał list sekretarzowi komisji. - Panie Reed, proszę to głośno odczytać.

Reed przejrzał pobieżnie list i zaczął:

- Jest to list od pana Georga Alberta Millera z Riverside w Kalifornii, do doktora Michaela McGilla.

Czytał list wolno, jednostajnym tonem, dziwnie kontrastującym z opisywanymi przez Millera wydarzeniami. Kiedy skończył, dodał beznamiętnie:

- Każda strona została podpisana przez pana Millera i opatrzona notarialną pieczęcią.

W sali zapadła absolutna cisza, która zdawała się przeciągać w nieskończoność. Jakby zatrzymał się czas. Nastąpiło dziwne po-

ruszenie, kiedy ludzie odwracali się na swoich miejscach, spoglądając w jednym kierunku. Mogłoby się wydawać, że Charlie Peterson wytwarza jaki nowy rodzaj siły przyciągania. Oczy wszystkich ludzi zwróciły się w jego stronę, jak igły kompasu zwracają się w stronę magnesu.

Siedział z pobladłą twarzą i błędnymi oczami. Obok Eric cofnął się ze swym krzesłem i spoglądał na Charliego z niedowierzaniem.

Liz siedziała wyprostowana, z dłońmi na kolanach, sztywno patrząc przed siebie. Miała ciśnięte brwi i zacinięte usta. Była wściekła.

Charlie rozejrzył się na boki i zorientował, że wszyscy przyglądają mu się w milczeniu. Zerwał się na równe nogi.

- To kłamstwo! - krzyknął. - Miller kłamie. To on spowodował lawinę, nie ja.

Pękła cisza i fala głosów przetoczyła się nad głową Charliego.

Harrison zawzięcie stukał młotkiem. Z trudem udało mu się przywrócić porządek. Oznajmił stanowczo:

- Jeli jeszcze raz wybuchnie taki gwar, odroczę tę sesję. - Spojrzył zimno na Charliego. - Niech pan usiędzie, panie Peterson.

Prawa ręka Charliego wyciągnęła się wskazując na Harrisona, a oczy McGilla zwęziły się na widok plastra, który zdobił jego kłykcie.

- Nie zamierzasz mnie wysłuchać? - ryknął Charlie. - Kiedy chodziło o reputację Ballarda, wysłuchała go z ochotą.

Harrison zwrócił się do Lyalla:

- Proszę kontrolować swego klienta, panie Lyall. Albo się uspokoi, albo zostanie usunięty z sali siłś, jeli okaże się to konieczne.

Lyall zawołał:

- Siadaj, Charlie. Płacisz mi, bym się tym zajmował.
- I nie najlepiej sobie radzisz - mruknł Charlie. Usiadł jednak, a rozwiczony Eric zaczął mu co szeptać do ucha.

Lyall powiedział:

- Muszę zaprotestować formalnie przeciw dopuszczeniu tego listu w charakterze dowodu. Podważa on dobre imię mego klienta i to, jak sđdzę, w nieuzasadniony sposób. Pan Miller jest nieosiđgalny i nie mogę go przesłuchać, w zwiśzku z tym muszę zaprotestować. Ponadto, oficjalnie ostrzegam, że bezzwłocznie zostanie wszczęte postępowanie apelacyjne.

Harrison odparł spokojnie:

- Jak już wczniej informowałem pana Rickmana, niezbędnś procedurę można znaleźć w Akcie Parlamentu, regulujścym postępowanie komisji dochodzeniowej. Doktorze McGill, wspomniał pan, że dysponuje także innymi dowodami. Czy potwierdzajš one zarzuty stawiane przez* pana Millera?

- Tak, sir.

- W takim razie proszę je przedstawić.

- Sprzeciw!

- Uchylony, panie Lyall.

- Panie przewodniczący, to jest dowód fotograficzny - kontynuował McGill. - Pozwoliłem sobie prosić o udostępnienie sprzętu.

Chciałbym go obsługiwać osobiście.

Harrison kiwnął głową.

- Niech pan tego dopilnuje, Reed.

W ciszy kilku minut, które zajęło ustawienie sprzętu, w sali

znow podniósł się gwar. Dalwood powiedział do Edwardsa:

- Ty stary lisie, wiedziałe na co się zanosisz. - Wciąż zawzięcie notował.

Edwards zaprezentował mu umiarkowanie pełen zadowolenia.

- Mój szef pewnie poprawia teraz pierwszą stronę. Dostaliśmy fotokopię listu Millera.

- Jak to, do diabła, zrobiłeś?

- McGill miał do nas interes - kiwnął głową w stronę sali. -

Zobaczysz.

Harrison poprosił o ciszę i wszyscy umilkli.

- Proszę kontynuować, doktorze McGill.

McGill stanął obok projektora.

- Mam tutaj oryginalny film przedstawiający lawinę, nakręcony przez porucznika Hatry'ego. Film, który przedłożył komisji, był kopiścią, oryginał ma lepszą jakość. Nie przypuszczam, by porucznik Hatry miał być za to skrytykowany przez komisję, czy też przez swoich przełożonych z Sił Lotniczych. Żaden prawdziwy fotograf

nie rozstaje się chętnie z oryginałem.

Włączył projektor.

- Pokażę tylko część filmu, istotną dla sprawy.

Na ekranie pojawił się chwiejny obraz, biel niegu i kilka rozrzuconych skał z błękitnym niebem nad nimi. Obłok, jakby dymu, uniósł się i McGill wyłączył projektor, by zatrzymać akcję. Podszedł ze wskazówką do ekranu.

- Jak widać, lawina zaczęła się tutaj, tuż przy tych skałkach. Był dzień i słońce jasno wieciło. W tych warunkach skała i nieg pobierają ciepło w różny sposób; skała nagrzewa się szybciej i taka różnica może wytworzyć napięcie w niegu, wystarczające do naruszenia i tak już krytycznej równowagi sił. Takie wnioski wyciągnęłam po pierwszym obejrzeniu filmu.

Włączył projektor.

- Mam tutaj znacznie powiększoną część tej sceny, którą włożę do specjalnego rzutnika. Nazywa się on stereo-komparator. - Włączył go. - Stopień powiększenia jest taki, że powoduje ziarnistość obrazu, ale wystarczy to do naszych celów.

Ponownie McGill podszedł ze wskanikiem do ekranu.

- Tutaj są skały, a tu obłok nieznego pyłu, będący początkiem lawiny. Ta fotografia pochodzi z klatki filmu, którą nazwiemy "klatką jeden". Następny slajd, jaki zobaczymy, będzie podobny, ale wykonany został trzydzieści sześć klatek później. Oznacza to, że między wykonaniem tych dwóch zdjęć minęły dwie sekundy. -

Wrócił do rzutnika i założył drugi slajd.

- Jak widać, różnica jest niewielka. Powiększył się nieznacznie obłok nieżnego pyłu. - Zamilkł na moment. - Ale jeli będziemy szybko zmieniać slajdy, do czego ten aparat został przystosowany, zobaczymy co szczególnego.

Obraz na ekranie zaczął szybko migać, a nieżny obłok oscylo-
wać. McGill sięgnął po wskazówkę.

- Te dwie plamki tutaj, które wczyniej uważałem za skały, bezsprzecznie poruszają się. Ta, na szczycie, niewiele przesunęła się w czasie dwóch sekund, ale ta niżej, przebyła znaczniejszą odległość do góry. Zakładam, że plamka na szczycie to pan Miller, a ta niżej to Peterson, wspinający się do niego po spowodowaniu lawiny.

Narastający w sali szmer przypominał pomruk dzikiej bestii i młotek Harrisona opadł z trzaskiem.

- Ponownie muszę zaprotestować - odezwał się Lyall. - Dwie ziarniste plamki na ekranie, które trudno nawet zidentyfikować jako ludzi! Co to za dowód? Równie dobrze mogł to być skazy na kliszy.

- Jeszcze nie skończyłem - zwrócił mu uwagę McGill.

- Ani ja - odciśł się Lyall. - Panie przewodniczący, chciałbym porozmawiać z panem prywatnie.

Harrison wsłuchał się w hałaliwy zamęt w sali.

- Myślę, że jeli zniży pan głos, to wystarczy.

- Muszę zaprotestować - powiedział żywo Lyall. - Doktor

McGill złożył zeznania o czym, czego nie mógł w żaden sposób

wiedzieć, zeznania obciążające mojego klienta. Zdecydowanie
owiadczył, że jedna z tych plamek to Charlie Peterson. Co więcej,
że pan Peterson to niższa plamka i że to właśnie on wywołał
lawinę. Czy mogłoby to udowodnić?

- No więc, doktorze McGill? - spytał Harrison.

McGill milczał przez chwilę.

- Nie - przyznał.

- Przyjmując dla teoretycznych rozważań, że te plamki istotnie
przedstawiają ludzi, skąd możemy wiedzieć, czy nie jest to ktokol-
wiek inny, nie mający nic wspólnego z moim klientem.

- Chwileczkę - wtrącił McGill. - Charlie właśnie powiedział, że
to Miller spowodował lawinę. Jeżeli to wie, to znaczy, że tam był.

A mamy także zaprzysiężone zeznanie Millera.

- Jestem w stanie wycisnąć własne wnioski - zwrócił uwagę

Harrison. - Proponuję, by ograniczył pan swoje zeznania do tego,
co pan wie, doktorze McGill.

Lyall powiedział:

- Widzę z tego, że jest to słowo Millera, przeciwko słowu moje-
go klienta. A Millera nie można przesłuchać.

- Co miałby zyskać, oskarżając Charliego? - spytał McGill. -

Lepiej wyszedłby na tym, trzymając język za zębami. A tak pozbył
się dziesięciu tysięcy dolarów.

- Dość tego - uciśł Harrison. - Doktorze McGill, jak już powie-
działem, nie jest pan tutaj po to, by spierać się w kwestiach praw-

nych. Ale wspomniał pan chyba jeszcze o innych dowodach?

- Tak, sir.

- To także fotografie?

- Tak i moje własne owiadczenie.

- Wobec tego proszę kontynuować. - Harrison znowu musiał uciszyć salę. Odczekał, aż zapadła absolutna cisza i powiedział: -

Doktorze McGill, proszę mówić dalej.

McGill powrócił do projektora.

- Po lawinie udałem się na zachodni stok, by sprawdzić czy niebezpieczeństwo już minęło. Jak się okazało, w najbliższej przyszłości zagrożenie było minimalne. Charlie Peterson zgłosił się na ochotnika, by mi towarzyszyć. Dokonalimy oględzin zbocza, a pan Peterson zachowywał się bardzo spokojnie i nie wykazywał zdenerwowania. Dopiero gdy zasygnalizowałem zamiar zbadania miejsca, w którym lawina się zaczęła, stał się nerwowy. Wówczas złożyłem to na karb naturalnego lęku przed znalezieniem się w potencjalnie niebezpiecznej sytuacji.

- W miarę wspinania się pod górę rosło zdenerwowanie pana Petersona, który w końcu zaproponował zaniechanie dalszych badań. Znajdowaliśmy się już niedaleko interesującego mnie miejsca, więc zignorowałem jego sugestię. Mimo to, nigdy nie doszliśmy do celu, gdyż w dolinie zdarzył się wypadek lotniczy i widząc to, niezwłocznie zjechalimy na dół.

- Interesujące - przyznał Harrison. - Ale nie widzę w tym żad-

nego zwiŝzku.

- Rzecz w tym, że kiedy bylimy na stoku, nisko nad nami przeleciał samolot i zobaczyłem w nim kogo robiącego zdjęcia.

Póniej dowiedziałem się, że został on wynajęty przez lokalną gazetę z Christchurch. Ubiegłej nocy poszedłem do tej redakcji i przejrzałem wykonane wtedy fotografie. Oto kilka z nich.

Włączył projektor i na cianie pojawiła się biało-czarna fotografia. McGill wyjanił:

- Po prawej stronie, u dołu, widać Petersona i mnie. W lewym, górnym rogu, wystające skały. Łatwo przy nich zauważyć lady nart, tutaj i tutaj. Sŝdżę, że Peterson nie chciał, bym je zobaczył i dlatego był tak podenerwowany.

- To jest bezpodstawna sugestia - sucho zaproponował Lyall.

McGill nie zwrócił na niego uwagi i rzucił na ekran kolejne zdjęcie.

- Przedstawia ono powiększenie punktu oderwania się lawiny.

Widać wchodzący w niego ład nart, a ta nierówna linia i ta następna, to miejsce, gdzie kto odskoczył w górę stoku. Tamtej nocy spadło sporo niegu, więc wszystkie lady mogły zostać zrobione tylko tego ranka, kiedy zeszła lawina.

Wyłączył projektor.

- Ponadto owiadczam pod przysięgą, że gdy po raz pierwszy tamtej niedzieli zobaczyłem Millera i Petersona, obaj byli na nartach.

Ciemne pomieszczenie eksplodowało wrzawą.

- wiatło! - krzyknął Harrison. - Włóczyć wiatło!

Lampy rozbłysły, a po chwili, gdy wony rozsunił zasłony, salę zalały promienie słońca. Charlie zerwał się na nogi.

- Niech cię wezmś wszyscy diabli! - wrzasnął do McGilla.

- Zamknij się, Charlie! - ostro zawołał Lyall, ale już było za późno.

- Niech was wszystkich diabli wezmś! - krzyczał Charlie. - To Ballard zabił mojego brata, wszyscy o tym wiedzś. Nikt by nie zginśł, gdyby ludzie schronili się do kopalni, tak jak chciał Eric. I Alec nie utopiłby się, gdyby nie Ballard. Mówię wam, on jest przeklętym mordercś! - Piana wystśpiła mu na usta. - To on spowodował lawinę, on, razem z Millerem.

Lyall nachylił się i McGill usłyszał jak mówi:

- To wariat!

Gardło Charliego poruszało się konwulsyjnie.

- Ballard nie cierpiał Huka i nikogo z nas. - Rozłożył ramiona. -

Checiał zniszczyć miasto i zrobił to. A najbardziej ze wszystkich nie znosił nas, Petersonów. Zabił dwóch moich braci, a z mojej siostry zrobił kurwę! - Zatoczył rękś łuk i wskazał na Liz.

Młotek przewodniczścego stuknął ostro i Harrison spytał:

- Doktorze Cross, czy może pan co zrobić?

Eric szarpnął ramię Charliego, ale ten odrzucił go bez wysiłku na bok.

- A McGill wiedział o wszystkim i zabiję tego bydlaka! - Sko-

czył w stronę McGilla, ale zanim zdołał go osiągnąć, Eric pozbierał się i rzucił mu się na plecy.

- Puć mnie - wrzeszczał. - Niech go dopadnę! - Znow wyrwał się Ericowi i rzucił na McGilla; ale tym razem wkroczyło kilkunastu mężczyzn, by go ujarzmić. Nastąpiło chwilowe zamieszanie. Charlieemu udało się raz jeszcze oswobodzić i bokiem sali pobiegł do wyjścia. Drzwi otworzyły się, zanim do nich dotarł i Charlie- wpadł w ramiona dwóch policjantów. Schwycili go za ręce i wyprowadzili na zewnątrz.

Harrison nadaremnie stukał młotkiem. Wreszcie, nie zwracając uwagi na wrzawę, cicho powiedział:

- Przesłuchanie zostaje odroczone.

XXXIII

Pół godziny później McGill wciąż jeszcze znajdował się w sali, otoczony przez reporterów.

- Bez komentarzy - powtarzał ciśgle. - Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia, składając zeznanie. Nic więcej nie wiem.

Uwolnił się wreszcie, wszedł do pierwszego pokoju, jaki zobaczył i zatrzasnął za sobą drzwi. Kiedy odwrócił się, ujrzał Harrisona i Stenninga.

- Przepraszam, ale czy nie mielibyście panowie nic przeciwko temu, bym się tu schronił na kilka minut. Ci dziennikarze doprowadzają mnie do szału.

- Ależ proszę - przyzwolił Harrison. - Wywołał pan niemałe zamieszanie, doktorze McGill.

McGill skrzywił się.

- Nie takie jak Charlie. Jak on się czuje?

- Doktor Cross dał mu rodek uspokajający - zamilkł na chwi-

lę. - Mylę, że w tym przypadku powinno się wydać sądowy nakaz

leczenia psychiatrycznego. - Harrison przypomniał sobie o obo-

wiżkach towarzyskich. - Ach, to pan Stenning, gość z Anglii. Przy-

jechał zobaczyć, jak stosujemy nasze prawo administracyjne. Mówi-

łem mu już, że nie wszystkie, prowadzone przez nas dochodzenia,

są aż tak burzliwe. Nie sądzę jednak, by mi uwierzył.

- Poznalimy się już z panem Stenningiem - wyjanił McGill. -

Mieszkamy w tym samym hotelu.

Harrison wziął swoją teczkę.

- Panowie, będzie chyba najlepiej, jeśli wyjdziemy tylnymi drzwiami.

- Czy mógłbym z panem zamienić kilka słów? - Stenning zatrzymał McGilla.

- Oczywiście.

- Proszę skorzystać z biura - zaproponował Harrison. - Panie Stenning, czy przyjdzie pan na jutrzejsze dochodzenie?

- Raczej nie. Mam pilną sprawę w Anglii. Zapewniam pana, że było ono niezwykle interesujące.

- A więc pożegnamy się teraz. - Podali sobie ręce.

Kiedy Stenning i McGill zostali sami, Stenning zauważył:

- Harrison myli się. Ten list nie stanowi dowodu prawnego, gdyż Millera nie można było przesłuchać. Mylę, że dochodzenie zostanie odroczone do czasu, aż Harrison zasięgnie porady prawnej. wietny to przykład niecelowoci powierzania laikowi roboty czysto prawniczej.

McGill wzruszył ramionami.

- Jakie to ma teraz znaczenie? Wszyscy przekonali się, że Charlieemu brak piștej klepki.

Stenning popatrzył na niego uważnie.

- Zeznał pan, że Ian wyraził zgodę na udostępnienie tego listu.

- Bo to prawda.

- Dziwne. Na zakończenie naszej ostatniej rozmowy Ian powiedział, żebym poszedł do diabła. W tym samym kierunku wysłał także Ballard Trust. Musiał zmienić zdanie. Ciekawe, kiedy to zrobił.

- Pewnie wtedy, gdy Charlie Peterson zaczął prac go na kwane jabłko.

- Myli pan, że to był Peterson?

- Na miłość boskš! A pan ma wštpliwoci? Włanie widział pan Charliego w akcji. Rzucił Erikiem, jakby ten był szmacianš lalkš, a Eric to nie ułomek. Dzisiaj po południu uważnie przyjrzałem się jego rękóm. Ma wiele zdarte kłykcie.

- I to ma być jedyny dowód wiadcžscy przeciwko niemu? Dok-

torze McGill, muszę mieć pewność.

- Oczywiście, że nie - miało skłamał McGill, prezentując szczęśliwą, otwartą twarz. - Ian mi o tym powiedział, kiedy znalazłem go na parkingu. Dobrze zapamiętałem jego słowa: "To był Charlie, użyj tego listu i zniszcz go". Potem zemdlął.

- Rozumiem - Stenning umięknął się i pozornie bez zwińszku dodał: - Ian jest szczęciarzem, mając takiego przyjaciela jak pan.

- Panie Stenning, zrobiłbym to samo dla każdego, komu wyrzdzono by krzywdę. A wie pan, że Ian dowiadczył jej z obu stron. Pańskie ręce też nie sđ zupełnie czyste w tej sprawie.

Gwałtownie odwrócił się i opuścił pokój. Przeszedł przez pustą już salę posiedzeń i wszedł do westybulu, gdzie wpadł wprost na Liz Peterson. Uniosła rękę i wymierzyła mu ze wszystkich sił policzek.

Głowa odskoczyła mu na bok. Złapał dziewczynę za nadgarstek.

- Liz, uspokój się.

- Jak mogę? - spytała zapalczywie. - Jak mogę tak postąpić z Charlim?

- Kto musiał go powstrzymać.

- Ale nie w ten sposób. Nie musiały ukrzyżować go publicznie.

- A co by proponowała? Liz, on był szalony, bliski obłądu.

Nawet Eric tak uważał. Powiedział mu wprost, że stracił rozum.

Zżerało go poczucie winy, więc chciał jś zwalić na Iana.

- Ian! - pogardliwie rzuciła Liz. - I ten człowiek chciał mnie

polubić? Nie chcę go już więcej widzieć. Mógł zataić ten list.

- Tak właśnie chciał zrobić - odparł McGill. - Ale mu to wyper-
swadowałem. To byłaby głupota. Mielicie się podobno spotkać
wczoraj w nocy, prawda?

Pokręciła głowę.

- Charlie znowu się wygłupił. Pod byle pretekstem zwabił mnie
do samochodu i, jadąc jak szaleniiec, wywiózł za miasto. - Zamilkła,
kiedy zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała. - Tak czy owak,
wysadził mnie na polnej drodze i zwyczajnie odjechał. Dochodziła
już północ, gdy wróciłam do miasta. Zadzwoiłam do Iana, ale nie
zastałam go w pokoju. Myślałam, że zobaczę go dziś rano, ale miał
ten wypadek.

- Czy Charlie wiedział, że miała spotkać się z Ianem?

- Nie, chyba że od Erica.

- A więc powiedziała Ericowi, a on wspomniał o tym Charlie-
mu. To była głupota. - Wziął ją za ramię. - Musimy pogadać,
dziewczyno i lepiej, żeby w trakcie tej rozmowy wypić drinka.

Pięć minut później, przy dyskretnie ukrytym stoliku, stojącym
w hotelowym holu, McGill rzekł:

- To nieco skomplikowana historia. Kiedy przyszedł list Millera,
Ian przeczytał go i zadał mi tylko jedno pytanie. Chciał wiedzieć,
czy lawina spadłaby, gdyby nie ingerencja Charliego. Musiałem
przyznać, że tak. To była tylko kwestia czasu, Liz.

Podniósł szklankę i zapatrzył się w nią.

- Kiedy Ian to usłyszał, chciał, bym zataił treść listu. Wyperswadowałem mu to, ale wtedy owiadczył, że najpierw chciałby tę sprawę wyjanić tobie.

- A ja się nie zjawiłam - stwierdziła głucho Liz.

- Gdy zobaczyłem go znowu, kwalifikował się już tylko do szpitala, a ja postanowiłem łączyć jak pies Stenningowi, poznała go przecież.

- Co on ma z tym wspólnego?

McGill opowiedział jej o starym Benie Ballardzie, o Ballard Trust i zadaniu nałożonym na Stenninga. Zajęło to sporo czasu. Zakończył, mówiąc:

- Nawet znajsc treść listu Millera, Ian odesłał Stenninga do diabła. On sam mi to niedawno powiedział.

- Był więc gotów z tego wszystkiego zrezygnować? - wolno spytała Liz.

- Nie myl tylko, że ze względu na Charliego. On nie chciał ciebie zranić. Nie obwiniaj go więc o nic. Zresztś, to już bez znaczenia. Stenning ma dowód, że Ian w końcu stłamsił Petersonów.

Może podejrzewać szwindel, ale nie uda mu się tego dowieć, a ponieważ jest prawnikiem, zaakceptuje to. - McGill umiechnął się. - Z tego, co dzisiaj powiedział, wnioskuje, że odpowiada mu takie rozwiśzanie.

- Chyba trochę nabrałe Stenninga? - spytała, nieco rozbawiona Liz.

- Niezupełnie. Uważam, że stary Ben mylił się. Twierdził, że szef Ballard Trust musi mieć w sobie stal. Ja za sđdzę, że wokół jest już wystarczajřco duŹo ludzi ze stali, moŹe nawet jest ich zbyt wielu. WychodŹ z mody. To, czego obecnie trust potrzebuje, to człowiek, który połřczy w sobie zalety menedŹera, administratora i dyplomaty, a Ian spełnia te warunki i jeli będzie mu potrzebna jaka domieszka stali, zyska jř, majřc obok siebie kogo z Petersonów.

- Och, Mikę, czy sđdzisz...? - Liz połōżyła dłoń na ręce McGilla, a w jej oczach pokazały się łzy. - Mikę, sama już nie wiem. Policja zabrała Charliego z powodu wywołania lawiny, a...

- Nie! - ostro przerwał jej McGill. - To nie z powodu lawiny.

Niczego mu nie udowodniono i moŹe to nigdy nie nastřpi.

- A więc dlaczego?

- Ian miał zamiar spotkać się z tobř wczoraj w nocy, ale zamiast ciebie, spotkał Charliego. Stenning widział ich obu w hotelu. Charlie zatłukł na parkingu Iana prawie na mierc, pewnie wtedy, gdy poszedł cię szukać. To nie był wypadek samochodowy. Policjanci mieli aresztować Charliego, gdy tylko opuci salę.

Liz była tak blada, jak wówczas, gdy McGill zobaczył jř po raz pierwszy w kociele, po zejciu lawiny. Łagodnie powiedział:

- Liz, kto musiał go powstrzymać. Często zastanawiałem się nad tym, co mogłoby się stać, gdybym poszedł te sześdziesiř metrów dalej, w górę zachodniego stoku i zobaczył lady nart. Myłę, że wzrosłaby liczba ofiar lawiny. Charlie jest wystarczajřco silny,

by rozedrzeć mnie na pół. Kto musiał go powstrzymać i obrałem najszybszy sposób, jaki mi przyszedł do głowy.

Liz westchnęła.

- Zdawałam sobie sprawę z tego, że był brutalny, miał dziwne pomysły i wiedziałam, że to się nasila. Ale nie sądziłam, że aż do tego stopnia. Mów, co się z nim stanie?

- Nic mu nie będzie. Zajm się nim lekarze. Nie przypuszczam, by odpowiadał za cokolwiek. Liz, on już stoi poza zasięgiem prawa. Widziała go dzisiaj po południu, więc chyba wiesz, o co mi chodzi. Harrison zresztą ocenia to podobnie.

Kiwnęła głową.

- A więc już po wszystkim.

- Tak, skończyło się - przyznał. - Moi szefowie chcą, żebym ruszył na południe, do lodów. Postawili kopułę geodezyjną na biegunie południowej i chcą, by glaciolog sprawdził fundamenty.

McGill rozparł się na krześle i sięgnął po szklankę. Powiedział niedbale:

- Ian leży w Szpitalu Księżniczki Małgorzaty, na trzecim piętrze.

Siostra oddziałowa jest twarda starucha o nazwisku Quayle, ale jeśli powiesz, że jesteś narzeczoną Iana, to może pozwoli ci...

Nagle spostrzegł, że mówi w pustą przestrzeń.

- Hej, nie dopiła drinka! *

Ale Liz była już w połowie holu, a za nią biegł Victor, powiewa-

jść ogonem jak paradnym pióropuszem.

KONIEC